

Polska historia, cięte dialogi,
błyskotliwy bohater i znakomita
intryga. Rasowy kryminał retro.

MAREK KRAJEWSKI



znak

KATARZYNA KWIATKOWSKA

ZBRODNIA
W SZKARŁACIE

XIX



KATARZYNA
KWIATKOWSKA
ZBRODNIA
W SZKARŁACIE

WYDAWNICTWO ZNAK
KRAKÓW 2015

ROZDZIAŁ 1

Dwa kruki przysiadły na stojącej przy dworze szubienicy i zaczęły wyrzaskiwać swe posępne prorocтва. Z wiszącego tuż nad nimi ołowianego nieba skraplało się coś, co nie spadało na ziemię, lecz zastygało w powietrzu, osiadało na skórze, przenikało przez odzież.

Jan się skrzywił. Chciałby móc obwinić za swój zły humor pogodę i ptaszyska, a nie poczucie klęski. Nacisnął klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły. Ustąpiły, dopiero gdy je nieco uniósł i zaatakował ramieniem. W sieni kilkakrotnie wytarł buty o skrobaczkę, próbując pozbyć się choćby części błota, a jednocześnie wyplątywał się z przemoczonej kurtki. Dźwięk skrobania przyciągnął z głębi domu Mateusza i wierny towarzysz czekał już na Morawskiego, gdy ten wkroczył wreszcie do ciemnego holu. Liczył na miłe chwile w ciepłym i suchym pomieszczeniu, ale srogo się zawiódł. W holu rozpanoszyła się taka wilgoć, że gdyby było tam choć trochę jaśniej, suszone kwiaty na wiszącym u powały wieńcu dożynkowym miałyby szansę ożyć.

Jan podał Mateuszowi ciężką kurtkę, a rękawem swetra osuszył mokrą twarz i prawie czarne od wilgoci włosy. Zatarł ręce, kilka razy w nie chuchnął i schował pod pachami.

– Co za koszmarny ziąb!

– Nie powinien pan wychodzić w taką pogodę... – napomniał go kamerdyner.

W swym eleganckim uniformie, złożonym z jaskółki i sztuczkowych spodni, wyglądał w zaniedbanym dworze niczym postać zabląkana z innej bajki. Podszedł do sterty mebli wystawionych z salonu i powiesił przesiąknięte wilgocią okrycie na nodze jednego z odwróconych foteli, ale spojrzawszy na wymarłą jamę kominka, zdjął kurtkę i ruszył w stronę szerokich podwójnych drzwi. Jan czekał na ciąg dalszy kazania Mateusza i doczekał się:

– ... zwłaszcza po to, by szukać nieistniejącego skarbu.

– Potrzebny jest ktoś, kto ogłosi to naszym gospodarzom – przyciął mu Morawski. – Zgłaszasz się na ochotnika?

Podeszli do uchylonych drzwi, lecz zanim kamerdyner je otworzył, usłyszeli głos mężczyzny:

– Gryzę się trochę tymi przygotowaniem do wesela.

W tym momencie mogliby jeszcze wejść, ale Mateusz się zawahał i chwila odleciała.

– Czym tu się gryźć? – spytał głęboki głos, który mógł należeć zarówno do mężczyzny, jak i do kobiety. – Wszystko przebiega zgodnie z planem. Orkiestrę zamówiliśmy, druga kucharka przyjechała.

Wyprawa obstalowana w Poznaniu jest uszyta, suknia ślubna też. Jutro salon będzie jak nowy, szwaczki uporają się z bielizną, a skład kolonialny dostarczy resztę wiktuałów. Potem Helena z druhami udekorują dom i gotowe!

– Ale nie zapłacone – przypomniał mężczyzna. – Nic z tego nie jest zapłacone. I nie wiem, skąd wziąć na to środki.

– Z tych pieniędzy za las.

– Już ich nie ma – odparł przeproszającym tonem. – Musieliśmy przed zimą położyć dach nad ochronką. – Zapanowała cisza i Morawski chciał ją wykorzystać, by wejść do pokoju, ale ponownie odezwał się mężczyzna: – Zresztą wyprawa i wesele to nie wszystko. Co z posagiem, moja Jerzowo? Nie mamy posagu, a przyrzekliśmy wywianować Helenkę. Nie możemy...

– Przecież Jan znajdzie skarb dziadka – przerwała mu Jerzowa – więc posag będzie.

Jan poczuł na barkach ciężar odpowiedzialności i nagle zrobiło mu się ciepło. Mateusz rzucił mu współczujące spojrzenie. Odczekali kilka sekund, jakby liczyli na odpowiedź mężczyzny, a Morawski pragnął usłyszeć jakieś słowa zwątpienia wobec swych kompetencji, coś, co ułatwiłoby mu ogłoszenie fiaska misji poszukiwawczej. Nikt się nie odezwał, nabrał więc głęboko powietrza i popchnął skrzydło drzwi.

Stanął w progu jadalni, świeżej i czystej, bo właśnie odremontowanej. Po bokach stały dwa gdańskie kredensy na wysokich spiralnych nogach, a na środku wielki stół do kompletu. W prawym narożniku tkwił chory na nieznaną chorobę zegar, a w przeciwległym kącie złożono resztę mebli z odnawianego salonu. Wisząca nad stołem lampa rzucała ciepłe światło na zgromadzonych w jadalni mieszkańców.

Po prawej stronie, u szczytu stołu, siedział pan domu Jerzy Jezierski, pięćdziesięciolatek o policzkach tak okrągłutkich, jakby

chował w ustach śliwki. Za sprawą tej pucułowatości i ogólnej tuszy przywodził na myśl Gwiazdora. Leżała przed nim kasetka z pieniędzmi i stosy kartek, a on coś podliczał, ale chyba te rachunki nie przebiegały gładko, gdyż włosy dookoła głowy miał rozczochrane i mruczał: „Nie rozumiem, co tu się dzieje”.

Po lewej stronie od drzwi ulokowała się pani domu, znana wszystkim jako Jerzowa. Jej nikt nie nazwałby dobroduszną, choćby z powodu grubych, gęstych brwi, nadających jej chmurny, listopadowy wygląd. Wrażenie pogłębiała popielata, kwakierska suknia i poszarzałe włosy, muśnięte smugami dawnej rudości, splecione w morderczy węzeł na karku. Przed nią na stole również stało pudełko, z tym że wypełnione niewielkimi buteleczkami. Sama Jerzowa w jednej dłoni trzymała szklaną fiolkę, a w drugiej ulotkę, którą uważnie studiowała.

Pomiędzy nimi, naprzeciwko drzwi, siedziała Helena, przepiękne dziecko dwojga nieatrakcyjnych ludzi. Odkąd Jan przyjechał do Jezior trzy dni wcześniej, nie mógł się napatrzeć na swą dwudziestoletnią kuzynkę, jej wielkie szare oczy, kremową cerę i delikatne łuki brwi. Jediną cechą, która łączyła ją z matką, były rude włosy. Dziewczyna niedawno wróciła z rocznego pobytu w Dreźnie i za dwa dni, trzydziestego listopada, miała wyjść za mąż. Teraz nie zajmowała się, jak należałoby oczekiwać, skrzynią wyprawną, lecz trzymała w dłoniach szmaragdowy tom z napisem *Dictionnaire*. Nagle głęboko westchnęła, zamknęła słownik, położyła go na stole i podniosła wzrok wprost na Jana. Na jej twarz wypłynął taki uśmiech, że Morawski poczuł ucisk w dołku.

– Wróciłeś?

Siedzący na jej flankach rodzice unieśli głowy, jakby jakaś niewidzialna ręka pociągnęła za sznurki. Na wszystkich trzech twarzach widniała nadzieja. Nie, nie nadzieja – pewność.

– Znalazłeś! – wydyszała Jerzowa.

– Nie – wychrypiął Jan, po czym odchrząknął. – Niestety nie.

Cała trójka zamarła, a pani domu zmarszczyła czoło, tak że jej groźne brwi się zbiegły.

– Ale jak to?

– Przeszukałem starą lodownię i warzywnik, ale nic nie znalazłem

– tłumaczył się Morawski. – To były fałszywe tropy. – Mieli zrozpaczone miny dzieci, którym w ostatniej chwili zabrano ze stołu lody, więc rzucił im na pocieszenie: – Ale mam jeszcze jeden pomysł.

Rozjaśnili się natychmiast i wymienili uśmiechy, a Jan z ulgą usiadł obok Heleny. Spojrzał na Mateusza, który rozwieszał wilgotną kurtkę na wielkim piecu kaflowym. Kamerdyner z dezaprobatą pokiwał głową na to białe kłamstwo i bezgłośnie wyrzekł: „Tere-fer!”.

– Pewnie okropnie zmarzłeś, mój drogi – poderwał się Jerzy. – Odrobina pigwówki doskonale ci zrobi.

Podreptał do kredensu i już po chwili przed Janem stał kieliszek ciemnozłotego płynu, wyrabianego osobiście przez pana domu i stanowiącego przedmiot jego dumy. Morawski z wielką ochotą wypił nalewkę, rozkoszując się jej kwaśną słodyczą, a potem dolał sobie jeszcze odrobinę z karafki, bardziej z łakomstwa niż z potrzeby, choć może także z chęci znalezienia sobie zajęcia, jego gospodarze bowiem wrócili do swoich rejestrów, ulotek i książek.

Przy drugim kieliszku Jan doszedł do wniosku, że doskonale się czuje w wolnych od przygniatającej wyniosłości Jeziorach. Gdyby jeszcze udało się odnaleźć ten przeklęty skarb... Jego dalecy krewni, Jezierscy, jakimiś pokrętnymi drogami dowiedzieli się, że przeprowadził z powodzeniem kilka prywatnych śledztw, więc gdy wszystkie podjęte przez nich próby ustalenia miejsca, gdzie dowcipny senior rodu ukrył spadek, spaliły na panewce, rozpaczliwym listem wezwali Morawskiego. Akurat przebywał w Berlinie i z ochotą podjął wyzwanie, licząc na rozrywkę i łatwy triumf. Teraz, wspominając tamtą pewność, pokręcił głową z ubolewaniem i nalał sobie trzeci kieliszek pigwówki.

Nagle półmrok w jadalni rozpierschł się. Słońce, cały dzień zatopione w pierzynie, postanowiło jednak się ukazać. Poziome promienie uderzyły w okno i we wnętrzu rozlało się przesączone przez firanki miękkie światło, a pomalowane na oliwkowy kolor ściany pokryły się złotem. Helena odwróciła się w stronę okna i położyła brodę na oparciu krzesła.

– Jakbyśmy byli latem w gęstym lesie. – Uśmiechnęła się do Morawskiego tak olśniewająco, że biedny Jan postanowił czym prędzej przywołać się do porządku.

– Byłem pewien, że spotkam tu twojego narzeczonego.
Drgnęła i natychmiast usiadła prosto.
– Wraca jutro – mruknęła zza książki.
– Wiem – przytaknął Morawski i brnął dalej – ale słyszałem twój głos w parku i wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz.
– Nie, byłam sama. – Rodzice popatrzyli na nią i spłonęła rumieńcem. Po chwili dodała: – Pewnie nadszedłeś, gdy deklamowałam wiersz.

Naraz spod okna rozległo się kichnięcie, a potem jeszcze jedno.
Zaskoczony Jan odwrócił się w tamtym kierunku i zobaczył Laurę, osiemnastoletnią bratanicę Jerzego. Siedziała tam, cichutka niczym myszka. Była niewysoka, szczupła i boleśnie płaska, a piękne popielate włosy – jej jedyna ozdoba – wydawały się zbyt ciężkie przy drobnej twarzyczce o zielonkawym odcieniu.

– Na zdrowie! – zawołał gromko Jerzy.
Uśmiechnęła się, ukazując ostre ząbki. Jednocześnie od drzwi wystrzeliła komenda.
– Odejdź od tego okna! – krzyknęła kobieta, która właśnie stanęła w progu.

Wątpiąca paniienka zacisnęła wargi i szeroko otworzyła oczy.
Zamknęła czytaną książkę i przyłożyła ją do piersi.

Jan przeniósł wzrok na Ewelinę Jezierską, macochę Laury. Była piękną, filigranową istotą o nienaturalnie wielkich, niebieskich oczach. Co dziwne, choć więzy krwi nie łączyły jej z Jerzową i Heleną, miała tak jak one ciemnorude włosy, falujące i modnie zrolowane wokół głowy. W swej kosztownej sukni popołudniowej stanowiła dysonans w ogołoconym wnętrzu i na tle skromnie ubranych gospodarzy.

– Niech bratowa tak nie krzyczy – łagodził Jerzy. – Przecież nic...
– Jeśli Laura się przeziębi – wysyczała kobieta – znowu będziecie mi zarzucali brak opieki, choć wiadomo, że brat się nad nią rozczula, bo ma wyrzuty sumienia, że się przez brata oparzyła. – Jerzy spuścił głowę, a agresorka podeszła bliżej. – Zresztą ona udaje kichanie, żeby mnie zdenerwować.

Chciała wypuścić jeszcze jakąś żmiję, ale nie dokończyła. Głośno nabrała powietrza, otworzyła usta i też kichnęła. Helena parsknęła

śmiechem.

– To też udawanie? – zagadnęła.

Jan się zaśmiał, lecz nagle jego wzrok stał się czujny. Rękaw sukni Eweliny na moment się podsunął, odsłaniając w zgięciu łokcia zasinięcia i czerwone punkciki. Potwierdziły się jego podejrzenia. Zmienne zachowanie kobiety, które obserwował, odkąd przybył do Jezior, dość jednoznacznie wskazywało na narkomanię, przypuszczał jednak dotąd, że ograniczała się do zażywania kokainy w formie tabaczk.

– Trzeba się było zastanowić, zanim Ewelina przywiozła tu takie delikatne dziecko – burknęła Jerzowa. – Do tego w listopadzie. Toż to pewna śmierć.

– Jak się Jerzowej coś nie podoba – odwarknęła zagadnięta – to możemy wyjechać.

– Ćśś, moje drogie – łagodził Jerzy. – Kto tu mówi o wyjeździe? Zawsze jestem rad mojej bratanicy.

Kobieta poprawiła rękaw i ponownie zaatakowała pasierbicę:

– Zostaw te wstrętne pamiątki. Czego w nich szukasz?

– Wskazówki, gdzie dziadek ukrył posag Helenki – miauknęła przerażona Laura.

– Chyba oszalałaś! Co cię to obchodzi?

Wydarła dziewczynie kajet, rzuciła na stół i z szelestem jedwabiu wyszła, ciągnąc za sobą chuderławą panienkę.

– Czy nie można przywołać jej do porządku? – zagadnął Jan, gdy przebrzmiał huk zatraskiwanych drzwi.

Jerzy pokręcił głową i duszkiem wypił kieliszek nalewki.

– Sam słyszałeś. Musimy to znosić, bo jeśli ją obrazimy, wywiezie Laurę i znowu minie osiem czy dziesięć lat, zanim ją zobaczymy.

Morawski nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż rozległo się stukanie do drzwi od strony salonu i ukazała się pokryta pyłem głowa:

– Prosimy do nas, pani dziedziczko, wedle tych papierów, co to mają iść na ściany.

– Ja się na tym nie znam, a poza tym mnie jest wszystko jedno – machnęła bez troski dłonią Jerzowa, przepisując na kartkę jakieś fragmenty ulotki. – Idź ty, mój Jerzu. Ty lubisz remonty.

Jerzy poderwał się i dziarskim krokiem ruszył w stronę salonu,

kołysząc wielkimi poduszkami brzucha i pośladków. Mateusz z przyganą spojrział na panią domu, a potem przeniósł wzrok na Helenę, która siedziała nieruchomo, wydymała wargi i bezmyślnie gładziła szmaragdowy wolumin.

Morawski postawił przed sobą swoją skrzyneczkę – skarbczyk dziadka, który rzekomo skrywał tajemnicę owego pożądanego skarbu – i w poszukiwaniu natchnienia przerzucał kartki, koperty, plany, dokumenty, choć wszystko to znał już na pamięć.

Po chwili z przyległego pomieszczenia dobiegł uprzejmy głos pana domu.

– Tak, tak. Ten jest ciekawy. A co byście powiedzieli na ten kolor, moi drodzy? – radził się pracowników. – Nadaje się do salonu?

Odpowiedziały mu jakieś pomruki. Tymczasem Jerzowa poskładała swoje fiolki i notatki, podeszła do kasetki Jerzego, odsunęła rejestr, wzięła kilka monet i krzyknęła w stronę salonu:

– Zabieram pieniądze dla Kajtka! – Janowi zaś wyjaśniła:

– Biedaczyna złamał wczoraj nogę.

Morawski uśmiechnął się, choć wątpił, czy to posunięcie pomoże Jerzemu w uzgodnieniu bilansu, który wcale nie chciał wyjść na zero.

Nagle Jezierski wrócił do jadalni, nie odezwał się słowem, za to z jakąś desperacją gładził łysinę na czubku głowy i wicherzył boki fryzury. Sięgnął po wiszący na krześle surdut, nałożył go na codzienną kamizelkę i próbował wywinąć stójkę koszuli, jakby to był kołnierzyk. Zebrani uważnie mu się przyglądali.

– Czy mogłybyście, moje drogie, zastąpić mnie w salonie? – poprosił swoje panie. Nie patrzył na nie, lecz drżącymi dłońmi składał papiery, nad którymi pracował. – Muszę pójść do gabinetu.

Kartki spadły i przykleknał, by je pozbierać, ale wysypywały mu się z rąk. Morawski rzucił się na pomoc i podał stertę dokumentów roztrzęsionemu mężczyźnie. Ten ją złapał i podszedł do drzwi. Wyglądał komicznie, a zarazem żałośnie – od góry prowincjonalny urzędnik, od dołu chłop w ubłoconych gumiakach – z jakichś jednak powodów Janowi wcale nie było do śmiechu.

Po wyjściu męża Jerzowa, która stała w drzwiach do kredensu, jeszcze groźniej zmarszczyła brwi, a potem z rezygnacją ruszyła do

salonu, ciągnąc za sobą woń środków odkażających. Helena z westchnieniem poszła za matką.

Z cienia przy wysokim zegarze wyłonił się Mateusz.

– Tu wszystko jest postawione na głowie – mruknął.

– Pani domu nie interesuje się dekoracją salonu, pani domu nie częstuje niczym zziębniętego gościa. – Wskazał dłonią drzwi, za którymi zniknęły kobiety. – Lepiej tam chodźmy.

Jan podążył za nim, ale po drodze zatrzymał się, zajrzał do pudełka Jerzowej i podniósł flakonik, który z takim zainteresowaniem studiowała. „Heroin” – przeczytał naklejkę. Przechylił buteleczkę i wewnątrz poruszyły się kapsułki.

Salon w Jeziorach, położony po lewej stronie holu, ciągnął się przez całą szerokość domu. Na dwie części, jaśniejszą i ciemniejszą, dzieliła go arkada wsparta na dwóch jońskich kolumnkach, a okna wychodziły zarówno na podjazd, jak i na park.

W chwili obecnej przypominał fragment odkopanego domostwa w Pompejach – gdyby jeszcze zerwano sufit, podobieństwo byłoby absolutne. Podłogę pokrywała gruba warstwa białego proszku, wszędzie wały się odłamki sztukaterii, w jednym narożniku piętrzyły się pasy pozdieranej tapety, zamiast gzymsu ciągnęły się fantazyjne zacieki, a ściany upstrzone były pozostałościami starego kleju. Za ten akt zniszczenia odpowiedzialna była czwórka pokrytych pyłem ludzi, którzy stali na baczność przed Jerzową.

– Skoro sami wiecie, że trzeba przykleić tapetę, a potem sztukaterie, to jestem tu niepotrzebna. Bierzcie się do roboty – wymigła się pani domu i już była przy drzwiach.

– Ale nie wiemy, którą tapetę – zatrzymał ją robotnik w szmacie na głowie. – Pan dziedzic nie zdecydował. A jest sześć różnych.

– Hm – mruknęła Jerzowa, nieuważnie przerzucając różnokolorowe płachty. – Co myślisz, Heleno?

Dziewczyna stała przy oknie wychodzącym na park i czegoś wypatrywała w szczelinie między zasłaniającymi szybę gazetami. Zwróciła na matkę roztargniony wzrok, ale potrafiła tylko stwierdzić, że najbardziej podobała jej się stara tapeta.

– Weźmy tę modrakową. – Pani domu złapała pierwszą z brzegu

rolkę. – Muszę iść, bo czekają na mnie w izbie chorych.

Jan zdążył otworzyć przed nią drzwi do jadalni, gdy rozległ się głos Mateusza.

– Za pozwoleniem, *madame*, ten kolor nie będzie pasował do zielonej i wiśniowej tapicerki mebli. – Rozwinął jeden z rulonów i oglądał go pod różnymi kątami, oddalając i przybliżając do światła. – Wydaje mi się, że najlepsza byłaby ta w kolorze igliwia.

– Doprawdy?

– Proszę spojrzeć. – Do łaciatej ściany przyłożył wytłaczaną tapetę w pasy w dwóch odcieniach zieleni. Pani domu wpatrywała się w kamerdynera jak zaczarowana, a on tłumaczył dalej: – A jeśli chodzi o sztukaterię, to musimy pamiętać, że pokój jest duży, ale niezbyt wysoki. Białą gzyms jeszcze go obniży. Zamiast sztukaterii można by styk ściany z sufitem udekorować poziomym pasem tapety z wytłoczonymi festonami.

Jerzowa ocknęła się ze swego zapatrzenia i poleciła robotnikom:

– Ze wszystkimi pytaniami zwracajcie się do Mateusza.

Szybko odwróciła się i zniknęła, zostawiając zaskoczonych fachowców i ich nowego przełożonego.

– Brawo, mój drogi. Masz talent. – Jan poklepał przyjaciela po plecach, po czym przez zwały gruzu, zasłaniając usta przed unoszącym się pyłem, doszedł do frontowego okna i lekko odsunął przypiętą do ramy płachtę.

Przed wejściem stał kryty powóz, a na koźle siedział opatulony derką stangret.

Morawski uchylił drzwi prowadzące z salonu bezpośrednio do holu i znalazł się za stertą czterech foteli ustawionych jeden na drugim. Akurat w tym momencie otwarły się drzwi do gabinetu, znajdujące się po przeciwnej stronie, i stanął w nich wysoki mężczyzna.

– Mój szanowny panie Jezierski – mówił kojącym głosem wiejskiego lekarza – pan wie doskonale, że rad bym przychylić panu nieba, ale co zrobić? Cisną mnie terminy, mam tu ulokowaną sporą kwotę, a akurat trafia mi się kupiec na taki dwór. Byłbym nierozsądny, gdybym nie skorzystał z okazji.

– Proszę dać mi jeszcze szansę – błagał cicho Jerzy. – Jestem

pewien, że zdołam...

– Ale skąd? – przerwał mu tamten, odwracając się.

– Skąd, pytam? Sam pan przyznał, że majątkiem bratanicy zarządza jej macocha, która nic panu nie pożyczycy, a spadku po szanownym ojcu pańskim jak nie było, tak nie ma.

– Porozmawiam z nią... Są jeszcze inne źródła... Mógłbym jutro pojechać... – plątał się Jerzy, idąc za gościem.

Jan tkwił za swą barykadą, zginał się i podnosił, próbując coś dostrzec. Wychwycił tylko fragmenty obrazu, niczym pojedyncze klisze – piłkowaty brzuch mężczyzny, białe włosy, czarny zarost, ciemny płaszcz, brązowy kuferek.

W chwili gdy przybysz wyszedł za gospodarzem do wiatrołapu, otwarły się drzwi jadalni.

– Masz gościa, mój Jerzu? – zadudnił niski głos Jerzowej.

Weszła do holu zawinięta w wełnianą kraciatą chustę, w której zwykle wyruszała na wieś. Obok niej ukazała się Helena. Przez szczeliny w swojej kryjówce Jan zauważył, że obcy wrócił do holu.

– Kogo ja widzę? – zawołał radosnym tonem. – Pani tutaj?

Jan spojrzał w stronę Jerzowej i Heleny. Oddałby wiele, żeby widzieć ich twarze, ale stały tyłem do jasnego prostokąta wejścia do jadalni. Przeniósł wzrok na dziwnego gościa.

– Niechże bratowa zabierze stąd Laurę – ostrym tonem polecił Jerzy.

Zaskoczony Morawski ponownie popatrzył na kobiety. Na prawo od Heleny zobaczył Ewelinę, która zapewne nadeszła ze swego pokoju położonego w dobudówce. Ponieważ stała na tle ściany, jej twarz była wyraźnie widoczna. Malował się na niej całkowity szok. Tak musiała wyglądać żona Lota zamieniona w słupek soli.

Jan wyszedł zza barykady, zdecydowany ustalić, na kogo patrzy nieznajomy, ale ten odwrócił się już do Jerzego.

– Co do pańskiego majątku, proszę sobie nie zadawać trudu – oznajmił gość. – Nie zgodzę się na dalszą zwłokę. Mam klienta i skorzystam z jego oferty. Umowa to umowa.

– Ale przecież pan wie, że ja wszystko zapłacę. Potrzebuję tylko...

– Wykluczone. Nie zamierzam na to tracić ani dnia dłużej. Tym

bardziej że właśnie otwarły się przede mną znacznie ciekawsze perspektywy.

– Moglibyśmy jeszcze porozmawiać...

– Nie mamy o czym – uciął krótko mężczyzna. – I nie mamy czasu.

Teraz ruszam na spotkanie, a kiedy je skończę, będzie zbyt późno na rozmowy. Będę w tej okolicy dopiero około północy – dodał lekko podniesionym głosem, zwracając się w kierunku holu.

Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi wejściowych i Jan wrócił do salonu, by przez okno obejrzeć podejrzanego jegomościa.

Wysoki mężczyzna szedł z brzuchem podanym do przodu, jakby dokuczała mu wątroba. Ubrany był elegancko, choć dziwaczne połączenie białych włosów i czarnego zarostu odbierało mu wszelką dystynkcję. Włożył melonik, wstawił kuferek do powozu i odwrócił się, by popatrzeć na dwór. Uniósł do ust płaską butelkę, napił się i skrzywił boleśnie. Morawski zobaczył jego grube rysy i obwisłą skórę policzków. Nieznajomy wsiadł do powozu, zastukał dłonią w drzwiczki i pojazd ruszył.

Jan wrócił do ciemnego holu, ale nie było tam nikogo. Zniknęli, jakby ta wizyta zupełnie ich nie obeszła.

ROZDZIAŁ 2

Jan zjawił się na kolacji punktualnie o siódmej, choć w Jeziorach godziny posiłków były czysto umowne i nikt nie zwracał uwagi na taki drobiazg jak piętnastominutowe opóźnienie.

W jadalni siedział zachmurzony Jerzy, ale na widok swego młodego gościa rozpogodził się i zawołał:

– Czekam na ciebie i czekam. Chodźmy uruchomić windę.

Żwawym truchtem ruszył w stronę przylegającego do jadalni kredensu. W tym niewielkim pomieszczeniu, wygodnie połączonym schodami ze zlokalizowaną w piwnicy kuchnią, zainstalowano windę, jeden z niezliczonych wynalazków Jerzego. Ponieważ Jan przy pierwszych oględzinach okazał autentyczny entuzjazm, teraz przed każdym posiłkiem zapraszany był do wzięcia udziału w celebrze wciągania na górę rozklekotanej klatki o drucianych ściankach.

Z piwnicy nadszedł Mateusz i oznajmił, że kolacja jest gotowa, a wtedy Jerzy pobiegł wąskimi schodami na dół, rzucając na odchodnym:

– Ja będę ciągnął, a wy, moi drodzy, zablokujecie kabinę, gdy tu dotrze.

Chwilę później pan Jezierski wrócił z piwnicy i razem z Janem przeszedł do jadalni, gdzie gawędziły Jerzowa i Helena. Pani domu zlekceważyła tradycję przebierania się do kolacji i tylko zdjęła czarny jedwabny fartuch, który nosiła całym dniami, natomiast Helena zmieniła ciemną bluzkę na śmietankową.

Zasiedli do stołu i czekali na pozostałe panie. Wreszcie otwarły się drzwi, zaszeleściła tafta, a zebranych owionął cieplarniany zapach perfum. Panowie wstali, a na krzesło naprzeciwko Jana opadła Ewelina. Miała na sobie przesadnie strojną jasnobłękitną suknię, garnitur z szafirów i pudrową maskę.

Gdy tylko zajęła miejsce, na krześle *vis-à-vis* Heleny przycupnęła blada Laura, która w okropnej burozielonkawej sukieneczynie wyglądała na ciężko chorego Kopciuszka, zwłaszcza w porównaniu z macochą.

Wszedł Mateusz w towarzystwie niezgrabnej służącej. Niósł spory półmisek i wyraźnie prowadził jakąś akcję edukacyjną, gdyż

z namaszczeniem podchodził do kolejnych osób i podsuwał im półmisek z prawej strony, po czym znacząco spoglądał na dziewczynę, która patrzyła na te ceregiele z otwartymi ustami.

Najpierw obsłużono gości. Dostali wielkie befsztyki, gospodarze natomiast zadowolili się smażonymi kiełbaskami z cebulą rozsiewającą dookoła upojną woń. Ewelina nawet nie wzięła sztućców do rąk, za to przyjrzała się szczodrej porcji Laury.

– Utuczy ją Jerzowa jak wieprza – prychnęła.

– To dziecko cierpi na blednicę i potrzebuje odpowiedniego żywienia – oświadczyła pani domu, zawzięcie krojąc usmażoną na węgiel kiełbaskę. – Mateuszu, proszę nalać panience wina.

– Dla mnie też – odezwała się natychmiast Ewelina i ciężko opadła na oparcie krzesła. Wypiła trochę wina, odsunęła od siebie talerz z mięsem i zaczęła wodzić wzrokiem po zebranych.

Jan z apetytem jadł nieco zbyt krwisty befsztyk i z grzeczności podjął kilka prób nawiązania ze współbiesiadnikami rozmowy, ale pozostawały one bez odpowiedzi. Gdzieś zniknęły panujące dotąd swoboda i dobry humor, wszyscy siedzieli spięci i koncentrowali się na jedzeniu. Morawski zrezygnował wreszcie z wysiłków, gdyż nie zależało mu na przedłużaniu kolacji. Pragnął wziąć na spytki Jerzego i dowiedzieć się, jak naprawdę przedstawia się stan interesów Jezior, a było to możliwe dopiero po odejściu Eweliny.

Posiłek przebiegał więc w milczeniu, uważnie obserwowany przez rzędy podgolonych łbów i damy w wielkich czepcach, których pokryte warstwą tłustawej patyny portrety zdobiły ściany jadalni.

W pewnej chwili Laura, z trudem wmuszająca w siebie kolejne kęsy, wyciągnęła rękę po kieliszek i odsłoniła sporą bliznę na przedramieniu. Prawie natychmiast się zreflektowała i próbowała zakryć szpecącą szramę, ale macocha brutalnie odsunęła rękaw.

– Nie zasłaniaj tego – poleciła. – Twój stryj przecież już to widział.

Jerzy głośno odchrząknął i dłonią sięgnął do niemodnego wąskiego krawata, jakby zrobiło mu się duszno. Jego okrągłutkie policzki spurpurowiały, Ewelina natomiast za chichotała i lekko zmrużyła oczy.

Jan znał od Heleny historię poparzenia Laury wrzątkiem, gdy jako kilkuletnia dziewczynka znajdowała się pod opieką stryja. Nie dostrzegął

w tym wypadku winy Jerzego i rozdrażniło go dręczenie pocziwca. Poczł nieopanowaną ochotę przycięcia paluszków złoŃnicy.

– Twój gość – zwrócił się do Jerzego – wydał mi się znajomy. Jezierski spochmurniał.

– Nazywa się Józef Szulc – bąknął.

W jadalni rozległ się jęk i oczy wszystkich spoczęły na śmiertelnie bladej Ewelinie, która siedziała z pustym kieliszkiem w dłoni. Na jej sercu rozkwitała szkarłatna plama.

– Czy bratowa zna tego człowieka, który był tu po południu? – spytał Jerzy po chwili.

– Nie – padła krótka odpowiedź.

Kobieta siedziała z zamkniętymi oczyma, a w pokrywającej jej twarz masce zarysowały się brzydkie bruzdy biegnące w dół od kąćków ust.

– Przyjechał w interesach? – drążył Jan.

– Można tak powiedzieć – wyznał niechętnie Jezierski. –

Pożyczyłem od niego poważną kwotę i domaga się natychmiastowej spłaty. – Przełknął ślinę. – Grozi, że w przeciwnym razie zabierze mi Jeziory.

– Jeśli brat liczy, że coś mu pożyczę – uśmiechnęła się Ewelina – to może o tym zapomnieć.

Jerzy zaczął jej tłumaczyć rwącym się głosem:

– Wiem, że w żyłach bratowej nie płynie krew Jezierskich, ale... ale nie możemy stracić Jezior. Ta ziemia jest w naszym posiadaniu od XVI wieku... to stąd nasz przodek wyruszył pod Wiedeń.

– Nie dostaniecie ani grosza – oświadczyła sennie, nie otwierając oczu.

– Ale to dom rodzinny tatusia... – wyłkała Laura.

– A pieniądze, którymi tak łatwo bratowa rozporządza – wtrąciła nie bardzo dyplomatycznie Jerzowa – należą nie do niej, lecz do Laury.

Ewelina nie zareagowała na żadne z tych stwierdzeń, tylko dopiła wino. Zachowywała się tak, jakby te słowa nie były skierowane do niej.

– W takim razie proszę kupić Jeziory dla Laury – uciekł się do ostateczności Jerzy. – Zgodzę się na wszystko, byle tylko posiadłość pozostała w rękach Jezierskich.

Kobieta podniosła się jak lunatyczka i ruszyła do drzwi.

– Nie wytłumaczysz tego Niemce! – krzyknęła za nią pani domu.

Po wyjściu Eweliny zapanowała taka cisza, jakby ktoś rzucił na zebranych zaklęcie. Czar złamał Jan:

– Czy nikt nie ma na nią wpływu?

– To ona dysponuje pieniędzmi Laury do jej dwudziestych piątych urodzin lub do dnia ślubu – wyjaśnił cicho Jerzy. – Mój brat ustanowił wprawdzie radę opiekuńczą, ale to trzech mężczyzn, których interesuje tylko zyskowne zarządzanie majątkiem, a nie względy rodzinne. No i we wszystkim ulegają Ewelinie.

– Gdyby nie ona, nasze kłopoty udałoby się... – zaczęła Jerzowa, ale urwała, widząc spojrzenie Laury. – Jedz, dziecko.

Jan zabębnił palcami w stół.

– A gdybyś zwrócił się do Banku Ziemskiego? – podsunął Jezierskiemu. – Ich specjalnością jest przecież pomoc polskim majątkom.

– Nie pożyczą mi – stwierdził Jerzy. – Majątek jest zadłużony po wieniec komina. Zresztą już mi kiedyś pożyczili... to chyba było na budowę cegielni albo gorzelnii... nie, na wymurowanie tej nowej stodoły. Właśnie żeby spłacić dług w Banku Ziemskim, musiałem pożyczyć od tego szubrawca Szulca. A potem musiałem od niego pożyczyć jeszcze więcej, żeby spłacić innych wierzycieli, od których pożycyłem, żeby postawić nowy budynek ochronki.

– A kim jest ten Szulc? – przerwał skołowany tą litanią Jan.

– Prowadzi takie tam różne interesy. – Szerokim ruchem ręki Jezierski podkreślił swą mętłą odpowiedź. – Polacy się na niego krzywią, bo ma konszachty z Niemcami, ale on dysponuje zawsze potężną gotówką, więc nikt nie chce mu się narazić. To taka ostatnia deska ratunku, gdy już nie masz do kogo się zwrócić.

Morawski ponownie zagłębił się w myślach. Próbował przeliczyć, jaką sumą mógłby wesprzeć Jezierskich, choć miał świadomość, że roztargniony właściciel przeinwestowanego majątku jest niebezpiecznym partnerem w interesach. Wszystko zależało od tego, jaką kwotę Jerzy pożyczył od tego podejrzanego indywiduum.

– Gdyby nie ten pożar – zapewnił Jerzy żonę – nie stracilibyśmy

zbiorów i na pewno mógłbym zacząć spłacać ten dług. I chyba rzeczywiście nie powinienem był tyle budować – zwrócił się dla odmiany do córki – ale każdy nowy pomysł wydaje mi się taki wspaniały i zawsze jestem pewien, że inwestycja się zwróci.

– Bo twoje pomysły są wspaniałe – odrzekła Jerzowa. – Ja też nie rozumiem, dlaczego się nie udają. Przecież chcesz dobrze – mówiła oburzona – wszystko, co wymyślasz, jest pożyteczne, więc powinno się udawać.

– I nie oskarżaj się, tato, o ten pożar – włączyła się Helena. – Ja też jestem dumna z twoich pomysłów.

Jerzy uśmiechnął się do swych kobiet z wdzięcznością, ale ta sielska scena nie trwała długo. Skoro ustalono, że Jezierski jest niewinny, należało zwrócić się przeciwko komuś innemu.

– Jak myślisz, Janie – ruszyła do ataku Jerzowa – kiedy znajdziesz skarb dziadka? Zdążysz do jutra?

– Ależ, droga Jerzyno – skarcił małżonkę Jerzy – ta twoja bezpośredniość...

Mimo tego upomnienia on też na równi z trzema paniami wpatrywał się w Morawskiego.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odchrząknął przyparty do muru Jan, gdy już odzyskał oddech. – Niczego nie mogę zagwarantować. Nawet tego, że w ogóle odnajdę to, co dziadek zostawił Helenie – przyznał wreszcie.

– W ciągu tych trzech minionych dni zajrzałem w każdy kąt i podniosłem każdy kamień. Zaczyna mi brakować pomysłów, gdzie jeszcze mógłbym szukać. Przeanalizowałem też przedmioty znalezione w skarbczyku dziadka, ale nie mam pojęcia, który jest tropem do znalezienia skarbu. Tym bardziej że nie wiemy nawet, co jest tym skarbem.

W trakcie tej przemowy Jerzy zachował swój dobroduszny wyraz twarzy, ale czerwień jego okrągłych policzków intensywniała, a na czoło wystąpił mu pot.

– Ale przecież ten skarb musi gdzieś być – naciskała Jerzowa. – Byłam pewna, że znajdziesz go natychmiast po przyjeździe.

Przesłuchiwanie Jana zostało tymczasowo wstrzymane, gdyż

Mateusz zjawił się z deserem dla Laury, gęstym, ciągliwym kogłem-mogłem.

Gdy kamerdyner odszedł od stołu, Jerzy odezwał się tak zdecydowanym tonem, że wszyscy drgnęli.

– Decyzja może być tylko jedna. Skoro nie mamy przyrzeczonego posagu, a lada dzień możemy zostać bez dachu nad głową, trzeba zwrócić Andrzejowi słowo.

Jan wstał i zamierzał wyjść, gdyż temat zaręczyn Heleny dotyczył wyłącznie Jezierskich, ale Jerzy go zatrzymał, powołując się na ich odległe pokrewieństwo. Gość ponownie usiadł, a pan domu wpatrywał się w siedzącą po jego prawicy córkę. Ona jednak zawzięcie milczała.

– Nie ma takiej potrzeby – odezwała się Jerzowa. – Jeśli rzeczywiście stracimy Jeziory, w co nie chce mi się wierzyć, weźmiemy w dzierżawę coś maleńkiego w okolicy. A Helena i tak przecież zamieszka z Andrzejem w pałacu jego ojca.

– Napiszę do Andrzeja list i odeślę mu pierścionek – oznajmiła cicho narzeczona.

Jej decyzja, a przede wszystkim niezrozumiały spokój zaskoczyły Jana, ale nie próbował odgadnąć przyczyn tej obojętności, gdyż nie poznał jeszcze pana młodego. Z twarzy dziewczyny niczego nie mógł wywnioskować, ponieważ z uporem wpatrywała się w stół.

Jerzy położył swą zniszczoną dłoń na rękę córki i czule ją pogłaskał, Jerzowa jednak nie składała bronii.

– Uważam, że nie mamy obowiązku informować Andrzeja o braku posagu.

– Skoro nie wywiążemy się z ustaleń zaręczynowych – tłumaczył Jerzy – należy zostawić narzeczonemu furtkę, by mógł się wycofać.

– Furtkę możesz mu zostawić. – Jego żona machnęła ręką. – On kocha Helenę, więc weźmie ją nawet bez posagu.

Tym zdołała wyrwać Helenę z bezruchu.

– Nie pójdę za niego w samej koszuli – oświadczyła z mocą, wpatrując się w matkę. – Miałabym być na łasce jego ojca? Nigdy.

– Moja córka nie będzie traktowana jak żebraczka – stanowczo poparł dziewczynę Jerzy. Przez chwilę sapał, po czym dodał: – To małżeństwo od początku było złym pomysłem. Nierówność majątkowa

jest zbyt duża.

– Napiszę do Andrzeja list i odeślę mu pierścionek – powtórzyła narzeczona.

Pani domu siedziała w ponurym milczeniu i coraz mocniej zaciskała wargi. Wreszcie wymyśliła rozwiązanie:

– A może sprzedamy kałkan?

Jan szybko spojrzał na Jerzego, pragnąc się przekonać, jak na ten świętokradczy pomysł zareaguje strażnik tradycji Jezierskich.

– W najlepszym razie to tylko trzy tysiące marek – odpowiedział tamten wyjątkowo rzeczowo. – Polak zapłaciłby nie więcej jak tysiąc, ale ten antykwariusz jest maniakiem pamiątek po odsieczy Wiednia. – Jezierski pokręcił głową. – Nie mógłbym jednak sprzedać naszego rodzinnego skarbu nikomu, a już zwłaszcza Niemcowi. Kałkan zapewnia Jezierskim ochronę i nie zginiemy, dopóki pozostanie w naszym posiadaniu.

– Napiszę do Andrzeja list i odeślę mu pierścionek – powtórzyła narzeczona po raz trzeci.

Zanim Jerzowa zdążyła zaprotestować, do jadalni weszła służąca i oznajmiła:

– Tamta chce, coby panienka Laura zara przyszła.

Laura zerwała się jak trzaśnięta biczem, otarła usta serwetką, szepnęła: „Dobranoc”, dygnęła i wybiegła, nie spojrzawszy na nikogo.

Pozostała czwórka jeszcze chwilę siedziała przy stole – kręcili się na krzesłach, splatali dłonie, chrząpali, wygładzali obrus, jakby nie umieli się rozstać po tym sporze.

Wreszcie sygnał dała pani domu i wszyscy z ulgą się podnieśli. W holu czekała na nich Laura.

– Macocha kazała mi iść na noc do Helenki – oznajmiła, patrząc na nich rozświetlonym wzrokiem.

Jan wiedział, że dziewczyna błagała o ten przywilej każdego wieczoru, lecz dotąd Ewelina stale odmawiała i Laura musiała sypiać ze swą opiekunką w jednym z dwóch dobudowanych pokoi na parterze. Nikt nie skomentował tej nagłej decyzji i obie panny ruszyły na piętro.

– Idę teraz do gabinetu – oznajmił Jerzy i dodał swą cowieczorną formułkę – a potem do kaplicy.

Jerzowa odeszła, a wtedy pojawiła się okazja, na którą czekał Jan.

– Czy mógłbyś mi zdradzić, jaką sumę jesteś winien temu człowiekowi? – spytał Jezierskiego, szacując w myślach ten dług na pięćdziesiąt, może sto tysięcy marek.

– Prawie pół miliona.

Jan cicho zaklął.

ROZDZIAŁ 3

Zegar w holu na parterze zabimbał jedenaście razy, roczniak w sypialni gościnnej stwierdził, że środa skończy się za kwadrans, a breguet Jana – jedyny wiarygodny czasomierz pod tym dachem – dowodził, że minęło wpół do dwunastej.

Morawski siedział przy stole, na którym rozłożył zawartość skrzyneczki seniora Jezierskiego, i po raz setny analizował tę eklektyczną zbieraninę. Poza kilkoma wiekowymi, pościeranymi monetami, destruktami właściwie, starszy pan za swe skarby uważał wyłącznie szpargały. Jan brał do rąk kolejno stare listy w kopertach z angielskimi znaczkami, referat zatytułowany *Arkana hodowli perel słodkowodnych*, mapę posiadłości z kulfoniastym podpisem „Jaś Morawski, sierpień 1880”, plany rozbudowy dworu i szczegółowe rzuty piwnic, projekty łazienki i domków lęgowych, kwity sprzed dwudziestu lat, potwierdzające likwidację depozytu w Banku Ziemijskim, pismo od niejakiego *Herr* Byttnera, pragnącego kupić kałkan, oraz ofertę towarzystwa ubezpieczeniowego zachwalającą polisy osobiste i ubezpieczenia majątku. Przez chwilę odnosił wrażenie, że czegoś brakuje, ale jego wzrok spoczął na starym zeszycie i na nim Jan skoncentrował uwagę. Był to kajet z rebusami, które dziadek Jezierski wymyślał specjalnie dla Jasia. Morawski otworzył zeszyt, wyjął ze środka zakładkę – zaproszenie na uroczyste chrzciny Heleny Jezierskiej, w których osobiście uczestniczył – i przyjrzał się umieszczonemu na tej stronie rebusowi. Jako jedyny pozostał on nierozwiązany, ale choć Jan wysiłał pamięć, nie zdołał przypomnieć sobie, czy ta łamigłówka widniała w tym miejscu podczas jego poprzedniego pobytu w Jeziorach, czy też została dopisana później i miała stanowić dla niego wskazówkę.

Coś skrzyknęło i Jan podniósł wzrok. Znajdował się w położonym na mansardzie pokoju gościnnym, mrocznym i przesyconym bukietem aromatów stęchlizny, naftaliny i przedwiecznego kurzu. Na umeblowanie składały się tylko najpotrzebniejsze sprzęty: szafa, stół, dwa krzesła i dwa łóżka, z których jedno zajmował Mateusz. Wprawdzie na piętrze były jeszcze cztery inne pokoje, ale w jednym urzędowały obecnie szwaczki, w kolejnym mieszkała Helena, a w pozostałych

dwóch planowano zainstalować gości weselnych z rodziny.

Pan kamerdyner spoczywał w pozie i stroju sułtana – turecki szlafrok i bordowy fez ze złotym chwostem – palił fajkę i oddawał się lekturze. Godzinę wcześniej próbował udowodnić swą najnowszą tezę, jakoby sekret skarbu tkwił nie w zawartości pudełka, lecz w samej kasetce, dziwnie wąskiej, długiej i wysokiej, szybko jednak porzucił wkłuwanie drutu między drewniane ścianki i zajął się książką.

– Co czytasz? – rzucił Jan od niechcenia.

– *Między ustami a brzegiem pucharu.*

Morawski dopiero po chwili skojarzył tytuł. A przynajmniej tak mu się wydawało.

– To o Wandzie, co Niemca nie chciała?

– Nie, to o Jadwidze, co Niemca chciała.

Mateusz podniósł głowę i kilkoma machnięciami ręki rozwiązał spowijający go tytoniowy obłok.

– Znowu pan to rozwiązuje?

– Nie rozwiązałem tego wczoraj – sprostował Jan. – To nie takie proste, bo każde hasło ma co najmniej dwa rozwiązania, a zwykle więcej. Najpierw więc musisz odgadnąć pojedyncze znaczenia, a potem trzeba z tych słów wybrać te pasujące i z ich pierwszych liter ułożyć ostateczne rozwiązanie. – Elegancki kamerdyner podniósł się i podszedł do stołu, przy którym siedział jego pracodawca w rozchełstanej koszuli. – Hasła należą zawsze do jednej kategorii i w tym przypadku chodzi o postaci literackie.

Odwrócił kajet z rebusem w stronę przyjaciela i tłumaczył:

– Zobacz:

„Kurier carski” to Michał Strogow, zatem pierwsza litera rozwiązania to M lub S.

„Jedno z legendarnych celtyckich kochanków” to Tristan lub Izolda, druga litera to T lub I.

„Wędrowcy po białym piekle” to Anelli lub Ellenai, więc na trzecim miejscu będzie A lub E.

„Soplica” może oznaczać Tadeusza, Jacka lub Sędziego, czwarta litera to T lub J, lub S.

„Ukochana faraona” to Kama lub Sara, na piątym miejscu mamy

więc K lub S.

A „Hetman wojsk zaporoskich”...

– To Bohdan Chmielnicki – obwieścił z triumfem Mateusz.

– Albo Bohdan Zenobi Chmielnicki herbu Abdank – zgasił go Morawski. – W każdym razie jedyne słowo, jakie udało mi się dotąd sklecić, to „siatka”. Zakładając, oczywiście, że poprawnie odgadłem pojedyncze hasła.

– Może ten rebus wcale się nie liczy?

– Może. – Jan wzruszył ramionami. – Mogliśmy go wtedy po prostu ominąć.

Mateusz sięgnął po pierwszą z brzegu kartkę i przez chwilę czytał.

– Co to za kałkan, którego sprzedaż zaproponowała pani Jerzowa?

– To taka niewielka tarcza turecka – wyjaśnił Morawski – zdobyta przez praszczura Jezierskich pod Wiedniem. Istnieją egzemplarze bojowe, ale ten akurat jest paradny, a przez to szalenie ozdobny. Pamiętam, że na pozłacanym umbo wyryte są kontury Złotego Rogu, a nity zasłonięto szlachetnymi kamieniami.

– Widział go pan kiedyś? – Kamerdynerowi zaświeciły się oczy.

– Widziałem – zaśmiał się Jan. – Nawet więcej. Stoczyłem o niego zacięty bój. – Odepchnął się od stołu, zsunął na skraj siedzenia i wyprostował nogi. – Tamtego lata przyjechałem tu na jeden dzień z moim dziadkiem, kuzynem starszego Jezierskiego, ale tak mi się spodobało, że zostałem całe cztery tygodnie. Cudowne wakacje – rozmarzył się. – Nigdy przedtem nie miałem tylu kolegów, bo w każdym sąsiednim dworze był chłopak w moim wieku. A co do kałkana, to podczas odtwarzania bitwy wiedeńskiej wykorzystaliśmy go jako główne trofeum, skarb sułtana. Tak zaciekle o niego walczyliśmy, że Stasiu Turno przez przypadek zranił mnie szablą ojca. – Zachichotał. – Jerzy zemdłał, ale Jerzowa, wtedy świeżo po kursie felczerskim, bez mrugnięcia okiem zaszyła ranę.

Mateusz podnosił jedną po drugiej rozłożone kartki, aż wreszcie zawyrokował:

– Moim zdaniem ten skarb nie istnieje.

– Istnieje, bo podobno dziadek Jezierski zawsze powtarzał, że Helenka będzie miała piękny posag. Zresztą nie chodzi już tylko

o posag. Stawka jest znacznie wyższa. Sam słyszałeś, że majątek jest zagrożony, o ile nie stracony. – Jan wyprostował się i spojrzał poważnie na przyjaciela. – Jeśli nie znajdziemy tego, co ukrył senior Jezierski, Jerzowie stracą posiadłość, co jest największą hańbą dla Polaka, a Helena straci narzeczonego i szanse na zamążpójście, co jest największą hańbą dla panny.

– A dowiedział się pan, jaka jest wysokość tego długu?

– Lepiej usiądź – poradził Jan, a gdy Mateusz posłusznie zajął miejsce, wyjął: – Pół miliona marek.

– Co?! – Mateusz opuścił fajkę tak gwałtownie, że na gołe koślawe deski posypał się popiół. – Przecież cała posiadłość jest tyle warta!

– Szacuję ją na sześćset tysięcy.

W domu panowała idealna cisza, umilkł już nawet monotony stukot maszyny do szycia, który od rana do nocy dochodził z zaimprovizowanej szwalni. Ogień w piecu powoli przygasał i w pokoju robiło się chłodno, tym chłodniej że wiał południowo-zachodni wiatr i przez nieszczelne okna wciskał się do sypialni gościnnej, wtlaczając ze sobą wilgoć. Jan upił łyk malinówki z kieliszka.

– Co on zrobił z tymi pieniędzmi? – deliberował Mateusz.

– Słyszałeś: gorzelnia, cegielnia, ochronka, winda, łazienka i dziesiątki innych wynalazków.

– W życiu nie widziałem tylu pomysłów realizowanych jednocześnie. Czy ktoś nie mógłby przykrócić mu cugli z tymi inwestycjami?

– Kto na przykład? – chciał wiedzieć Jan.

– Panna Helena ma na niego wielki wpływ.

– Słyszałeś, że obie panie akceptują jego poczynania.

– Taka ślepa akceptacja jest zabójcza.

– Taka ślepa akceptacja to podobno miłość idealna.

Jan nagle posmutniał i opuścił wzrok. Zapatrzył się w szkarłatną malinówkę, lecz po chwili zmarszczył czoło. Właśnie. Malinówka! Jeszcze tego popołudnia w skrzyneczce seniora Jezierskiego znajdował się *Bezcenny przepis na malinówkę* – swego czasu starszy pan założył plantację malin, lecz cała zarosła – teraz jednak przepis zniknął. Może gdzieś się zawieruszył?

– Widziałeś, żeby ktoś tu dziś wieczorem wchodził? – spytał Mateusza, wertując kartki i sprawdzając, czy jakieś się nie skleiły.

Zanim kamerdyner zdążył wyciągnąć z ust fajkę, nocną ciszę rozdarł strzał. Po chwilowym paraliżu Jan zerwał się z krzesła, namacał pod łóżkiem buty, wsunął w nie nogi i wypadł z pokoju. Zbiegł na parter tak szybko, jak tylko pozwalały mu luźne trzewiki i panująca ciemność. Przez przeszklenie w drzwiach zajrzał do wiatrołapu. Spokój. Poruszając się po omacku i omijając chwiejne konstrukcje z mebli, wszedł do zdemolowanego salonu. Cisza i pył. Wycofując się, na wysokiej serwantce zauważył szablę. Sięgnął po nią i tak uzbrojony ruszył dalej. Otworzył drzwi do jadalni i zbliżył się do stołu. Przystanął, uważnie nasłuchując, bo siódmym zmysłem wyczuł czyjąś obecność. Odruchowo oparł się o blat i trafił dłonią na igłę wbity w tkaninę umocowaną na tamborku.

– Do stu tysięcy...

Z krwawiącym palcem w ustach i szablą pod pachą wrócił do holu. Nacisnął klamkę drzwi do gabinetu. Drzwi ustąpiły i Morawski zajrzał do środka. Na biurku stała zapalona lampa, ale świeciła tylko duchom, bo żywych istot tam nie było. Parter wydawał się wymarły i Janowi przyszło na myśl, że ten strzał rozbrzmiał chyba tylko w jego głowie.

Zamknął drzwi i ruszył jak najciszej w stronę dobudowanych pokoi. Zatrzymał się na końcu korytarza. Najpierw zapukał do drzwi sypialni Jerzów, ulokowanej po prawej stronie. Nic. Nacisnął klamkę. Drzwi nie drgnęły. Odwrócił się w lewo i zastukał do pokoju Eweliny. Cisza. Przyklęknął, by zawiązać buty, i poczuł lodowaty podmuch płynący spod drzwi. Raptownie się podniósł i w tym momencie dołączył do niego Jerzy w codziennym ubraniu.

– Co się stało? – spytał Jezierski, ze zdumieniem patrząc na niekompletnie ubranego, za to kompletnie uzbrojonego gościa.

– Słyszałem strzał – oznajmił Jan i ponownie zapukał do pokoju Eweliny, tym razem mocno. – Drzwi są zamknięte, ale czuć przeciąg – dodał. – Pani Ewelino!

Jerzy zbliżył się do drzwi. Jan ustąpił mu miejsca, a cofając się, wpadł na Helenę, która zjawiała się również w dziennym stroju.

– Niech bratowa otworzy! – zaapelował Jerzy do dziurki od klucza.

– Musimy wyważyć drzwi – zdecydował Morawski.

Powierzył Helenie szablę, cofnął się, ustawił bokiem i z całej siły uderzył barkiem w skrzydło. Drewno jęknęło. Ponownie się cofnął, obok niego stanął Jerzy, lecz zanim naparli na drzwi, brzęknął obracany w zamku klucz. Jan natychmiast nacisnął klamkę i wszedł do środka. W twarz uderzył go powiew zimnego wiatru.

Okno naprzeciwko wejścia było otwarte na oścież, a na konsolce obok stała zapalona lampa, oświetlając fragment szkarłatnej ściany. Otoczony ciemnością zakątek zdawał się tonąć we krwi. Morawski ruszył w tamtym kierunku i wtedy na podłodze pod oknem dostrzegł coś podłużnego. Postąpił jeszcze krok i za plecami usłyszał łkanie. Odwrócił się. Na krześle przy drzwiach siedziała trupio blada Ewelina, przygryzała zaciśniętą dłoń i wydawała z siebie jakieś zwierzęce kwilenia. Jan podszedł do nieruchomego kształtu i przyklęknął. Twarzą do podłogi, nogami do okna leżał przed nim potężny mężczyzna w ciemnym ubraniu. Morawski wsunął dłoń za kołnierz jego płaszcza, lecz nie wyczuł pulsu. Sięgnął po lampę, a gdy ją przybliżył, dostrzegł na plecach leżącego wystrzępienie materiału. Przytknął tam dłoń, a gdy ją uniósł, na palcach zobaczył krew.

Usłyszał głośny szloch Eweliny, postawił lampę na podłodze, tuż obok melonika, i pochylił się. Obiema dłońmi złapał bark mężczyzny, dźwignął go i zajrzał ofierze w twarz.

– To ten Szulc – oznajmił.

– Ten, który groził, że przejmie Jeziory? – spytała Jerzowa.

Zaskoczony Jan uniósł głowę. Nie usłyszał, kiedy przyszła. Stała między córką a mężem, podobnie jak oni całkowicie ubrana, jakby pięć minut temu wstała od stołu w jadalni.

W tym momencie wpadł Mateusz z lampą.

– Na piętrze panuje spokój – wydyszał. – Panienska Laura śpi. Co się stało?

– Ewelina zastrzeliła tego Szulca – odpowiedział ktoś.

ROZDZIAŁ 4

Ciszę, która nastąpiła po tym oświadczeniu, rozdarło łkanie Eweliny szybko przechodzące w spazmy. Jerzowa położyła jej dłoń na karku, ale tamta wrzasnęła jak ukłuta.

– Uspokój się! – Pani Jezierska złapała histeryczkę za ramię.

Jan nie miał czasu na akcję ratunkową czy tłumaczenia.

– Zatrzymaj wszystkich w korytarzu – polecił Mateuszowi, zabierając mu lampę. – Niech nikt więcej tam nie wchodzi. Idę na zewnątrz.

– A ona? – zawołał kamerdyner. – Ma tam zostać?

– Tak. Ale pilnuj, żeby niczego nie ruszała.

– Weź mój surdut! – Jerzy ruszył za Morawskim i w biegu zdejmował okrycie.

Jan odstawił lampę na stół w jadalni, z trudem wcisnął się w przykrótki surdut, otworzył przeszklone drzwi i wyszedł wprost na najwyższy stopień schodów. Zbiegł w dół i ruszył w prawo, w stronę dobudówki. Chciał przyjrzeć się otoczeniu okna, gdyż przez nie najprawdopodobniej padł strzał. Podszedł bliżej i zatrzymał się kilka metrów od porośniętej bluszczem ściany. Uniósł lampę i wydobył z ciemności krótką drabinę, ledwie sięgającą do otwartego okna. Ogród położony był znacznie niżej niż frontowy podjazd, toteż okna pokoi w tylnym trakcie znajdowały się na wysokości dwóch metrów od gruntu. Jan przesunął rękę w lewo i oświetlił niewielką żeliwną ławeczkę stojącą pod drugim, zamkniętym, oknem.

Jerzy rozpoczął jesienią jakieś prace przy balustradzie tarasu ulokowanego na dachu dobudówki i pracownicy zniszczyli tutaj darń. Pod wpływem kilkudniowej siąpiawicy ziemia rozmokła i u podnóża drabiny Morawski zobaczył ślady butów odcisnięte w błocie niczym herb w laku. Podszedł na skraj murawy, przykucnął i przyglądał się pozostawionym odciskom. Na tyle, na ile pozwalał półmrok, rozróżnił dwa typy śladów: jeden zdecydowanie męski – długi i szeroki – drugi krótszy, raczej duży damski, w ostateczności należący do mężczyzny o drobnych stopach.

Potem uniósł głowę i zobaczył czarny przedmiot leżący metr przed

ławeczką. Wstał i po rachitycznej jesiennej trawie ruszył w tamtym kierunku. Zatoczył szeroki łuk i dotarł na przeciwny skraj błotniska. Pochylił się i podniósł czarny przedmiot. Pistolet. Przybliżył go do lampy. Na uchwycie najnowszego modelu parabellum zobaczył wygrawerowane inicjały „EJ”. Obejrzał ławkę i znalazł na niej błoto. Cofnął się i jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę. Wyglądało na to, że Ewelina po zastrzeleniu Szulca wróciła do pokoju przez ławkę i drugie okno.

Bo to musiała być ona. Zamordowany leżał w jej pokoju, ona tam była, a pistolet nosił jej inicjały. Poza tym Jan wciąż miał przed oczyma jej szok na widok Szulca, wciąż miał w uszach zaskoczenie przybysza, a potem jego rozradowanie i lepkie od ukrytych znaczeń słowa.

Wszystko wydawało się jasne. Tak jasne, że w głowie Jana zakołatała myśl: jeśli coś jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, to najprawdopodobniej jest nieprawdziwe.

Zadrżał. Powiał ten sam wiatr, który przedtem wpraszał się do sypialni na piętrze. Morawski postawił wysoko szorstki kołnierz surduta i ruszył w stronę schodów prowadzących do jadalni.

Zatrzymał się w przeszklonych drzwiach i po raz pierwszy zastanowił się, gdzie, na Boga, przepadł stróż, ów posępny stary Roch, który w towarzystwie wiernego psa całymi nocami człapał wokół dworu i podwórza, śpiewając *Kto się w opiekę*. Oto było pytanie do Jezierskiego.

W domu Jan odkrył, że wbrew jego poleceniu Ewelinę jednak usunięto ze sceny zbrodni. Siedziała na korytarzu i czwórka detektywów próbowała zmusić ją do przyznania się do winy. Atakowana kobieta dygotała, szczekała zębami, a z jej ust wydobywał się ledwo zrozumiały bełkot: „Nie wiem. Nic nie wiem”. Od bieli jej twarzy odcinały się sine wargi, wilgotne rude kosmyki oblepiały czoło, a żyły na dłoniach tak nabrzmiały, że przypominały opite pijawki.

Jan chciał jak najszybciej obejrzeć pokój, wyminął więc grupę śledczą i wszedł do środka. Naraz za plecami usłyszał:

– Wypij to.

Odwrócił się i zobaczył, że Jerzowa przytknęła Ewelinie do warg kieliszek i wlewała w nią jakiś ciemny płyn.

– Nie! – krzyknął. – Co to jest?

– Syrop na uspokojenie – warknęła pani domu. – A myślałeś, że co? Trucizna?

Jan nic nie odpowiedział. Zakłopotany spojrzął na pozostałych. Znowu uderzyło go, że Jezierscy zjawili się ubrani, jakby dokądś wychodzili. Mając świeżo przed oczyma odciski w błocie, opuścił wzrok na podłogę i obejrzał obuwie swych gospodarzy. Wszyscy mieli na sobie wyjściowe buty, ale żadne nie były ubłocone. Bez słowa wrócił do pokoju.

Ofiara leżała metr od otwartego okna, wydawało się zatem oczywiste, że strzelano z zewnątrz. Na dywanie dookoła stóp Szulca ciągnęły się placki błota, pobrudzone były też jego trzewiki. Jan podszedł do drugiego okna, tego zamkniętego. Zgodnie z podstawową teorią, tamtędy wróciła Ewelina. Ku swemu zdumieniu Morawski odkrył jednak, że okno było uszczelnione paskami papieru i zabezpieczenie tkwiło nienaruszone. Nikt zatem nie otwierał tego okna od chwili, gdy dwa dni wcześniej, na wyraźną prośbę Eweliny, ocieplono je na zimę. Morderczyni mogła wrócić po drabinie, oczywiście, ale po co rzucałaby przedtem pistolet pod tamto okno? I po co brudziłaby błotem ławkę?

No i sprawa najważniejsza: odciski butów. Te większe należały do Szulca, mniejsze do mordercy. Jan podszedł do Eweliny i przyklęknął. Ujął w dłoń jej maleńką stopę, okrytą aksamitnym pantofelkiem, białym, czystym i suchym. Jeśli zaczęła się na zewnątrz, musiała mieć na sobie inne buty – większe, a przede wszystkim zabłocone – które potem zdjęła. Co się z nimi stało? Schowała je? Podniósł na nią wzrok. Miała przymknięte oczy i raz za razem oblizywała wargi, a do tego zsuwała się z krzesła i Jerzowa musiała trzymać ją za ramię, żeby nie spadła.

Morawski wstał, położył dłoń na schowanym w kieszeni spodni pistolecie i pokręcił głową. Cóż za spartaczona mistyfikacja! Morderca zapomniał lub nie wiedział, że drugie okno zostało zapieczętowane, a poza tym w swym pragnieniu pogrążenia Eweliny trochę przedobrzył z tą znakowaną bronią.

– Gdzie znajduje się najbliższy posterunek policji? – zapytał.

– Chyba nie zamierzasz tu sprowadzać Prusaków? – wykrztusił

Jerzy.

– To wykluczone – dodała zaczerwieniona Jerzowa.

– A jak to sobie wyobrażacie? – zirytował się Jan. – Że pochowamy go ukradkiem? Zaszycemy w worek i wrzucimy do jeziora? Zakopimy w lesie? A może podrzucimy do czyjejs biblioteki?

Stali w progu i z wyrzutem wpatrywali się w nieruchomą postać Szulca.

– Policja w Jeziorach – jęknął Jerzy.

– Jak wyprawimy wesele? – zawtórowała mu żona.

– Przecież wesele jest odwołane! – włączyła się Helena.

– Ale po co je odwoływać – zwróciła się ku niej matka – skoro ten człowiek już nam nie...

Przytknęła dłoń do ust, a przez jej twarz przebiegł ogień. Jan popatrzył na nią zimnym wzrokiem.

– Gdzie znajduje się najbliższy posterunek policji? – powtórzył.

– Należymy do *Polizeidistrikt* Sady, ale komisarz urzęduje w Tarnowie – odparł cicho Jerzy.

– Z samego rana Mateusz tam pojedzie – zarządził Morawski, patrząc na kamerdynera.

Nagle Ewelina wydała bolesny jęk i głowa opadła jej do tyłu, głucho tłukąc w ścianę.

– Trzeba położyć ją spać – stwierdził Jan. – Może w jednym z pokoi na piętrze?

– Najlepiej w tym przy tarasie – oznajmiła Jerzowa. – Spała tam, zanim uparła się, by zamieszkać na parterze w dobudówce.

Jan podłożył Ewelinie dłoń pod kark, wyprostował jej głowę, a drugą ręką delikatnie poklepał ją po białym policzku. Kobieta zatrzepotała powiekami i spojrzała dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Jerzowa podniosła ją i pociągnęła w stronę holu, ale Ewelina zatoczyła się i w ostatniej chwili przed upadkiem uchronił ją Mateusz. Wziął półprzytomną kobietę na ręce i zaproponował, że ją zaniesie. Jan skinął głową i dał mu znak, by zamknął drzwi na klucz. Kamerdyner odszedł, a za nim podążyła pani domu.

Morawski spojrzał na Jerzego:

– Czy to ty zwolniłeś dziś w nocy stróża z obowiązków?

– Nie – wydukał tamten, osłupiały. – Nie, na litość boską! Nie

widziałeś go?

– Może coś mu się stało? – zaniepokoiła się Helena i złapała ojca za rękę. – Musimy...

– Spokojnie – uciszył ich Jan i polecił Jezierskiemu: – Rozejrzyj się za nim, ale nie zapuszczaj się na tył domu, zwłaszcza za dobudówkę, jasne? Jeśli go znajdziesz, postarajcie się zorganizować ze trzy beczki lub duże skrzynie. Ułóżcie je przy wyjściu kuchennym. Ale pamiętaj – powtórzył z naciskiem – nikomu nie wolno postawić nogi pod oknami tego pokoju.

Zdjął surdut i oddał go właścicielowi z krzywym uśmiechem podziękowania. W tym momencie nadszedł Mateusz, a gdy Morawski wtajemniczył go w misję Jerzego, kamerdyner natychmiast zaproponował swą pomoc. Podał jeszcze Janowi przyniesiony z góry sweter i odszedł z Jezierskim.

Wtedy Morawski zwrócił się do Heleny:

– Wiem, że pewnie chciałabyś się położyć, ale mam kilka pytań.

– Czy to będzie przesłuchanie?

– Nie, kuzynko – zachnął się. – Nie mam do tego ani uprawnień, ani inklinacji. – Korciło go, by dodać coś uszczypliwego, lecz się pohamował. – Muszę ustalić, co tu się stało – powiedział znużonym tonem – ale bez waszej pomocy niewiele zdziałam.

– Przepraszam cię. – Przymknęła oczy. – Pytaj.

– Powiedz mi po prostu, jak spędziłaś ostatnią godzinę i kogo widziałas.

– Od kolacji byłam u siebie – odparła. – Zeszłam tylko na chwilę, około wpół do dziewiątej, by dać stajennemu list dla Andrzeja. – Przygryzła wargę i odwróciła wzrok. – Trochę czytałam, a potem, już po zgaszeniu światła, siedziałam przy oknie i rozmyślałam.

– Byłaś sama?

– Nie, oczywiście, że nie. Cały czas jest u mnie Laura. Najpierw przeglądała jeden z dzienników dziadka, trochę pogawędziłyśmy, a potem zaczęła przysypiać. To ze względu na nią zgasiałam światło.

– Twoje okno jako jedyne wychodzi na polanę za domem, prawda?
– Skinęła głową. – Widziałas kogoś na zewnątrz?

– Jakies pół godziny przed tym zamieszaniem widziałam, jak

ojciec wracał z kaplicy do domu. Coś zachrobotło na ścieżce i wyjrzałam przez okno.

– I nikogo nie widziałaś przy dobudówce?

– Żeby kogokolwiek tam zobaczyć, musiałabym wystawić głowę przez okno. A ja po prostu siedziałam w fotelu.

– Rozumiem – przytaknął. – A gdzie byłaś, gdy usłyszałaś strzał?

– Właśnie tam. Zerwałam się i chwilę nasłuchiwałam, a potem zeszłam na dół. Przystanąłam na podeście, bo usłyszałam, że ktoś przeklina. Ale wkrótce potem zobaczyłam, że z gabinetu wychodzi ojciec. Poszłam za nim i dołączyłam do was. Resztę znasz.

– Dziękuję ci, Heleno. – Ujął jej dłoń i pocałował. – Idź spać.

Grzecznie posłuchała, Jan zaś wszedł ponownie do pokoju, w którym popełniono zbrodnię, i objaśnił lampę. Wszystkie ściany rozświetliły się szkarłatem. Zatrzasnął okno, a wtedy ktoś stanął w progu i odchrząknął.

– Zasnęła – oznajmiła Jerzowa na pytające spojrzenie Jana. – Zamknęłam drzwi na klucz, tak jak poleciłeś Mateuszowi. Zajrzałam też do Laury. Na szczęście śpi spokojnie. W jej stanie zdrowia sen jest niezbędny.

Skinął głową. Każde z nich, jakby kierowane jakimiś atawistycznymi siłami, przemieściło się i stanęli naprzeciwko siebie niczym bokserzy na ringu.

– Chciałbym jak najszybciej znaleźć mordercę – zaczął Jan polubownie – i dlatego muszę ci zadać...

– Przesłuchiwałaś Helenę? – warknęła, a jej gęste brwi nastroszyły się wojowniczo.

– Nie – odparł zgodnie z prawdą.

Opuściła ramiona i spytała zupełnie innym tonem:

– Co chcesz wiedzieć?

– Przede wszystkim, gdzie byłaś wieczorem, zwłaszcza między jedenastą a dwunastą, i czy widziałaś kogoś obcego. – Jan dodał to ostatnie słowo, by ukołysać do snu jej podejrzliwość. Udało mu się, bo kobieta głośno wypuściła powietrze i zaczęła opowiadać:

– Cały wieczór byłam w sypialni. Haftowałam monogramy na serwetkach wyprawnych Heleny. Kwadrans przed północą poszłam na

górze do dziewcząt, by sprawdzić, jak się czuje Laura. Wieczorem znowu bolała ją żołądek. Spała, a Helena czytała. Poszeptałyśmy, a wtedy rozległ się strzał. Najpierw wyrzwałyśmy przez okno, potem usłyszałyśmy ciebie i po chwili namysłu poszłyśmy na dół. Helena pobięła szybciej, ja tuż za nią.

Morawski grzecznie potakiwał, jakby nie dostrzegł żadnej niezgodności w zeznaniach pani Jezierskiej i jej córki.

– Od razu doszłaś do wniosku, że to Ewelina jest winna – zablefował, choć nie był pewien, czy to ona wydała ten wyrok: „Ewelina zabiła Szulca”. – Dlaczego?

– To chyba oczywiste – wzruszyła ramionami. – Była tam sama, to jej pokój...

– I to wszystko? – Pozwolił jej milczeć przez kilkanaście sekund, po czym nacisnął ponownie: – Dlaczego od razu uznałaś, że Ewelina go zabiła?

– Jeśli kobieta dopuszcza się takich występków jak ona, prędzej czy później poleje się krew – wyrzuciła z siebie. W korytarzu rozległo się człapanie i Jerzowa zakończyła temat: – Zresztą zapytaj jego. Ta sprawa dotyczy jego brata i to on powinien ci o wszystkim opowiedzieć.

Zdezorientowany Morawski zamrugał kilka razy, bo jeszcze nie przyzwyczał się, że u Jerzowej „on” to jest zawsze Jerzy, tak jak u Jerzego „ona” to tylko Jerzowa.

W progu pojawił się on, a wtedy ona bez słowa odwróciła się i odeszła. Jan odprowadził ją wzrokiem do drzwi sypialni Jerzów.

– Znaleźliśmy Rocha – wydyszał podekscytowany Jezierski. – Obchodził podwórze. Przyznał, że odszedł od dworu, ale nie na długo. Zapomniał przyprowadzić psa, który w ciągu dnia strzeże domku zakaźnego za lecznicą. Poszedł po niego i nie było go tylko pół godziny – podkreślił.

– Co za zbieg okoliczności – mruknął Morawski pod nosem i ruszył do drzwi, chwytając po drodze lampę. – Gdzie jest? – spytał truchtającego za nim Jerzego.

– Przynieśliśmy dwie skrzynie, tam gdzie chciałeś, a teraz Roch z Mateuszem toczą beczkę.

Jan wyszedł głównym wyjściem. Czuło się nadchodzący

przymrozek, co doskonale odpowiadało jego celom. Mróz utrwali ślady, należało tylko je zabezpieczyć.

Ruszyli w lewo, przeszli wzdłuż frontu dworu i dobudówki, a potem ponownie skręcili w lewo, gdzie teren lekko opadał. Minęli schody prowadzące do kuchennych drzwi w suterenie, minęli też tę koszmarną szubienicę, na której wieszano upolowaną zwierzynę, i dotarli do tylnego narożnika, tuż przy zaplombowanym oknie Eweliny. Czekali tam już Mateusz i Roch, ponury, mrukliwy starzec o głębokich oczodołach, w których ginęły oczy. Jan spytał go o powód nieobecności, ale stróż prychnął tylko:

– Wszystko już powiedziałem dziedzicowi i on mi uwierzył. Prawda, dziedzicu?

– Oczywiście, że tak, mój drogi – zapewnił z głębi serca Jerzy. Z ciemności, spomiędzy parkowych drzew, dobiegło groźne warczenie.

– Cicho, Oskar – warknął jeszcze groźniej stróż i pies umilkł.

Morawski postanowił zająć się tajemniczym Rochem później, najchętniej wtedy, gdy w pobliżu nie będzie Oskara. Czwórka mężczyzn podeszła bliżej błotniska.

– Ale glajda! – mruknął Jerzy, po czym wskazał drabinkę: – Zwykle stoi oparta o szubienicę, tam za węglem.

Jan kazał zdjąć pokrywę z beczki i wieka ze skrzyń, odwrócić pojemniki do góry dnami, następnie wraz z Mateuszem podniósł jedną skrzynię i ostrożnie stąpając po twardniejącym błocie, nałożyli taki kłosz na skupisko najwyraźniejszych śladów. Potem Jerzy i Roch nałożyli drugą skrzynię na inne miejsce wskazane przez Jana. Beczka okazała się zbędna.

Ustalono, że do rana Roch będzie patrolował teren wokół dworu, pilnując zwłaszcza, by nikt nie zbliżał się do błotniska. Potem Jan, Mateusz i Jerzy wrócili do domu. Mateusz ruszył do spiżarni w piwnicy, żeby zdobyć coś rozgrzewającego, a pozostali panowie poszli do szkarłatnego pokoju.

– Czy możesz mi powiedzieć, jak spędziłeś wieczór? – Jan przeszedł od razu do rzeczy. Było bardzo późno, a on zamierzał jeszcze przyjrzeć się Szulcowi i przeszukać pokój.

– Oczywiście, mój drogi, oczywiście – zgodził się ochoczo Jezierski. – Najpierw byłem w gabinecie, a potem, około dziesiątej, poszedłem do sypialni i tam już zostałem.

Jan wydał usta.

– Odniosłem wrażenie – zaczął łagodnym głosem – że nadszedłeś korytarzem.

Jezierski przez moment przypominał okrągłooką sówkę.

– Tak, masz rację. Ależ ze mnie dystrakt! – zachichotał, ale trwożnie wpatrywał się w Jana. – Otóż poszedłem do sypialni, ale niepokój nie dawał mi spać, więc wróciłem do gabinetu. Musiałem się zdrzemnąć, bo ten wystrzał dotarł do mnie jak przez mgłę i dopiero po chwili się ocknąłem.

Jezierski obdarzył rozmówcę rozbrajającym uśmiechem i spuścił wzrok.

Morawski przemilczał fakt, że gabinet był w tym czasie pusty. Zastanawiały go też te zakluczone drzwi do sypialni, ale przyszło mu do głowy, że może w konsekwencji wieczornego sporu Jerzowa zamknęła się przed małżonkiem i tu leżała przyczyna zakłopotania Jerzego. Jeśli jednak dostał nakaz eksmisji z sypialni, gdzie był w chwili morderstwa?

Gdy Jan tak rozmyślał, Jezierski doznał przebłysku pamięci.

– No i byłem w kaplicy.

Morawski skinął głową. A więc Helena powiedziała prawdę.

– Tuż przed północą? – spytał.

– Ależ skąd. Po kolacji, około dziewiątej.

A więc Helena powiedziała nieprawdę. Biedny Morawski pomasaował swędzące powieki. Już przewidywał, ilu strapiień przysporzy mu ta naganna, choć zrozumiała wzajemna lojalność Jezierskich.

Zniechęcony pomyślał, że może więcej prawdy znajdzie w plotkach niż w tych „faktach”, wskazał więc Jerzemu jedną z berżer przy stoliku, sam usiadł na drugiej i spytał:

– Dlaczego wszyscy jesteście pewni, że to Ewelina zabiła Szulca?

– Jezierski nerwowo poprawił się w fotelu, a Jan dokręcił śrubę: – Co o niej wiecie? Pamiętam, że byliście niechętni jej ślubowi z twoim bratem, ale sądziłem, że chodziło o jej niskie pochodzenie.

– To byśmy przeboleli. – Jezierski machnął ręką. – Nawet i to, że

ona jest chyba pół-Niemką. Ale szkopał tkwi w tym, że była już przedtem mężatką i nie ma pewności, czy ten jej pierwszy mąż umarł, czy się z nią rozwiódł.

– A czy jest pewność, że w ogóle umarł lub się z nią rozwiódł? – podsunął Morawski. – Czy jest pewność, że jej ślub z twoim bratem był legalny?

– Nie, szczerze mówiąc, nie mamy tej pewności. Próbowaliśmy to sprawdzić, ale bez skutku. Pisałem do Karlsbadu...

– Tam się poznali?

– Tak, Wojtek pojechał tam dla poratowania zdrowia. Kilka lat temu. Ewelina była tam z kimś na kuracji, chyba z młodszą siostrą. Od razu zagięła parol na Wojtka. Jak może wiesz, mój brat posiadał ogromny majątek pozostawiony mu przez żonę, a także tytuł hrabiego, wyrobiony dla niego jeszcze przez teścia. Był więc łakomym kąskiem. Tak go omotała, że postanowił natychmiast się ożenić. Gdzie wzięli ślub, tego nie wiem, bo stamtąd ruszyli w podróż do Włoch, do Laury.

– Laura już wtedy była we Włoszech?

– Tak, wyjechała jeszcze z matką, jakieś osiem czy dziewięć lat temu. Spędziły razem kilka ostatnich miesięcy życia Klary, a po jej śmierci Laura tam została. Lekarze uznali, że też jest zagrożona gruźlicą i polskie zimy by ją dobiły.

Jan pomyślał o słusznych pretensjach Jerzowej do Eweliny, która przywlokła do Polski ten wychuchany cieplarniany kwiatusek w najbardziej zgniły czas.

– Jak układało się ich małżeństwo? – pytał dalej.

– Jak po grudzie. Ona tu się nudziła jak na wielkopostnym kazaniu i ciągle uciekała do Poznania albo do Berlina. Jakoś tak po roku zaproponowała, że zamieszka z Laurą, i odtąd kursowała, rzekomo między Południem a Polską. Tylko że my co rusz spotykaliśmy kogoś, kto widział ją w jakimś Paryżu, Nicei, San Remo czy gdzie tam jeszcze.

Jerzy siedział sztywno wyprostowany, dłonie ułożone miał na szeroko rozstawionych kolanach i sapał niczym miech kowalski. Jan rozsądnie milczał, bo wiedział, że zwierzenia popłyną dalej. Po wystrzale korka oszalały szampan ucieka z butelki i trudno go w pierwszej chwili zatrzymać.

– I ciągle żądała pieniędzy. Więcej, więcej i więcej. Wszystko to podobno na leczenie i wygody Laury, ale ile może kosztować pobyt takiej panienci na południu Włoch? No ile? – sierznił się Jeziński. – Widziałeś te jej sieroce szatki? A klejnoty Eweliny?... W każdym razie wszystko to zachwiało budżetem Wojtka, więc wypruwał sobie żyły, by dostarczyć jej gotówki.

Jerzy otarł czoło wielką kraciatą chustą, którą zabrał chyba z szafy na obrusy.

– Próbował być szczęśliwy – ciągnął. – Powtarzał wszystkim, że ona wydaje pieniądze na Laurę, że poświęca się dla jego dziecka, ale widzieliśmy, że ta szarpanina podkopyje jego siły. A przecież nigdy nie był moczem.

Morawski ledwie pamiętał młodszego brata Jerzego. Był podobno niezwykle przystojny, do tego wykształcony, ale tamtego lata cały czas poświęcał swej narzeczonej Klarze, krociowej pannie i dziedzicze odległego o piętnaście mil Czerska, więc dziesięcioletniemu Janowi wydawał się królem nudziarzy.

– Na co zmarł?

– Na nieżyt żołądka. Już przedtem kilkakrotnie miał ataki, ale mijały. Pewnego wieczoru, akurat podczas pobytu Eweliny, źle się poczuł i w nocy zmarł. Za przyczynę śmierci lekarz uznał właśnie nieżyt żołądka.

– Nie przeprowadzono sekcji?

– Nie, a ja się nie domagałem, żeby mnie nie oskarżono o zawiść – oznajmił krótko Jeziński, a jego policzki spurpurowiały. – Widzisz, przez wszystkie te lata ja byłem ustanowiony opiekunem Laury na wypadek śmierci brata. I nagle, jakieś dwa miesiące przed tym ostatnim atakiem, też podczas pobytu Eweliny w Czersku, Wojtek zmienił testament. Główną spadkobierczynią pozostała Laura, ale mianował radę opiekuńczą całkowicie oddaną Ewelinie.

Morawski pokiwał głową. Wniosek rzeczywiście nasuwał się jeden: najpierw macocha doprowadziła do mianowania jej regentką, a potem usunęła króla i podporządkowała sobie słabą infantkę.

Jaki był jednak związek Szulca z przeszłością Eweliny? Jeśli to do niej się zwrócił po południu w holu, to musiał ją dawniej znać. Wiedział

o niej coś, co zagrażało jej pozycji. Może faktycznie jej pierwsze małżeństwo nie zostało rozwiązane, a zatem nie miała prawa do przywilejów pani Jezierskiej?

– Szulc coś o niej wiedział i wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zawaha się tej wiedzy wykorzystać – myślał półgłosem Jan. – Planował szantaż i to miał na myśli, mówiąc o otwierających się korzystnych perspektywach.

– Szantaż? – zdziwił się Jerzy. – A ja sądziłem, że to on był tym pierwszym mężem.

ROZDZIAŁ 5

Jan podziękował Jerzemu i został sam.

Wiedział, że Ewelina niespodziewanie pojawiła się w Wielkopolsce kilka dni przed jego przyjazdem i zamiast zamieszkać w olbrzymim, komfortowym pałacu w Czersku, wprosiła się do starego dworu i odtąd bezustannie dręczyła domowników swymi fochami i docinkami. Był przekonany, że usłyszała od kogoś o poszukiwaniach skarbu i postanowiła sama nim się zaopiekować, a jako pretekst do pobytu w Jeziorach wykorzystwała Laurę i jej tęsknotę za stryjostwem. I coś musiała na miejscu odkryć, skoro zażądała, by przeniesiono ją do dobudowanego pokoju, w którym przez ostatnie lata życia, aż do śmierci w 1899 roku, mieszkał senior Jezierski.

Morawski rozejrzał się dookoła i jego wzrok padł na kominek. Nie wyglądał na często używany: ceglana czeluść była tylko nieznacznie osmalona, a pozioma belka piaskowcowego obramowania nie nosiła śladów sadzy. Ponadto w kącie stał duży, biały piec, więc kominek był chyba zbędny. Morawski podszedł do paleniska i zaczął przesuwając dłońmi po ceglach i spoiwach między nimi, potem obmacał wolutę prawego wspornika, następnie lewego, a wreszcie obu naraz, przyszło mu bowiem do głowy, że może trzeba nacisnąć jakieś dwa punkty jednocześnie. W chwili gdy z szeroko rozłożonymi ramionami stał przed kominkiem, otwarły się drzwi.

– Medytuje pan? – zainteresował się grzecznie Mateusz, wchodząc do pokoju z tacą w ręku.

– Nie, szykuję się do lotu przez komin – odparł równie uprzejmie Morawski. – Szukam skrytki.

Jakby dla potwierdzenia tych słów, nadal trzymając obie dłonie na wolutach, kopnął w dolną, poziomą belkę. Usłyszał wyraźny szcęk zamka i poczuł pod nogą drgnięcie. Spojrzał na metalową płytę dla bezpieczeństwa ułożoną przed paleniskiem. Zszedł z niej i jeszcze raz kopnął belkę. Rozległ się ten sam trzask i płyta lekko odskoczyła ponad poziom podłogi. Kamerdyner zbliżył się i z kieszeni wydobył szylkretowy przyrząd, kryjący w sobie korkociąg, miniaturowe nożyczki, trzy rozkładane nożyki różnego kształtu, pilnik i haczyk nieznanego

przeznaczenia. Podał to cudo Janowi, który rozłożył najkrótszy nożyk, wsunął ostrze między płytę a deskę podłogową i odsłonił głęboki otwór.

– Pusto! – jęknął Mateusz. – Ktoś ukradł skarb!

– Wątpię, by tu go przechowywano – stwierdził Jan. – Spójrz, otwór jest wąski i głęboki. Ma ten sam kształt co skrzyneczka ze szpargałami seniora. Pewnie tu ją ukrywał.

Dla pewności przesunął dłonią po ściankach skrytki, ale niczego nie znalazł. Ułożył z powrotem płytę i oparł się o nią obiema rękami. Zamek ponownie szczęknął.

Mateusz zajął się przyniesioną tacą. Na wysokim kubku do czekolady ułożył sitko i z dzbanka wlewał parujący ciemny płyn.

– Barszcz? – zdziwił się Jan, podchodząc. – Liczyłem na kawę.

– Nie o pierwszej w nocy. Na szczęście zupa została z obiadu i wystarczyło ją podgrzać na maszynie spirytusowej.

– A po co to sitko?

– Do łapania majeranku.

Siorbiąc, dmuchając i parząc sobie usta, Morawski zrelacjonował trzy rozbieżne wersje Jezierskich, a potem powtórzył opowieść Jerzego o przeszłości Eweliny, starając się wyznaczyć granicę między faktami a pogłoskami, między wiedzą a emocjami.

– Jak to możliwe – dziwił się Mateusz – że nic z tego wcześniej do pana nie dotarło?

– Zasada tajemnicy poliszynela. To sekret, który wszyscy znają. I nikt ci o nim nie mówi, bo każdy jest pewien, że już go znasz.

Jan odstawił kubek na tacę i otarł wargi. Gorący, dość ostry płyn przegonił uczucie chłodu i przywrócił mu chęć do działania. Spojrzał na potężne, nieruchome ciało i na okno.

– Jaka podejrzana jest ta nieobecność stróża – stwierdził. – Gdyby był na miejscu, intruz miałby ciężką przeprawę z Oskarem. – Odwrócił się w stronę kamerdynera: – Postaraj się rano dowiedzieć jak najwięcej o tym straszliwym Rochu.

Potem podszedł do leżącego mężczyzny i przyklęknął. Na tyle jego spodni i płaszczu dostrzegł ślady wilgotnego błota, które pokrywało również dywan pod oknem. Rana na plecach była jedna, a na czarnym płaszczu niknęło ewentualne osmalenie. Morawski kilka razy musnął

wystrzępienie tkaniny otaczające wlot kuli.

– Obejrzymy ranę? – zaproponował Mateusz.

– Lepiej nie. Moglibyśmy potem mieć problem z ubraniem go.

I problem z policją. Musi nam wystarczyć, że go odwrócimy.

Jan półgłosem policzył do trzech i na „trzy” obrócili mężczyznę na plecy. Tak jak zauważył, patrząc po południu przez okno, Szulc miał grube rysy i policzki, które teraz opadały w stronę uszu. Skóra wydawała się żółta, a dłonie brązowe od niezliczonych plam. Cechę charakterystyczną stanowiła ta dziwna, skunksowata kolorystyka owłosienia: biała fryzura i czarny zarost w stylu Franciszka Józefa.

Szulc nosił się elegancko: pod czarnym płaszczem miał granatowy tużurek, identyczną kamizelkę i także spodnie, a do tego białą koszulę. Od starannego odzienia odcinały się utaplane w błocie trzewiki, duże i rozczłapane. Jedna kieszonka płaszcza była pusta, a w drugiej Jan znalazł pierścionek w skórzanym pokrowcu z wytłoczonym napisem: „Josef Schulz”. Powąchał. Koniak. Schował ją na miejsce i sięgnął do kieszeni tużurka. W prawej znalazł portfel z banknotami o łącznej wartości dwustu osiemdziesięciu marek oraz notes w czarnej okładce i złożoną kartkę papieru. Zostawił je do przejrzania, a tymczasem oglądał to, co Mateusz znalazł w lewej kieszeni: paszport wystawiony na Josefa Schulza z Berlina, wizytówki z tym samym nazwiskiem i inne, należące do Józefa Szulca. W kieszonce kamizelki natrafili jeszcze na pozłacany zegarek z dewizką.

– To już wszystko – stwierdził Jan. – Odwróćmy go z powrotem, żeby nikt się nie zorientował, że go ruszaliśmy, i zajmijmy się tym notesem. Potem po prostu wsuniemy go do kieszeni płaszcza.

Przywrócili ciału pierwotną pozycję, a Jan wziął dokumenty i usiadł przy stole. Najpierw otworzył notes, wyjął z niego kilka wycinków z gazet, odłożył je na bok i zajął się wertowaniem kartek.

Szulc zapisał sporo stron, ale były to prawie wyłącznie kolumny cyfr lub tabele, w których tytuły rubryk oznaczono jedną, maksymalnie dwiema literami. Zdarzały się też serie dziwnych znaków. Notatki zajmowały mniej więcej połowę notesu, reszta kartek była pusta. Na ostatniej zapisanej stronie Jan przeczytał: „EJ 1894? 1895? Profesor Kolberg? Kronnberg? Kolmann?”.

Podniósł głowę i zobaczył, że Mateusz stoi na krześle przy szafie i w każdej dłoni trzyma po jednej butelce.

– Trzygwiazdkowy hennessy – obwieścił.

– Zostaw to na razie. Chciałbym, abyś coś obejrzał. – Gdy kamerdyner się zbliżył, Jan pokazał mu dziwaczne symbole. – Uczyłeś się kiedyś stenografii. Przyjrzyj się temu i oceń, czy to coś znaczy.

Mateusz usiadł przy stole i zajął się analizą szyfru, a Jan sięgnął po wycinki, które wyjął z notesu. Na wierzchu leżała polskojęzyczna reklama jakiegoś Banku Poznańskiego, pod spodem zaś pożółkły, postrzępiony fragment niemieckiej gazety. Jan mrużył oczy, by odczytać wyblakłe litery, i wreszcie odtworzył krótki tekst o złapaniu szajki zajmującej się spędzaniem płodów. Autor wzmianki zapewniał, że wszyscy winni tego procederu zostaną ukarani. Zaskoczony Morawski zmarszczył czoło i sięgnął po kolejny skrawek, który okazał się znacznie ciekawszy: było to zawiadomienie o przyjęciu sprawozdania rady opiekuńczej z zarządu dobrami panny Laury Jezierskiej, córki hrabiego Wojciecha Jezierskiego, członka Izby Panów z nominacji cesarskiej. Najwyraźniej Szulc zbierał informacje o Jerzym, aby się przekonać, czy może liczyć na spłatę długu. Jan odwrócił kartkę i przeczytał nagłówek obwieszczający jakiś skandal obyczajowy.

– Nic z tego nie rozumiem – oświadczył Mateusz.

– Trudno – odparł Jan i podsunął przyjacielowi wycinki. –

Przejrzyj to.

Sam sięgnął po schowaną osobno, dużą złożoną kartkę.

Rozprostował ją i zobaczył dwie kolumny zapisków: w lewej widniały daty, w prawej wartości. Sądząc po wpisanej sumie – prawie pół miliona – mógł to być wykaz długów Jerzego wobec Szulca.

– Myśli pan, że to ona? – spytał przejęty kamerdyner.

– Co ona?

– No to, co dał mi pan do przeczytania? O tej aferze.

Morawski wyrwał mu świstek z informacją, którą pominął, i przeczytał zawiadomienie o samobójstwie sędziego E. w Bad Nauheim. Autor sugerował, że powodem mogła być pewna rudowłosa kobieta, z którą ostatnimi czasy widywano nieszczęśnika. Jego rodzina, zasłużona i ciesząca się szacunkiem, pogrążyła się w żałobie. Kobieta wraz ze

wspólnikiem zbiegła i poszukiwano jej, aby złożyła wyjaśnienia.

Jan przeczytał to kilkakrotnie, ale nie odpowiedział na pytanie Mateusza. Zbadał uważnie skrawek, lecz nie znalazł żadnej wskazówki dotyczącej daty wydania i tytułu gazety, z której wycięto tekst. Przypuszczał jednak, że skoro zamieszczono w niej sprawozdanie rady opiekuńczej, musiało to być pismo stołeczne. Zastanowił się, który tekst tak zainteresował Szulca. Chyba ten pierwszy, o majątku Laury, bo przecież nie wiedział o pobycie rudej Eweliny w Jeziorach. A może wiedział?

Odsunął wycinek i odwrócił duży arkusz ze zobowiązaniami Jezierskich. Na drugiej stronie znalazł odpis raportu towarzystwa ubezpieczeniowego Concordia w sprawie pożaru w Jeziorach, do którego doszło we wrześniu bieżącego roku, pożaru, który strawił całe zbiory. Morawski z przerażeniem i niedowierzaniem przeczytał adnotację, że o udział w podpaleniu podejrzewano Jerzego. „Jeden z parobków twierdzi, że sam pan posiadiciel kazał całe zboże w jednym miejscu zgromadzić”, a znowuż „oficjalista naszego towarzystwa zeznał, iż pan Jezierski na wieść, że tylko budynki od ognia ubezpieczone były, wpadł w rozpacz najczarniejszą. Wyraźnie uważał pan Jezierski, że polisa budynki i złożone w nich zbiory obejmowała”. U dołu widniało polecenie: „Wejrzeć w interesa właściciela”.

Jan podał papier Mateuszowi i czekał, aż przyjaciel go przeczyta.

– Chyba pan w to nie wierzy? – Oburzony kamerdyner rzucił kartkę na stół.

– Nie bądź niemądry! – zachnął się Morawski. – Oczywiście, że nie wierzę. Zaciąganie długów i nieczytanie polisy akurat pasuje do Jerzego jak ulał, ale podkładanie ognia we własnym majątku? Co za bzdura. Jednak to fatalnie, że go o to podejrzewają. Gdy policja odkryje, jak bardzo jest zadłużony, dobiorą mu się do skóry.

Ciężko westchnął. W co ten Jerzy się wpakował? Morawski jeszcze raz nabrał głęboko powietrza. Teraz, gdy okno było od pewnego czasu zamknięte, w pokoju pojawił się jakiś egzotyczny fetorek, zagłuszający zwykły polsko-dworski zaduch, na który składały się zapachy kurzu, myszy, pleśni i setek obiadów. Jan rozejrzał się dookoła. Na stoliku nocnym zauważył trociczki. Złapał wonne pałeczki i utopił je

w resztkę barszczu.

Z odrazą spojrział na dokumenty Szulca. Schował wycinki do notesu i złożył raport towarzystwa ubezpieczeniowego.

– Kończymy z tym – oznajmił. Podeszedł do zamordowanego i wsunął pakiet do kieszeni jego płaszcza. – Później to wszystko przemyślimy. Teraz obejrzyjmy pokój i znikamy stąd.

– A czego szukamy?

– Butów. Ubłoconych.

Mateusz podeszedł do szafy, otworzył drzwi i zaprezentował kolekcję kilkunastu sukien we wszystkich odcieniach niebieskiego – od arktycznego błękitu, przez szafir i kobalt, aż do granatu.

Jan zobaczył na krześle niewielką walizeczkę z charakterystycznym pokryciem: na brązowym tle jasne romby i kwiatki, przeplecione z monogramem LV – Louis Vuitton. Położył neseser na stole i otworzył. Zdjął wierzchnią warstwę puszków i chusteczek pudrowych, odsłaniając tuzin słoiczków wypełnionych różnokolorowymi proszkami i płynami. Według etykiet były to lekarstwa na kaszel, krwawienia z nosa, nudności, migrenę, świąd, siniaki i obstrukcję. Jan sięgnął w głąb neseseru i przy jednej z beżowych ścianek wypatrzył drobinę wstążeczki. Zdołał ją chwycić i pociągnął. Uniósł fałszywe dno i odkrył skrytkę – niestety pustą.

Na blacie biurka poprzekładał cztery francuskie romanse z oślimi rogami i karty do pasjansa, utłuszczone i ponadgryzane, natomiast w szufladzie znalazł karty wizytowe Eweliny i egipskie papierosy. Nigdzie nie natrafił na listy czy osobiste dokumenty.

Wysunął szufladę komody i uniósł każdą z równo ułożonych stert bielizny. Gdy odkładał ostatnią, jedwabna koszula spłynęła na podłogę. Morawski podniósł ją, a wtedy ze środka wypadła niewielka szmatka – maleńki, biały kaftanik niemowlęcy. Położył ubranko na kolanie i przez chwilę je gładził. Z zamyślenia wyrwał go dopiero głos Mateusza:

– Widział pan rzeczy panienki Laury?

Jan podeszedł do ustawionego w kącie niskiego łóżka. Na kapie leżała ta wstrętne suchotnicza sukienka, a ruchomości milionowej dziewcziczki spoczywały w jednej walizeczce wsuniętej pod łóżko. Jan przerzucił te ubożuchne szmatki, ale zaczął zgrzytać zębami, więc

Mateusz wyrwał mu kuferek i wepchnął na poprzednie miejsce.

Przez kolejny kwadrans zajrzeli do każdej szafki i szuflady, zbadali deski podłogowe, kotary i materac. Wreszcie Morawski rozejrzał się dookoła i stwierdził:

– Myślę, że to wszystko. Nie znaleźliśmy tego, czego szukaliśmy, czyli butów, i nie znaleźliśmy tego, co spodziewałem się znaleźć, czyli strzykawki.

– Sądziłem, że będzie pan szukał pistoletu.

– Pistolet już mam – rozpromienił się Jan i wyciągnął broń z kieszeni.

– Ale gdzie...? Parabellum? Przecież to zupełna nowość!

Morawski opowiedział mu, gdzie znalazł pistolet.

– „EJ” – przeczytał kamerdyner. – To chyba przesądza sprawę.

– To miało przesądzać sprawę – skorygował Jan i pokazał przyjacielowi zaplombowane okno. – Podsumujmy. Co wskazuje na winę Eweliny? To jej pokój. Była tu i otworzyła okno. Przedtem zaszokował ją przyjazd Szulca. Ponadto jej przeszłość jest niejasna. Zgadza się? – Mateusz pokiwał głową. – A co dowodzi jej niewinności? Uszczelnienie drugiego okna jest nietknięte, a sam wiesz, że do jego założenia potrzeba dwóch osób i trochę czasu. Mogłaby wrócić do pokoju po drabinie, ale najpierw musiałyby przebiec po błocie. Jej pantofelki są czyste, a brudnych butów nie znaleźliśmy. Poza tym trudno mi uwierzyć, że tak roztrzęsiona kobieta byłaby w stanie przeprowadzić taką akcję.

– Ale skoro to nie ona, to co on ma z tym wspólnego? – Mateusz wskazał na Szulca. – Bo przecież przyjechał tu w środku nocy specjalnie dla niej.

– Wiemy, że Szulc dokądś po południu jechał. Po drodze wpadł do Jezior, by przekazać swą decyzję w sprawie spłaty pożyczki i być może dowiedzieć się o skarb.

– Wychodząc, zobaczył panią Ewelinę – wtrącił kamerdyner.

– Niekoniecznie, mógł też zobaczyć Helenę lub Jerzową.

O którąkolwiek z nich chodzi, postanowił ją zaszantażować i zapowiedział swój powrót. A gdy zjawił się o północy, zobaczył światło i otwarte okno, wszedł po drabinie do środka i ktoś go zastrzelił.

– Ale dlaczego pani Ewelina go wpuściła? – upierał się Mateusz.

– Dowiemy się jutro, jeśli ona sama to wie. Na razie narzucają się dwa wnioski – mówił wolno Jan. – Po pierwsze, choć zebrane dowody i przeszłość Eweliny wskazują na jej winę, chyba nie mogła popełnić tego przestępstwa. A po drugie, ktoś tak to zainscenizował, by oskarżono właśnie ją.

– Więc szukamy kogoś, kto mógłby pragnąć zabić Szulca i jednocześnie pozbyć się pani Eweliny?

Popatrzyli na siebie. Obaj rozumieli, że do tej charakterystyki idealnie pasuje każde z trójki Jezierskich.

– Jak ma na imię pani Jerzowa? – odezwał się Mateusz.

Zaskoczony Jan drgnął. Dobrze pytanie. Jak ma na imię Jerzowa?

– Nie wiem – przyznał po chwili. – Gdy ją poznałem, od roku była żoną Jerzego i wszyscy mówili na nią: Jerzowa.

Próbował wymyślić jakieś imię, ale każde w zestawieniu z nią wydawało się absurdalne.

– Chodźmy – mruknął. – A te butelki, które znalazłeś na szafie, dołącz do zbiorów Jerzego.

Schował pistolet pod ciało ofiary, zgasił lampę, przełożył klucz na zewnątrz i obaj wyszli. Kamerdyner odstawił zdobyczny alkohol do kredensu, a potem szli zafrasowani w milczeniu. Gdy byli na schodach, Jan uderzył pięścią w poręcz balustrady i zawrócił. Wszedł do sypialni Eweliny i po omacku zbliżył się do Szulca. Przyklęknął, wyciągnął z kieszeni jego płaszcza raport towarzystwa ubezpieczeniowego w sprawie pożaru i wykaz długów Jerzego. Następnie wyszedł i cicho zamknął drzwi.

Myśl, że Jerzy mógłby zostać oskarżony o podpalenie swych ukochanych Jezior, wydawała się nie do zniesienia. Jan nie miał zamiaru podsuwać policji motywu zamordowania Szulca.

W pokoju na piętrze wyciągnął z szafy swój neseser, z niego wydobył etui z browningiem i pod broń wsunął niebezpieczny wykaz. Gdy kładł się do łóżka, breguet pokazywał za kwadrans drugą.

Przez chwilę przewracał się z boku na plecy i z pleców na bok, a gdy wreszcie poczuł ogarniającą go lekkość, zupełnie jakby unosił się na wodzie, nagła myśl przywróciła go do przytomności.

Przecież Prus napisał *Faraona* kilka lat temu. A zatem rebus dziadka nie pochodził sprzed dwudziestu lat, mógł więc stanowić wiadomość w sprawie skarbu. Jan uśmiechnął się triumfalnie i odpłynął w sen, próbując przypomnieć sobie, czy przypadkiem także *Ogniem i mieczem* nie zostało napisane już po jego wielkopolskich wakacjach.

ROZDZIAŁ 6

Jan obudził się cudownie wyspany. Przy wszystkich jezierskich niedostatkach łóżka we dworze były podstępnie wygodne. Przeciągnął się rzetelnie i nagle znieruchomiał. Wróciło wspomnienie nocnych wydarzeń i Morawski sięgnął po zegarek. Wpół do ósmej. Rzut oka na łóżko pod oknem upewnił go, że Mateusz nie zasnął i zapewne wyruszył na posterunek policji. Jan opadł z powrotem na poduszkę, ale wyczuł czyjąś obecność. Usiadł i zobaczył drobną postać skuloną przy piecu.

– Baltazar?

Zagadnięty wyprostował się. Przed Janem stał kilkunastoletni chłopak, chudy i przygarbiony, o dziwnych, agrestowych oczach i króciutkich włosach, porastających głowę kępkami. Pomiedzy nimi skóra była zaczerwieniona i pomarszczona, a kilka takich brzydkich plam kapnęło także na twarz.

– Mateusz wyjechał? – spytał Morawski.

Tamten krzywo skinął głową i przykucnął. Do jego obowiązków należała przede wszystkim opieka nad piecami, czyli całodzienny rytuał przynoszenia i układania drewna, a także poranne wybieranie popiołu i rozpalanie. Coś tam pogrzebał, zamknął piec i zabrał kosz oraz węglarkę. Położył je przy drzwiach i wysunął się z pokoju. Zaskoczony Jan spojrzął za nim i wtedy zauważył leżącą na szczapach w koszu książkę. Na papierze, w który była owinięta, widniał napis: *Ballady i romanse*. Chłopak wrócił z wyczyszczonymi trzewikami, postawił je przy łóżku, zabrał swoje rzeczy i zniknął.

Gdy Morawski został sam, umył się, ubrał i pobiegł na dół. Planował zjeść szybkie śniadanie i jeszcze przed przyjazdem policji wyjść na dwór, by w świetle dziennym obejrzeć ślady na błocie i poszukać w okolicznych zaroślach brakujących butów. W swym optymizmie nie przewidział panującego we dworze rozprzężenia. Na stole w jadalni leżał tylko tamborek, na którego widok Jan poczuł klucie w palcu. Podniósł kółko i zobaczył białą lnianą serwetkę z częściowo wyhaftowaną literą H. Albo w nocy leżała tu inna robótka, albo Jerzowa kłamała w sprawie swych wieczornych zajęć. Odłożył tamborek i wąskimi schodami pobiegł do ulokowanej w piwnicy kuchni.

Trafił do olbrzymiego pomieszczenia, którego centrum stanowił murowany piec, dostępny z trzech stron. Na lewo od niego stały kredensy, na prawo stół z ławą i krzesłami, a w odległym rogu wielka beczka. Wodę do niej doprowadzała rura zakończona kurkiem, a pomysłodawca tego unowocześnienia, Jerzy, już planował zainstalowanie urządzeń wypompowujących brudną wodę z piwnicy. Tuż obok zbiornika znajdowało się wyjście do sieni i dalej, po bocznych schodach, na zewnątrz. Okna umieszczono wyłącznie na lewej ścianie, tej ogrodowej, gdzie teren był niższy niż od frontu.

Po przeciwnych stronach pieca urzędowały dwie wiedźmy, jedna w fartuchu, a druga bez, za to w chustce na głowie. Ta w fartuchu kroїła mięso, a ta w chustce ucierała ciasto w makutrze. Jan odważnie zbliżył się do nich i grzecznie zagaił:

– Dzień dobry, czy mógłbym dostać śniadanie?

– Niech se ukrychni leberki* i chlyba – rzuciła ta od ciasta.

– Co się rzońdzi w mojjj kuchni? – warknęła ta z nożem. –

Pozwolił jij kto?

– Jerzowa pozwoliła, jak mie najmowała.

– Do weselnych frykasów najmowała i niczygo inszygo. Może jaje by zjodł? – zaskoczyła Jana ta w fartuchu. Nie zdążył jednak nawet skinąć głową.

– Wara od jaj! – zachustkowana złapała w rękę kwirlejkę. –

Porachowane som.

– To moja kuchnia! – oznajmiła ta z nożem i wyciągnęła dłoń w stronę miski z jajami.

– Nie rusz, babo! – pacnęła ją ta od ciasta.

Jan poczuł przyływ paniki. Potrafił się zmierzyć z mordercą, ale kłótnie kobiet go przerażały. Z kamiennej podłogi dobiegło miauknięcie. U jego stóp siedział Leon, pan tego domu, wielkie kocisko, które wyglądało tak, jakby na zwykłego szaro pręgowanego kota ktoś nałożył biały dziurawy trykot. Leon podszedł do stołu, wskoczył na krzesło i jedną łapkę oparł o blat. Obok łapki stał koszyk z bułkami, masło w miseczce i funtowy kawałek szynki. Przesłanie było jasne: gospodarz upoważnił gościa do poczęstunku. Jan wrzucił szynkę między bułki, wziął masło i tęsknie rozejrzał się za kawą. Dzbanka nigdzie nie

zobaczył, a pytać nie chciał, gdyż konflikt o podział kompetencji wszedł w fazę gróźb.

– Tak cię urzondze, ty hekso, że cię twój stary nie pozna!

– Ja przynajmij mam starygo, ty frechkundo!

Jan zakiciał na swego zbawcę i razem czmychnęli z kuchni.

Morawski odstawił łupy na stół w jadalni i wrócił do kredensu po naczynia i sztucce. W Jeziorach stołownicy dowolnie kompletowali sobie zastawę, gdyż z każdego serwisu zostało po kilka lub kilkanaście naczyń. Już pierwszego dnia Jan z zachwytem odnalazł resztki swojego ulubionego w dzieciństwie kompletu. Prosta cylindryczna filiżanka, na której wymalowano w kwadratowej ramce scenkę batalistyczną z epoki napoleońskiej, z tłem zdobionym białymi, złotymi i granatowymi paskami. Do tego głęboka podstawka, właściwie miseczka.

Morawski wybrał też talerze dla siebie i dla Leona – w pierwszej chwili zaproponował deseń w kwiatki, ale kot nie wyglądał na zachwyconego, więc Jan wyszperał pozostałość serii ptasiej z wizerunkiem sikory bogatki. Usiadł przy stole, rozdzierał ciepłe jeszcze bułki, smarował je masłem, kroił szynkę, a potem składał to wszystko, jadł, oblizywał palce, a Leona częstował samą wędliną. Drugą bułkę jadł już wolniej, a trzecią wciskał w siebie z pewnym trudem. Potrzebował płynu, najlepiej kawy.

Jak na wezwanie do jadalni weszła służąca, wysoka dziewczyna z grubym warkoczem i czerwonymi, jakby odmrożonymi rękami. „Wokulska” – pomyślał Jan. Poprosił ją o kawę i po chwili wróciła z dzbankiem.

– Pani Jerzowa chyba zapomniała to zabrać po śniadaniu – zagadnął Morawski, wskazując leżący na stole tamborek.

– Pani Jerzowa gdzieś wybyła bez śniadania – padła odpowiedź. – Kółko zostało od wczoraj.

Jan zacmokał. Na długiej liście kłamstw Jerzowej przybyła zatem kolejna pozycja.

Po wyjściu dziewczyny łyknął ohydnej letniej żyburej, która zalatywała spalenizną i nawet nie leżała obok kawy. Ucisk w przełyku zniknął, ale na przyspieszenie i rozjaśnienie myśli Jan nie mógł liczyć, chyba że sprowadziłyby je wstrząsające doznania smakowe.

Za drzwiami prowadzącymi do holu rozległy się jakieś odgłosy i Morawski uniósł głowę. Do jadalni wpadł Jerzy.

– Dzień dobry, mój drogi! – zawołał radośnie.

Z kredensu przyniósł obtłuczoną brązową filiżankę, nalał do niej gorzkiego wywaru i siorbnął.

– Pyszna kawa – zachwycił się.

– Co z Ewelina?

– Podobno obudziła się, kazała Laurze siedzieć przy sobie i teraz przysypia. – Jerzy wypił resztę duszkiem i wstał. – Chodźmy na podwórze.

Jan był zaskoczony zachowaniem swego krewnego, który chyba zapomniał, że w tym domu kilka godzin wcześniej zastrzelono jego wierzyciela. Mimo to posłusznie wstał. Jak dotąd zawsze, kiedy wybierali się razem oglądać gospodarstwo, ktoś po drodze zaczepiał Jerzego, który porzucał swego gościa i biegł, gdzie go potrzebowano, a Jan spokojnie ruszał w swoją stronę. Liczył, że tak samo będzie i tym razem.

W gabinecie Jerzy podał Morawskiemu swoją starą kurtkę i wyszli przez boczne drzwi wprost do wiatrołapu. Było to powszechnie stosowane w wielkopolskich dworach rozwiązanie, które pozwalało panu domu na przyjmowanie interesantów bez konieczności wprowadzania ich do holu i między domowników.

Gdy znaleźli się na podjeździe, Jan odwrócił się i z przyjemnością ogarnął spojrzeniem pradawne gniazdo Jezierskich. Był to niewielki barokowy dwór, murowany i otynkowany, siedmioosiowy, z mansardowym dachem krytym dachówką. Nie miał klasycznego ganku, lecz piętrową wystawkę, w której płycinie umieszczono herb Rogala, a powyżej niego okrągłe okienko. Z prawej strony dostawiono parterowe skrzydło, lecz na lewą dobudówkę zabrakło środków i idealna symetria uległa zachwianiu. Budynek pilnie wymagał remontu, w wielu miejscach odpadł tynk, bonie okalające drzwi były wyszczerbione, a dachówki koślawe, jednak choć zaniedbany, dwór promieniował gościnnością. Jan uśmiechnął się do niego.

Dalej nie było już tak przyjemnie, gdyż trzeba było stawić czoło zachodniemu wiatrowi, który z furią roznosił po niebie potargane,

długowłose chmury. Szczęśliwie deszcz się chyba wypadał.

Panowie minęli ciągnącą się po lewej stronie dwuczęściową oficynę i szli drogą w stronę wsi. Na wprost nich, jakieś sto kroków dalej, żółciła się ochronka, a obok niej stała nieotynkowana lecznica, oczko w głowie Jerzowej. Oba te budynki Jerzy wystawił w ostatnich latach i już musiały być powiększane.

Jan rozglądał się dookoła, licząc na ratunek, ale jak na złość nikt nie nadchodził. Skręcił więc za swym gospodarzem w lewo i przez murowaną bramę weszli na podwórze, nazywane teraz starym, ponieważ Jerzy wzniósł cały nowy kompleks zabudowań.

– To jest stajnia koni wyjazdowych i cugowych – opowiadał Jezierski, gdy szli w głąb długiego dziedzińca, a zza mijanych wrót dobiegało rzenie i stukot kopyt – dalej żrebięciarnia, a tam na końcu, w tym fachwerkowym budynku, pracują kowal i stelmach. – Odwrócili się i Jerzy z dumą wskazał imponującą budowlę, która zajmowała prawie całą przeciwną pierzeję. – A to obora z porodówką. Wybudowana w zeszłym roku. Mam tam wydzielone sektory dla krów, cieląt i jałówek, osobne pomieszczenia dla konwi i separatora do mleka.

– Nie wiedziałem, że masz aż tyle krów.

– Aż tyle nie mam – przyznał tamten. – Właściwie to tylko kilka boksów jest zajętych. Widzisz, przez ostatnie dwa lata rozwijałem hodowlę bydła, postawiłem tę oborę, planowałem nawet mleczarnię, ale teraz wyczytałem, że zbliża się załamanie tej gałęzi i wygrają ci, którzy przestawią się na świnie. Dlatego ostatnio dałem sobie spokój z bydłem i budujemy wielką chlewnię. Ale to na nowym podwórzu. Chodźmy obejrzyć. Sam mi przyznasz, że to świetny pomysł.

Zawrócili w stronę bramy. Aby dojść do nowego podwórza, należało skręcić w lewo, ale Jezierski odruchowo spojrział w prawo, w stronę domu. Przed wejściem stał wóz, a obok jeździec na koniu. Zamiast iść oglądać chlewnię, ruszyli do dworu.

Morawski dostrzegł widoczne w oddali ściany szklarni. Już kilkakrotnie chciał o nie zapytać.

– A co uprawiasz w tych szklarniach? Warzywa?

– Szczerze mówiąc, już nic. Wbrew zapewnieniom ekspertów, uprawa karczochów okazała się nieopłacalna. Pomyślę, co tam posadzić

w przyszłym roku, ale teraz skoncentrowałem się na zakładaniu szparagarni. Znajomy mi wspominał, że poznańskie sklepy kupują każdą ich ilość.

Jan w życiu nie słyszał, żeby ktoś w ten sposób – co roku zmieniając profil działalności – prowadził jakiekolwiek przedsiębiorstwo, rolne czy produkcyjne. Sam nie był rolnikiem, ale pamiętał, co powiedział Zygmunt Chłapowski z Turwi, znakomity gospodarz, gdy wiosną spotkali się w Berlinie: „Duży warsztat rolny jest jak okręt płynący w określonym kierunku: nie można go zatrzymać i skierować gwałtownie w inną stronę. Wymaga to czasu, bo cykl produkcji rolnej jest długi, zwłaszcza w hodowli. Zanim doczeka się rezultatów własnej decyzji, może być za późno”. Jerzy bezustannie zmieniał kurs swego statku i teraz morze spychało go z całą rodziną wprost na skały.

Morawski spojrział na żwawo idącego obok Jezierskiego, na jego czerwone policzki, maciejówkę, gumiaki i siermiężną kurtkę, i próbował wyobrazić go sobie wyrwanego z tego otoczenia... ale ból ścisnął mu serce.

Czym prędzej przeniósł wzrok na front dworu. Na pierwszym planie widzieli zwykły wiejski wóz, natomiast jeździec i woźnica gdzieś zniknęli.

– Andrzej! – ucieszył się Jezierski, który zapomniał chyba, że postanowił zerwać zaręczyny córki. – To Andrzej Ostrowski, narzeczony Helenki. Nie masz pojęcia, Janie, jaki to porządny chłopak. Szczery i rzetelny. Niestety, przykro mówić – Jerzy ściszył głos – okropnie zacofany rolnik. Gospodarstwo prowadzi jak za Generała**. A do tego kutwa, jakich mało.

– Jest bardzo zamożny, prawda?

– Tak, Helenie trafiła się niezwykle awantażowna partia. Ale ona byłaby godna samego króla.

Doszli do stojącego przed wozem konia i Jerzy zaczął coś poprawiać przy uprzęży. Z kozła zeskoczył młody wyżeł, podbiegł do Jana i z wesołym szczekaniem zaczął się łąsić. Morawski poklepał go, a potem dostrzegł przywiązanego do relingu przy schodach przepięknego karego huntera***, podszedł do niego i pogładził po delikatnych

chrapach. Przesunął się w bok, żeby ocenić sylwetkę konia, i wtedy zauważył, że przez siodło przewieszony jest pas z nabojami i przymocowanym doń nożem. Zostawił zwierzę i odszedł kilka kroków, zamierzając po cichu oddalić się i zająć błotniskiem, ale od strony wejścia kuchennego dobiegło powitanie:

– Dzień dobry, panie Jerzy!

Zza gęstych krzewów jałowca, częściowo zasłaniających dobudówkę od strony podjazdu, wyłonił się Andrzej, istny Kmicic: potężny, rozrośnięty w barach mężczyzna, o pszenicznych włosach i szerokim uśmiechu. Strój wskazywał, że wracał z polowania, miał bowiem na sobie bryczesy i tweedową marynarkę z paskiem. Jan odruchowo spojrział na jego buty, choć wiedział, co tam zobaczy – wielkie stopy, takie jak Szulca.

– Dzień dobry! – huknął ponownie olbrzym, przy którym Morawski, choć sam wysoki, poczuł się nagle niepokojąco mały.

Przybysz czule uściskał Jerzego, a ten przedstawił sobie młodych mężczyzn. Kmicic obiema dłońmi chwycił rękę Jana, potem przyjacielsko klepnął go po plecach i zaproponował:

– Będę do ciebie mówił po imieniu, kuzynie.

Rozradowany Jerzy nagle zgasł niczym zdmuchnięta świeczka na torcie.

– Nie wiem, czy zostanie tym kuzynem – mruknął.

– Chodzi o ten list Helenki? – upewnił się Andrzej i machnął ręką.

– To przecież nic ważnego. Zwykłe panieńskie wahania. Nie ma się czym przejmować. Mnie też czasami strach oblatuje, ale czy od razu zrywam? – Przeszedł na tył wozu. – Zobaczcie lepiej te cuda.

Jan i Jerzy podeszli bliżej, a wtedy ich oczom ukazała się rzeź niewiniątek.

We wnętrzu wozu, na łożu z iglastych gałązek, spoczywało kilkadziesiąt zabitych zwierząt, równiutko ułożonych gatunkami. Od największych do najmniejszych. Zakrwawione mięciutkie futerka i martwe niewinne oczy, pióra, nozdrza i kopytka. A wszystko to jeszcze niedawno było ciepłe i żywe, latało, kicało i biegało, wszystko to cieszyło się życiem.

– Wyobraźcie sobie – ekscytował się Kmicic – że w ciągu trzech

dni polowania ustrzeliłem sto dziewięćdziesiąt sztuk. Najwięcej co prawda drobnicy: zajęcy, kaczek, bekasów, cietrzewi, ale też kilka saren, dwa daniele i dzika.

Obchodził przy tym wóz dookoła i unosił co piękniejsze sztuki, triumfalnie spoglądając na swych towarzyszy.

– Andrzej jest wspaniałym myśliwym – bąknął Jezierski.

Chłopak pokraśniał.

– Przywiozłem też świeżą krew – pochwalił się. – Przyda się na czerninę.

„Przyda się, przyda – pomyślał Jan. – Czarna polewka będzie jak znalazł”.

Naraz od strony skupiska trzciny i tataraku dobiegło głośne kwakanie. Na wąskim pasie oddzielającym dwór od jeziora znajdował się niewielki zarośnięty stawek. Andrzej sięgnął po schowaną w wozie strzelbę, gwizdnął na psa i zawołał:

– Ajaks, płosz!

Psu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Popędził w stronę bajora i zaczął buszować w szuwarach. Andrzej pobiegł za nim. Rozległo się szczekanie, krzyk spłoszonego ptaka, łopot skrzydeł, a potem strzał. Jan i Jerzy wymienili spojrzenia.

Po chwili zwycięzcy wrócili: mokry pies i chwający go pan. Przegranego niesiono za płetwy, a on kiwał głową ze zdziwienia.

– Ale mam szczęście! – roześmiał się całą gębą Andrzej.

Pies dobiegł do wozu pierwszy i energicznie się otrzepał, a tuż za nim przyszedł zadowolony myśliwy. Naraz jego dziarski uśmiech rozpięchł się, a na twarz wypłynął mu wiernopoddańczy zachwyty.

– Helenka!

Jan odwrócił się i zobaczył stojącą na podeście Helenę, wyniosłą i piękną w granatowej sukni, rudowłosą *belle Hélène*, której mina nie wróżyła niczego dobrego.

– Zobacz, co zestrzeliłem. – Narzeczony uniósł w górę bezwładnego kaczora o rudej piersi. – Właśnie w tej chwili, na waszym stawku.

– Prosiłam cię, żebyś nigdy nie pokazywał mi takich rzeczy.

– Ależ Helenko, podejdź i zobacz, jaką ci przywiozłem wspaniałą

zwierzynę – przekonywał z zapalem. – Część ustrzeliłem już trzy dni temu i przez ten czas wisiały. Są już idealnie kruchutkie. Będą jak znalazł na wesele.

– Nie dostałeś mojego listu? – spytała niebezpiecznie cicho.

– Dostałem, dostałem – przytaknął gorliwie. Podszedł do wozu, wciąż z dyndającą kaczka w rękę, i wyciągnął niewielką beczułkę. – Mam też świeżą krew. Zajęczą. Na czerninę.

– Napisałam ci jasno, że zrywam zaręczyny.

– Wystraszyłaś się po prostu. Wszystkie panny...

– Jak to: wystraszyłaś się? – zirytowała się Helena. – Widziałeś kiedyś, żebym się czegoś wystraszyła?

Andrzej dla odmiany spłoszył się jak szarak.

– Ależ, Helenko, przecież...

– Zrób coś z tym biednym ptakiem. Nie mogę z tobą rozmawiać, gdy go tak trzymasz jak worek.

Mężczyzna odszedł, by odłożyć strzelbę na wóz i dołączyć nowy łup do zgromadzonej kolekcji.

Tymczasem Ajaks ponownie się otrzepał, ale musiało mu być zimno po tym pływaniu. Dostrzegł uchylone drzwi do domu i korzystając z nieuwagi swego pana, podkradł się w tamtym kierunku. Ledwie dotarł do progu, z wiatrołapu dobiegł syk i pies wypadł, jakby go diabeł gonił. Z wnętrza wyłonił się spacerowym krokiem Leon. Przysiadł u stóp Jana i owinał się ogonem. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Po chwili Andrzej wrócił. Stał u stóp schodów i spojrzał na Helenę stojącą trzy stopnie wyżej.

– Nie mogę za ciebie wyjść – powiedziała cicho – bo najprawdopodobniej stracimy majątek.

– Przecież wiesz, że to nie ma dla mnie znaczenia.

– Nie mam posagu, który przyrzekliśmy, i nie mogę za ciebie wyjść – powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

– To znaczy, że wyszłabyś za mnie, gdybyś znalazła ten skarb? – spytał oszołomiony. A potem szepnął: – Gdybym wiedział...

Jan nadstawił ucha, ale w tym momencie dziewczyna odezwała się jasnym głosem:

– To zresztą nie wszystko. – Spojrzała na ojca. – W nocy doszło tu do morderstwa i lada chwila przyjedzie policja.

Andrzej zachwiał się i obiema dłońmi przegrabił włosy.

– Do morderstwa? Ale jak to? – Kilkakrotnie przenosił wzrok z Jerzego na Helenę i odwrotnie. – To niemożliwe. Przecież ja...

– Nie możesz wiązać się z rodziną oskarżoną o taką zbrodnię – oświadczyła. Z palca zsunęła pierścionek i podała narzeczonemu.

– Na pewno nikt was nie oskarży – przekonywał. – Przecież nawet Prusacy nie uwierzą, że ktoś z was byłby w stanie zastrzelić człowieka.

Helena trzymała przed sobą wyciągniętą dłoń. W ciszy rozległ się głos Jerzego:

– Weź pierścionek, Andrzej. Jako ojciec Heleny potwierdzam jej decyzję – dodał z niepodobną do niego stanowczością.

Na podjeździe rozległ się stukot kopyt i szelest mielonego kołami żwiru. Z przodu jechał konno Mateusz, a za nim – ku zaskoczeniu Jana, który spodziewał się policji najwcześniej koło południa – toczyła się bryczka wioząca jakiegoś mężczyznę w czerni.

Morawski ze świstem wypuścił powietrze. Nie dosyć, że nie obejrzał śladów mordercy, to jeszcze nie zdążył wziąć Andrzeja na spytki i ustalić, skąd wiedział, że Szulc zginął od strzału.

* Wyrazy z gwary poznańskiej: leberka – wątrobianka, kwirlejka – drewniany przyrząd do mieszania, hekza – wiedźma, frechkunda – ktoś bezczelny.

** Generał – generał Dezydery Chłapowski (1788–1879), żołnierz napoleoński, powstaniec, prekursor pracy organicznej, twórca modelu wielkopolskiego ziemianina, autor poradnika *O rolnictwie*.

*** Hunter – rasa konia.

ROZDZIAŁ 7

– O policji mowa, a policja tuż – mruknął Jan.

Obserwował zbliżającą się postać, próbując odgadnąć, z kim przyjdzie mu się zmierzyć. Nawet przez chwilę jednak nie planował wstępować z pruskim urzędnikiem na ścieżkę wojenną – to nie był czas na deklaracje niepodległościowe i demonstrowanie wrogości wobec zaborcy. Zamierzał odkryć styl pracy policjanta i dostosować się do niego, aby zdobyć zgodę na uczestnictwo w śledztwie i dzięki temu rozłożyć parasol ochronny nad Jerzami.

Przybrał pogodną minę, a potem spojrzął na swych towarzyszy. Spojrzął i zmartwiał. Jerzy gapił się na pasażera bryczki ze zmarszczonym czołem, Helena wysoko uniosła brodę, a Andrzej zmrużył oczy i położył dłoń na nożu myśliwskim. Powóz wjechał już na podjazd i Jan miał tylko kilka sekund na przywołanie pana domu do porządku.

– Musimy być dla niego uprzejmi – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Los Jezior zależy od niego!

Jeziński nie odpowiedział, więc Jan zmiażdżył mu ramię.

– Tak, tak, masz rację – wzdrygnął się Jerzy. – Możesz na mnie liczyć.

Mateusz skinął z oddali dłonią i taktownie podjechał pod oficynę, bryczka natomiast zatrzymała się nieco na prawo od wejścia. Wysiadł z niej mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w żałobną czerń, podszedł do komitetu powitalnego i uchylił przed Heleną kapelusza. Jego klasycznie piękną, spokojną twarz zdobiła vandyckowska broda.

– Dzień dobry państwu. – Głos miał głęboki i równie ujmujący jak powierzchowność. – Nazywam się Joachim Engel. Jestem detektywem z policji i przyjechałem w związku z popełnionym tu morderstwem.

– Detektyw z policji? – dobiegł z górnego stopnia szept Heleny.

– Niestety, nie mówię po polsku – przeprosił Niemiec, wpatrując się w olśniewającą dziewczynę.

Jan szturchnął Jerzego, który zdołał przedstawić się i wydukać zaproszenie do środka. Gdy wszyscy łącznie z Andrzejem znaleźli się w gabinecie, przybysz oparł srebrną rączkę laski o biurko i zdjął

homburg*, odsłaniając gęste ciemne włosy. Z kieszeni wyciągnął notes i od razu przeszedł do meritum.

– Jak zrozumiałem z relacji państwa kamerdynera, w nocy zastrzelono tu mężczyznę, niejakiego Josefa Schulza. Wszedł on po drabinie i przez okno do pokoju położonego w bocznym skrzydle. – Uniósł głowę, a Jerzy mruknął potakująco. – Podobno odwiedził państwa wcześniej tego dnia? – Znowu cichy pomruk. Niemiec otworzył notes. – Może zaczniemy od tego, kto był na miejscu.

– My – odparł Jezierski. – To znaczy ja, moja żona i córka Helena. – Wskazał ją, co dało detektywowi pretekst do obdarzenia dziewczyny kolejnym spojrzeniem i wykonania wdzięcznego ukłonu. Helena nie odrywała od niego wzroku, a Jerzy kontynuował: – Dalej moja bratowa, Ewelina, i jej pasierbica, córka mojego brata z pierwszego małżeństwa. – Przez chwilę w gabinecie rozlegało się tylko szuranie ołówka po kartce. – Poza tym mój młody kuzyn, obecny tu Jan Morawski. To on znalazł ciało.

Policjant skinął głową Janowi, który opowiedział, jak tuż po północy usłyszał strzał, przeszukał dom i znalazł ciało, przy którym siedziała półprzytomna Ewelina Jezierska.

– Rozumiem, że znali państwo zmarłego? – zagadnął detektyw.

– Ja znałem – przytaknął markotnie Jerzy, uciekając wzrokiem w stronę okna. – Jeśli można to nazwać znajomością. Pożyczył mi pewną sumę i domagał się spłaty.

– Czy termin uregulowania zobowiązań minął?

– Przedwczoraj.

– *Ach so!* – mruknął Engel, ale nie spytał o wysokość pożyczki.

Jan pobłogosławił w duchu swój pomysł ukrycia wykazu długów i raportu towarzystwa ubezpieczeniowego. Nadal istniała szansa, że policjanci nie wpadną na trop pożaru i nie dowiedzą się o zakwestionowaniu wypłaty odszkodowania. To dopiero byłaby woda na ich młyn!

Niemiec przepaszającym tonem zapowiedział, że będzie chciał porozmawiać z domownikami, zwłaszcza z damą, która mogła być świadkiem morderstwa, oraz, rzecz jasna, ze służbą.

– Jak pan śmie podejrzewać państwa Jezierskich? – wybuchnął

nagle Andrzej, a Morawski z trudem się pohamował, by nie wypchnąć go do holu. – Żaden przyzwoity człowiek...

– Uspokój się! – wycedziła Helena.

– A kim pan jest? – zaciekawiał się detektyw.

– Narzeczonym panny Jezierskiej – odparł w gorącej wodzie kąpany młodzieniec.

– Narzeczonym? Od kiedy?

– To chyba nie powinno pana interesować – wytknęła Niemcowi dziewczyna, strzelając w niego pałającym wzrokiem.

– Uprzejmie proszę o wybaczenie – ukłonił się policjant, a Jan podrapał się w głowę. Co się stało z legendarną pruską butą?

Niewzruszony pan Engel indagował Andrzeja: – Był pan tu tej nocy?

Młody Ostrowski przestąpił z nogi na nogę i głośno przełknął ślinę.

– Ostatnie trzy dni spędziłem na polowaniu.

– Ale czy był pan tu tej nocy?

– Ja... wróciłem dopiero wczoraj wieczorem... i miałem zamiar...

– Powiedz po prostu, że cię tu nie było – ponagliła go po polsku Helena.

– Nie było mnie tu – powtórzył jak zaczarowany, po czym dodał po niemiecku: – Nie było mnie tu.

Detektyw tylko wydał usta.

– A gdzie jest pańska żona? – zwrócił się do pana domu.

– Rano wyjechała na pocztę nadać pilne depesze – odparł Jerzy.

W ciszy, która nastąpiła, głośno rozbrzmiały trzy stuknięcia.

Morawski podszedł do okna – trzy krople spadły na szybę i rozpoczęły wyścig w stronę parapetu. Spojrzał na niebo.

– Chmury ciemnieją i zaczyna kropić – zwrócił się do policjanta. – Może chciałby pan obejrzeć drabinę, po której wszedł Szulc? Dookoła jest sporo śladów, które woda mogłaby zniszczyć.

Pan Joachim się zgodził i razem z Morawskim wyszli. Zamiast pójść dookoła dobudówki i obok schodów kuchennych, Jan skręcił w prawo, w stronę jeziora, okrążyli dwór, minęli schody prowadzące do jadalni i dotarli do stwardniałego bagienka z dwoma prostopadłościanami skrzyń.

Po drodze Polak spytał swego towarzysza, czy przyjechał

z Poznania.

– Z Saksonii – padła odpowiedź.

Przy akompaniamencie porywistego wiatru pan Engel pozwolił Janowi oprowadzić się po terenie, jakby ten był kustoszem w muzeum, i posłusznie zwracał głowę w każdym wskazanym kierunku – oto drabina, oto ławka, oto wgłębienie po pistolecie. Potem, stąpając ostrożnie po stężałym błocie, Morawski podszedł do jednej ze skrzyń i szybkim ruchem przewrócił ją na bok, odsłaniając odciski butów ofiary i – przypuszczalnie – mordercy.

– Pomysłowy sposób zabezpieczenia śladów. – Pan Joachim lekko się skłonił. – Powinien pan pomyśleć o karierze detektywa.

Jan odchrząknął zakłopotany, a potem z rozbawieniem spojrzął na tego wymuskanego mężczyznę przypominającego urzędnika z ministerstwa i zastanowił się, jak zamierza on pokonać odległość dwóch metrów dzielących murawę od odcisków. Niemiec tymczasem przyniósł sobie pokrywę skrzyni, która stała oparta o porośnięty bluszczem mur, klapnął nią na środek błota i spokojnie dotarł do celu. Owinął się szczelnie płaszczem, by go nie pobrudzić, przykucnął i dłonią w czarnej rękawiczce dotykał krawędzi zagłębień.

– Ten większy jest bezwzględnie męski – zawyrokował.

– Najprawdopodobniej należy do Szulca.

– Łatwo to sprawdzimy. Prawy but ma obcas z krzywo wbitym gwoździem. Proszę spojrzeć: w kilku miejscach widać odcisk wystającej częściowo główki. – Przesunął się kawałek na swojej tratwie i mrucał dalej: – Drugi raczej damski. Przynajmniej jeśli chodzi o długość, bo dziwny jest ten brak czubka, nie sądzi pan?

Jan pokiwał głową. Wczoraj w ciemności nie zauważył tego, ale teraz widział dokładnie nietypowy kształt odcisku. Obcas miał półkoliste podcięcie od strony śródstopia, poza tym był szeroki, podobnie jak ścięty przód buta. A żurnale lansowały wąziutkie buciki o spiczastych noskach, niezależnie od tego, czy chodziło o balowe pantofelki, czy trzewiki do pieszych wycieczek. Morawski zastanowił się, jakie obuwie miały na sobie w nocy obie mieszkanki Jezior, i doszedł do wniosku, że raczej wąskie. Pewny jednak nie był. Przyłożył rozczapierzoną dłoń do odcisku i ocenił długość śladu na dwadzieścia pięć centymetrów.

Policjant wstał, wrócił na trawę i razem z Janem odbył wędrowkę wokół tego swoistego stanowiska archeologicznego. Poza odciskami dwóch rodzajów butów były tam tylko ślady, które pozostawił z boku Morawski. Nie natrafili na oznaki obecności innych osób.

– Trzeba znaleźć te szerokie buty – zdecydował Engel.

Jan napomknął, że poprzedniej nocy wstępnie przeszukał pokój, w którym doszło do morderstwa, i butów nie znalazł. Nie podał żadnych szczegółów, lecz czekał na reakcję Niemca.

– Z przyjemnością wysłucham pańskiej relacji – zapewnił ten niebywały mężczyzna.

Stanął tyłem do dworu i zapatrzył się na park. Tuż za budynkiem rozciągała się obszerna polana, na której rosły cztery drzewa liściaste o melancholijnych, prawie nagich koronach i grupa trzech świerków. Polanę otaczał wąski pas drzew, od strony wschodniej i północnej oblewany wodami jeziora, natomiast prawdziwy, gęsty park, pełen starych olch, wielkich kasztanowców i posępnych jodeł, ciągnął się w kierunku południowym. Widok ten od kwietnia do października był z pewnością urzekający, teraz jednak, zatopiony w bezkresnej szarzyźnie, działał przygnębiająco.

– Skąd, pana zdaniem, przyszedł?

– Z parku – stwierdził Jan, wskazując gąszcz drzew i krzewów. – Od strony podwórza i podjazdu ktoś mógłby go zauważyć. Poza tym odstraszyłoby go zapalone światło w gabinecie.

– Tak, chyba tak – przytaknął policjant i zwrócił się ponownie ku domowi. – Morderca musiał stanąć na drabinie, prawda?

Morawski skinął głową.

– Trudno byłoby tak celnie strzelić z położonego poniżej okna terenu, w półmrok, poprzez zachodzące na siebie firany.

Detektyw wydał z siebie kilka śpiewnych „Hm, hm, hm” i zrobił dwa kroki.

– A stróż? – spytał, nagle przystając. – Co ze stróżem?

– Oddalił się na pół godziny, bo zapomniał przyprowadzić psa – wyjaśnił Jan, doskonale świadom, jak naciągane jest to wytłumaczenie.

Znaleźli się właśnie przy schodach prowadzących do jadalni i Niemiec zapatrzył się w okno pokoju Heleny. Balustrada wyginała się

na zewnątrz i w środku tego łuku rósł kulisty cis. Pomiędzy gałęziami błysnęło bielą. Morawski podszedł bliżej, przykucnął i wyciągnął związaną sznurkiem, zakrwawioną paczkę. Opakowanie było tak nasiąknięte, że rozlazło się Janowi w dłoniach i spod strzępków wyłonił się kawał mięsa.

– Szulc spodziewał się psa i tak chciał zapewnić sobie spokój – zasugerował Polak, myśląc, że to znalezisko w pewnym sensie stanowi dowód lojalności stróża.

– Jest pewnie zatrute – stwierdził Niemiec. – Oddam je do zbadania.

Wrócili do domu i pan Engel poprosił Jerzego o spakowanie podejrzaną przynętę. Jan umył ręce w niewielkiej łazience i poszedł do szkarłatnego pokoju, gdzie zastał detektywa wyglądającego przez okno. Panowie zdjęli okrycia i ponownie Polak wcielił się w rolę przewodnika: podał Niemcowi pistolet z inicjałami „EJ” oraz notes Szulca, zademonstrował otwór po kuli i potwierdził, że jeden z butów ma na obcasie nierówno wbity gwoździak. Chciał jeszcze odwrócić ofiarę na plecy, ale potrzebowałby pomocy, a pan Joachim raczej się do tego nie kwapił. W ogóle niechętnie zbliżał się do ciała i zachowywał tak, jakby był wdzięczny, że ktoś odwała za niego brudną robotę. Z dużą natomiast wprawą rewidował rzeczy Eweliny.

Wreszcie podszedł do prawego okna, a Morawski skorzystał z okazji, by zajrzeć do zeszytu policjanta. Odsunął złoty ołówek, przewrócił stronę wstecz i spostrzegł słowa: „Helena Jezierska. Elena?”, wypisane dziwnym, pochylonym w lewo pismem.

– Czy gdy wszedł pan tutaj w nocy – zagadnął Niemiec i Jan puścił kartkę – zastał pan to okno tak uszczelnione, jak jest teraz?

Polak przytaknął, a wtedy policjant usiadł przy stole i spytał o obuwiu pani Eweliny Jezierskiej, a także jej zachowanie po tym, jak ją znaleziono w pokoju z zamordowanym mężczyzną. Słuchając Jana, wertował notatnik Szulca i przeglądał wycinki.

– Bratanica pana Jezierskiego ma na imię Laura? – chciał wiedzieć.

Jan skinął głową, a wtedy Niemiec obrócił świstek i jego oczy przebiegły po wzmiance o samobójstwie sędziego. Polak siedział tuż obok i wyraźnie dostrzegł, jak tamtemu drgnęły brwi – w tej zwykłe

kamiennej twarzy nie dało się tego przeoczyć. Pan Joachim szybko odłożył wycinek i mruknął:

– Skoro pan Jezierski był dłużnikiem Szulca, ten chyba zbierał wiadomości o zamożnych członkach jego rodziny.

Morawski przyglądał się Englowi i rozważał, dlaczego stara się on przekonać go, że skandal z sędzią i rudą był nieważny, lecz nagle spojrzął na dłonie detektywa i zobaczył w nich dużą białą kartkę. Tę z wykazem długów Jerzego i raportem towarzystwa ubezpieczeniowego w sprawie podpalenia. Tę samą, którą Jan osobiście ukradł zamordowanemu i ukrył w swym pokoju!

– Nie wspominali panowie – łagodnie odezwał się pan Joachim – że dwa miesiące temu doszło tu do pożaru, a do tego podejrzewa się podpalenie.

Zdruzgotany Jan zdołał zmusić się do odpowiedzi.

– Tuż po żniwach spłonął spichlerz – wydukał niczym szkolną regułkę. – W pogorzeliisku znaleziono ciało obcego mężczyzny, prawdopodobnie podpalacza.

W tym momencie do pokoju wszedł Jerzy.

– Nie chciałbym panów deranżować, ale może przenieśliśmy ciało gdzieś indziej? Na przykład do oficyny?

– Ależ tak – zgodził się Engel. – Oczywiście. Damy nie powinny być narażone na przebywanie pod jednym dachem z zamordowanym.

Jan słyszał ich jak przez mgłę. Buzująca krew rozrywała mu skronie, a myśli tłukły się w głowie i wpadały na siebie niczym kule bilardowe. Skąd to się tu wzięło?

– Czy mógłby mi pan opowiedzieć o tym pożarze? – zwrócił się Niemiec do Jerzego, który już wychodził.

Jezierski najpierw zastygł w pół kroku, potem westchnął i potargał włosy nad uszami. Cofnął się od drzwi i klapnął ciężko na fotelik.

– Pożar... Co tu dużo opowiadać? Pewnej nocy Baltazar... to nasz chłopiec od opału... no więc on zauważył na podwórzu kogoś obcego ze ślepą latarką. Ten ktoś kręcił się przy spichrze. Baltazar podniósł alarm, ale tamten rzucił ogień na zebrane zboże. Natychmiast się zajęło.

Nikczemnik zaczął uciekać, ale odcięto mu drogę. Wtedy zawrócił i biegł wzdłuż płonącego spichrza. Wszyscy zrezygnowali z pogoni

i rzućili się do gaszenia. Tylko Baltazar dalej gonił tamtego, ale spadły na nich płonące wrota.

Jan zapomniał o swej porażce i chciwie słuchał. Nie znał tej historii, bo wspomnianie o tragicznym pożarze sprawiało Jezierskim wyraźny ból i nie poruszano tego tematu.

– I co dalej? – dopytywał się detektyw.

– Tamten łajdak zginął na miejscu, a ogień strawił ciało nie do poznania. Została tylko kanka po petroleum** i szczątki ubrania. Baltazara wydobyliśmy poparzonego i z poharataną głową. Wezwaliśmy dwóch lekarzy, ale nie dawali mu szans na przeżycie.

– I zmarł? – spytał Niemiec cichym głosem.

– Nie, nie – rozpromienił się Jezierski. – Ona go przez dwa tygodnie nie odstępowała, no i wyleczyła go.

– Ach, ona – pokiwał głową Engel.

Jerzy wierzchem dłoni otarł oczy, wstał i chciał odejść, ale tym razem zatrzymał go Jan, który odzyskał już równowagę i poprosił o wezwanie Mateusza i Andrzeja. Kiedy przyszedł kamerdyner, razem z Morawskim zdjęli z zawiasów skrzydło drzwi, odwrócili Szulca na plecy i ułożyli go na zaimprovizowanych noszach. Potem wystarczyło tylko nakryć go kapą z łóżka i zamordowany był gotowy do przenosin. Pan Joachim zagrzewał ich do działania, kilkakrotnie powtarzając: „*Wunderbar!*”. Gdy zjawili się Andrzej z Jerzym, czwórka Polaków uniosła ciało i ruszyła do wyjścia, a policjant zamykał pochód, dzierżąc w dłoni dwa notesy.

Mężczyźni weszli do oficyny przez drzwi bliższe dworowi i ułożyli nosze na stole w pustym, nieopalanym pokoiku po prawej stronie, w którym Jerzy planował urządzić biuro i już nawet zgromadził deski do budowy regałów. Gdy tylko Andrzej puścił nosze, podszedł do pana Joachima, wymierzył w niego palec i warknął:

– Panie, jeśli z pana powodu popłynie choćby jedna łza mojej narzeczonej...

Nie dokończył. Podczas układania ciała jeden z rogów kapy zahaczył się i podwinął, odsłaniając twarz ofiary. Wybuchowy Ostrowski otworzył na ten widok usta.

– Ależ ja go widziałem!

– Tak? A gdzie? – Niemiec podszedł bliżej.

– Proszę mnie nie przesłuchiwać! – zapalił się w sekundę Andrzej.

Jan szybko wsunął się między oponentów, twarzą do Polaka. Byli prawie tego samego wzrostu, więc powstrzymanie Kmicica przyszło mu łatwiej niż niewysokiemu Niemcowi.

– Spokojnie! – szepnął z naciskiem. Wysunął przed siebie pojednawczo dłonie i tamten się cofnął. – Gdzie go widziałeś, Andrzej? – spytał po niemiecku.

– Był niedawno u mojego ojca. Zapamiętałem go przez to jego łąciate owłosienie. Sam spójrz, wygląda... nieprzyzwoicie. A po jego wyjściu ojciec krzychał: „Co za pijawka!”

– Schulz to znany w Niemczech lichwiarz – odezwał się Engel za plecami Jana.

– Mój ojciec nie zadaje się z lichwiarzami – warknął Ostrowski przez zaciśnięte zęby.

Jan spojrzał na Mateusza, który natychmiast ujął młodego człowieka pod ramię i oświadczył:

– Właśnie pana szukałem, panie Andrzej. Panna Helena chciałaby z panem porozmawiać.

Na dźwięk tego imienia przez twarz Ostrowskiego przemknął wiosenny wietrzyk, dookoła niego zapachniały róże i zaśpiewały słowiki. Odwrócił się na pięcie i popędził do domu. Za nim wyszli Mateusz i Jerzy. Detektywi zostali sami.

– Co za krewki młodzian – stwierdził pan Joachim. – Chyba niezbyt pasuje do panny Jezierskiej. On taki impetliwy, ona taka nieporuszona, taka królewska.

Trudno byłoby skomentować tę uwagę, Morawski przeniósł więc spojrzenie na zamordowanego.

– A zatem zna pan Szulca? – zawiesił głos sondująco.

– Wiem o nim co nieco. W młodości był lekarzem, ale musiał zmienić fach. Zaczął wtedy pożyczać na lichwiarski procent, a zarobione pieniądze inwestował z powodzeniem w podejrzone i nielegalne interesy, zwykle jako tak zwany cichy partner. Nie wahał się lokować środków w domach publicznych, szulerniach i palarniach, byle tylko przynosiły zyski.

- Sporo pan wie.
- Interesowałem się nim.

Kilka sekund trwał pojedynek na spojrzenia, aż wreszcie Jan przypomniał sobie, że zależy mu na współpracy z tym człowiekiem. Odwrócił więc wzrok, zakrył twarz ofiary i obszedł katafalk dookoła.

Nagle spostrzegł, że obcas lewego buta Szulca, tego bez gwoźdźcia, odcepił się od podeszwy i lekko odstaje. Wsunął tam palec i wyczuł jakieś zagłębienie. Spojrzał na Niemca, który pedantycznie układał na stole przedmioty należące do zamordowanego: notes, luźne kartki, pierśiówkę, wizytówki, zegarek, pieniądze. Najdłużej oglądał pistolet, lecz w końcu także go odłożył.

W tym momencie z zewnątrz dobiegł piekielny klekot i panowie podeszli do okna. Zobaczyli przed dworem dziwny dwukołowy pojazd, chyba kariolkę sprzed stu lat, z której wyskoczyła Jerzowa.

- Pani domu wróciła – oznajmił Jan.
- Złożę jej swoje uszanowanie, a potem możemy rozpocząć rozmowy ze świadkami.

Niemiec wyszedł, a wtedy Jan wyciągnął z kieszeni scyzoryk Mateusza, rozłożył nożyk, przyklęknął, maksymalnie odciągnął obcas i ostrzem wyłuskał z podeszwy mały, wymyślny kluczyk. Prawdopodobnie jeszcze poprzedniej nocy but był cały, ale rozwarstwił się pod wpływem wilgoci i ciepła, dzięki czemu skrytka odsłoniła się od niecodziennej strony.

Morawski poczuł łobuzerskie zadowolenie i prychnął śmieszkiem. Ścisnął kluczyk w dłoni, niczym amulet na szczęście, i wsunął go do własnego buta. Ukrywając to znalezisko przed policjantem, trochę się zrehabilitował we własnych oczach za tę niezrozumiałą stratę wykazu długów Jerzego.

Podszedł bliżej okna i zobaczył, że przy wielkim skupisku jałowców Jerzowa poufale rozmawia ze straszonym stróżem. Kobieta coś mu przykazywała, machając stanowczo palcem, potem rozejrzała się i każde z nich poszło w swoją stronę.

Zaintrygowany Jan wyszedł na korytarz oficyny, stamtąd na zewnątrz i wpadł wprost na pana Joachima, który stał w ciemnej, głębokiej futrynie i przeglądał własne zapiski. Uśmiechnął się do

Morawskiego i poszedł do domu.

Jan odprowadzał go wzrokiem. Odległość między policjantem a krzewami nie przekraczała trzech metrów i teoretycznie Niemiec mógł usłyszeć słowa kobiety. Tylko po co miałby jej słuchać, skoro nie znał polskiego?

* Homburg – miękki kapelusz filcowy.

** Petroleum (gwara poznańska) – nafta.

ROZDZIAŁ 8

Jan patrzył za idącym w stronę domu policjantem i z niechęcią myślał o czekającym go przesłuchaniu. Wolałby zająć się czymś konstruktywnym, czymś, co popchnie sprawę do przodu – przyciśnięciem do muru Andrzeja lub choćby sprawdzeniem, czy coś jeszcze nie zginęło z jego pokoju na piętrze – ale wiedział, że powinien być obecny przy rozmowach Niemca z domownikami.

Teraz, gdy Engel wiedział już nie tylko o długi Jerzego wobec Szulca, ale też o ciężącym na Jezierskim podejrzeniu o udział w podłożeniu ognia we własnym majątku, z pewnością będzie zmierzał do obalenia alibi pana domu, a być może także Heleny i Jerzowej. Poza tym na arenę miała wkroczyć niezrównoważona Ewelina. Tak, wszystko wskazywało na to, że Morawski powinien zostać i dopilnować, by Jerzowie nie wpakowali się w jeszcze gorszą kabałę.

Powlókł się za policjantem i zastał go zagląającego w głąb karawanu z ofiarami Andrzeja.

– „Zaiste, chciałoby się powiedzieć, że ludzie są diabłami na ziemi, a zwierzęta dręczonymi przez nich duszami”^{*} – zacytował Niemiec. Uśmiechnął się smutno i poszedł do domu.

Rozmowy miały się odbyć w gabinecie. Był to typowy pokój właściciela dworu, z dębowym biurkiem, kanapą, szafami, fotelami i dużym stołem, zarzuconym hałdami dokumentów i projektów kolejnych inwestycji. Na ścianach wisiały rysunki techniczne Jerzego, a na wyeksponowanym miejscu, między dwoma oknami, umieszczono wielką mapę majątku, którą od razu zainteresował się pan Joachim.

– Kogo mam poprosić najpierw? – spytał Jan.

– Porozmawiam ze wszystkimi naraz – oznajmił detektyw.

Morawski zmarszczył brwi. Co za dziwna metoda! Po pierwsze, całkowicie niezgodna z wytycznymi niemieckich podręczników policyjnych, a poza tym mało skuteczna – Jan doskonale pamiętał własne sukcesy z wczorajszych osobnych przesłuchań. Chociaż może to i lepiej, że Engel obrał tę niecodzienną drogę postępowania.

Jan złapał za klamkę, a wtedy Niemiec spytał:

– Na ile wycenia pan tę posiadłość?

– Sądzę, że przy powierzchni ponad siedmiuset hektarów jest warta około sześciuset tysięcy marek.

– Piękne miejsce. Tuż nad jeziorem, blisko do miasta. *Rittergut***
Jeziory... – szepnął policjant. Nic więcej nie dodał, więc Polak wyszedł.

Trójkę Jezierskich zastał szepczących w jadalni i zaprosił ich do gabinetu. Przy okazji zauważył w kredensie Mateusza, zajrzał do niego, przypomniał o konieczności zajęcia się stróżem i opowiedział o kradzieży wykazu z ich pokoju. Kamerdyner chciał coś powiedzieć, ale Morawski nie dał mu dojść do głosu.

– Później. A teraz sprowadź do gabinetu Ewelinę i Laurę. I postaraj się przeszukać zarośla wokół błota. Interesują mnie ślady, ale przede wszystkim buty.

Mateusz ruszył na piętro, a Jan do pokoju Jerzego.

Okazało się, że Jerzowa już przyprowadziła Laurę. Obejmowała ją za ramiona i kolczastą niemieczyzną przekonywała policjanta:

– ... nie zna niemieckiego, a my nic jej nie powiedzieliśmy. To by jej zaszkodziło. Proszę spojrzeć, jaka jest słaba i chorowita. – Kobieta prawie zmiażdżyła zeszytniałą biedulę. – Od ośmiu lat przebywała na Południu, a teraz jej macocha przywlokła ją tu w najgorszy czas.

– Ma pani zupełną rację – odparł jak zwykle uprzejmie Engel, wykorzystując chwilę, gdy pani domu łapała oddech. – Nie będziemy niepokoić panienki żadnymi pytaniami.

– Ponadto w chwili strzału spała, co mogą panu potwierdzić trzy osoby – wyrzuciła z siebie rozpędzona Jerzowa. – Co pan powiedział?

– Panienka może wrócić do swoich zajęć – powtórzył i uklonił się widmowej Laurze.

Tymczasem Helena i Jerzy składali całą makulaturę zgromadzoną na stole, przy nim bowiem miało się odbyć to dziwne grupowe przesłuchanie. Zebrali trzy wielkie stosy papierów, odsłaniając piękny dywan służący Jerzemu za obrus. Na szkarłatnym tle widniał centralnie umieszczony medalion z przeplatających się kwiatów i waz, a obramowanie stanowił szlak z podobnym motywem.

Engel przeciągnął dłonią po tym arcydziele, a potem uniósł brzeg i coś badał.

– Niewiarygodne – mruknął. – To chyba autentyczny dywan

z Kerman.

– Mój przodek przywiózł go spod Wiednia, razem ze zdobycznym kałkanem paradnym – pospieszył z wyjaśnieniem Jerzy. – Ten kałkan to nasz największy skarb. Już od dwustu lat strzeże rodziny Jezierskich.

– Czy to może jeden z tych najcenniejszych egzemplarzy, z wyrytym Złotym Rogiem?

Zaskoczony Jerzy skinął głową i razem ze swymi paniami wpatrywał się w milczeniu w Niemca. Nagle drzwi się otwały i do pokoju weszła jakby po omacku pani Ewelina Jezierska, otulona błękitną szatą z kremowymi koronkami. W gruncie rzeczy to ona sprawiała wrażenie ofiary przemocy: była jeszcze bledsza niż zwykle, chyba szczuplejsza, a w jej twarzy olbrzymiały podkrążone, zaczerwienione oczy.

W tle ukazała się wysoka postać Mateusza, który przyprowadził słaniającą się damę. Zamierzał zamknąć za nią drzwi i odejść, ale pan Joachim go przywołał. Kamerdyner zawahał się, spojrzął na Jana, po czym wszedł i skromnie stanął przy drzwiach.

Niemiec tymczasem powitał nowo przybyłą i usadził ją między Heleną a Jerzową, przy dłuższym brzegu stołu. Sam usiadł po przeciwnej stronie, a Jerzy przycupnął przy jednej z krótkich krawędzi. Morawski ulokował się pod oknem, jakby dla podkreślenia swej niezależności.

Detektyw zwrócił się do Eweliny:

– Zaczniemy może od pani. Proszę mi zrelacjonować przebieg wczorajszego wieczoru.

– Po kolacji wróciłam do siebie – mówiła wolno, przekrzywiając głowę, jakby bolała ją szyja – i trochę... czytałam. Przygotowałam się do snu i po wyjściu służącej... okropna dziewczyna, ma takie szorstkie, wstrętne ręce. Gdy mnie czesze, czuję, jak się haczą o moje włosy. Widział ją pan?

– Nie – odparł spokojnie. – A zatem wyszła i co dalej?

– Zamknęłam za nią drzwi na klucz – odpowiedziała po chwili wpatrywania się w Niemca.

– Dlaczego się pani zamknęła? – spytał, notując coś w swym zeszycie.

– Bo w tym domu wszystko ginie. A oni są mi nieprzychylni –

szeptnęła konfidencyjnie i mówiła dalej tak, jakby Jezierskich nie było w pokoju. – Podają mi takie okropne rzeczy do jedzenia. Chyba chcą mnie otruć. A wszystko przez to, że mój mąż mnie kochał. I tak tu brudno, że...

– O czym ta kobieta mówi? – Jerzowa uderzyła pięścią w stół. Ewelina spojrzała na nią zaskoczona.

– Czy to pani otworzyła okno? – zapytał ją szybko Engel.

– Musiałam – oświadczyła. Z rękawa wyciągnęła chusteczkę i z zacięciem wycierała w nią dłonie. – Ktoś z nich uchylił zewnętrzne skrzydło i koszmarnie ciągnęło. Cała skostniałam. Otworzyłam wewnętrzne skrzydło, a wtedy ten straszliwy człowiek wdarł się do pokoju i groził mi pistoletem.

– Nie znaleźliśmy przy nim niczego takiego – powiadomił ją policjant, ale tylko uśmiechnęła się sennie. – Widziała pani wcześniej tego człowieka? – Pokręciła przecząco głową. – Nie domyśla się pani, kim mógł być?

– Złodziejem?

– Wpadł więc do pani pokoju. Co było potem?

– Prawie umarłam – powiedziała gasnącym głosem. – Huknęło. Przewrócił się. – Jan podszedł bliżej i zobaczył, że kleją się jej powieki. Jednocześnie coraz zajadlej czyściła dłonie. – Strasznie tu brudno – oznajmiła zaciekawionemu Niemcowi. – Powinien pan uważać... nie dotykać... – Wstała. – Muszę umyć ręce.

Ruszyła w stronę wyjścia jak lunaticzka i po chwili usłyszeli jej powolne kroki na schodach. Mateusz zamknął za nią drzwi.

– Gdyby nie Laura – wybuchnęła Jerzowa – gdyby nie Laura, natychmiast wymówiłabym dom tej... tej... – Helena położyła dłoń na ręce matki i uspokajająco ją ścisnęła. Roztrzęsiona kobieta zwróciła się do policjanta: – W tym domu jest czysto. Przecież wciąż stykam się z chorobami i wiem, jak groźne dla zdrowia mogą być zarazki!

– Pani Ewelina Jezierska – zauważył Engel – wydaje się niezadowolona z pobytu u państwa.

– Piętnaście mil stąd – odezwał się Jerzy znużonym głosem – znajduje się pałac mojego nieżyjącego brata. Bratowa mogłaby tam mieszkać, ale z jakichś względów... – Machnął ręką. – Zresztą nie ma co

narzekać. Przynajmniej możemy choć trochę nacieszyć się bratanicą.

– Uparła się, żeby u nas zamieszkać – oświadczyła pani domu – bo postanowiła tutaj pozbyć się tego człowieka.

– Więc sądzi pani, że to pani bratowa jest odpowiedzialna za śmierć tego Schulza?

– Przecież to oczywiste! Gdy wczoraj po południu stąd wyjeżdżał, nagle ją zobaczył, cofnął się i zawołał: „Pani tutaj? Co za spotkanie!”, czy coś takiego.

– Doprawdy? – Pan Joachim wpatrywał się w nią swymi ciemnymi, hipnotyzującymi oczyma.

– Ależ tak – gadała dalej. – Stała niedaleko mnie i widziałam jej minę.

– Czy tylko panie dwie tam były? – zagadnął sprytny Niemiec.

– Między nami stała Helena – dała się podejść Jerzowa – a on i ten Szulc po przeciwnej stronie holu. Potem, już po kolacji, Ewelina odesłała Laurę na górę, żeby sama mogła się z nim spotkać.

– Przedtem Laura sypiała na dole – wtrąciła Helena – lecz wczoraj Ewelina nagle kazała jej pójść na górę, do mnie.

– A gdy rozległ się strzał i przybiegliśmy do drzwi – dodał Jerzy – były zamknięte. Otworzyła dopiero po chwili.

Jan siedział na brzegu biurka i przyglądał się ożywionym Jezierskim. Wiedział, że Ewelina tego nie zrobiła, czy więc ich jednomyślność wynikała z autentycznego przekonania o jej winie, czy miała ukryć winę jednego z nich? A może wszystkich?

Przeniósł spojrzenie na Engla, który z wielką życzliwością spoglądał po kolei na każde z trójki gospodarzy, najdłużej zatrzymując wzrok na urodziwej panie.

– A dlaczego miałyby zabijać Szulca? – spytał.

– Jak to dlaczego? Przecież ona... – zaczęła Jerzowa.

– Dość – przerwał jej stanowczo Jerzy. – Dość. Chodzi o pamięć mojego brata.

Nagle otwarły się drzwi i rozkołysanym krokiem wpłynęła Ewelina.

– Zdążyłam? – uśmiechnęła się rozkosznie do Niemca. – Marzę, by usłyszeć, co pozostali mają do powiedzenia o tym, jak spędzili miniony

wieczór.

Jan nabrał tchu. Stało się to, czego się obawiał – coś zażyła i nikt jej teraz nie zatrzyma. Wesoła wdówka usiadła w fotelu ustawionym przy końcu stołu, starannie ułożyła swą błękitną szatkę i wyzywająco spojrzała na Morawskiego. Miała rozszerzone źrenice i rozchylone wargi.

– Dobrze – skinął głową pan Joachim. – Może zacznie pan Jeziński.

Jerzy poprawił się w fotelu, kilkakrotnie odchrząknął i zaczął:

– Więc tak. Około dziesiątej poszliśmy z nią do sypialni. Ale nie mogłem zasnąć, więc ubrałem się i poszedłem do kaplicy, a potem do gabinetu.

– Czy pamięta pan godzinę swego powrotu do domu?

– Jakoś tak w pół do dwunastej.

– Zgadza się – odezwała się Helena. – Czytałam u siebie, coś zachrobotało na ścieżce i wyjrzałam przez okno. Widziałam, jak ojciec wracał z kaplicy.

Jan podszedł do okna, aby ukryć irytację. Jezińscy już wczoraj zmyślali, a oto dzisiaj przedstawili kolejny scenariusz. W nocy Jerzy twierdził, że był w kaplicy w pierwszej części wieczoru, dzisiaj dopasował tę godzinę do zeznań Heleny, która na dodatek przedtem zeznała, że siedziała po ciemku, więc nie mogła czytać.

– Musiałem przysnąć... – ciągnął Jerzy – o, na tej kanapie... bo nagle ocknąłem się i wydawało mi się, że słyszałem strzał. Pomyślałem, że to sen, ale potem postanowiłem to sprawdzić. Wyszedłem do holu i usłyszałem wołanie Jana od strony dobudówki. Pobiegłem tam. Stał przed drzwiami pokoju bratowej, stukał i naciskał klamkę. Nikt nie odpowiadał. Postanowiliśmy wyważyć drzwi, ale wtedy bratowa je odkluczyła. Weszliśmy i zobaczyliśmy na ziemi martwego Szulca.

– A pani? – zwrócił się do Jerzowej pan Joachim, kończąc notować zeznania Jezińskiego.

– Haftowałam w sypialni. Przed północą poszłam na piętro do panienek. Chciałam sprawdzić, jak czuje się Laura, bo wieczorem bolał ją żołądek. Spała, więc poszeptaliśmy z Heleną. – Spojrzała na córkę, a ta przytaknęła. – Usłyszałyśmy strzał i po chwili pobiegłyśmy na dół.

Dołączyliśmy do panów i tuż za nimi weszliśmy do sypialni bratowej.

Morawski słuchał tej relacji jednym uchem i obserwował wydarzenia rozgrywające się za oknem. Trwało tam rozładowywanie karawanu z dziczyzną, a całą operacją kierował Andrzej. Podeszło dwóch chłopaków, każdy z nich na prawym ramieniu ułożył sobie końcówkę długiego drąga, a młody Ostrowski wyciągał z wozu wiotkie szaraki i przyczepiał je do kija, jakby wieszał pranie. Jan przysunął ucho do szyby i dobiegły go radosne komendy: „Na szubienicę z nimi, muszą się pozbyć wiatru” czy „Te od razu do kuchni. Będzie pyszny pasztecik”. Temu ostatniemu poleceniu towarzyszyło przyjacielskie poklepanie zajączka po skokach.

Nagle Jan odwrócił się w stronę ławy (nie)oskarżonych, gdyż usłyszał czysty głos Heleny.

– Zamierzałam położyć się spać, gdy przyszła mama – mówiła, a pan Joachim co trzy sekundy potakiwał jej, mając przy tym taką minę, jakby właśnie dzięki niej zrozumiał działanie promieni X. – Kilka minut później rozległ się strzał.

Morawski pokręcił głową na te konfabulacje i wrócił do śledzenia spektaklu w teatrzyku podwórzowym. Tym razem był to popis jednego aktora, który miotał się po podjeździe, odchodził poza gazon i wracał, przesunął się z prawa na lewo i z powrotem, wskazywał na różne części domu i rozmawiał ze sobą. Coś go niepokoiło i biegał po dziedzińcu coraz szybciej, jakby to bieganie miało przyspieszyć pracę umysłu. Wreszcie stanął naprzeciwko wejścia i tymi dłońmi, które przed chwilą przerzucały po kilka zwierząt, zakrył potężną kwadratową szczękę.

– Bardzo przepraszam – rozległ się wysoki głos Eweliny i Jan drgnął – ale coś tu się nie zgadza. Nie rozumiem, jak Helena mogła widzieć przez okno swego ojca, skoro jej samej w pokoju nie było. Za dwadzieścia dwunasta poszłam na górę sprawdzić, czy Laura ma wszystko, czego potrzeba, i Heleny nie zastałam. Nie można zatem przyjmować, że brat wrócił do dworu ani że Helena była u siebie.

Sam pomysł, że Ewelina troszczyła się o Laurę, był absurdalny, ale policjant o tym nie wiedział, więc alibi obojga zostało podważone. Sytuację próbowała uratować Jerzowa:

– Za dziesięć dwunasta on spał w gabinecie. Wiem, bo zajrzałam

tam, idąc na górę.

– A mnie się zdaje – głos Eweliny ponownie przeciął powietrze – że bratowa również wychodziła. Doskonale pamiętam, że gdy mnie dotknęła, miała lodowate ręce.

Jan porzucił okno i podszedł do stołu. Przed oczyma miał tę chwilę, gdy rozhisteryzowana kobieta wstrząsnęła się pod dotykiem Jerzowej. Wtedy uznał to za przewrażliwienie, a może to...

– Mogę to prosto wyjaśnić – broniła się piskliwie Jerzowa. – Godzinę wcześniej byłam we wsi u chłopca, który złamał nogę. Ręce nie zdążyły mi się po powrocie rozgrzać.

– Jakoś nie wspominała bratowa o tym wcześniej – zerwała się z fotela Ewelina.

– Tak jak bratowa o swojej wyprawie na piętro – naskoczyła na nią większa o głowę pani domu.

Wszyscy zastygli sparaliżowani. Jan oprzytomniał pierwszy, podszedł do Jerzowej i ujął ją pod ramię.

– Spokojnie – powiedział głośno, a sadzając ją na krześle, szepnął: – Nic więcej nie mów!

– A przyznali się panu, że ten człowiek trzymał ich w szachu? – szarżowała dalej tamta. – Ich dług wobec niego przewyższał wartość całej tej rudery.

Teraz dla odmiany nie wytrzymała Helena. Podniosła się i ruszyła na Ewelinę:

– A dlaczego na twój widok ten wstrętny człowiek ucieszył się i zawołał: „Co za spotkanie!”? I dlaczego ty skamieniałaś?

– To nie było na mój widok, tylko twój lub twojej matki! – zaśpiewała tamta. – Stałyście obok mnie i to do jednej z was się zwracał. A jeśli byłam zaszokowana, to tym, że znalazłam się pod wspólnym dachem z lichwiarzem. I to gdzie? W tych słynnych Jeziorach, szlacheckim gnieździe – zakpiła. – Ten człowiek patrzył na jedną z was. To jedna z was go znała, może nawet była jego kochanką!

– Jak bratowa śmie? – poderwał się wiśniowy Jerzy. – Po tych haniebnych aluzjach widać najlepiej, kim bratowa jest! Proszę mnie nie drażnić, bo ja też mógłbym niejedno o bratowej powiedzieć!

Morawski czuł, że musi jak najszybciej przerwać to, co miało być

spokojną pogawędką, a stało się pyskówką, która już przyniosła Jezierskim nieoszacowane szkody.

– Każde z nich mogło to zrobić – zaśmiała się Ewelina i wskazała na Jana: – On też!

– Kamerdyner potwierdził – zauważył Engel – że w chwili strzału pan Morawski był na piętrze.

– A co to za świadek: kamerdyner?

Kątem oka Jan zauważył, że Mateusz szarpnął brodą. Wszyscy czekali na reakcję policjanta.

– Taki sam świadek jak każdy inny – oświadczył pan Joachim.

– Jeśli chce pan w to wierzyć – prychnęła Ewelina – to pana sprawa. Sam pan się przekona, że to było jedno z nich, a najpewniej wszyscy. – Potoczyła dookoła złośliwym spojrzeniem. – I to oni ukryli ten nóż, którym to indywiduum mi groziło.

Jan aż się uśmiechnął. Tylko czy Niemiec dostrzeże ten błąd?

– Przedtem twierdziła pani – zwrócił jej uwagę Engel – że groził pani pistoletem.

– Źle mnie pan zrozumiał – odparła po chwili miękko. – On groził mi nożem, a ktoś zastrzelił go z pistoletu.

– A może ktoś zastrzelił go ze strzelby? – podsunął Jan.

Kilka razy zatrzepotała powiekami, kilka razy przełknęła ślinę. Morawski widział na jej skroni pulsującą błękitną żyłkę.

– Muszę się położyć – oznajmiła i zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, odwróciła się i wyszła.

Jan rozejrzał się po pobojuwisku – przeciwnik odtrąbił odwrót, ale Jezierscy odnieśli pyrrusowe zwycięstwo. Siedzieli z opuszczonymi głowami i ciężko oddychali. Diabelska Ewelina zdołała podważyć alibi każdego z nich, a im, choć przyszli na to spotkanie ze spójną, najwyraźniej uzgodnioną wersją, zabrakło refleksu, a pewnie także wprawy w krętactwach, by szybko dokonać niezbędnych korekt w przedstawionej relacji. Gdyby nie to końcowe potknięcie Eweliny, ich klęska byłaby całkowita. Jedyнным prawdziwym zwycięzcą tej potyczki był pan Joachim. Właściwie nie musiał zbytnio się wysilać, podejrzani wykonali za niego całą akcję śledczą. Jan spojrzał na niego. Detektyw filozof siedział przy stole jak zawsze zadowolony. Trochę przypominał

pod tym względem Leona.

Engel zamknął zeszyt i oświadczył:

– Dziękuję za państwa zeznania. Teraz przesłucham służbę, a potem pojedę złożyć raport i wieczorem wrócę ze współpracownikami.

Jerzy i Jerzowa wyglądali na przerażonych, natomiast Helena podeszła do okna.

– To znaczy, że będą się tu kręcić policjanci? – wykrztusiła Jerzowa. – Może nawet w mundurach? Ależ to niemożliwe! Jutro wieczorem jest ślub naszej córki!

– Naprawdę, mam związane ręce – tłumaczył jej łagodnie pan Joachim. – Dokonano morderstwa i musimy natychmiast rozpocząć śledztwo. W przypadku tak poważnych przestępstw kryminalnych do działania angażuje się jak największą grupę policjantów.

– Ale wszystko jest gotowe! Nie możemy wyprawić wesela w domu pełnym policji. – Matka narzeczonej splotła błagalnie żylaste dłonie. – Czy nie mógłby pan poczekać z wzywaniem innych detektywów do pojutra?

– Jestem urzędnikiem państwowym – pokręcił głową – i obowiązują mnie określone procedury.

– Przypominam ci, moja droga – mruknął Jerzy, wycierając pot z czoła – że zaręczyny zostały zerwane.

– Zerwane? – wlepił w niego spojrzenie Engel. – A kto zerwał?

– Ja – odparła Helena, odwracając się w stronę pozostałych. Nie widzieli jej twarzy, gdyż stała tyłem do okna. Morawski po raz kolejny zaczął się zastanawiać, jaką zagadkę nosi w sobie ta dziewczyna.

– Do pojutra, mówi pani – detektyw zwrócił się do Jerzowej. Potem odśpiewał swe potrójne „Hm, hm, hm” i oznajmił: – Niech będzie. Poprowadzę to śledztwo sam, ale będę potrzebował państwa pomocy.

– Jan jest do pana dyspozycji – zapewniła wspaniałomyślna Jerzowa, po czym złapała dłoń Niemca w obie swoje i mocno nią potrząsnęła.

Morawski, oficjalnie mianowany pomagierem niemieckiego policjanta, opadł na fotel. W głowie nie mogło mu się pomieścić, że pruski funkcjonariusz zgodził się odwlec śledztwo w sprawie

morderstwa, i to dla kobiecych kaprysów. Patrzył na Mateusza, który patrzył na pana Joachima, który patrzył na Helenę. A ona podeszła do ojca, położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

– Wszystko będzie dobrze, tato.

* Słowa Arthura Schopenhauera.

** *Rittergut* (niem.) – dobra rycerskie, typ majątku ziemskiego, którego właściciele posiadali pewne szczególne przywileje.

ROZDZIAŁ 9

– Ile osób służby zatrudnia pan w domu? – spytał policjant.

Jerzy z nerwów nie mógł sobie przypomnieć, ilu ma pracowników, i zaczął ich liczyć na palcach.

– Więc tak: dwie dziewczyny służące, elewki właściwie, jedna kucharka stała i jedna donajęta, ale ona dzisiaj odjedzie. Poza tym chłopak od opału i stróż.

Engel notował to w swym kajecie, lecz przy tym ostatnim słowie nagle uniósł głowę.

– Ach stróż, właśnie. Dopóki ciało Schulza nie zostanie zabrane, trzeba postawić kogoś na straży przy wejściu do oficyny. Tam nie ma zamka.

Jerzy zaproponował, by od razu poszukać stróża, i trójka mężczyzn wyszła na ganek. Akurat Roch przechodził w oddali i Jezierski go zawołał.

– To on samowolnie oddalił się w nocy? – spytał Niemiec, a Jezierski przytaknął.

Gdy Roch podszedł, Engel spojrzał mu w twarz, a Jan na buty: duże, zdecydowanie większe od tych poszukiwanych. Policjant musiał rozpoznać w stróżu tego człowieka, który wcześniej konspirował z Jertzową, bo polecił:

– Proszę wyznaczyć kogoś innego do pilnowania ciała. Na przykład tamtego. – Dłonią wskazał mijającego ich mężczyznę z cepem na ramieniu.

– Ale to Szymek – zakłopotał się Jerzy. – Jest... mało gramotny. Nie sposób go niczego nauczyć. Skończył czterdzieści lat, a jak był parobkiem, tak jest i pewnie będzie.

– Wspaniale się nada. Niech nikogo, absolutnie nikogo nie wpuszcza do pierwszej części oficyny.

Jerzy zaprowadził robotnika pod oficynę, a po drodze coś mu klarował przy użyciu ust i rąk. Szymek stanął w progu, zatarasował wejście cepem i z groźną miną zaczął się rozglądać, wypatrując chętnych do złamania zakazu.

– Doskonale – mruknął detektyw. – Dowody są zabezpieczone.

Morawski uznał, że nadszedł czas na separację z panem Joachimem. Miał nadzieję, że zaprezentował się Niemcowi jako ktoś nieszkodliwy, a zarazem przydatny, sam również przyjrzał się policjantowi. Priorytet chronienia Jezierskich się zdezaktualizował, gdyż w ciągu ostatniej godziny wydały się chyba wszystkie ich sekrety, Jan postanowił więc wznowić własne śledztwo. Najpierw zamierzał wydobyć z Andrzeja to, co ten tak nieudolnie ukrywał, a potem chciał pojechać do najbliższej karczmy. Szulc skądś przecież przyszedł i gdzieś zostawił swą torbę, z którą przyjechał tu poprzedniego popołudnia. To pewnie do niej pasował ten klucz, który spoczywał w bucie Jana i czasami boleśnie o sobie przypominał.

Jerzy wrócił na ganek i zaproponował, by rozmowy ze służbą zacząć od kuchni. Pomysł ten doskonale odpowiadał Janowi, gdyż spodziewał się znaleźć tam kawę i Andrzeja – w tej kolejności.

Już na schodach prowadzących do piwnicy słychać było wymianę uprzejmości.

– Kamlot ci chyba zleciał na łeb! Do czerniny idą kwaśne gruszki i rozenki.

– Głupiaś! Suszone damasceny i wiśnie z konfitury.

– Dzień dobry, moje drogie – wtrącił się dworny Jezierski i wyjaśnił kucharkom, że ten oto jegomość to niemiecki urzędnik, który pragnie zadać im kilka pytań.

Oponentki spojrzały po sobie i w obliczu wroga zwały szyki.

– Ja nie gadam z nikim stamtąd.

– Ani ja.

Dzięki szeptanym prośbom Jerzego panie łaskawie zgodziły się wysłuchać pytań policjanta, „ale za moment, bo tera nie mamy czasu”. Po czym w największej zgodzie zajęły się combrami: wyciągały z aromatycznej bejcy długie kawałki mięsa, nacierały je ziołami lub czosnkiem, część szpikowały zmrożonymi paskami słoniny, część okładały cieniutkimi plastrami boczku. Jerzemu kazały mocować mięso na rożnie, natomiast Engla, który przysiadł na ławie, demonstracyjnie ignorowały.

Jan spojrział w głąb korytarza, wzdłuż którego ulokowane były inne pomieszczenia gospodarcze. Najbliżej kuchni znajdowała się spiżarnia.

Przez jej uchylone drzwi dostrzegł Mateusza i dyskretnie wycofał się w tamtym kierunku.

– Królestwo za kawę, Mateuszu!

– Nie ma. – Kamerdyner pokręcił głową. – Dopiero przywiozą. Zresztą dziwię się, że potrzebuje pan kawy. Mnie poderwała na nogi ta urocza rozmowa.

Zdjął z półki butelkę koniaku, otworzył ją i nalał bursztynowego płynu do dwóch kieliszków.

– Zdrowie tego, kto schował to na szafie – mruknął, unosząc kieliszek do ust.

Jan się zaśmiał, spełnił toast, ale szybko spoważniał.

– Zauważyłeś – spytał szeptem – że usadził obok siebie trzy rude?
– Kamerdyner zmarszczył czoło. – Nie pamiętasz tego artykułu z kieszeni Szulca?

– Myśli pan, że on tu przyjechał szukać rudej?

– To możliwe. Zawodowo lub prywatnie, jako członek tej powszechnie szanowanej rodziny sędziego E. Co ty na to?

Morawski nie czekał na odpowiedź oniemiałego Mateusza, lecz zajrzał do kuchni. Przy stole jędze słuchały pytań Niemca, tłumaczonych na język polski przez Jerzego, i na każde odpowiadały:

– Nic nie widziałam.

– Ja też nic nie widziałam.

Jan schował się z powrotem w spiżarni.

– I wiesz, co jeszcze przyszło mi do głowy? – szeptał dalej. – Może to Szulc był tym współnikiem rudej i to jego tropem podążał Joachim? Czy to nie dziwne, że na małym posterunku trafiłeś na taką szychę jak detektyw?

– Szczerze mówiąc, mnie zainteresowało coś innego – oznajmił Mateusz, podsuwając Janowi puszkę z suchymi, pokruszonymi makaronikami. – Widział pan te czułe spojrzenia, jakimi on obrzuca pannę Helenę? Ona też bacznie mu się przygląda. Coś się za tym kryje.

– Pozbądź się tego sentymentalizmu, Mateuszu. W twoim wieku może być szkodliwy – zaśmiał się Jan. – Engel jest mężczyzną i po prostu nie potrafi oderwać wzroku od pięknej panny. I to wszystko. A jeśli chciałbyś powęszyć za jakimś podstępem, to coś mi się widzi, że

pan detektyw rozumie po polsku. Uważaj, co przy nim mówisz.

Naraz Jan uświadomił sobie, że nie słyszy jazgotu kucharek, ponownie uchylił więc drzwi. Kuchnia była pusta, natomiast głęboki głos policjanta dochodził z pomieszczenia położonego naprzeciw spiżarni, gdzie zlokalizowano schody, windę i dwa wielkie zlewy. Morawski wepchnął ciastko do ust, popił koniakiem i wyszedł na korytarz. Ukrył się za futryną pomywalni i na sekundę wystawił za nią oko. Engel siedział na taborecie, a naprzeciwko niego przycupnęły na ławeczce dwie spłonione służące. Jedna kręciła kosmyk włosów, druga – Wokulska – kręciła fartuszek, a on coś do nich mówił. Patrzyły na niego jak parafianki na młodego wikarego. Jan zmrużył oczy i starał się usłyszeć choćby to, w jakim języku toczy się rozmowa, ale na stopniach coś załomotało i musiał się cofnąć. Z góry zbiegła Ewelina i napadła na Niemca:

– Musi pan je aresztować! Zniknęły! A to złodziejki!

Z parteru nadbiegli także Jerzowie, a wtedy w progu pomywalni ukazał się Jan.

– Aresztować? – Engel wstał z krzeselka. – Kogo?

– Szwaczki! – wrzasnęła Ewelina.

– Szwaczki? – zdziwił się policjant.

– Szwaczki?! – zawołali pozostali niczym grecki chór.

– Mówiłam to od dawna! – Ewelina szalała po pomywalni, wpadała na zydle i wiadra. – Ciągłe przemykały po domu! Na pewno przyjechały na przespiegi, szukać skarbu. – Pan Joachim na to słowo zmarszczył brwi. – Musiały być podstawione, bo przecież nie wyjechałyby bez zapłaty.

– Szwaczki? – powtórzył detektyw. – Dlaczego nikt o nich nie wspominał?

Odpowiedziały mu zawstydzone spojrzenia. Jan był tak jak inni zaskoczony – przyzwyczaił się do stałej obecności szwaczek, więc nie zwracał na nie uwagi. A przecież to one miały najłatwiejszy dostęp do jego pokoju i skradzionego wykazu.

– Tu jest list do pani – przypomniała sobie jedna z dziewcząt i podała Jerzowej złożoną kartkę. – Ta starsza kazała to pani oddać, ale pani nie było.

Gospodyni rozłożyła liścik i przebiegła po nim wzrokiem.

– Zdenerwowało je morderstwo i postanowiły wyjechać. Pieniądze kazały sobie przesłać do Poznania.

– Czy ktoś im mówił o morderstwie? – spytał policjant.

Nikt się nie zgłosił. Engel wziął od Jerzowej list, ruszył w stronę sieni i zniknął.

– To złodziejki! – krzyknęła za nim Ewelina.

– A co bratowej zginęło? – zatroszczył się Jerzy.

Otworzyła usta, zamknęła je, zgarnęła spódnicę i pobiegła na górę. Morawski chciał cichcem wrócić do spiżarni i dokończyć konferencję z przyjacielem, ale jego śladem poszli Jezierscy i cała czwórka znalazła się w sporym, chłodnym pomieszczeniu, od podłogi po sufit zastawionym wiktuałami we wszystkich kolorach tęczy.

W skrzyniach i workach spoczywały kasze, mąki, suszony groch, fasola i soczewica, obok nich stały gary powideł, beczułki solonego masła, a także obowiązkowe beczki z zasolonymi ogórkami i kiszoną kapustą, bez których nie mógł funkcjonować żaden polski dom. Półki uginały się pod ciężarem butelek z sokami, garnków z konfiturami, słoików z marynatami, baniek z miodem, olejem, smalcem, zakwasami i octami domowymi, a z sufitu zwieszały się połcie słoniny, wędzone szynki, wędliny, półgęski i wianki suszonych grzybów.

– Rozmawiałaś z kucharkami? Mówiłaś im, że ślub został odwołany? – spytał żonę Jerzy. – Bo jeśli wolisz, ja się tym zajmę. Wiem, jakie to dla ciebie przykre, moja droga. – Wpatrywał się w nią zatroskany i pełen dobrych chęci.

– Poradzę sobie – oświadczyła, zaciskając cienkie wargi, tak że prawie zniknęły.

Postawiła na stole wielki słoik ogórków, zdjęła z wieka sprężynę, uniosła szklaną pokrywkę i w sekundę pomieszczenie wypełniło się ostrym aromatem czosnku i papryki. Z rozkoszą wciągnęła w nozdrza zapach i uśmiechnęła się. Podsunęła słoik Janowi, Mateuszowi i Jerzemu, a każdy z nich wyciągnął po zgrabnym, jędrnym ogórku. Ona także wzięła i po chwili rozległo się gremialne chrupanie i siorbanie.

– Dobry Boże – jęknął Mateusz. – Ale pycha!

– Moja kulinarna specjalność – rozpromieniła się Jerzowa. –

Jedyna.

Panowie wzięli po jeszcze jednym ogóreczku, po czym rozsiedli się na skrzyniach i beczkach.

– Czy moglibyście wyjaśnić mi – zagadnął Jan uprzejmie – dlaczego Englowi powiedzieliście coś innego niż mnie w nocy?

Jezierscy wymienili spłoszone spojrzenia.

– Ależ powtórzyliśmy mu to samo, co powiedzieliśmy tobie – zapewniła Jerzowa i zajęła się wydłubywaniem gwoździ wbitych w żółte jabłko. Tak spreparowany owoc podawany był Laurze dla uzupełnienia niedoborów żelaza.

Nagle drzwi się otwały i do spiżarni wtargnęła Helena. Zmarszczyła z niesmakiem nos, jednym spojrzeniem ogarnęła ucztę i oświadczyła:

– Nie podoba mi się, że przyjmujemy w domu Niemca.

– To nie jest kwestia podobania się – odparł jej ojciec, oblizując palce. – Ja też wolałbym go tu nie widzieć, ale nie mamy wyboru. Przyszło nam żyć jako poddanym niemieckim, korzystamy ze związanych z tym przywilejów, więc musimy współpracować z władzami.

– A poza tym pan Engel obiecał nie sprowadzać tu tej umundurowanej hałastry – przypomniała Jerzowa, siadając na beczce z kapustą.

– To jest oportunizm! – zarzuciła im dziewczyna. – Powinniśmy walczyć, buntować się! Przeciwstawiać się tej niemczyźnie!

– Przeciwstawiać się czym? – chciał wiedzieć Jerzy. Przestał jeść i poważnie spoglądał na córkę. – Szablami przeciwko ich armatom? Kosami przeciwko ich maszynom? To wszystko już było. I zawsze kończyło się klęską. Dlatego nie wierzę w zrywy i tajne organizacje, tylko w pracę, w rozwój – tłumaczył. – Czekać na okazję, ale bogacić się i wzmacniać. A w odpowiedniej chwili podnieść głowy.

– Mierzi mnie ta ugodowość! – rozplómięła się Helena. – To zdrada!

– Generał Chłapowski też jest dla ciebie zdrajcą, córeczko? On także uważał, że trzeba najpierw wzmocnić się gospodarczo. I dlatego zarzucano mu lojalność wobec zaborcy. Bo my, Polacy, za bohaterów

uważamy tylko spiskowców czy emigrantów. A knuć po kątach albo uciekać jest najprościej. Trudniej zostać na miejscu, zacisnąć zęby i wziąć się do pracy.

Jan właśnie zacisnął zęby i spojrzał w bok. Teraz on poczuł się dotknięty, tak jak przed chwilą Jerzy. Sam Jezierski, zakłopotany i zarumieniony, z zapalem wycierał palce.

– Zresztą co nam przyszło z tych wszystkich powstań? – włączyła się Jerzowa. – Przelana krew i ludzkie cierpienie.

– Nie rozumiem was. – Helena zmieniła tonację z agresywnej na rozpaczliwą. – Przecież trzymacie się z dala od Niemców, a urzędnikom nie wolno wejść dalej niż do gabinetu. A teraz pozwalacie jednemu z nich, na dodatek szpiclowi, chodzić po domu i wtykać we wszystko nos. Może jeszcze zasiądzie z nami do stołu?

– Tak, pan Engel zasiądzie z nami do stołu – oznajmił Jerzy. – Łamie dla nas swoje zasady, więc my musimy nagiąć nasze. – Dziewczyna chciała jeszcze coś powiedzieć, ale dodał: – I proszę cię, Heleno, byś uszanowała moją decyzję.

Jan nie mógł odżalować, że połowy tej stanowczości i zdrowego rozsądku Jezierski nie potrafił wykazać, gdy chodziło o pohamowanie nadpobudliwości inwestycyjnej.

Helena przygryzła wargę i wyszła, trzaskając drzwiami.

Pozostali spoglądali na swoje dłonie, buty, ogórki, byle nie na siebie. Z niewoli skrępowania uratowały ich hałasy, które dobiegły zza drzwi: ktoś się przywitał, zaszurano czymś ciężkim po podłodze, coś rzucono na stół. Jan, siedzący najbliżej wyjścia, zeskoczył ze skrzyni i uchylił drzwi.

– To chyba dostawa z Poznania.

Jerzowa głośno westchnęła, zacisnęła pięści i wyszła ze spiżarni.

– Biedna! – rozczulił się Jerzy. – Musi odesłać to wszystko, a potem także to, co już uprzednio dostarczono. – Pokiwał głową. – Na szczęście przestała protestować. Choć jestem pewien, że strasznie cierpi. Ale przede mną nic się nie ukryje. Znam ją jak siebie samego.

Jan nic nie odpowiedział. Nie miał żony ani córki, ale jego zdaniem najbardziej niepokojące było właśnie to, że i Jerzowa, i Helena przestały protestować.

Jezierski wydobył z kamizelki wielgachny zegarek w kształcie rzepy i mruknął:

– Jedenasta. Za półtorej godziny obiad, a potem jadę do Poznania.
– Posłał Morawskiemu wymuszony uśmiech. – Postanowiłem postąpić zgodnie z twoją sugestią i raz jeszcze zwrócić się do Banku Ziemskiego z prośbą o pomoc. Ojciec zawsze powtarzał, że na nich można polegać.

Wszedł, a Jan z Mateuszem również opuścili kryjówkę, lecz zamiast wrócić na górę, weszli do kuchni. Na stole, na blatach kredensów, a także na podłodze stały pootwierane paczki różnej wielkości. Na mniejszych pudłach, wypełnionych czekoladami, belgijskimi bombonierkami i maciupkimi ciasteczkami, widniały napisy: *Confiserie de Paris – Paryski skład cukrów Zofii Chołodyńskiej*, a na dużych drewnianych skrzyniach można było przeczytać: *Leon Szczawiński, Bazar*. Zawierały one przyprawy ze wszystkich stron świata, bakalie, esencje, kawę i herbatę, pomarańcze, banany, cytryny i ananasy, kawior astrachański i mięso żółwia, masło rakowe i kasztany, pasztety strasburskie, endywię i karczochy.

– Zawołaj Baltazara, żeby pomógł to przenieść do spiżarni – poleciła służącej Jerzowa.

– Poszedł czyścić domki lęgowe – przypomniała sobie dziewczyna.

Weszło dwóch mężczyzn i wnieśli skrzynię z napisem: *Skład win, likierów i wódek*. Z uwagą postawili ją obok czterech podobnych. Jan zdjął wieko i uniósł kilka butelek: rum jamajski, arak indyjski, porto i madera.

Spojrzał na Jerzową, która nieumiejętnie, ale z wielką gorliwością rozpakowywała wiktuały ze sklepu kolonialnego. Otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna w beżowym kitlu.

– Rybki przywiozłem, dziedziczko. Jesiotrek, łososik i sandaczek, wedle zamówionka.

– Połóżcie gdzieś tu – poleciła mu pani domu, rozglądając się bezradnie dookoła.

– Ryby trzeba złożyć w lodowni – wtrącił się Mateusz.

– Lodownia! – rozpromieniła się. – Doskonały pomysł. – Narzuciła na siebie chustę, w której wyglądała jak juhas, i wybiegła, rzucając na odchodnym: – Mateuszu, sprawdź, proszę, zgodność rachunku

z zawartością tych skrzyń z trunkami.

Jan zanucił Joachimową melodyjkę „Hm, hm, hm”. Najwyraźniej przekonanie Jerzego o odwołaniu ślubu było cokolwiek przedwczesne.

ROZDZIAŁ 10

Jan z Mateuszem odkładali właśnie do skrzyni ostatnią, sześćdziesiątą butelkę – był to likier Grand Marnier – gdy wróciła Jerzowa.

– Dobrze, że jeszcze tu jesteście – wysapała. – Wieczorem mają przyjechać trzy przyjaciółki Heleny, więc nie możecie zostać na piętrze. – Zdjęła chustę i zgarnęła wszystkie rachunki. – Ta niezdolna Ewelina odmówiła spania w szkarłatnym pokoju, więc może wy tam się przeniesiecie?

Jan nie wyraził sprzeciwu, a ponieważ do obiadu została ponad godzina, postanowili z Mateuszem zająć się przeprowadzką od razu, zwłaszcza że służące przeniosły już rzeczy Eweliny i Laury do sypialni na piętrze, znajdującej się między tarasem a pokojem Heleny.

Gdy szli po schodach, Jan wytknął kamerdynerowi:

– I co powiesz o tych naciskach Heleny, by rodzice wymówili Joachimowi dom? Jak to się ma do twoich teorii o ich wzajemnym zauroczeniu?

– On jej robił awanse, a ona uniosła się honorem – wyjaśnił biegle Mateusz, który ostatnio przeczytał, jedną po drugiej, cztery powieści Rodziewiczówny.

Pakując rzeczy w pokoju na piętrze, Morawski przekonał się, że oprócz ukradzionego Szulcowi wykazu nie zginęło nic – ani paszporty, ani broń, ani pieniądze. Nic.

Znieśli bagaże na dół, a gdy po chwili Jan wrócił po raz ostatni na piętro, by zabrać swój neseser, usłyszał dobiegające z pokoju Heleny miauczenie. Popchnął palcem uchylone drzwi i zobaczył Leona zażywającego na łóżku rekreacji. Morawski zatrzymał się. Wejść czy nie wejść? Opory natury moralnej (prawo do prywatności) i obyczajowej (tabu nieskalanego gniazda panińskiego) walczyły w nim z ciekawością detektywa. Przypomniał sobie napady zamyślenia kuzynki, jej niezrozumiałą zgodę na zerwanie zaręczyn, obsesyjne wpatrywanie się w Joachima i wreszcie prawie histeryczne domaganie się, by odmówiono mu gościny. Dookoła panowała cisza, a sama Helena wyszła – Jan widział ją idącą w stronę jeziora. Okazja mogła się nie powtórzyć. Szalę

przeważało wspomnienie kłamstw trójki Jezierskich. Morawski poczuł się zwolniony z obowiązku szanowania ich prywatności i cichutko wszedł do środka.

Sypialnia znajdowała się na osi piętra, w wystawce od strony ogrodu. Na tle kremowych ścian stały ciemnobrązowe meble, a przez śmietankowe, muślinowe firany przesączało się miękkie listopadowe światło, w którym wszystko wygląda pięknie. Po prawej stronie, tuż za malutkim parawanem, ukryła się niska kanapka, na której prawdopodobnie ostatnią noc spędziła Laura. Pod przeciwległą ścianą stało mahoniowe łóżko, a nad nim wisiał srebrny ryngraf. Jan go odwrócił i przeczytał dedykację od matki chrzestnej Heleny, pierwszej bratowej Jerzego, wtedy jeszcze narzeczonej Jerzowego brata.

Brakowało typowych akcesoriów panny na wydaniu – sztalug czy koszyczka z robótkami – a ich miejsce zajmowały książki, głównie powieści. Przeważały dzieła współczesnych polskich pisarzy: Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, natomiast na poduszce leżał tom *Anny Kareniny*.

Przy jednym z dwóch okien stało niewielkie biurczko pokryte mozaiką wizytówek, projektów menu, monogramów, wycinanek i zasuszonych liści. Z tego różnobarwnego tła wyrastały ułożone na środku dwa woluminy. Na wierzchu spoczywał jeden z dzienników, które dziadek prowadził w sekrecie latami i których kilkanaście tomów zdumiona rodzina odkryła po jego śmierci. Jan dostrzegł wystającą kartkę i otworzył księgę w miejscu, które zaznaczono. Najpierw spojrzął na samą zakładkę i wytrzeszczył oczy: był to przepis na *Bezcenną nalewkę malinową*, który wczoraj wieczorem zniknął ze skrzyneczki dziadka. Czyżby Helena odkryła w dzienniku jakąś wskazówkę pozwalającą rozszyfrować ten przepis? Jan zobaczył oczyma wyobraźni wielki słój wypełniony malinowymi rubinami... Podniósł dziennik i zaczął czytać, ale jego wzrok zsunął się na drugą księgę leżącą na biurku – słownik francuski w szmaragdowej oprawie, który poprzedniego popołudnia Helena studiowała. Położył na nim dłoń i uniósł okładkę. Brwi podjechały mu w górę: kartek w środku nie było. Dziewczyna posługiwała się jedną z tych atrap książek, w których zwykle panowie ukrywają przed swymi magnifikami zakazane trunki.

Wewnątrz tego pudełka znajdował się niewielki czerwony zeszyt. Morawski odłożył dziennik dziadka, odwrócił fałszywy słownik i wyłuskał kajet. Podniósł okładkę i zobaczył pierwszy zapis: „20 września 1899. Dzisiaj przyjechałam do Drezna. Spędzę tu cały rok, studiując języki...”.

W tym momencie do świadomości Jana dotarł dochodzący z parteru głos:

– Nakryj do stołu, a ja pójde posprzątać na górce.

Morawski wahał się ułamek sekundy. Pamiętnik Heleny schował do słownika, a całość ukrył pod swetrem. Dziennik przesunął na dawne miejsce na środku biurka i na palcach uciekł z pokoju, od progu dając Leonowi znak, by go nie zdradził. Naciskał klamkę drzwi swej dawnej sypialni, gdy między tralkami balustrady ukazała się głowa służącej. Wepchnął swą zdobycz do neseseru i zbiegł do pokoju w dobudówce.

Kamerdyner był zajęty wygładzaniem w szafie swego tureckiego szlafroka, a Jan wszedł, wyjął zeszyt z neseseru i słownika, usiadł w fotelu i zaczął przeglądać zapiski Heleny. Czuł się zażenowany, że bez pozwolenia czyta jej najtajniejsze wyznania, dlatego starał się tylko muskać wzrokiem co piąte zdanie. Nie chciał poznać jej myśli... to znaczy chciał, a raczej chciałby... ale nie w takich okolicznościach.

Były to zwykłe zwierzenia polskiej dziewczyny, która w szkole w Dreźnie pogłębiała znajomość języków obcych, a ponadto pracowała w biurze tłumaczeń. Nagle, w zapiskach z końca listopada 1899 roku, a zatem dokładnie sprzed roku, oczy Jana zahaczyły się na samotnej literze „J”. Cofnął się o kilka stron i wyczytał, że do biura, w którym Helena pracowała, przyszedł urzędnik i poprosił o sporządzenie tłumaczenia jakichś polskich dokumentów prawnych. Odebrał gotowy tekst, a potem przyniósł kolejny, kolejny i kolejny. Dziewczyna pisała o nim zawsze „J”, nie wymieniając ani jego imienia, ani nazwiska.

– Ciekawe? – zainteresował się Mateusz.

Jan zwięźle wprowadził przyjaciela w temat, a następnie przerzucił kartki i streszczał historię miłości Polki i Niemca. Czytał o tym, jak pewnego dnia w biurze zginęły ważne umowy i o ich kradzież posądzono bezbronną cudzoziemkę, ale wtedy przybył J, zawodowo parający się przeprowadzaniem śledztw, i znalazł prawdziwą

winowajczynię. Wieczorem czekał na Polkę pod biurem i odprowadził ją do jej pensjonatu, co potem stało się codziennym zwyczajem. Już sam ten incydent wystarczyłby, żeby zdobyć serce osamotnionej w obcym mieście panny, a oprócz tego był „najpiękniejszym i najmądrzejszym mężczyzną, jakiego spotkała”. Morawski czytał o wspólnych spacerach nad Łabą i po Tarasach Brühlowskich, o wyprawach do muzeów, o lekcjach polskiego, jakich zaczęła ukochanemu udzielać, o róży, którą od niego dostała. Na tym rajskim obrazie pojawiały się też rysy – wyrzuty, jakie sobie czyniła, że wbrew nakazom patriotyzmu zakochała się we wrogu swej ojczyzny, a także wspomnienie narzeczonego, który został w kraju. Tak minęła upojna wiosna, cudowne lato i nadeszła jesień, a z nią koniec rocznego pobytu Polki w Dreźnie. I choć całym sercem kochała swego Niemca, poczucie obowiązku kazało jej wrócić do Polski, zwłaszcza że rodzinny majątek był zagrożony, a ona miała otrzymać w dniu ślubu pokaźny spadek. Nieubłaganie zbliżał się termin uroczystości, a dziewczynę odszedł sen i apetyt. W dzień snuła się po parku, nocami płakała lub rozmyślała przy oknie. Nagle, tuż przed ślubem, w domu jej rodziców pojawił się on, nieodżałowany, wytęskniony J.

W tym miejscu zeszyt się kończył, tylko na ostatniej stronie widniał cytat:

„Dziwny miłości traf się na mnie iści,
Że muszę kochać przedmiot nienawiści”*

Jan zamknął kajet i przez chwilę wpatrywał się w niego. Chciał wiedzieć, jaką zagadkę nosi w sobie Helena, no i się dowiedział. Podniósł głowę i zobaczył, że Mateusz ociera oczy jego muszką.

– I co dalej? – pogonił lektora.

– Na tym się kończą zapiski – westchnął Morawski.

– Jakie zapiski?

– To pamiętnik Heleny.

– Pamiętnik? – wykrztusił oszołomiony Mateusz. – A ja myślałem, że pan czyta powieść! To straszne. – Nagle się rozpromienił. – To cudowne! A nie mówiłem? Mówiłem, pamięta pan? – Zerwał się z fotela i wymierzył w Jana palec. – Mówiłem, że on nie odrywa od niej oczu. A ona od niego. – Mateusz triumfował. – Miłość z przeszkodami!

Prawdziwy trójkąt miłosny!

– Nie rozumiem, dlaczego tak się cieszysz – zdenerwował się Jan.
– Pomyśl o jej rodzicach! O Andrzeju! Z tej sytuacji nie ma dobrego wyjścia! Cokolwiek ona zrobi, ktoś na tym ucierpi. Co za paszтет!

Mateusz przygasał.

– Rzeczywiście, to straszne. I co z tym zrobimy?

– Jak to, co zrobimy?

– No, po czyjej stronie staniemy? Pana Andrzeja czy tego Niemca? Ojczyzna czy miłość? Mnie się wydaje, że powinniśmy wspierać zakochanych.

– Nikogo nie będziemy wspierać – oświadczył stanowczo Jan. – To sprawa Heleny i jej rodziców.

– Trzeba po prostu przerobić pana Joachima na Polaka – wymyślił Mateusz. – Tak jak hrabiego Wentzla w *Między ustami a brzegiem pucharu*.

– Proszę cię, abyś niczego nie robił.

Kamerdynier nie wyglądał na przejętego tym poleceniem, a Morawski odniósł niejasne wrażenie, że na twarzy Mateusza ukazał się taki sam wyraz, jaki pojawił się na obliczu Jerzowej, gdy obiecywała, że odprawi kucharkę, odeśle zapasy i odwoła ślub.

– Ciekawe, co będzie dalej – rozważał kamerdynier. – Jadwiga z polskim narzeczonym zerwała.

– Helena też zerwała, ale moim zdaniem on tego nie przyjął do wiadomości.

– Myśli pan, że będą się pojedynkować?

Jan przewrócił oczami. Wepchnął pamiętnik pod materac, podszedł do okna i oparł się o parapet.

Słońce dotarło do najwyższego punktu w swej wędrówce i przysiadło na chwilę nad czubkami trzech świerków. Wyglądało jak mleczny klosz wielkiej lampy osadzony na trójnogu. Od rana deszcz wziął sobie urlop, ale przez ostatnie dni pracował tak sumiennie, że wilgoć nadal wyłaziła ze wszystkich kątów, rozsiewając przykry zapach pleśni.

Morawski zbliżył się do pieca i pogładził glazurowane, ciepłe kafle. W tym miłym ustroniu wszystkie problemy wydały się jakoś

łatwiejsze do rozwiązania. Próbował zrozumieć, w jaki sposób ta nowo odkryta relacja rzutuje na sprawę morderstwa Szulca. Czy Helena miała motyw do zabójstwa, skoro nie zależało jej na ślubie z Andrzejem? A co z Joachimem?

– Jeżeli oni są zakochani – rozważał półgłosem – to czy on przyjechał tu za nią, czy rzeczywiście ściga rudą lub jej współnika? A jeżeli to ostatnie, to czy tą rudą jest Jerzowa, czy Ewelina? – Spojrzał na Mateusza. – Wiesz może, gdzie naprawdę zniknęła rano Jerzowa?

– Nie. Gdy wyjeżdżałem o szóstej na policję, już jej nie było.

Jan sięgnął po skrzyneczkę dziadka, zanurzył w niej dłoń i niczym sierotka losująca wygraną w loterii wyciągnął ze środka pierwszą rzecz, która mu wpadła w rękę. Była to jedna z trzech starych kopert z listów przysłanych kiedyś seniorowi Jezierskiemu przez przyjaciela z Anglii. Jan niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w granatowy znaczek z jasnym profilem kobiecym.

– Do obiadu zostało pół godziny, więc wyjdę i rozejrzę się po najbliższych zaroślach – oświadczył. – A ty zagłądaj w każdy kąć i szukaj damskich trzewików o szerokim, ściętym przodzie. I postaraj się dowiedzieć, jak ma na imię Jerzowa.

Mateusz skinął głową i wyszedł, nucąc: „Trójkąt, miłosny trójkąt”.

Morawski wyciągnął ze skrzyneczki zeszyt z rebusami i jak zawsze otworzył go na stronie z nierozwiązaną zagadką. Jego wzrok padł na drugie hasło, jakże pasujące do tego refrenu: „Trójkąt, miłosny trójkąt”. Przyszło mu do głowy, że legendarnym celtyckim kochankiem był także – oprócz Tristana i Izoldy – trzeci z trójkąta: król Marek. Przez chwilę Morawski próbował dopasować literę „M” do hasła, jednak znowu nic z tego nie wyszło. W każdym razie ten przeblysł utwierdził go w przekonaniu, że pojedyncze rozwiązania wymagają ponownego zbadania.

* „Dziwny miłości traf...” – William Szekspir, *Romeo i Julia*, I, 5, tłum. Józef Paszkowski.

ROZDZIAŁ 11

Jan otworzył lewe okno i zszedł po drabinie. Zeskoczył na drewnianą platformę, z niej na murawę, a potem zagłębił się w parku i przez dwadzieścia minut przeczesywał najbliższe zarośla. Nie znalazł ani butów, ani żadnych świeżych śladów ludzkiej bytności. Tuż przed wpół do pierwszej wrócił do pokoju i zmienił swój gruby szary sweter na granatową marynarkę. Zajrzał do kredensu, lecz zaaferowany czymś Mateusz wprost go stamtąd wyprosił i bez żenady oznajmił, że posiłek będzie co najmniej kwadrans spóźniony. Morawski zamierzał wrócić do siebie, ale jakoś tak się stało, że bardziej atrakcyjne od drzwi po lewej stronie wydały mu się te po prawej, wiodące do sypialni Jerzów. Nagle uznał pokój gospodarzy za idealne miejsce do ukrycia butów mordercy.

Najtrudniejszy jest, jak wiadomo, pierwszy krok, a ten został wykonany, gdy Jan bezprawnie wkroczył do królestwa Heleny. Teraz wahał się krócej, pomny, iż łatwiej jest uzyskać przebaczenie niż pozwolenie. Postanowił więc wejść bez zgody właścicieli, a w razie wpadki sięgnąć do uświęconego tradycją repertuaru każdego przyzwoitego grzesznika: *mea culpa*, pięść w pierś i popiół na głowę.

Nacisnął klamkę i przestąpił próg. Najwyraźniej Jerzowa w swym szale odnawiania domu jeszcze nie dotarła do własnej alkowy. Choć pokój zajmował frontową część skrzydła, które dobudowano zaledwie siedem lat wcześniej, na ścianach snuły się zacieki, deski podłogowe klawiszowały, a tapicerka bezwstydnie pokazywała swą bieliznę. Żałość chwyciła za serce na widok ubożego umeblowania: dwóch złączonych łóżek, szafy, fotela i niewielkiego zmatowiałego lusterka krzywo ustawionego na blacie komody. W rogu, na lewo od drzwi, za pięcioskrzydłowym parawanikiem wstydliwie skrywał się stojak z miednicą i dzbanem. Na jednym stoliku nocnym królowała gromnica, pasyjka i Pismo Święte, na drugim okulary i książka w czerwonej oprawie z wypisanym pięknym gotykiem tytułem *Neues grosses Universal-Haus-Doktorbuch*.

Jan podszedł do szafy i znalazł wewnątrz tylko dwa wieszaki: na jednym smuciła się popielata suknia Jerzowej – identyczna jak ta, którą miała na sobie – a obok niej odpoczywało czarne ubranie Jerzego –

wierna kopia codziennego zestawu. Morawski nachylił się i na dnie szafy znalazł obuwie Jezierskich: buty Jerzego były tylko odrobinę dłuższe niż te poszukiwane, ale znacznie szersze i bardzo zaokrąglone, natomiast trzewiki Jerzowej miały odpowiednią długość, lecz były wąskie i spiczaste.

Odruchowo pomacał podszewkę surduta i w kieszeni wyczuł złożony papier. Wyciągnął dwie kartki i przeczytał. Kancelaria prawna w Strasburgu zawiadamiła pana Jerzego Jezierskiego, że dotarła do pewnych interesujących informacji o małżonce świętej pamięci Wojciecha Jezierskiego. Biuro dysponowało między innymi aktem ślubu małżonków Jezierskich i zeznaniami świadków, którzy spotykali panią Ewelinę Jezierską na różnych etapach jej życia. Odnaleziono ponadto kobietę, której pani Jezierska przed laty powierzyła swe dziecko. Prawnicy z troską wyrażali obawę, czy pani Jezierska jest odpowiednią opiekunką dla swej pasierbicy. Na końcu nadmienili, że pracę kancelarii wyceniają na dziesięć tysięcy marek i najuprzejmiej proszą o kontakt. Jan zmarszczył czoło. Epistoła była tak skonstruowana, że nie potrafił zdecydować, czy to szantaż, propozycja interesu, czy odpowiedź na zapytanie klienta szukającego argumentów w sporze z kłopotliwą bratową. Morawski zapamiętał nazwę kancelarii i odłożył list tam, skąd go wziął.

Sprawdził to, co chciał sprawdzić, i mógłby wyjść, ale podkusiło go, by zajrzeć do apteczki. Była to miniaturowa, pozbawiona okien kliteczka, całkowicie zastawiona szafami. Na półkach stały słoiki z maściami i butelki z syropami, a w szufladach kryły się woreczki pełne ziół i leczniczych roślin. Jan wysunął największą szufladę i zobaczył zestaw narzędzi chirurgicznych w rozwijanej torbie, butelkę z chloroformem, kawałki ałunu i biały porcelanowy słoik. Odkręcił pokrywkę i ujrzał proszek w kolorze zielonego groszku. Przytknął nos do naczynia i ziołowy zapaszek preparatu natychmiast przeniósł go na indyjskie bazary, a także do pewnego paryskiego apartamentu, którego właścicielka stosowała ten starożytny specyfik, by pogłębić rudą barwę swych włosów i ukryć pierwsze siwe pasma. Skąd się wzięła henna u Jerzowej, która całym swym zachowaniem wyrażała pogardę dla kobiecej troski o wygląd?

Tuż przy drzwiach umocowano rozkładany blacik. Na nim stało pudełko, którym poprzedniego popołudnia zajmowała się Jerzowa. Morawski uniósł wieko i wyjął trzy szklane flakoniki firmy Bayer z etykietą „Heroin” na każdym. Pojemniczki były pełne kapsułek, a na dnie pudełka spoczywał rachunek wystawiony dwa dni wcześniej przez poznańską Aptekę pod Białym Orłem. Tuż obok na blacie leżała strzykawka – szklany cylinder z metalowym tłokiem z jednej strony, a nasadką do igieł z drugiej. Jan uniósł ją i miłośnie pogładził kciukiem przezroczystą rurkę. Znał ten kształt na pamięć...

Drgnął i z westchnieniem odłożył strzykawkę. Chętnie pobuszowałby jeszcze po tej farmacji, ale przypomniał sobie, że lada chwila zostanie podany obiad. Wrócił do sypialni Jerzów i ruszył w stronę drzwi, a wtedy usłyszał czyjeś zbliżające się kroki. Istniała szansa, że to Mateusz szedł do ich pokoju, ale bardziej prawdopodobne było, że jedno z Jezierskich zmierzało do siebie.

Morawski rozejrzał się po pokoju. Gdzie się schować? Pod łóżko? Do szafy? Do apteczki? Desperackim ruchem dopadł do parawanu i tak przesunął dwa skrajne skrzydła, że całkowicie go zasłoniły. Drzwi się otwarły i ktoś wszedł. Jan cofnął się pół kroku, tak nieszczęśliwie jednak, że poruszył dzban, który uderzył w porcelanową misę. Naczynia szczęknęły histerycznie, a Morawski zamarł.

– Przepraszam, moja droga, że ci przeszkadzam – rozległ się miły głos Jerzego.

Jan mruknął nijako i chwycił białą szmatę leżącą na taborecie. Podciągnął rękaw marynarki do łokcia i przewiesił przez parawan to, co było chyba halką Jerzowej. Liczył na pruderię Jezierskich i się nie zawiódł.

– Już wychodzę – zapewnił taktowny mąż. – Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś niczym się nie frasowała. Oprócz mnie nikt nie widział, jak w nocy wracałaś, a ze mnie nawet koźmi tego nie wyciągną.

Odchrząknął, ale nic więcej nie dodał. Po chwili trzasnęły zamykane drzwi.

Jan opadł na taboret, oparł głowę o ścianę i rozpiął górny guzik koszuli. Myślał o Jerzym i coraz bardziej marszczył czoło.

Gdy wstał, by opuścić ten grząski teren, drzwi ponownie

skrzypnęły i Morawski skulił się w swym kątku. Przyłożył oko do szczeliny między segmentami parawanu i zobaczył Engla, który skradając się niczym kot, zmierzał w stronę szafy. Otworzył ją i podniósł but. Potem stanął w progu apteczki i oglądał coś na blacie. Jan złożył skrzydło parawanu od strony ściany, cicho przesmyknął się do drzwi, otworzył je i udając, że właśnie wszedł, spytał groźnym głosem:

– Szuka pan czegoś?

Niemiec gwałtownie się odwrócił, lewą dłoń miał schowaną w kieszeni.

– Jadalni – oświadczył po sekundowym zawahaniu.

Uczciwość nie pozwalała Janowi skarcić współgrzesznika, więc tylko zaproponował kwaśno, że go zaprowadzi. Wyszli razem na korytarz, a tam pan Joachim wskazał drzwi do sypialni, gdzie zginął Szulc.

– Słyszałem, że teraz pan mieszka w tym pokoju – oznajmił. – Czy mógłbym jeszcze raz tam zajrzeć?

Jan westchnął i otworzył drzwi. Weszli do szkarłatnego pokoju.

– Sądziłem, że wyruszył pan ścigać szwaczki – zagadnął.

– Ach, szwaczki. Tak, wyruszyłem. Ale upewniłem się, że one nie mają nic wspólnego z tym morderstwem – stwierdził Niemiec, a jego spokojna, wręcz znudzona twarz nie wyrażała po prostu nic. – Gdy rozmawialiśmy rano, nie powiedział mi pan, że trwają tu poszukiwania skarbu.

– Nie sądziłem, że to pana zainteresuje.

– Mnie wszystko interesuje. Zwłaszcza że do morderstwa doszło w pokoju, w którym znaleziono skrzyneczkę seniora Jezierskiego.

Patrzył pytająco na Morawskiego, ale ten w milczeniu ruszył do wyjścia, zastanawiając się, kto we dworze ma za długi jęzor. Dotarł do drzwi, ale okazało się, że policjant bynajmniej za nim nie podążył – stał przy oknie, przez które zeszłej nocy padł strzał, i z nosem przy szybie coś oglądał.

– Myślałem o oskarżeniach, które gospodarze rzucali pod adresem swego nerwowego gościa – wyznał. – Wszystko wskazuje na winę pani Eweliny, ale obaj wiemy, że nie mogła popełnić tego morderstwa. Oczywiście sprawa przedstawiałaby się inaczej, gdybyśmy znaleźli te

buty.

– My?

– Przecież współpracujemy – przypomniał Janowi Engel, odwracając się ku niemu.

Morawski poznał już tego liska na tyle, by wiedzieć, że zaraz poda cenę zaoferowanego awansu.

– Państwo Jezierscy – zaczął ostrożnie Niemiec – zareagowali dość emocjonalnie, gdy spytałem, dlaczego pani Ewelina miałyby zabijać Schulza, a potem pan Jerzy wspomniał coś o swym bracie. Czy mógłby mnie pan trochę objaśnić w tej kwestii?

– Żałuję, ale to sprawa wyłącznie Jerzego. – Jan położył dłoń na klawecie.

– Nie pytam o plotki, lecz o fakty – tłumaczył się pan Joachim. – I tak się dowiem, a pan ułatwiłby mi życie, wprowadzając mnie w temat. Proszę tylko o podstawowe dane. Kiedy zmarła pierwsza żona brata pana Jerzego, kiedy ożenił się z panią Eweliną, kiedy zmarł.

Morawski przez chwilę wpatrywał się w policjanta i nie mógł nie przyznać mu racji. Engel bez problemu zdobędzie te informacje, ale gdyby to Jan mu ich udzielił, w tej najbardziej oczyszczonej ze szlamu wersji, zobowiązałby Niemca na przyszłość.

– Pierwsza żona Wojciecha zmarła mniej więcej osiem lat temu na gruźlicę – powiedział. – Cztery lata temu wdowiec poznał Ewelinę w Karlsbadzie. Pobrali się chyba szybko. Nie odpowiadało jej życie w Polsce, więc zaczęła podróżować. Po dwóch latach małżeństwa jej mąż zmarł na niezżyt żołądka.

– Czy pan Jezierski był jej pierwszym mężem? – spytał szybko pan Joachim.

– Miała męża, ale nie wiem, czy zmarł, czy się rozwiedli.

– A czy miała dzieci?

– Nigdy o tym nie słyszałem – odparł Morawski zgodnie z prawdą. Z holu dobiegł dźwięk gongu. – A skoro współpracujemy, to chciałbym wiedzieć, czy ściga pan Szulca, czy rudą.

– Rudą?

– Tę, przez którą sędzia E. popełnił w Bad Nauheim samobójstwo. Przez chwilę dwie pary brązowych oczu wpatrywały się w siebie

i Jan był pewien, że Engel wszystkiego się wyprze.

– Rudą – wyznał niespodziewanie policjant – bo Schulz, jeśli był tym współnikiem, to tylko płotka. Ale to jego tropem przybyłem do Poznania.

– I zapewne zrezygnował pan ze ścigania szwaczek – odgadł nagle Morawski – gdy dowiedział się pan, że obie są blondynkami.

– Wyślę polecenie do Poznania, by tamtejsi policjanci na wszelki wypadek je przesłuchali.

Jan, zadowolony ze swego *coup de main**, uśmiechnął się i zaproponował, by poszli na obiad. Wolał przerwać tę wymianę wyznań, przynajmniej do czasu, gdy to on będzie potrzebował od detektywa informacji.

Panowie weszli do jadalni głównymi drzwiami i Morawski z zaskoczenia zatrzymał się w progu. Na wprost nich, po obu stronach przeszklonych drzwi prowadzących do ogrodu, wisiały wielkie biało-czerwone flagi. Jakby tego było mało, wstążeczki w tych kolorach służyły jako kółka do serwetek, a podobna rozetka jaskrawo odbijała się od atramentowej bluzki Heleny. Ona to musiała być projektodawczynią tej patriotycznej demonstracji, a w jej wykonaniu maczał ręce Mateusz, o czym świadczyły uśmieszki, jakie ta para między sobą wymieniała.

– Oszaleliście? – szepnął Jan kamerdynerowi.

– Ona daje Niemcowi znak, że żąda, by przeszedł na stronę Polaków – wyjaśnił Mateusz.

Brakowało tylko Eweliny, lecz po minucie oczekiwania zjawiała się służąca Wokulska i oznajmiła:

– Ona śpi.

– Zjemy bez niej – zdecydował Jerzy.

W tym momencie Jan spojrział na Laureę, usadowioną po przekątnej. Po jej zielonkawej twarzy przebiegła bryza i wygładziła wszystkie bruzdy, wodniste oczy zbłękitniały, a kurczowo uniesione ramiona opadły. Morawski uśmiechnął się do niej i po raz pierwszy prawie mu odpowiedziała.

Wszedł Mateusz z wazą i ruszył dookoła stołu. Wszyscy oprócz Heleny nałożyli sobie gęstej, ciemnej czerniny z jasnymi wysepkami kluseczek.

Milczenie przerwał Engel.

– Pani nie je? – spytał Helenę.

– Nie. Jadałam tę zupę jako dziecko, bo myślałam, że to zupa rodzynekowa. Ale potem dowiedziałam się, z czego jest gotowana, i od tej pory jej nie tykam.

– A z czego jest gotowana?

– Z krwi – poinformowała go uprzejmie.

Jerzowa spojrzała z niepokojem na Laurę, ale ta nie знаła niemieckiego, więc z apetytem pałaszowała zupę rodzynekową, doskonale nieświadoma, że dla jej przygotowania utoczono krwi zajączkowi.

Niemiec jednak nie dał się zbić z pantafelów i spokojnie jadł dalej.

– A gdzie pani narzeczony? – zagadnął ponownie.

– Obowiązki wezwały go do domu – odparła po chwili.

– Andrzej gospodaruje na sporym terenie – wtrącił się Jerzy – a ponieważ uważa, że musi nadzorować wszystkie prace, ledwie starcza mu na to dnia. – Spojrzał na Morawskiego. – Świetnie zgodziłby się z twoim dziadkiem, Janie.

– Stara szkoła Generała – przytaknął zagadnięty i wyrecytował: – Wiedzieć, co się dzieje w majątku, znać każdego robotnika, każde pole, każdy kamień.

– I we wszystkim pilnować oszczędności – dodał Jerzy.

– A pana zdaniem to nie wystarcza, by odnosić sukcesy? –

Przebiegły Engel bez pudła wyczuł przekaz w głosie pana domu.

Jan spojrzał na Helenę: zaciskała dłoń na serwetce, a na jej twarzy rozlewał się coraz silniejszy rumieniec.

– To wystarcza, by przetrwać – prychnął pan domu. – Ale co z rozwojem? Nie można odrzucać wszystkich wynalazków agrotechniki. A Andrzej boi się wykonać najlżejszy krok, który mógłby zachwiać równowagą gospodarstwa. Nie inwestuje, nie wprowadza zmian, nie unowocześnia – gorączkował się Jerzy, odliczając kolejne błędy na palcach.

– Zawsze mi powtarzałeś, tato, że o nieobecnych mówi się dobrze lub wcale – przyhamowała go córka. I dodała po polsku: – Poza tym obmawiasz mojego narzeczonego przed obcym człowiekiem. Przed

naszym wrogiem.

Jezierski spurpurowiał i bąknął coś pod nosem. Jan poczuł, że znaleźli się na towarzyskim lodowisku i pod nogami skrzypi im lód. Na ratunek ruszył Mateusz. Wyłonił się z cienia i zaczął zbierać talerze po zupie.

Jan, zajmujący miejsce obok Heleny, wpatrywał się w siedzącego naprzeciwko Engla, który po francusku rozmawiał z uszczęśliwioną Laurą, i mimo woli porównywał go z Andrzejem. Jeden był niewysokim brunetem, drugi rozrośniętym blondynem. Jeden gładkim, wyrafinowanym mieszczuchem, drugi chropawym, prostodusznym wieśniakiem. Jeden pachniał wodą kolońską i kosztownym tytoniem, drugi papierosami i stajnią. Morawski spojrział na kuzynkę, która ukradkiem obserwowała policjanta. Z pewnością ją też uderzył ten kontrast.

Mateusz w towarzystwie służącej wniósł drugie danie: zrazy wołowe, kaszę i kapustę z grzybami.

– Zawsze podziwiam panie domu za ich inwencję w codziennym dysponowaniu posiłków – oznajmił policjant i dwornie skłonił się Jerzowej, po której prawicy siedział.

– Ależ szkoda mi na to czasu! – wyprowadziła go z błędu. – Na wszystkie dni tygodnia mamy od lat ustalony jadłospis, który zmienia się trochę w zależności od pory roku. To bardzo praktyczne: nie muszę co rano wymyślać potraw, no i zawsze wiemy, jaki to dzień. Wystarczy spojrzeć na stół. – Wskazała na swój talerz z najbardziej dopieczoną, prawie czarną roladką i suchą kaszą. – Skoro są zrazy, to mamy czwartek.

Znowu zapanowała cisza. Jan jadł i spoglądał na współbiesiadników: na talerzu Jerzego wszystko tonęło w sosie, a on co chwilę dobierał kaszy, by go nie marnować. Laura wydłubywała ze środka zrazów boczek i odsuwała na bok, Helena wpatrywała się w Niemca jak zahipnotyzowana i nie zwracała uwagi na to, co je, natomiast Jerzowej nagle przypomniało się, że obecność gościa do czegoś ją zobowiązuje, i pod obrusem dopinała do szarej sukni białe mankiety.

– Dawno nie jadłem czegoś tak wybornego – zapewnił Engel panią

domu, po czym uklonił się Helenie: – I dawno nie słyszałem tak pięknej Niemczyny jak pani.

– Helena przez rok przebywała w Dreźnie – pochwalił się Jerzy.

– A przedtem przez osiem lat zmuszano ją na polskiej pensji do nauki niemieckiego – uzupełniła panna.

Jan chrząknął. Chciał zaproponować jakiś bezpieczny temat rozmowy, ale wszystko kojarzyło mu się z tajemnicą zakazanej miłości.

– Czy teraz, skoro pani zaręczyny zostały zerwane, będzie pani kontynuować naukę? – zagadnął Niemiec.

– Planowałam wstąpić do selekty** w szkole panien Danysz, ale została właśnie zamknięta. Takie polecenie wydano w Berlinie, skąd przychodzi wszystko, co dobre i piękne.

– Choć może pani w to wątpi, zdarza się, że z tego Berlina przychodzi coś dobrego. Wielkopoleanie szczycą się teraz swymi wielkimi cnotami: oszczędnością, zamiłowaniem do porządku, pracowitością. Ale z pewnością przyzna pani, że te cnoty nie należą do kanonu wartości staropolskiej szlachty, są natomiast fundamentem naszej niemieckiej kultury mieszczańskiej.

– Czy pan sugeruje, że wszystko, co osiągnęliśmy, zawdzięczamy wam?

– Nie kieruje mną bynajmniej pycha – uśmiechnął się pan Joachim.

– Wierzę, że „najmniej wartościowym rodzajem dumy jest duma narodowa”***.

– Chyba nie bardzo naśladujemy Niemców – włączył się Jan, uprzedzając Helenę. Nie wiedział tylko, czy w ogóle powinien zabierać głos w tym, co najprawdopodobniej było kłótnią kochanków. – Wielu znawców tematu uważa, że wielkopolescy ziemianie, ci nowocześni, którzy osobiście zajmują się majątkiem, czerpią więcej ze wzorców angielskich niż niemieckich. Coraz bardziej przypominają tych farmerów dżentelmenów, którzy lubią swoje zajęcie i znają się na nim.

Helena uprzejmie pozwoliła kuzynowi skończyć, ale jej odpowiedź odnosiła się do słów Engla.

– Chyba nie jest pan dokładnie zorientowany, jeśli uważa pan swój naród za naszego nauczyciela. W wielu dziedzinach, na przykład cukrownictwie, było odwrotnie – to Niemcy uczyli się od Wielkopolan.

– Brakuje mi rzetelnej wiedzy, by z panią polemizować. –
Detektyw uklonił się Helenie, Janowi zaś odpowiedział: – A jeśli chodzi o tę postawę, o której pan mówił, to być może wzorowana jest na Anglikach, ale bodźcem do jej powstania było zetknięcie się z bardziej rozwiniętymi Niemcami.

– I konieczność obrony przed pruską biurokracją – nie podarowała sobie Helena.

– To zapewne również – przyznał Niemiec. – Ale postawieni przed koniecznością walki Poznaniacy zmobilizowali się i osiągnęli niebywały postęp. Dzięki temu staliście się takimi, jakimi jesteście.

– Mam panu za to podziękować?

– Bądź sprawiedliwa, Heleno. – Jan postanowił przerwać ten fechtunek. – Przyznaj chociaż, że pruski przykład zmusił ludzi do oszczędności, do ograniczenia wydatków, do powściągnięcia tej rujnącej ostentacji, która nadal kwitnie w Królestwie.

– Powiedzmy więc – szarmancko podsumował Niemiec – że to my daliśmy impuls do zmiany, a Wielkopoleanie doprowadzili nasz ideał do takiej perfekcji, że teraz my musimy przysiąść fałdów, by nie dać się przegonić.

Jan skinął głową na tę polubowną uwagę, ale Helena siedziała z zaciśniętymi wargami i wpatrywała się w niedojedzony obiad. Pozostali nie interesowali się tą rozmową – Jerzy opowiadał Laurze, jakiego dostanie konika, a Jerzowa wymieniała tajemnicze znaki z kamerdynerem.

Nagle wielki zegar, który stał w rogu i uchodził dotąd za umarlaka, dwa razy jęknął, coś z siebie wypluł, wziął oddech i gdy wszyscy czekali na jakieś straszliwe kaszlnięcie, wydał ze swych trzewi podrywającą na nogi melodię *Mazurka Dąbrowskiego*. Mateusz porozumiewawczo mrugnął do Heleny, a ona roześmiała się na głos. Odczekała do końca kurantu, po czym wstała, przeprosiła wszystkich i wyszła z jadalni. Państwo domu zaczęli się sumitować przed gościem, na zmianę płatali się i gadali coś o rozczarowaniu, jakiego doznała ich córka.

Mateusz sprzątał talerze po drugim daniu, gdy do jadalni weszła służąca.

– Pani dziedziczko, cały wielki wóz statorów**** przywieźli –

oznajmiła z dygnięciem. – Pono wyprawne panienki.

– Ale przecież... – zaczął Jerzy.

– Pewnie nie dostali mojej wiadomości o rezygnacji z zamówienia – wyjaśniła Jerzowa, zrywając się na nogi. – Zaraz ich odeślę. Chodź, Mateuszu.

Wyszła, a mąż natychmiast się rozpogodził i zajął miseczką kompotu. Czereśniowego, bo to był czwartek.

Jan natomiast z przerażeniem myślał o Jerzowej. Zaczynała mu przypominać Indianina: twarda, żylasta, zdecydowana, zaszyta w trawie i uciekająca się do podstępów. Zdolna do wszystkiego.

* *Coup de main* (fr.) – atak z zaskoczenia (dosł. uderzenie ręki).

** Selekt – dodatkowa klasa o programie zbliżonym do seminarium nauczycielskiego, przygotowująca dziewczęta do egzaminu państwowego.

*** Słowa Arthura Schopenhauera.

**** Statory (gwara poznańska) – naczynia kuchenne.

ROZDZIAŁ 12

Po obiedzie rozpoczął się exodus panów. Niemiecki detektyw wsiadł do policyjnej bryczuszki i pojechał do agencji pocztowej w Sadach, a Morawski postanowił wyruszyć na rekonesans po okolicy, znaleźć kwaterę Szulca i zrobić użytek z „pożyczonego” kluczyka. Najlepiej byłoby namówić na tę wyprawę Andrzeja i przy okazji go przepyttać, ale nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy Kmicic się pojawi. Co się tyczyło Jerzego, to wybierał się do Banku Ziemskiego w Poznaniu, by jeszcze raz prosić o udzielenie pożyczki na ratowanie Jezior przed subhastą*.

– Muszę tylko znaleźć kopie tych przeklętych papierów, które podpisałem Szulcowi – mruknął, wchodząc do gabinetu.

– Sprawdź przy okazji w banku, czy dziadek nie ulokował tam pieniędzy – poradził Jan. – Może te stare kwity ze skrzynki miały naprowadzić nas na ślad jakiegoś depozytu?

– Już to sprawdziłem – odparł Jezierski. Wyciągnął z kieszeni ten swój kraciasty obrus i przetaił nim czoło. – Ojciec miał u nich tylko jeden depozyt i dwadzieścia lat temu go zlikwidował. A ponieważ kilka miesięcy wcześniej, tuż po narodzinach Heleny, sprzedał majątek pod Bydgoszczą, byliśmy pewni, że za tę łączną sumę kupił coś i ukrył.

Wyrzucił zawartość szuflady na biurko i próbował przekopać się przez stertę papierów. Morawski już chciał zaproponować mu pomoc, ale ugryzł się w język. Uporządkowanie dokumentów Jerzego mogło zająć cały nadchodzący adwent, a Jan miał inne plany. Spytał, czy w położonym na południe od dworu Baranowie znajduje się karczma, a uzyskawszy odpowiedź twierdzącą, opuścił gospodarza, prosząc na odchodnym, by osiodłano dla niego konia.

Poszedł do siebie, przebrał się w bryczesy, włożył wysokie buty, a potem z walizki Mateusza wyciągnął zapasowy skórzany sak podróżny. Wrzucił do niego dwie przypadkowe książki, brudną koszulę, rozwleczone skarpetki i dopchnął wszystko haftowaną poduszką. Ze skrytki w neseserze wydobył komplet wytrychów, a z buta, w którym całe przedpołudnie chodził – gęsto żłobiony i ponacinany kluczyk Szulca. Włożył kurtkę, do kieszeni schował wytrychy, kluczyk i swój

notes, sięgnął po kapelusz i wyszedł.

Wstąpił do gabinetu, by spojrzeć na mapę posiadłości i upewnić się, czy dobrze pamięta drogę. Jerzego już tam nie było, natomiast papiery zakrywały nie tylko biurko, ale też cenny dywan na stole. Jan nie byłby sobą, gdyby nie zerknął na kilka z nich. Podniósł leżącą na wierzchu kartkę i przeczytał *Niepowtarzalną ofertę sprzedaży ziemi przy drodze berlińskiej*. Pośrednik nieruchomości zapewniał, że gdy tylko Poznań przestanie być twierdzą, Fort VII zostanie rozebrany, a okoliczne grunty, teraz dostępne po okazyjnej cenie, „stukrotnie zyskają na wartości”. Morawski podziękował losowi, że Jezierski nie miał pieniędzy na ten zakup, i sięgnął po kolejny dokument. Zobaczył cennik skupu pereł słodkowodnych napisany na papierze firmy jubilerskiej W. Kruk. Z tekstu wynikało, że była to odpowiedź na konkretne zapytanie.

Zmusił się do zostawienia kartki, rzucił okiem na mapę i wyszedł na zewnątrz. Stajenny czekał już z koniem, lecz w chwili, gdy Jan wsunął stopę w strzemień, rozległ się tętent kopyt i pod dwór przygalopował Kmicic. Zeskoczył z siodła i wydyszał:

– Gdzie Helena?

– Pomaga matce – wymyślił na poczekaniu Jan. Nie zamierzał wypuścić z ręki swej zdobyczy, więc szybko dodał: – A Prusak wyjechał i wróci dopiero wieczorem.

– Wyprowadzasz się? – zaniepokoił się Andrzej na widok worka przytroczonego do siodła.

– Nie, nie – zaśmiał się Morawski. – Jadę do karczmy w Baranowie sprawdzić, czy przypadkiem nie kwaterował tam ten zamordowany Szulc.

– Ale po co ci worek?

– Wynajmę pokój i tym sposobem dostanę się do środka. Może się przyłączysz? Karczmarz szybciej mi zaufa, jeśli pojawisz się ze mną.

Prostoduszny Ostrowski patrzył na Jana spode łba i marszczył czoło.

– Jedziesz tam, żeby znaleźć ślad mordercy i uwolnić Helenę od tego szpicla?

– Właśnie, właśnie – przytaknął Jan, lecz zrobiło się mu nieswojo. Gdyby Andrzej wiedział, że Helena wcale nie chce uwolnić się od tego

szpicla! Dla pokrycia zakłopotania Morawski odwrócił się i wsiadł na konia.

– W takim razie jadę z tobą, kuzynie! – rozpromienił się Kmicic.

Wskoczył na siodło i ruszyli. Najpierw jechali główną drogą dojazdową do dworu, minęli po lewej bramę starego podwórza, a potem po prawej zabudowania nowego. Zamiast zmierzać prosto na zachód, tuż przed ochronką i lecznicą Jerzowej skręcili na południowy zachód. Andrzej wesoło pogwizdywał, a Jan uparcie milczał. Krępowała go wiedza, że tuż obok, w cieniu, już czaiła się pięść gotowa w każdej chwili roztrzaskać szczęście towarzyszącego mu junaka, choć on sam był tego jeszcze nieświadomy.

Podążali wiejską drogą, pod potężnymi olchami i białodrzewami gęsto porastającymi te podmokłe, przyjeziorne tereny. Jechali stępem, spokojnie, jakby to nie Andrzeja ślub stanął pod znakiem zapytania, jakby to nie Jan musiał zdecydować, które z jego krewnych popełniło morderstwo.

Morawski wydobywał z pamięci wszystkie drobiazgi, które świadczyły o tym, że Andrzej coś ukrywał. Po pierwsze, wiedział, że Szulc zginął od kuli. Po drugie, plątał się, gdy miał powiedzieć, gdzie był. A po trzecie, oglądał dom, jakby próbował zrozumieć przebieg jakiegoś wydarzenia. *Ergo*: Andrzej usłyszał strzał, bo w tym momencie znajdował się przed domem, a ponadto kogoś tam zobaczył. Najprawdopodobniej Helenę.

Janowi pozostało tylko wycisnąć z młodego Ostrowskiego wyznanie.

Przejechali przez drewniany mostek na niemrawym strumieniu, minęli zakręt w lewo i znaleźli się na wprost imponującego tunelu utworzonego przez dwa rzędy wielkich kasztanowców. Ich pnie, o średnicy częstokroć przekraczającej metr, były śmiesznie poskręcane wokół własnej osi, a korony tak rozłożyste, że mimo braku na nich liści w alei panował baśniowy półmrok.

Tam Jan przypuścił atak.

– Teraz, gdy już nikt nie może nas podsłuchać, opowiedz mi, co widziałeś w nocy.

Andrzejowi opadła szczęka, wytrzeszczył oczy i obiema dłońmi

chwycił się lęku.

– Skąd...? – wydukał, rozwiewając ostatnie wątpliwości swego towarzysza. – Ale ja nie...

– Daj spokój – prychnął Jan, wjeżdżając między starożytne drzewa.
– Widziałem cię przez okno.

– Widziałeś mnie?

– Nie tylko ciebie – dodał Morawski, by nie dopuścić do pytania: „Gdzie mnie widziałeś?”. – Wiem też, że Helena tej nocy wychodziła.

Przez chwilę słyszał wyłącznie stukot kopyt i szelest kruchych liści w żywopłocie bukowym po lewej stronie. W oddali na polu mignęła sarna. Sunęła niczym cień chmury szybko przesuwaną się po zalanej słońcem polanie. Na szczęście Andrzej nie zabrał broni.

– Ona tego nie zrobiła – oznajmił Ostrowski z zaciętą miną, patrząc przed siebie. – Od początku to wiedziałem, a teraz mam jeszcze niezbity dowód.

– Co widziałeś, Andrzeju? – Zapytany milczał, ale Morawski nie ustępował: – Pamiętaj, że jestem po waszej stronie i nie wspominałem Englowi, że cię widziałem. Musimy znaleźć mordercę, zanim Niemiec się dowie, że Helena nie spędziła tego wieczoru w swym pokoju. Co widziałeś?

– Jak Helena wracała do domu.

– Opowiedz mi wszystko dokładnie. Najdrobniejszy szczegół może mieć znaczenie. – Kmicic się nie odzywał, więc Jan mu podpowiedział:

– Wróciłeś z polowania i zastałeś w domu jej list. Przypuszczam, że mimo późnej pory natychmiast przyjechałeś do Jezior.

– Tak. – Andrzej skinął głową. – Zostawiłem konia przy nowym podwórzu, żeby nikogo nie obudził stukotem czy rzeniem. Do dworu doszedłem pieszo.

– Pukałeś do drzwi?

– Nie – wyznał z ociąganiem. – Głupio mi było alarmować cały dom. Ale w gabinecie paliło się światło, więc zapukałem w okno. Zasłona nie była zaciągnięta i zobaczyłem, że pokój jest pusty. Wtedy wpadłem na pomysł, by rzucić kamykiem w okno Heleny. – Chłopak spiekl raka i podrapał się po czuprynie. – Chciałem obejść dookoła dobudówkę, ale gdy przechodziłem pod oknem sypialni państwa Jerzów,

zderzyłem się z szybą. Zewnętrzne skrzydło było otwarte. Popchnąłem to wewnętrzne i...

– Wszedłeś do środka – pomógł mu Jan i szybko go rozgrzeszył: – Dobrze zrobiłeś. Był ktoś w pokoju?

– Nie. Ale to jeszcze nie jest najdziwniejsze. Nie wiem dlaczego, ale podszedłem do drzwi prowadzących do wnętrza domu. Były zakluczone, a klucz tkwił w zamku. Wtedy uświadomiłem sobie, że zakradłem się do obcego domu jak jakiś złodziej. I tak mi było głupio, że postanowiłem wrócić do siebie, do Jasienina. Wyskoczyłem na zewnątrz i ruszyłem drogą. Odszedłem kawałek i wtedy rozległ się strzał.

Akurat wyjechali spomiędzy drzew. Droga lekko zakręcała w prawo i pięła się w górę. Zamiast imponujących kasztanowców jeźdźcom przyglądały się teraz wiedźmowate wierzby o przyciętych rozczochranych czuprynach. W twarze dmuchał im nieprzyjemny zimny wicher, który szarpał odzież, zrywał nakrycia głowy i utrudniał rozmowę.

– Oczywiście zawróciłeś – odpowiedział Jan.

– Dotarłem na podjazd w chwili, gdy Helena przemykała się wzdłuż frontu domu i wchodziła do środka.

– Wzdłuż frontu od której strony?

– Lewej. Od jeziora. Zdenerwowałem się i chciałem za nią ruszyć, ale nagle pojawił się pan Jerzy i też wszedł do domu. Zgłupiałem. Dwór był taki cichy i ciemny. Przyszło mi do głowy, że może ktoś strzelał z innej strony. Więc odjechałem.

Podążali w milczeniu. Jan rozkładał tę relację na drobne fragmenciki i analizował każdy z osobna. Przede wszystkim to zeznanie całkowicie przekreśliło wielostronne alibi Jerzów, w które Morawski i tak powątpiewał, a które z radością storpedowała Ewelina. Według słów Andrzeja Helena i Jerzy byli poza domem, a według słów Jerzego Jerzowa też dokądś poszła. Gdzie oni się szwendali?

– Ile czasu upłynęło między strzałem a pojawieniem się Heleny? – spytał.

– Kilka sekund – odparł Andrzej.

Głos miał jednak tak niepewny, że Jan zasugerował:

– A może pół minuty? Albo minuta? – Młody Ostrowski tylko

rozkladał ręce. – A ile czasu upłynęło między pojawieniem się Heleny a nadejściem Jerzego?

– Nie wiem! – krzyknął tamten. – Było ciemno, a ja byłem wytracony z równowagi! Nie wiem.

Jan pohamował irytację. Lepiej, że chłopak wstrzymał się od odpowiedzi, niż gdyby ją wymyślał.

– A może widziałeś, skąd nadchodzili?

– Helena szła wzdłuż muru, a pan Jerzy też z lewej strony, ale bardziej od przodu, jakby z przystani. Widziałem, jak ostatni odcinek biegł.

Dotarli do traktu szamotulskiego i skręcili na południe.

– Na czym polega ten niezbity dowód niewinności Heleny? – przypomniał sobie Morawski.

– Nie mogę ci powiedzieć – oznajmił stanowczo Andrzej. – Ale przeprowadziłem niezawodny test.

Jan zapatrzył się na prostoduszne oblicze chłopaka i bezskutecznie usiłował odgadnąć, co ktoś taki mógł uważać za niezbity dowód.

Przysięgę na Pismo Święte?

– Cieszę się, że wszystko ci powiedziałem. – Ostrowski poklepał swego towarzysza po ramieniu. – Strasznie mi to ciążyło.

Humor rzeczywiście mu się poprawił i zaczął gwizdać, jakby samo wyznanie rozwiązywało problem. Zza zakrętu wyłoniło się skupisko kilku budynków. Podjechali do najbardziej okazałego i zsiadli z koni.

– Zrobisz wszystko, Janie, by udowodnić, że to nie ona, prawda? – Morawski skinął głową. – Byłem tego pewien, przyjacielu, dlatego wszystko ci opowiedziałem. Bo widzisz, bez Heleny nie ma dla mnie życia.

* Subhasta – przymusowa licytacja majątku (od łac. *sub hasta vendere*).

ROZDZIAŁ 13

Takiej karczmy jak ta w Baranowie Jan jeszcze nie widział. Stali z Andrzejem przed dziwnym piętrowym budynkiem z pomarańczowej cegły, pokrytym lekko spadzistym dachem z gontów. Niewielkie, kwadratowe okienka w czarnych ramach umieszczono tylko na parterze, a ponad nimi wznosił się ślepy mur.

– To stara wozownia – wyjaśnił ten niezwykle wygląd Andrzej.

Podeszli do pociemniałych od wilgoci drzwi i Jan nacisnął wykręconą ku górze klamkę.

– Uważaj, żeby nie wymknęło ci się ani jedno słowo o morderstwie – przestrzegł Kmicica.

Przez ciemny przedsionek przeszli do głównej sali, gdzie widoczność nie przekraczała kilku metrów. Jan dostrzegł surowe deski na podłodze, okopconą boazerię, najbliższy stół i nic poza tym, całe światło pochodziło bowiem z przymocowanych do ścian przedpotopowych lamp powozowych. W panującym tam półmroku mogli się skrywać bandyci, szmuglerzy i poborcy podatków, a wiedziałyby o nich tylko właściciel.

Zza ceglanego filaru wyłonił się mężczyzna w wielkim fartuchu. Miał świeące, przylizane włosy, rozdzielone pośrodku głowy boleśnie równym przedziałkiem, i policzki zarośnięte miotlastymi bokobrodami. Przywitał się z Andrzejem i spojrzał na jego towarzysza. Jan pospiesznie się przedstawił:

– Przyjechałem na ślub Andrzeja. Jestem jego przyjacielem ze szkoły. – Patron się rozpogodził, a Morawski dodał: – Chciałbym wynająć pokój na kilka dni.

– Akurat mamy ostatni wolny – klasnął karczmarz. – Pozostałe trzy są zajęte.

– Jeśli można, chciałbym od razu się rozpakować i napisać list, a później możemy pojechać do twojej narzeczonej – rozpromieniony Jan zwrócił się do Andrzeja. – Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

Zaskoczony młodzieniec przez chwilę wyglądał na prawdziwego gamonia i usiłował sklecić jakąś odpowiedź, na szczęście właścicielowi karczmy nie brakowało słów.

– Najpiękniejsza panna w okolicy – zapewnił Jana i wskazał mu drzwi do sieni.

– Poczekam tutaj – oznajmił Andrzej.

– Może szanowny pan przed obiadem? – cofnął się do niego patron. – Babcia Terenia zdejmuje kluchy z łącha, a kaczuca już dochodzi.

– Mam przy sobie tylko kilkanaście fenigów – uprzedził dziedzic fortuny.

– Dogadamy się – machnął ręką karczmarz i zaproponował posiłek również drugiemu klientowi, który jednakże odmówił.

Gospodarz zaprowadził gościa na niskie pięterko, do czyściutkiej i po spartańsku umeblowanej sypialni.

– Jadąc jutro do Jezior, chciałbym pożyczyć jednego z pańskich koni – napomknął Jan. – Może się jednak zdarzyć, że zostanę we dworze dłużej. Czy ma pan konia, który w razie czego wróci tu sam?

– Ależ tak! – rozpromienił się mężczyzna. – Mam takiego mądralę. Idealnie sprawdził się minionej nocy, gdy jeden z gości go pożyczył, a potem po godzinie odesłał. Celt wrócił tu bez problemu.

Morawski pogratulował właścicielowi inteligentnego zwierzęcia i rozstali się. Gospodarz wrócił na parter, a Jan rozpoczął przygotowania do akcji. Zdjął kapelusz, kurtkę, sweter i buty, a do kieszeni schował kluczyk Szulca i swój notes. Tak uzbrojony ruszył na poszukiwanie pokoju zamordowanego.

Podszedł do najbliższych drzwi i zapukał. Nie otrzymawszy odpowiedzi, przez pół minuty starał się sforsować zamek kolejnymi wytrychami. Wreszcie nacisnął klamkę i zagadka niepowodzeń się wyjaśniła: lokator nie zakluczył pokoju. Morawski wszedł i nie zamykając za sobą drzwi, zajrzał do szafy. Przekonał się, że trafił do kwatery jakiegoś komiwojażera, gdyż na wieszaku wisiał garnitur w jaskrawą kratkę, a pod nim stały żółte buty. Ich posiadacz trudnił się chyba handlem norymberszczyzną, bowiem na jedynym krześle leżała walizka pełna plansz z poprzipinanymi wzorami guzików, igieł, grzebyków i klamerek. Jan ostrożnie wycofał się na korytarz i poszedł dalej.

Kolejny pokój okazał się – jak Pan Bóg przykazał – zamknięty na

klucz i Morawski bez komplikacji dostał się do środka. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, był stojący na krześle brązowy kuferek, taki sam jak ten, który widział poprzedniego dnia w ręku odjeżdżającego Szulca. Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Otworzył szafę, ale znalazł w niej tylko saszetkę z lawendą. Na blacie stolika stała woda kolońska, a obok leżały przybory do golenia i pogięty kołnierzyk. Na oparciu krzesła wisiał granatowy rozpinany sweter o wystrzępionych mankietach. Jan zajrzał pod poduszkę, ale nie znalazł nawet koszuli nocnej. Ta skromność przedmiotów osobistego użytku raziła w zestawieniu z wyjściowym ubraniem Szulca – garniturem, solidnym płaszczem i melonikiem.

Morawski przyklęknął i spod łóżka wyciągnął tekturową walizkę. Wewnątrz znalazł trzy butelki koniaku i przybornik z narzędziami chirurga. W środku etui dostrzegł wyskubany częściowo haft *Stadtkrankenhaus Dresden*. Najwyraźniej wszystkie drogi prowadziły do Drezna.

Po tych przystawkach przyszła pora na danie główne: brązowy kuferek. Jan liczył, że znajdzie w nim coś, co naprowadzi go na ślad osoby, której Szulc zaszedł za skórę tak dotkliwie, że sięgnęła po broń. Miał przy tym nadzieję, że tą osobą nie jest nikt z mieszkańców Jezior. Przysiadł na łóżku i postawił obok siebie kuferek. Zamknięcie stanowiły dwie nachodzące na siebie metalowe listwy, spięte klamrą. Morawski wyciągnął z kieszeni kluczyk znaleziony w bucie zastrzelonego i wsunął go do zamka w klamrze. Klucz się obrócił, klamra odskoczyła.

W wewnętrznej kieszeni znalazł plik rozmaitych wizytówek: Józefa Szulca, właściciela Banku Poznańskiego, „całkowicie i wyłącznie polskiego”, Josefa Schulza, plenipotentą Pośrednictwa Handlowego w Mulhouse (specjalność pożyczki), a także Josefa Schulza, dyrektora agencji nieruchomości w Berlinie.

Potem Jan wydobyl papierową teczkę, tak grubą, że zajmowała prawie cały kuferek. Pod spodem zauważył skórzaną kasetkę na banknoty. Wyciągnął ją i uniósł wieko, ale okazała się pusta. Trochę go to zdziwiło, bo mogłaby pomieścić kwotę kilkudziesięciu, a nawet kilkuset tysięcy marek, a nie te marne dwie setki, które Szulc miał przy sobie. Wrzucił ją z powrotem do kuferka, otworzył teczkę i zaczął

analizować dokumenty.

Na wierzchu znalazł wykaz dwunastu majątków wielkopolskich, w większości położonych na terenie najcenniejszych dla Polaków powiatów Landkreis Posen-West i Landkreis Posen-Ost*. W spisie tym ujęto także Jeziory. Dalej szły umowy pożyczek, które Szulc zawarł z ziemianami o imponujących nazwiskach, między innymi z Mycielskim, Brezą i Karwowskim, przy czym Szulc występował nie jako osoba prywatna, lecz jako właściciel Banku Poznańskiego. Odsetki były absurdalnie niskie i to one chyba skusiły znamienitych klientów. Zabezpieczeniem wszystkich tych wierzytelności były hipoteki owych polskich majątków, a termin płatności upływał wszystkim jednocześnie – dziesiątego grudnia 1900 roku. Jan przebiegł wzrokiem tekst jednej umowy i u dołu przedostatniej strony znalazł paragraf mówiący, że w razie niewpłynięcia spłaty w terminie majątek stanowiący zabezpieczenie przejdzie w trybie natychmiastowym na własność banku, który będzie mógł swobodnie nim rozporządzać, choć wysokość pożyczki kształtowała się na poziomie połowy wartości zastawionej posiadłości.

Jan potarł nerwowo skronie. Sprawa wyglądała znacznie poważniej, niż w swej niefrasobliwości przedstawiał to Jerzy. Z jego słów wynikało, że jako dłużnik wystawił zwykłe weksle, które mógł wykupić, a gdyby tego nie zrobił, w ostateczności groziła mu subhasta. Ale nie utrata majątku!

Morawski przerzucił jeszcze raz wszystkie papiery, lecz nie znalazł umowy Szulca z Jezierskim. Pamiętał, że jako termin spłaty Jerzy podał dzień dwudziesty siódmy listopada. Jeśli tekst tamtej umowy był taki sam jak tych, które trzymał w ręku, znaczyłoby to, że Jeziory nie należały już do Jezierskich. Należały do spadkobierców Szulca lub do tego, komu Bank Poznański zdążył je sprzedać.

Co się jednak stało z umową Jezierskiego? Nie było jej w teczce, nie było przy Szulcu. Ktoś mógł zabrać dokument zamordowanemu, ale z teczki mógł go wyjąć tylko on, bo kuferek wyglądał na nietknięty. A jeśli wziął go Szulc, to jadąc do klienta, by sprzedać Jeziory. Gdzie zatem jest umowa sprzedaży?

Jan odsunął dokumenty pożyczek i spojrzał na kolejne kartki.

Każdą z nich Szulc oznaczył symbolami – literami i cyframi – przypuszczalnie odpowiadającymi tym z notesu. Wyglądało to na fiszki dotyczące poszczególnych transakcji z właścicielami jedenastu majątków: zestawienia wartości, pożyczone sumy, te śmieszne odsetki, daty oczekiwanych spłat i wartość łączna długu. Tu też brakowało karty Jezior. U dołu każdej kalkulacji znajdowały się litery „KPA” i kwota znacznie przewyższająca wartość wierzytelności. Morawski nabrał powietrza. „KPA”, czyli Komisja Kolonizacyjna. Więc to o to chodziło.

Niecierpliwie sięgnął po dalsze dokumenty i trafił na obszerną korespondencję Josefa Schulza, właściciela Banku Poznańskiego, z Koeniglich Preussische Ansiedlungskommission für Westpreussen und Posen, czyli Komisją Osadniczą, zwaną przez Polaków Kolonizacyjną, instytucją powołaną czternaście lat wcześniej dla wykupienia jak największych terenów z rąk polskich i przekazania ich w ręce niemieckie. Komisja dysponowała niebotycznym budżetem i mogła proponować bardzo korzystne warunki zakupu. Początkowo Polacy, uwiedzeni wysokimi ofertami, sprzedawali Komisji swe posiadłości, wkrótce jednak przyszło opamiętanie, wyjaśniono społeczeństwu szkody wynikające z wyzbywania się ziemi na rzecz Niemców i zaczęła się walka o każdy hektar. Polscy działacze rozpowszechniali hasło: „Ile ziemi, tyle Polski”, i przekonywali, że posiadane grunty są własnością publiczną, z której rachunek każdy musi zdać przed społeczeństwem. Dlatego coraz częściej sprzedaż ziemi Komisji lub Niemcom traktowano jako zdradę. Nadal jednak Komisja mogła wykupywać upadające majątki, a tych nie brakowało.

Najpierw Schulz zaproponował Komisji sprzedaż dwunastu wielkich posiadłości, potem jedna z nich odpadła, gdyż właściciel zdołał spłacić całe zobowiązanie przed terminem. Z pozostałych jedenastu Komisja odrzuciła Jezioro jako nie nadające się do parcelacji, ale jej urzędnicy poinformowali, że kilku zasłużonych obywateli niemieckich poszukuje w tej okolicy majątku i Komisja chętnie wskaże nabywcę dla tego starego polskiego gniazda.

Szulc planował zadać ostateczny cios w połowie grudnia. Ze sporządzonego przez niego zestawienia wynikało, iż przewidywał, że zarobi na tych transakcjach prawie sto procent zainwestowanej sumy,

a mógł być pewien, że żaden z dłużników nie ureguluje w terminie swego zobowiązania, gdyż zapewnił każdego z nich – w prywatnej rozmowie, rzecz jasna – żeby nie turbowali się wyznaczoną datą. Świadczyły o tym listy tych ziemian, w których zapowiadali opóźnienia, powołując się na jego ustnie wyrażoną zgodę na prolongatę.

Jan siedział oszołomiony i próbował zrozumieć, jak to się mogło stać, że za jednym zamachem w niemieckie ręce przejdzie ponad dziesięć tysięcy hektarów. Plus Jezioro, być może już własność niemiecka. Jak mogło do tego dojść?

Wyjął swój notes i drżącą dłonią odpisał nazwy zagrożonych majątków i nazwiska ich właścicieli. Potem zaczął składać te diabelskie dokumenty i wtedy zauważył, że zestawienia pojedynczych transakcji Schulz sporządził na odwrocie starych, wyblakłych przekazów bankowych. Na jednym Morawski zdołał odcyfrować nazwisko beneficjentki: *Frau Josef Schulz, Mulhouse, 1895*.

Przez chwilę usiłował dopasować do całej zagadki fakt posiadania przez zamordowanego żony, ale zgroza związana z odkryciem antypolskiego spisku Schulza zaburzyła mu zdolność wyciągania wniosków. A wprost bał się myśleć o rozpaczach Jezierskich. Odium, jakie spadało na Polaków, którzy stracili posiadłość na rzecz Niemców, było tak nieubłagane, że takim nieszczęśnikom nie pozostawało nic innego, jak tylko wyjechać gdzieś, gdzie ich nie znano, w okolicy bowiem nikt nie podałyby im ręki.

Schował papiery do kufereka i zamknął klamrę na kluczyk. Dokładnie w chwili, gdy odkładał kuferek na krzesło, zazgrzytał zamek w drzwiach. Jan doznał wrażenia *déjà vu* – już raz tego dnia znalazł się w podobnej sytuacji, gdy Jerzy prawie przyłapał go na buszowaniu w sypialni. Tutaj Morawski nie miał gdzie się skryć, pozostało mu więc impertynenckie zagranie, na które uprzednio się przygotował.

W progu stanęła dorodna dziewczyna, taka, która mogłaby występować w parze z Andrzejem: krwiste rumieńce, okrągłe niebieskie oczy i gruba korona lnianych włosów. Jan odwrócił się ku niej z pełną miłych oczekiwań miną i spytał:

– Panienska do mnie?

Jej reakcja nie sprawiła mu zawodu. Na widok mężczyzny bez

butów, bez marynarki i kamizelki, za to w koszuli wypuszczonej na spodnie, stojącego w wynajętym pokoju, wieśniaczka pisnęła, zasłoniła dłonią usta i uciekła. Po kilku sekundach na schodach załomotały jej saboty. Morawski odczekał kolejne kilka sekund i wystawił głowę na korytarz. Nikogo nie zobaczył, opuścił więc pokój Schulza, zamknął go wytrychem i wrócił do siebie.

Ubrał się, wrzucił worek do szafy i zszedł na dół.

W głównej sali Andrzej siedział przy stole z karczmarzem i poufale z nim gawędził. Kaczucha i kluchy na łąchu musiały być niezłe, bo na talerzu Ostrowskiego piętrzyła się góra kości i marne smużki modrej kapusty. Na widok Jana zerwał się na równe nogi, zgarnął wszystkie kacze resztki na wielką chustkę do nosa i schował zawiniątko za pazuchą.

– To dla Ajaksa – wyjaśnił, po czym wyciągnął z mieszka kilka miedziaków, po aptekarsku je odliczył i położył na obrusie.

Karczmarz bez patrzenia zebrał pieniądze i z brzękiem schował do kieszeni.

– Czy zechciałby szanowny pan wpisać się w recepcji do księgi gości? – spytał Jana.

Ten skinął głową i przeszli do sieni. Pod szumną nazwą „recepcji” krył się gigantyczny stół wykonany z odziomka drzewa, z blatem grubym na piętnaście centymetrów.

Nagle drzwi za stołem otwarto i ukazała się w nich staruszka w białym kitelku, z kokieteryjnymi różowymi wstążkami na ufryzowanych włosach.

– Zjadłby pan pączka? – z nieomylnym instynktem zwróciła się do Jana, podsuwając mu pod nos blaszkę z dwunastoma brązowymi kulami oblanymi ściekającym lukrem. – Świeżutkie, z powidełkiem aprykozowym**.

– Ależ, babciu Tereniu, nie w recepcji – mitygował ją karczmarz.

– Zjadłbym – zlekceważył go Jan. – Poproszę cztery.

– Zapakuję w tytkę.

Wsunęła cztery ciastka do papierowej torebki, a Jan wręczył jej pół marki.

– Należy się szesnaście fenigów. Przyniosę panu resztę.

– Nie trzeba.

– Na pewno? – ucieszyła się. – To dobrze. Zaniosę pozostałe chłopcom stajennym i powiem, że to od pana.

Wyturlała się na zewnątrz, powiewając na wietrze wstążkami i namiotowatym wdziankiem.

Karczmarz tymczasem z namaszczeniem godnym celebransa zdjął fartuch, odsłaniając czarną kamizelkę i spodnie, na przedramiona nasunął urzędnicze czarne zarękawki, na nos nasadził okulary i przeobrażony z oberżysty w oficjalistę przystąpił do pracy w recepcji.

Pochylił się tak, że Jan mógł podziwiać przesiekę w jego włosach, otworzył przed gościem wielką księgę i podał mu pióro. Morawski wydał usta w poszukiwaniu natchnienia i machnął fantazyjny podpis: „*Tercjusz Drojewski ze Stępowa*”.

– Niech pan raczy pamiętać moje słowa – mówił karczmarz do Andrzeja kasandrycznym tonem. – Tam, gdzie Prusacy przejmują majątek, cała okolica niemczeje. Tracą wszyscy Polacy, bo Niemcy, gdziekolwiek się pojawiają, wspierają tylko swoich krawców, swoich kupców, swoich rzemieślników. I swoich karczmarzy – westchnął.

Jan z obojętną miną wertował rejestr. Zatrzymał się na przedostatniej stronie. W połowie jej wysokości wyłapał adnotację sprzed dwóch dni: „*Józef Szulc z Berlina*”. Już chciał zamknąć księgę, gdy jego wzrok padł na dół strony. Z wczorajszą datą ktoś wpisał tam niezwykłym, pochylonym w lewo pismem: „*E. Joachim aus Frankfurt*”.

Jan zacmokał.

Zatem pan Joachim Engel *vel* E. Joachim przyjechał w tę okolicę poprzedniego dnia, a nie dopiero dziś rano, po wezwaniu przez Mateusza. Mógł więc rozmawiać z Heleną w parku, gdy Jan słyszał jej głos, mógł spotkać się z Schulzem. Mógł go nawet zastrzelić.

* Landkreis Posen-West – powiat poznański zachodni; Landkreis Posen-Ost – powiat poznański wschodni.

** Aprykozy (gwara poznańska) – morele.

ROZDZIAŁ 14

– Udało ci się odkryć, kto go zabił? – spytał Andrzej, gdy tylko znaleźli się na zewnątrz.

Morawski poczuł irytację: na swego towarzysza, przekonanego, że wystarczy pstryknąć, by wyciągnąć mordercę z kapelusza niczym królika, i na siebie, że nie był tak utalentowanym sztukmistrzem. Rzucił krótkie zaprzeczenie.

– Myślałem, że wejdiesz do jego pokoju – dziwił się Ostrowski, wsiadając na konia – znajdziesz w skrytce jakiś list, że ktoś mu groził albo że on kogoś okradł, i już będziesz wiedział.

– To nie jest takie proste – zdołał odpowiedzieć spokojnie Jan. – Na razie zbieram informacje. Zbieram i zbieram, a potem spróbuję je do siebie dopasować.

Do Jezior wracali inną drogą: zamiast skręcić w stronę alei kasztanowej, pojechali traktem szamotulskim na północny zachód. Jan wyciągnął z torebki pączka, upewnił się, że Andrzej nie ma ochoty na deser, wgryzł się w lukrowaną powierzchnię i zaczął rozmyślać.

Najżywsze było wspomnienie ostatniego odkrycia, tego związanego z pobytem Engla w karczmie, toteż Morawski nie mógł odżalować, że nie włamał się także do czwartego pokoju, najprawdopodobniej wynajętego przez policjanta. Nie było na to jednak rady – mleko się już rozlało, owce uciekły, czy co kto sobie życzy.

Przy drugim pączku Jan zajął się konstruktywnymi rozważaniami. Możliwe, że Jeziora są już stracone, ale pozostało tych dziesięć majątków, które za kilkanaście dni mogą wpaść w niemieckie łapy. Należało jak najszybciej ostrzec właścicieli i Morawski zamierzał powierzyć to zadanie Stanisławowi Turno, z którym przyjaźnił się od owych wakacji spędzonych tu przed dwudziestu laty. Okazja, by przekazać te alarmujące informacje, miała pojawić się za kilka godzin, Jan był bowiem zaproszony na najbliższą noc do Objezierza, gdyż przez wzgląd na planowany wieczór panieński Heleny musiał opuścić Jeziora. Wprawdzie zaręczyny oficjalnie zerwano, ale skoro matka panny młodej nie przyjęła tego do wiadomości, Jan gotów był się założyć, że owo spotkanie przyjaciółek dojdzie do skutku.

Przyszło mu też do głowy, że jego galeria podejrzanych za jednym zamachem powiększyła się o dziesięć osób. Jeśli któryś z tych ludzi dowiedział się o szatańskim planie Schulza, mógł postanowić radykalnie uporać się z zagrożeniem. Tylko czy ktoś z nich byłby tak naiwny, by przypuszczać, że zabicie zdrajcy coś zmieni, skoro stroną umowy był bank?

Jan oblizał palce i sięgnął po trzeciego pączka. Nadgryzł go i ze środka wytrysnęły powidła morelowe, spadając wprost na końską szyję. Zgarnął maż ręką i strzepnął na ziemię, a dłoń wytarł w podsychające listki żywopłotu ligustrowego. Po prawej stronie mijali pobrużdżone pole i w oddali ukazały się wysokie kominy folwarczne. Myśl Jana pobiegła tam gdzie wzrok – w kierunku Jezior. Jeszcze kilka godzin wcześniej martwił się, że Jezierscy mogą stracić swe gniazdo, ale ta możliwość, która odsłoniła się teraz, była stokroć gorsza.

Odruchowo i bez chęci sięgnął po czwartego pączka.

– Nie wiesz, dlaczego wyźłobiono tu tak głębokie bruzdy? – odezwał się znieca Kmicic. – To wygląda na przygotowania pod szparagarnię, a przecież pan Jerzy planował posiać tu żyto.

– Pewnie zmienił zdanie.

– Otóż to – burknął Ostrowski. – Pan Jerzy zmienia koncepcję trzy razy do roku zamiast co cztery czy siedem lat. Jaki w tym sens? Przecież płodozmian to cykl kilkuletni. Zasiał tu inkarnatkę na dwa lata, ale usłyszał, że seradela jest lepsza, więc kazał to zaorać. A teraz, gdy pole jest gotowe pod żyto, on tu chce zakładać szparagarnię? Przecież to... – Andrzej wyrzucił z siebie tę reprimendę, roztargał czuprynę i mruknął: – Co ja gadam? Podły jestem.

Jan milczał. Brakowało mu kompetencji, by wziąć udział w rolniczej dyskusji, zastanawiał się natomiast, w jaki sposób Helenie udawało się godzić tych dwóch mężczyzn, którzy w najważniejszej dla nich sprawie – prowadzenia gospodarstwa – różnili się jak ogień i woda.

Właśnie – tajemnicza Helena. Dokąd poszła zeszłej nocy i skąd wracała, gdy zobaczył ją Andrzej? I czy wiązało się to ze znalezionym u niej dziennikiem dziadka i przepisem na malinówkę? Morawski wiedział, że na lewo od dworu, za warzywnikiem, znajdowała się zarośnięta plantacja malin. W swych poszukiwaniach skarbu trafił na

skraj tego chruśniaku, ale przedzieranie się przezeń uznał za pracę godną przynajmniej Herkulesa, jeśli nie Syzyfa, i zrezygnował.

Nagle Ostrowski uniósł się w strzemionach i krzyknął:

– Albo zobacz to! Dlaczego oni stoją i nic nie robią?

Morawski spojrzawszy we wskazanym kierunku i ponad rzędem niskich krzewów zobaczył ludzi zgromadzonych przy dwóch wozach pełnych brudnych bulw. Woźnice zatrzymali się na krótką pogawędkę, dołączyli do nich pracownicy z pola i osiem czy dziesięć osób urządziło sobie fajrant.

– To ludzie pana Jezierskiego – warknął Andrzej przez zaciśnięte zęby. – Mieli zwozić buraki do cukrowni.

Spiął swego huntera i podjechał do ciernistego szpaleru. Przyłożył palce do ust i gwizdnął tak przeraźliwie, że koń Jana zatańczył w miejscu i poderwał się do biegu. Morawski uspokoił go i zawrócił, ale stracił scenę interwencji młodego Ostrowskiego. Gdy do niego dotarł, wozy już się rozjechały, a robotnicy pospiesznie ładowali bulwy na puste furmanki. Andrzej przyglądał się temu z miną zadowolonego gospodarza.

– Nadzór osobisty to jeden z warunków powodzenia w rolnictwie – pouczył swego towarzysza. – Ludzie inaczej pracują, gdy wiedzą, że w każdej chwili możesz się zjawić.

Jan poczęstował go cygarem i spytał:

– Jak duża jest wasza posiadłość?

– Prawie półtora tysiąca hektarów.

– I wystarcza ci dnia, by tego wszystkiego dopilnować?

– Dzień jest długi. – Kmicic wzruszył ramionami. – Wstaję o piątej i idę na podwórze, by doglądać rannych przygotowań. Po śniadaniu objeżdżam konno pola. Potem obiad i obchód budynków, sprawdzenie bydła. Prace biurowe i kolacja. Wieczorem spotkanie z pracownikami.

Morawski głośno pufnął, słysząc tak napięty program.

– Ktoś ci w tym pomaga?

– Mam rządcę, który nadzoruje część robót i zastępuje mnie, gdy wyjeżdżam na polowanie. Poza tym musiałem zatrudnić kancelistę i księgowego. Nie dawałem rady sam. Kiedyś prowadziłem tylko księgi przychodów i rozchodów, ale przekonałem się, że konieczne jest

założenie dokumentacji każdego pola, wykaz poniesionych nakładów i osiągniętych plonów. To samo dotyczy działających u nas cukrowni, olejarni i gorzelni.

Jan milczał zdumiony – ta sumienność buchaltera kłóciła się z obrazem człowieka gorączki, którego poznał tego ranka przy wozie pełnym trucheł. A tymczasem Andrzej mówił dalej: o układaniu nie tylko płodozmianu, ale też planu dziennego i planu pracy wszystkich działów w kolejnych porach roku. Morawski początkowo słuchał uważnie, potem coraz pobieżniej. Myślał o tym, że linie losu jego i Kmicica zetknęły się przypadkowo, lecz zaraz się rozejdą i pognają w przeciwnych kierunkach. A pozornie tyle ich łączyło: obaj Wielkopolanie, z pochodzenia ziemianie, prawie rówieśnicy. Tamten myślał wyłącznie o ziemi i oszczędnym gospodarowaniu, każdy widok czy zdanie naprowadzały go na ten temat, jakby był jednym z tych Holendrów zakochanych w swych tulipanach i widzących na świecie tylko je. Umysł Jana natomiast kręcił się wokół miriadów różnych spraw, a on żadnej z nich nie poświęcał się całkowicie, jakby się bał, że nadmiernie koncentrując się na jednej idei, zuboży swe życie.

Dojechali do niewielkiego budynku wiejskiej szkoły i skręcili w prawo, w drogę wiodącą wprost do dworu w Jeziorach. Jan poczuł, że powinien coś powiedzieć.

– Tyle wiesz – pochwalił młodego człowieka. – Studiowałeś rolnictwo?

– Pół roku w Halle. Ale wszystkiego, co umiem, nauczyłem się od swojej świętej pamięci matki. Zarządzała całym majątkiem i wszędzie mnie ze sobą zabierała.

– A twój ojciec? Bierze udział w gospodarowaniu?

– Ojciec to ktoś zupełnie inny. – Kmicic zamachał dłonią z cygarem. – On jest... jak by to powiedzieć... istotą wyższą.

Och, Boże! Jakże Jan bał się tych „istot wyższych”. Bardziej przerażały go tylko „istoty z wizją” i „istoty z misją”.

– W ojcu jest taka duma, taka godność i taka szlachetność – zapewniał gorąco chłopak. – On miałby się zajmować obornikiem, mierzwą i cielącymi się krowami? On jest ponad to. Jest po prostu wspaniały.

Morawski zaczynał wyrabiać sobie zdanie o starszym Ostrowskim, zwłaszcza gdy przypominał sobie, jak gorąco Helena broniła się przed przejściem na utrzymanie Andrzejewego ojca.

Dojeżdżali do wsi dworskiej, która rozsiadła się wokół skrzyżowania drogi dojazdowej do Jezior z bocznym traktem. O ile wcześniej napotkane budynki stanowiły zbieraninę różnych stylów i technik, o tyle kolonia domów dworskich była skupiskiem dwojaków i czworaków, które wyszły spod jednej ręki. Wszystkie wybudowano z czerwonej cegły, miały spadziste dachy i przestronne ogródki od frontu. Jan pamiętał rozpadające się chatynki sprzed dwudziestu lat i musiał przyznać, że nie wszystkie inwestycje szalapatnego Jerzego należały do chybionych. Mimo szpetnej pogody mijane dzieci wyglądały zdrowo i wesoło machały do jeźdźców.

Widok tych urwisów przypominał Janowi, w jaki sposób Jerzowa wytłumaczyła przed policjantem swe lodowate dłonie.

– Andrzeju, podobno we wsi jakiś chłopiec złamał nogę – zagadnął. – Ma chyba na imię Kajtek. Czy możesz ustalić, gdzie mieszka? Chciałbym go odwiedzić.

Ostrowski skinął głową i podjechał do młodej wieśniaczki, która szła dokądś z koszem pełnym jaj. Po chwili wrócił i poprowadził Jana do zadbanego dwojaka. Przywiązali konie do parkanu i weszli na podwórze, przedzielone na pół murem.

W tym momencie z sąsiedniego mieszkania wyszła starsza para i dwóch młodych chłopaków ubranych w niedzielne stroje i z tobołkami na plecach. Naraz kobieta głośno zaszlochała i zakryła sobie twarz fartuchem, natomiast chłopcy rzucili się na kolana przed mężczyzną, który położył im dłonie na głowach, jakby im błogosławił. Przy płocie od strony drogi zebrało się kilkanaście osób. Andrzej przeszedł między skisłymi badyłami porastającymi grządki, popchnął furtkę w murze i zbliżył się do zgromadzenia. Jan pospieszył za nim.

– Co się stało? – zawołał gromko Kmicic.

Dookoła rozległy się głosy: „Pan Andrzej! Pan Andrzej!”, mężczyźni zdejmowali czapki, kobiety poprawiały chustki i uśmiechały się. A on stał między nimi, pewny siebie jak wódz między swymi wiarusami, i słuchał wyjaśnień.

– Chłopaków wysyłam do brata, do Westfalii – tłumaczył starszy mężczyzna. – Niech tam poszukają szczęścia, bo tu nic po nich.

Na te słowa kobieta wybuchnęła na nowo szlochem.

– Niech nam miejsce rychtują, bo wszyscy tam pójdziemy – wtrącił się mały człowieczek o lisiej twarzy.

– Ale co się stało? – zniecierpliwiał się Ostrowski.

– To pan nie wie? – zdziwił się ojciec młodych. – Mierniczy byli. Z Komisji. Jakoś tak w przeszłym tygodniu. Obejrzeli majątek i wrócą takse brać.

– Niemożliwe.

– A możliwe, możliwe – przedrzeźniał Lis. – Razem z nimi łąził taki czarno-biały pokuśnik i jeszcze jeden Prusak. Szlag by ich trafił.

Andrzej rzucił mu zirytowane spojrzenie, podszedł do ojca wyjeżdżających chłopców, położył mu dłoń na ramieniu i przekonywał:

– Nie wstyd wam dzieci wysyłać na poniewierkę, z dala od domu rodzinnego? Waszym obowiązkiem...

– Jaśnie państwo całymi latami szwendają się po badach – zaatakował znowu agresywny wieśniak – ale naszym obowiązkiem jest tu nędznieć, tak? A jaki jest wasz obowiązek, panowie szlachta? – Demonstracyjnie nasadził na głowę zdezelowany kapelusz, splunął, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Ojciec zacisnął zęby, ujął synów pod ręce i w eskorcie wieśniaków wyprowadził ich na drogę. Z tłumku dobiegały szepty: „My mamy kuzynów w Metz” i „Nas syn namawia na Brazylię”.

Andrzej nic więcej nie powiedział. Potrafił zapędzić ludzi do pracy, ale rozmowy na tematy społeczne przekraczały jego możliwości. Własny punkt widzenia wydawał się mu oczywisty, więc postępowanie innych wprawiało go w konfuzję.

Ruszył w stronę sąsiedniego mieszkania, a za nim szedł Jan, wolno, tym wolniej, im bardziej ciążyło mu sumienie: on też sprzedał majątek rodzinny – co prawda Polakom – wyjechał i pieniądze wywiózł. Może powinien był zatrzymać posiadłość i puścić w dzierżawę?

Weszli po kilku stopniach do niewielkiej sieni i zapukali do drzwi po lewej stronie. Dziecięcy głos zaprosił ich do środka. Znaleźli się w czystym pokoju, w którym pod oknem stało łóżko. Na powleczonym

prześcieradłem sienniku, wsparty o poduszkę, w półleżał blady chłopiec siedmio- lub ośmioletni. Na kolanach trzymał podartą gazetę, a w dłoni rysik. Spod pierzyny wystawała jego grubo zabandażowana noga.

– Witaj, przyjacielu – zagadnął go Morawski, który nie mógł odzalaować, że w swym łakomstwie zjadł wszystkie pączki. – Przychodzimy cię odwiedzić w imieniu pani Jerzowej.

– Naprawdę? A przyniósł pan te kartki do rysowania, które mi obiecała?

Jan wyciągnął z kieszeni swój notes, wyrwał zapisane kartki i wraz z ołówkiem podał go dziecku, które zapiszczało z radości.

– Kim jesteście?

W drzwiach prowadzących do drugiego pomieszczenia stanęła ubrana na czarno kobieta z włosami zakrytymi ciemną chustką. Na jej szyi wisiał drewniany krzyż, a twarz była równie uduchowiona jak oblicza świętych na obrazach pokrywających wszystkie ściany. Za panią domu ukazał się wysoki mężczyzna o sumiastych wąsach i zrezygnowanej minie.

Morawski powtórzył swe wprowadzenie i dodał:

– Pani Jerzowa jest trochę zajęta, ale prosiła, by chłopiec przyjął lekarstwo dokładnie o tej samej godzinie, o której podała mu je wczoraj. Czy będziecie wiedzieli, kiedy to zrobić?

– Niczego nam nie potrzeba – oznajmiła kobieta cichym głosem. – A lekarstwo oddam.

Jan, który zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, przez chwilę wpatrywał się w pokornie pochyloną głowę pani domu.

Zmobilizował się jednak i wymyślił kolejny podstęp:

– A nie pamiętacie, o której godzinie tu była? Wracając stąd, wstąpiła do ochronki i dała jednemu z dzieci syrop. Muszę powtórzyć ochroniarce, kiedy ma go ponownie podać.

– Jeśli Bóg zechciał zesłać nam chorobę – przeżegnała się kobieta – naszym obowiązkiem jest poddać się Jego wyrokowi. – Spojrzała na Morawskiego łagodnie: – Trzeba się modlić. Pójdę po lekarstwo.

Odwróciła się i zniknęła, a mąż poszedł za nią.

– Proszę pana! – wyszeptał malec, szarpiąc Jana za bryczesy. – Pani Jerzowa była tu o piątej.

– Skąd wiesz? – Morawski przykucnął przy łóżku.

– Widziałem na jej zegarku – oświadczył z dumą. – Panienska Helena nauczyła mnie czytać godzinę.

– Niczego od nich nie chcę – zza drzwi dobiegł syk kobiety. – To chrześcijański dom.

– I w nocy już jej nie było? – spytał szeptem Jan.

– U nas nie, ale widziałem ją o czwartej rano na drodze. Szła i prowadziła konia za uzdę. A koń ciągnął kariolkę. Noga mnie bolała i nie mogłem spać. Po lekarstwie pani Jerzowej nie boli, ale mama nie chciała mi dać, bo Pan Bóg chce, aby mnie bolało.

– I jesteś pewien, że to była czwarta? – nie dowierzał Morawski.

– Zawsze o czwartej gwizdze pociąg, jak odjeżdża ze stacji w Kiekrzu – wyjaśnił cierpliwie chłopiec. – A panią Jerzową rozpoznałem, bo tu na zakręcie jest ciemno, więc musiała zsiąść z kozła i poświecić sobie latarnią. Jechała w stronę traktu, ale nie wiem, czy skręciła do Szamotuł, czy do Baranowa.

– A czy coś się stało twojej mamie? – Podszedł do nich spłoszony Ostrowski, który dotąd stał w progu.

– Moja starsza siostra niedawno zmarła.

Do pokoju wrócili gospodarze.

– Bardzo nam przykro z powodu waszej córki – wybąkał Andrzej.

– Noszę żałobę po ojcu – oświadczyła lodowato kobieta.

Podawała Janowi flaszeczkę i uśmiechając się samymi ustami, stanęła między synem a gośćmi. Nie pozostało im nic innego, jak tylko wyjść. Na wszelki wypadek odprowadziła ich aż na ganek. W oddali na drodze widać było grupę mieszkańców i dwóch chłopaków z tobołkami.

– My też wyjedziemy, jak tylko mały wyzdrowieje – oznajmiła. A gdy mężczyźni odeszli, rzuciła jadownicę: – Nie zostaniemy w tym gnieździe grzechu.

Jeźdźcy odwiązali konie, wsiedli i wolno ruszyli w stronę dworu. Jan myślał o Jerzowej i jej tajemniczych wyprawach.

Ostrowski widział swą narzeczoną, a potem jej ojca, ale Jerzowej nie. Nie natknął się na nią nawet w jej sypialni, tej sypialni, do której drzwi były zamknięte, natomiast okno otwarte. Gdyby jednak – choć to brzmiało absurdalnie – Jerzowa wróciła do sypialni przez okno, to mógł

ją zobaczyć Jerzy, otwierając drzwi wejściowe do dworu. A wiadomo, że tamtej nocy ją widział. Gdzieś więc wychodziła i to co najmniej dwukrotnie. Najpierw około północy, potem dokądś pojechała nad ranem.

Niska zabudowa wśród drzew nagle się skończyła i oczom jeźdźców ukazały się potężne gmachy z czerwonej cegły i pruskiego muru, tworzące dwa iście fabryczne czworoboki, ulokowane po obu stronach drogi. Wyrwę w lewym, przyjeziornym kwartale stanowiły zgliszcza spalonego spichlerza – poczerniałe kikuty wybitego zęba w zdrowej szczęce murów.

Jan spojrział na swego towarzysza.

– Mógłbyś popytać w okolicy, czy ktoś widział Jerzową poza dworem około północy? – Andrzej groźnie zmarszczył czoło i Morawski szybko zapewnił: – Zaufaj mi. Wiem z pewnego źródła, że wychodziła z domu, i muszę odkryć, co robiła, zanim na ten trop wpadnie twój ulubieniec, pan Engel. Robię to dla dobra Heleny – dodał.

– Skoro dla dobra Heleny, to popytam – zgodził się tamten, ale po chwili zwątpił: – A kogo mam spytać?

– Lepiej niż ja znasz jej zwyczaje, wiesz, dokąd chadza – tłumaczył Jan. – Po prostu sprawdź, czy nie pojawiła się w którymś z tych miejsc.

Stanęli na rozstaju dróg, tuż obok dużego żółtego budynku położonego w wielkim ogrodzie.

– To ochronka, prawda? – spytał Jan, a jego towarzysz przytaknął. – Spory budynek jak na tak niewielką wieś.

– Tam nie ma chyba ani jednego dziecka ze wsi – wyjaśnił Andrzej. – Pani Jerzowa sprowadza z Poznania dzieci niedożywione i zagrożone chorobą piersiową. Mówi, że słońce, suche wnętrza i dobra kuchnia uratują każdego z tych małych chuderlaków. Przedtem gnieździli się w tym sąsiednim budynku, gdzie teraz jest lecznica, a szpitalik działał w małej chatce nad strumieniem. Dwa lata temu pan Jerzy wybudował im tę rezydencję i mieści się w niej cała dwudziestka, choć dla pani Jerzowej to wciąż mało.

– Zacznij może sprawdzanie od tego miejsca – poradził Morawski i ruszył w stronę dworu. Zatrzymał się i krzyknął: – Nie wiesz, jak Jerzowa ma na imię?

Przez chwilę w spojrzeniu Ostrowskiego ukazało się – jak by to dowcipnie ujął pan Sienkiewicz – szesnaście ćwierci głupoty po mieczu i po kądzieli.

– No... Jerzowa przecież.

Jan westchnął i spiął konia. Przecież musiał to kiedyś słyszeć. Czy to było na E? Ewa Jezierska? Może Eliza Jezierska? Eleonora? Eufrozyna? Eufemia?

ROZDZIAŁ 15

Na ziemię zaczęły kłaść się gęste cienie. Jan zostawił konia w stajni i pieszo wracał do dworu. Chciał zmienić buty i jak najszybciej, póki jeszcze nie zapadła ciemność, rozejrzeć się w pobliżu chruśniaku i przystani. Czuł, że jego nastawienie do całej sprawy się zmieniło. Teraz zależało mu przede wszystkim na zdobyciu dowodów niewinności Jezierskich, natomiast szukanie mordercy zdradzieckiego Schulza stało się kwestią drugorzędną. Gotów był nawet pozostawić to zadanie Englowi.

W progu oficyny nadal tkwił strażnik z cepem, a na podjeździe zatrzymał się kryty wóz, z którego wyładowywano wielkie pudła, niezbyt chyba ciężkie, bo służące bez wysiłku brały je z rąk woźnicy i wносиły do domu. Jan się zbliżył i dostrzegł, że na każdym kartonie widniał napis: *Bazar Mód, Poznań, ul. Nowa 6*. Z boku stała Jerzowa z notatnikiem w dłoni i coś w nim zaznaczała. Nie zwróciła uwagi na Morawskiego, wszedł więc do budynku i za głosem Mateusza podążył do salonu.

– Wrócił Jerzy? – zaatakował od progu. Zaskoczony kamerdyner pokręcił przecząco głową. – A Engel? – Ta sama reakcja. Jan cofnął się do wyjścia, lecz nagle stanął. – Co to za transport? Jeden z tych, które Jerzowa anulowała?

– Kolejny z nich. – Mateusz zrobił znaczącą minę. – Pod pana nieobecność przywieziono szampana, a teraz przyjechała cała odzież wyprawna panny Heleny. Piętnaście sukien, a do tego spódnice, bluzki, kostiumy. Wszystko, co szyto w Poznaniu. – Kamerdyner odchrząknął i dodał przyciszonym głosem: – A pani Jerzowa płaci za każdą dostawę gotówką.

– A skąd ją...? – zaczął Jan.

Jak na wezwanie do salonu wpadła pani domu. Włosy latały jej dookoła głowy, brwi sterczały wojowniczo, a oczy błyskały szaleńczo.

– Dobrze, że jesteś – rzuciła pod adresem Morawskiego. – Pomożesz Mateuszowi powstawić resztę mebli. Służące mają ważniejsze sprawy na głowie.

Jan dopiero teraz rozejrzył się i zagwizdał z podziwu dla gustu

swego kamerdynera. Z tłem ciemnozielonych ścian mocno kontrastowały białe elementy: narożny piec kaflowy z bogato rzeźbionymi drzwiczkami, ozdobne futryny oraz kolumny dzielące pomieszczenie na dwie części.

Komody, witryny i serwantki wróciły już na swoje miejsca, panom pozostały więc do przeniesienia kanapy, stoły i krzesła. Jan spełniał funkcję pracownika fizycznego, kierownikiem był Mateusz, który tak artystycznie przemieszał dwa garnitury mebli – jeden obity zielonym pluszem, drugi wiśniowym żakardem – że razem wyglądały lepiej niż przedtem osobno.

Przepchnęli jeszcze pianino i Jan zamierzał wyjść, ale na parapecie okna wypatrzył tacę z dzbankiem kawy. Częściowo przesłaniały ją pozdejmowane ze ścian i postawione na podłodze portrety czterech senatorów Jezierskich, najznamienitszych przedstawicieli rodu. Morawski nalał letniego płynu do jedynej czystej filiżanki – gigantycznej truskawki, z której Helena pijała poranną kawę z mlekiem. Tuż obok Mateusz prezentował Jerzowej swoją koncepcję usadzenia gości podczas obiadu weselnego – tego odwołanego.

Morawski wypił kilka łyków i ruszył po cichu w stronę drzwi, by niepostrzeżenie się ulotnić, zanim despotka wymyśli mu nowe zadanie, ale zatrzymały go zdjęcia rozstawione na kominku. Brał je po kolei do rąk i oglądał: zdjęcie dziadka w jego odwiecznej maciejówce, Laura pod kwitnącym drzewem na środku jakiegoś klasztornego dziedzińca obwiedzonego krużgankiem, portretowe zdjęcie Heleny, ślubna fotografia Jerzów, a także zdjęcie Wojtka i jego pierwszej żony wykonane z takiej samej okazji.

– To moja mama – rozległ się cichy głos.

Morawski rozejrzał się i zobaczył Laurę. Siedziała na taboreciku za witryną i na kolanach trzymała książkę. Uśmiechnął się, trochę zażenowany, że znowu jej nie zauważył.

– Znałem twoją mamę – powiedział. – Jesteś do niej bardzo podobna.

W rzeczywistości poza bujnymi popielatymi włosami niewiele łączyło przepiękną, energiczną Klarę z jej nieładną, mdłą córką, ale Jan czuł, że warto było skłamać, bo Laura się rozpromieniła. Podeszła do

niego i wskazała mu swoje zdjęcie:

– A to zdjęcie tata trzymał w portfelu. Wujek je tam znalazł, gdy tata zmarł. – Morawski ledwie zrozumiał ostatnie słowa, bo utonęły w łkaniu. Pochyliła głowę i zasłoniła twarz granatową książką ze złotym napisem *Bajki i opowiadania przez H.K. Andersena*.

– Co czytasz? – zadał pierwsze pytanie, jakie przyszło mu na myśl.

– *Księżniczkę na grochu*.

Chciał coś jeszcze do niej powiedzieć, ale z boku dobiegł go głos Jerzowej.

– Spójrz tylko na te cudowne serwetki. Kupiłam je kilka miesięcy temu w Niemczech.

Morawski posłał Laurze przepraszający uśmiech i odwrócił się do pani domu. Na jednej dłoni rozłożyła białą serwetkę z mereżką, a drugą delikatnie ją gładziła. Znikła gdzieś jej ponurość i wyglądała teraz jak młoda dziewczyna podziwiająca własną wyprawę. Jej słowa i ten widok uruchomiły w umyśle Jana lawinę skojarzeń: Jerzowa jeszcze przed ślubem z Jerzym była na kursie medycznym w Niemczech, miała podobny zestaw chirurgiczny jak Schulz, wśród jej rzeczy znalazł henkę, a sędziego E. do samobójstwa w Bad Nauheim, kurorcie w pobliżu Frankfurtu, przywiodła ruda awanturnica. A jeśli pani Jezior znała Schulza, to mogła w nocy wydlubać kluczyk z jego obcasa i pojechać do karczmy, by usunąć wszelkie ślady kontaktów z nią. I zabrać pieniądze.

– Byłaś ostatnio w Niemczech? – zagadnął Jerzową.

– Tak, a dlaczego?

Coś nad ich głowami załomotało i do salonu wpadła Helena.

– Mamo, dlaczego przyniesiono mi suknię ślubną?

Podeszła bliżej i jednym spojrzeniem objęła wszystko – plansze z propozycją ustawienia stołów, rozłożone obrusy i serwetki, rozpromienioną matkę.

– Mamo, zerwałam zaręczyny i ślub jest odwołany – oświadczyła z naciskiem.

– Nie widzę takiej potrzeby – prychnęła Jerzowa i demonstracyjnie przeglądała projekt rozsądzenia gości.

– Nie mam pieniędzy – wycedziła Helena – i nie wyjdę za mężczyznę, który jest całkowicie uzależniony od kogoś takiego jak pan

Eugeniusz Ostrowski. Andrzej musi się usamodzielnic. – Jerzowa z krnąbrną miną układała serwetki. – Mamo, ustaliliśmy, że odwołujemy ślub.

– To wy ustaliliście! – wybuchnęła. – Ja się na to nie zgodziłam.

– Ale zachowywałaś się tak, jakbyś się zgodziła – wytknęła jej córka. Podeszła jeszcze bliżej: – Nie poznaję cię. Ty, która zawsze chlubiłaś się, że mówisz, co myślisz, i robisz, co zapowiedziałaś, posuwasz się do takich knowań?

– Więc teraz powiem, co myślę. Mówcie sobie, co chcecie. O honorze, dumie, złamanej obietnicy. Nic mnie to nie obchodzi. Ślub się odbędzie. Nie po to przez piętnaście lat haftowałam ci wyprawę, żeby teraz rezygnować z wydania cię za męża.

Zgarnęła wszystkie kartki i przeszła do jadalni.

– Ona oszalała, prawda? – jęknęła Helena i opadła na sofę.

Trud udzielenia jej odpowiedzi został Janowi oszczędzony, bowiem drzwi prowadzące z holu się uchyliły i do salonu wsunął się Baltazar. Podeszedł wprost do siedzącej za witryną Laury, sięgnął za pazuchę i podał jej szary pompon. Kilka razy otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydał z siebie tylko niezrozumiałe bulgot. Dziewczyna poderwała się, odłożyła na stół książkę i przytuliła kulkę do piersi. Klębuszek miauknął i rozprostował cztery łapki. Laura się zaśmiała, a Helena jej zawtórowała. Na chwilę zapomniała o swej bezkompromisowej matce, zostawiła Jana i zbliżyła się do tamtej dwójki. Coś im szepnęła, a potem pogładziła chłopca po ramieniu. Miała na twarzy taką czułość, że Morawski podeszedł do niej, jakby była namagnesowana.

– Czy to potomek diabelskiego Leona? – zażartował.

Na tę niewinną wzmiankę w Baltazara wstąpił zły duch: cały się sprężył, rozczapierzone, zagięte palce wpił sobie w twarz, a z jego ust wydobył się półzwierzęcy skowyt. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, odwrócił się i uciekł.

– Powiedziałem coś nie tak? – Zmieszany Jan wpatrywał się w Helenę.

Pokręciła przecząco głową i wróciła na sofę. Morawski przysiadł obok.

– On zawsze był trochę dziki – wyjaśniła – i dlatego rodzina go odrzuciła. Matka przywiozła go do nas z sąsiedniej wsi, gdy miał osiem lat, i udało się go w znacznym stopniu oswoić. Nie do końca, ale prawie. – Sięgnęła do miseczki z kandyzowanymi malinami i zjadła kilka owoców. – Ma swoje obowiązki, nauczyłam go czytać i pisać. I wszystko było dobrze do czasu pożaru. Słyszałeś coś o tym?

– Wiem od Jerzego, że tamtej nocy Baltazar zauważył przy spichrzu kogoś obcego i podniósł alarm, ale ten człowiek podpalił zboże i zaczął uciekać. Gdy chłopak go gonił, na obu spadły płonące wrota. Tamten zginął, a Baltazar cudem przeżył.

– To nie wszystko. Cały czas bredził o niemieckim diable. A kiedy odzyskał przytomność, powiedział, że kilka dni przedtem widział tego podpalacza na skraju lasu z kimś, kogo nazwał właśnie niemieckim diabłem. – Morawski wpatrywał się w nią z uwagą, więc zastrzegła: – Może to być skutek uderzenia w głowę, ale...

– Oczywiście, że to skutek uderzenia w głowę – wtrąciła się Jerzowa, wracając do salonu. – Tego i bezsensownej lektury *Pani Twardowskiej*. Mówiłam ci, żebyś uczyła go czytać na czymś innym. Trzeba było dać mu zielnik.

Helena w porę przypomniała sobie, że jest na matkę obrażona, i nie odrzekła.

Na zewnątrz mrok gęstniał i Morawski przypomniał sobie o swych planach. Przeprosił panie i ruszył do wyjścia. W progu zderzył się z rozpędzoną Eweliną. Odepchnęła rękę, którą ją podtrzymał, i z furią zaatakowała Jerzową.

– Ktoś przeszukiwał moje rzeczy!

– Już to dzisiaj słyszeliśmy – wytknęła jej Jerzowa. – Rano oskarżyła bratowa o to szwaczki.

– Jakie szwaczki?

Jan pokręcił głową. Jej umysł przypominał sito. Nagle dotarło do niego, że jeśli to ona była żoną Schulza i jeśli ich małżeństwo nie zostało rozwiązane, to w połowie grudnia stanie się właścicielką dziesięciu majątków o wartości dziewięciu milionów marek. Nie będzie już niechcianą krewną o podejrzanym przeszłości, żyjącą z tego, co zagrabi bogatej pasierbicy, lecz prawdziwą krezuską.

W drzwiach prowadzących do jadalni ukazał się Mateusz:
– Proszę pani – zwrócił się do Jerzowej – przyjechał jakiś mężczyzna i twierdzi, że odwozi... hm... zastawione srebra.

– Doskonale, czekałam na niego – ucieszyła się i zniknęła.

Tymczasem Ewelina miotła się po pokoju, chodząc od ściany do ściany, niczym pantera w klatce, aż do chwili, gdy jej wzrok padł na najsłabszy i najwrażliwszy punkt zgromadzenia – Laure.

– Zostaw tego brudasa! – wrzasnęła.

Dopadła do dziewczyny i wyszarpnęła jej z rąk zwierzątko. Kociak miauknął, a Laura otwarła z przerażenia usta. W jej uniesionej dłoni dyndał koniec popielatego warkocza, którym bawiła się z kotkiem. A furiatka podbiegła do okna, otworzyła je i wyrzuciła kocie dziecko na zewnątrz.

– Ty jędzo! – krzyknęła Helena i ruszyła na Ewelinę niczym pirat na abordaż.

Wczepiła się palcami we włosy przeciwniczki i potrząsnęła jej głową. Jan dobiegł do nich i z trudem odciągnął swą krewniaczkę. Wściekła Ewelina rzuciła się na nich i Morawski zmuszony był puścić jedno ramię Heleny, by ją zatrzymać. Kuzynka natychmiast to wykorzystała. Sięgnęła w stronę stolika, na którym stała wielka truskawka z kawą Jana, i bez wahania chlusnęła na Ewelinę czarnym płynem. Tamta na chwilę znieruchomiała, a potem zaczęła dygotać. Na szczęście przybiegł wezwany krzykiem Jana Mateusz. Chwyć roztrzęsioną kobietę za oba łokcie, posadził ją w fotelu i przytrzymał za ramiona.

– Czekaj no, ty! – Ewelina wymierzyła w Helenę palec.

Wpatrywały się w siebie jak dwie rude kocice. – Wytnę ci taki numer, że wszyscy zapamiętają twój ślub do końca życia.

– Żebyś się nie przeliczyła. Nie tylko ty potrafisz...

Morawski nie czekał na ciąg dalszy tego pojedynku na groźby. Obrócił Helenę w stronę drzwi i zaczął ją przed sobą popychać.

– Chodźmy po kota.

Usunął dziewczynę z pokoju, potem wziął ją za rękę i siłą wyciągnął z domu. W półmroku pobiegli dookoła budynku pod tylne okna salonu. Z daleka przywitało ich rozpaczliwe miauczenie. Okazało

się, że kotu nie dane było spaść na cztery łapy – Ewelina wrzuciła go w krzew róży rosnący pod oknem i biedny zwierzak każdą próbą wydostania się z pułapki zadawał sobie jeszcze silniejszy ból. Na ten widok Helena zaczęła płakać, wyszarpnęła się Janowi i przypadła do ciernistego krzewu, a tam nieosłoniętymi, delikatnymi dłońmi starała się rozgarnąć kolczaste pędy i uwolnić kocię. Już po jednej próbie na jej ręce ukazały się różowe rysy i szkarłatne krople. Morawski odsunął ją, wyrwał z ziemi jeden z drewnianych palików, przycisnął nim część pędów, a drugą rękę zanurzył w krzewie i próbował dosięgnąć kota. Za trzecim razem zdołał uwolnić zwierzaka, który za te wysiłki odwdzieczył mu się, gryząc go po palcach.

– Zabierz tego wariata! – Podał kociaka dziewczynie, wyciągnął z kieszeni chustkę i obwiązał krwawiącą dłoń.

Spojrzał na swą towarzyszkę: kucała obok niego, tuliła do szyi zszokowanego kota i coś do niego szeptała. Kosmyki włosów kleiły się do mokrej od łez twarzy, a na jednym policzku ciągnęła się krwawa smuga, wymalowana zranioną dłonią. Straciła swą królewską doskonałość, a jednak wydała się Janowi jeszcze piękniejsza niż przedtem.

„*The face that launched a thousand ships*”* – wydobył z pamięci.

– Nie martw się – pocieszała kociaka. – Poprosimy Leona, żeby jej pogonił kota.

Zaśmiała się i do Jana dotarł jej oddech pachnący malinami. Poczul nagły zawrót głowy i ucisk w piersi, jakby się znalazł w obliczu niebezpieczeństwa. Bo znalazł się w obliczu niebezpieczeństwa – groziło mu zakochanie się w tej kobiecie.

Znał to wrażenie z przeszłości aż nadto dobrze – wzruszenie czymś pięknym lub cudownym. Kobieta mogła mu się podobać, ale bez tego wzruszenia nie trafiała do jego serca. Od tego czarodziejskiego skurczu rozpoczynała się miłość. A przynajmniej zauroczenie, Jan bowiem sam przed sobą przyznawał, że trochę zbyt łatwo i zbyt często doznawał tego uczucia.

W każdym razie teraz się wystraszył – tego tylko brakowało, żeby zakochał się w swej kuzynce, która już i tak tkwiła w dziwnym układzie między dwoma mężczyznami. Może zresztą stała się dla niego tak

atrakcyjna, odkąd dowiedział się, jak gorąco kochała innego?

Postanowił czymś się zasłonić przed urokiem Heleny i jako pierwszy przyszedł mu na myśl niemiecki detektyw.

– Czy coś się stało? – spytała, wstając. – Masz taką dziwną minę.

– Znam twoją tajemnicę – wyznał. – Gdy poszedłem spakować swoje rzeczy, na komodzie w górnym holu zobaczyłem słownik francuski. Zabrałem go na dół i wewnątrz znalazłem twój zeszyt.

Przez chwilę Helena milczała, a Jan uświadomił sobie, jakie głupstwo palnął. Czy po tym świecie chodził większy idiota niż on? Skoro już ukradł jej sekret, rozsądek nakazywałby milczeć.

– Właściwie to nawet dobrze się stało – oznajmiła ta niesamowita istota. – Zastanawiałam się, czyby się ciebie nie poradzić. Skoro to przeczytałeś, to wiesz, że stanęłam na rozdrożu i muszę zdecydować, co dalej. Naprawdę nie wiem, jak powinna postąpić Polka, narzeczona Polaka, zakochana w Niemcu. Wyjście za niekochanego mężczyznę byłoby zdradą serca, a wyjście za wroga – zdradą ojczyzny. Jak powinna postąpić Polka?

– Nie wiem, Heleno – pokręcił głową. – Mateusz powiedziałby ci, że powinna iść za głosem serca.

– Niektórzy twierdzą, że zaręczyny mają taką samą moc jak małżeństwo. Że to też przysięga.

– Myślę, że tak nie jest. Zaręczyny stanowią taki czas próbny. – Morawski na oczekaniu stworzył zręczną teoryjkę. – Już sobie przyrzekliśmy, ale nie jest to ostateczne zobowiązanie. Gdyby przyrzeczenie narzeczęńskie miało taką samą moc jak ślubne, składanie drugiej przysięgi byłoby bezsensowne.

Rozpromieniła się i skinęła głową. Powoli wracali do dworu.

– A czy ty, Polak, znalazłbyś wyrozumiałość dla Polki, która wbrew sobie pokochała Niemca?

– Z pewnością tak. – Uśmiechnął się.

Minęli ostatni narożnik budynku i dotarli do frontowych okien. W rozświetlonym wnętrzu Jerzowa wieszła na ścianie jakiś sztych.

– Słyszałem, że latem matka odwiedziła cię w Dreźnie – zablefował Jan.

Helena odpowiedziała, dopiero gdy stanęli na schodach.

– Takie były plany, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i pojechała do Frankfurtu.

Nagle zastukotały kopyta i na podjazd wtoczyła się kariołka. Jerzy wrócił z Banku Ziemskiego. Wsiadł z pojazdu blady i złamany.

– I co, tato? – Helena podeszła do niego i wzięła go za rękę. – Co ci powiedzieli?

– Skonsultują się jutro z prawnikiem, ale najprawdopodobniej Jezioro nie są już nasze. Przeszły na własność Schulza, zanim został zastrzelony, i teraz należą do jego spadkobierców. Chyba że przed śmiercią komuś je sprzedał.

Jan nabrał tchu i powoli odwrócił się, by wejść do domu. Za sobą usłyszał histeryczny śmiech dziewczyny:

– Więc całe to taty poświęcenie na nic? Już wtedy było za późno?

* „*The face that launched a thousand ships*” – Christopher Marlowe, *The Tragical History of Doctor Faustus* („To oblicze wysłało na morze tysiąc okrętów” – *Tragiczna historia doktora Fausta*, tłum. J. Kydryński).

ROZDZIAŁ 16

Jan przystanął i gwałtownie odwrócił się do Jezierskich. Jerzy ujął córkę za łokieć i powiedział:

– Wejdźmy do gabinetu. Musimy porozmawiać.

Morawski ustąpił im przejścia, ale pan domu wskazał mu drogę przed sobą:

– Wejdź też, Janie. – Gość już otwierał usta w proteście, ale Jezierski dodał: – Zależy mi na twojej obecności.

Powiedział to takim tonem, jakby zamierzał złożyć oświadczenie o swej śmiertelnej chorobie, więc Morawski nie oponował. W holu Jerzy polecił córce, by poprosiła ją – Jertzową – do gabinetu, a sam tam poszedł razem z Janem. Po chwili do milczących mężczyzn dołączyły obie panie, przy czym Helena wróciła już bez kota.

Pan domu ze zwieszoną głową siedział przy stole. Gdy cisza w mrocznym pokoju stała się zbyt dręcząca, dziewczyna odezwała się półgłosem:

– Tacie powiedziano w Banku Ziemi, że najprawdopodobniej Jezioro nie są już nasze.

– Czy to znaczy, że znalazłeś umowę? – spytał Morawski. Jerzy skinął głową. – Mogę spojrzeć?

– Umowę? – zdziwiła się Helena. – Myślałam, że chodzi po prostu o weksle.

Jezierski wyciągnął z wewnętrznej kieszeni surduta sfatygowany brązowy portfel i wydobył z niego wielokrotnie złożony plik kartek. Jan pochylił się nad dokumentem i mrużąc oczy, poszukał dwóch najważniejszych zapisów: ostatecznego terminu spłaty zobowiązania i klauzuli o natychmiastowym przejściu majątku na własność Banku Poznańskiego. Jezierski winien był uregulować dług do dwudziestego siódmego listopada, w przeciwnym razie przestawał być właścicielem Jezior.

– Wygląda to poważnie – oświadczył Jan. – Na twoim miejscu porozmawiałbym z notariuszem, który sporządził tę umowę. On najlepiej będzie potrafił zinterpretować ten paragraf.

– Jaki paragraf? – chciała wiedzieć Helena.

Morawski przeczytał na głos złowróżbne zdanie. Pani domu zakryła dłonią usta, a jej córka siedziała jak skamieniała.

– A jeżeli mimo wszystko okaże się, że jest jeszcze dla nas jakaś nadzieja... – zaczęła Helena, ale chwycił ją gwałtowny spazm. Złapała się za gardło i Jan widział, jak próbuje się opanować. – Więc jeśli się okaże, że ten zapis można podważyć i że ten wstrętny człowiek nie zdążył zabrać nam domu, to czy Bank Ziemi udzieli nam pożyczki, żebyśmy mogli się z tego wypłatać?

Jan w ciemności pokręcił głową z ubolewaniem, Jerzy natomiast się ożywił:

– Jeśli tak się stanie, a głęboko w to wierzę – zapewnił – Bank postara się pomóc. Jest tylko jeden warunek: domagają się, bym złożył u nich depozyt w wysokości trzech tysięcy marek jako gwarancję, że będę miał za co prowadzić gospodarstwo w przyszłym sezonie. Wiosną udostępnią mi te pieniądze, aby umożliwić rozpoczęcie prac.

Kobiety chwyciły się za ręce i uśmiechnęły do siebie.

– Oczywiście – zastrzegł Jan, oddając dokument Jerzemu – jeżeli prawnicy stwierdzą, że ten paragraf nie ma mocy i Jezioro należy do ciebie.

Gotów był z samego rana pojechać do Poznania i pobrać ze swego banku tę kwotę, gdyby nie głębokie przekonanie, że umowy Banku Poznańskiego – tę i pozostałe – sporządzono prawidłowo.

– Trzy tysiące marek – powtórzyła dziewczyna. – Do kiedy musimy je zebrać?

– Do poniedziałku. – Jerzy pokręcił głową i złożył ręce jak do modlitwy. – Co za szczęście, że odwołaliśmy ten ślub! Nie miałbym czasu zająć się gromadzeniem pieniędzy, a poza tym sama uroczystość pochłonęłaby ogromną kwotę.

Jan niespokojnie się poruszył. Więc Jezierski jeszcze nie odkrył, że jego połowica niczego nie odwołała i z dziką desperacją zmierza do ślubu! Helena odwróciła się ku Morawskiemu i posłała mu spanikowane spojrzenie, a Jerzowa podrapała krzaczastą brew.

– Myślałem o tym przez całą drogę powrotną i podjąłem decyzję – ciągnął Jerzy. – Sprzedam kałkan temu antykwariuszowi, który przez tyle lat męczył o to ojca.

– Chce tata sprzedać nasz skarb Niemcowi? – obruszyła się dziewczyna. – Polski kałkan?

– Nie polski, tylko turecki – skorygował i wstał. – Poza tym nie chodzi o jakąś rozrywkę czy fanaberię, ale o Jeziory. A to jest nasz prawdziwy skarb. Co nam przyjdzie z rodzinnego trofeum, jeśli nie będziemy mieli domu? – Podszedł do drzwi. – Chodźcie. Wyciągniemy go ze skrytki.

Helena zerwała się i pobiegła za ojcem, Jan także się podniósł i ruszył za nimi. W progu zatrzymał się i spojrzał na Jerzową: siedziała nieruchomo i przygryzała wargę. Zostawił ją i poszedł za głosami tamtej dwójki. Trafił do kredensu i zastał Jerzego klęczącego przed otwartymi drzwiami głębokiej szafy. Z najniższej półki wyciągnął klosz lampy naftowej, paczkę gazet, zakurzony kupon jakiejś tkaniny, kilka motków wełny i wypchanego ptaka. Zanurzył tułów w ciemnej czeluści, a gdy z niej wychynął, trzymał w dłoniach spłaszczoną miedzianą kulę o średnicy przekraczającej siedemdziesiąt centymetrów, kształtem przypominającą dwa głębokie talerze złożone krawędziami.

– Podciąłem półkę z tyłu – wysapał – żeby się mieścił na stojąco za tymi wszystkimi gratami.

Jan przyklęknął i pomógł Jezierskiemu rozdzielić połowy osłony. Unieśli górną i odłożyli na bok. Przez chwilę wpatrywali się oniemiałi w dwa dyski. Opakowanie było puste.

– Chryste! – jęknął Jerzy.

Pomacał leżącą na podłodze misę, jakby nie dowierzał własnym oczom, potem dotknął także zdjętej pokrywy. Zasłonił dłonią twarz i wydał pojedynczy stłumiony jęk. Jan podniósł wzrok na Helenę. Opierała się o drzwi i zaciskała palce na klamce. Jezierski z trudem dźwignął się na nogi i rozejrzał dookoła. Na blatach kredensów stały starożytne srebra z herbem Jezierskich: dwie wielkie wazy, kilka tac, półmiski z pokrywami, sosjerki, cukiernica skrzynkowa, imbryki i dzbanki. Jan nawet nie chciał myśleć, ile kosztowało wykupienie ich z zastawu. Jezierski podszedł do stołu i pogładził palcem herb na jednej z waz. Przy okazji uderzył nogą skrzynkę szampana Moët et Chandon White Star i zabrzęczały butelki. Jego wzrok trafił na otwarte drzwi do jadalni i poszedł tam, niczym lunatyk, potrącając po drodze Helenę. Stół

o długości przekraczającej sześć metrów ginął pod stosami naczyń z białej porcelany ze złotym rantem. Na krzesłach leżały obrusy z holenderskiego płótna i dziesiątki haftowanych serwetek. Z pomocnika błyskały kryształowe kieliszki, a w dwóch skrzyniach srebrzyły się sztuce.

Morawski podprowadził ślaniającą się Helenę bliżej ojca. Jerzy, z wiśniowymi wypiekami i mokrym czołem, podszedł do stołu i trzęsącą się dłonią podniósł jakąś kartkę.

– „Kawior, pasztet strasburski, mięso zółwia” – wymruczał. – „Zapłacono”.

Spojrzał w stronę drzwi do holu. Stała tam śmiertelnie blada Jerzowa.

– Wymieniłaś nasz skarb na szmaty, bąbelki i skorupy? – wychrypiał.

W odpowiedzi tylko zacisnęła usta i objęła się ramionami.

– Ta tarcza przynosiła Jezierskim szczęście od ponad dwustu lat – powiedział cicho.

Nic nie odrzekła. Wszedł, a ona opadła na krzesło.

– Kiedy to zrobiłaś, mam? – przypadła do niej Helena.

– Dziś rano.

– Jak mogłaś?

– Nie rozumiesz? – Uniosła głowę. – To dla ciebie. Wczoraj wieczorem jeszcze się wahałam, ale po tym, co zrobiłaś dla Jezior, podjęłam decyzję: musisz mieć ślub, na jaki zasłużyłaś.

– Jak to, po tym, co zrobiła? – nie wytrzymał Jan.

Jerzowa nie odpowiedziała, gdyż pochłonął ją własny wybuch.

– Ja przecież nie miałam wesela, bo byliśmy w żałobie po matce – łkała. – A wyprawę dostałam taką lichą, że wstydziałam się oddawać bieliznę do prania! I nie miałam posagu! Musiałam o wszystko prosić teścia! – Zerwała się na nogi, z jakimś szaleńczym zacięciem złapała córkę za ramiona i zapewniła ją: – Więc teraz nie zrezygnuję i zorganizuję ci ślub, jak się należy.

Morawski powstrzymał się od pytań, słysząc tę litanie zaropiałych uraz i jątrzących wspomnień. Od progu odezwał się zachrypniętym głosem Jerzy:

– Chodźcie do gabinetu.

Poszli za nim wszyscy troje. Jezierski stanął przy oknie tyłem do pozostałych. Po chwili odwrócił się i rzekł do żony:

– Więc potajemnie kontynuowałaś przygotowania do wesela. – Nie odpowiedziała. – Tylko że goście są odwołani.

Sięgnęła do kieszeni fartucha, wydobyla z niej jakieś kartki i położyła na biurku.

– Moje telegramy? – wyjąkał Jezierski. – Nie wysłałaś ich? – Opadł na fotel. – No tak, przecież zamiast na pocztę, pojechałaś sprzedać kałkan.

Morawski podszedł do okna. Wpadli w jakiś koszmarny klincz, z którego nie widział dobrego wyjścia. Jakakolwiek podejmą decyzję, ktoś – a prawdopodobnie wszyscy – na tym ucierpi. A jakby tego było mało, w każdej chwili mógł wrócić niemiecki policjant z dowodami przeciwko nim.

– A wzięłaś pod uwagę fakt – spytał cicho Jerzy – że Helena zerwała z Andrzejem i chłopak dawno powiadomił o wszystkim swego ojca? Ostrowscy uważają, że ślubu nie będzie, więc pan młody się nie pojawi.

– Nie wierzę, by Andrzej mu to powtórzył – oznajmiła Jerzowa. – Andrzej kocha Helenę i zapewnił mnie, że nigdy nie zgodzi się na zerwanie.

– Ale ja mam jeszcze coś do powiedzenia – ostro zareagowała dziewczyna – i oświadczam, że za niego nie wyjdę.

– Wszystko jest przygotowane – wycodziła Jerzowa.

– Mam wyjść za mąż, żeby jedzenie się nie zmarnowało?

– Co robić, Janie? – jęknął Jerzy.

Morawski, który już od kilku sekund uważnie nasłuchiwał przybliżającego się stukotu, w końcu także coś zobaczył.

– Ktoś jedzie – obwieścił. – Jakaś kareta.

Jezierski poderwał się ze swego miejsca i podszedł do Jana.

– Ojciec Andrzeja – westchnął i spojrział na żonę. – A to oznacza, że chłopak jednak powiedział mu o zerwaniu.

ROZDZIAŁ 17

Helena z Jerzym wyszli na ganek, Jerzowa zatrzymała się w wiatrołapie, a Jan został w holu. Ponad głowami Jezierskich zobaczył szykowną książęcą karetę, stangreta w cylindrze z białą kokardą, lokaja w liberii i czwórkę karych koni.

U boku Morawskiego zmaterializował się Mateusz.

– Ewakuowałem wściekłą kocicę na górę.

Jan dopiero po chwili pojął, że chodzi o oblaną kawą Ewelinę. Przed nim Jerzowa niezbornie przyglądała włosy i dłońmi szukała nieistniejącego kołnierzyka przy sukni. Mateusz podszedł do niej.

– Pani domu powinna oczekiwać gościa w salonie, a nie na ganku – szepnął, podając jej koronkowe łaszki, które ciągle gdzieś zostawiała. – To nie jest miejsce dla damy.

Kobieta zniknęła z progu i Jan zyskał lepszy prospekt.

Lokaj zeskoczył z tylnej ławeczki, otworzył drzwiczki z wymalowanym skomplikowanym herbem i rozłożył stopnie. Ktoś się podniósł z siedzenia i po schodkach wyszedł z pojazdu. Wyprostował się i Morawski zobaczył szczupłego mężczyznę w wysokim cylindrze i almawiwie. Błądą twarz miał gładko ogoloną, a jakby dla odróżnienia od niego jego służący nosili bujny zarost, choć wedle zwyczaju powinno być odwrotnie.

Nowo przybyły chłodno ukłonił się Jerzemu, Helenę poczęstował zachwyconym uśmiechem i ruszył do budynku, jakby był u siebie. Wszedł do środka i jednym spojrzeniem ogarnął wiszące u powały dożynkowe wiechcie, odymiony kominek, kilka krzeseł, których nie odniesiono do salonu, i porzuconą w kącie miotłę. Skrzywił z pogardą usta.

Tuż za nim weszli Jerzy i Helena, wtedy Jan także się zbliżył i został przedstawiony gościowi, który ledwie spojrzał na niego, jego tweedową marynarkę i bryczesy. Większą aprobatę zyskała elegancka wyprostowana postać Mateusza, który na życzenie umiał być bardziej arystokratyczny niż najpyszniejszy arystokrata. Gość odpiął pelerynę i wyćwiczonym gestem rzucił ją kamerdynerowi, odsłaniając swój malowniczy strój. Miał na sobie ciemnozielony aksamitny fraczek, pod

spodem haftowaną kamizelkę w kolorze szampana, a pod szyją wymyślny węzeł fularu. Całości dopełniały krótkie czarne spodnie spięte pod kolanami, pończochy i lakierowane trzewiki z klamrą.

Jan w pierwszej chwili był kompletnie zaskoczony – nie tak wyobrażał sobie ojca Andrzeja – ale nie zapomniał spojrzeć na stopy przybyłego, drobne i kobieco wąskie. W tym momencie do holu wszedł też młody Ostrowski, dwukrotnie większy od ojca, w miękkim kapeluszu, wysokich butach i starym płaszczu przesiąkniętym wszystkimi chyba padającymi ostatnio deszczami, bo służąca przygięła się pod ciężarem tego okrycia, gdy je od niego odbierała.

Senior Ostrowski, całkowicie ignorując syna, wydobyl z kieszeni kremowy kartonik i rzucił go na tacę, którą Mateusz przytomnie ze sobą przyniósł. Elegant zdjął cylinder i bez zaproszenia ruszył do salonu, a Jan mógł podziwiać jego siwe, starannie utrefione włosy, spięte na karku w krótki ogon przewiązany czarną tasiemką.

Andrzej i Jezierscy podreptali za nim, a Jerzy zdążył odwrócić się ku Morawskiemu i szepnąć:

– Błagam cię, nie zostawiaj nas z nim!

Jan się skrzywił. Spełnienie tej prośby oznaczało dalsze odwleczenie wyprawy do parku, ale nie mógł zostawić Jezierskich na pastwę tego panka. Przystanął obok kamerdynera i sięgnął po kartę wizytową.

– Eugeniusz Jeremi Ostrowski – przeczytał półgłosem.

– Czy on pozuje na Waszyngtona?

– Mam wrażenie, że raczej na Woltera – odparł Jan i również poszedł do salonu.

Pan Eugeniusz przywitał się już z panią domu, bez wahania podszedł do honorowego miejsca na kanapie, otrzepał ją i usiadł, kładąc cylinder na podłodze. Pozostali przycupnęli na pośledniejszych miejscach i próbowali nawiązać rozmowę. Napomykali o pogodzie i stanie dróg, ale paraliżowało ich poczucie niższości wobec tego światowca, a przede wszystkim paniczny strach, że przyjechał, by potwierdzić zerwanie zaręczyn, gdy tymczasem oni, a przynajmniej większość z nich, zmienili zdanie i jednak pragnęli ślubu.

Dżentelmen nie odpowiadał na te zagajenia, rozglądał się tylko

dookoła z lekkim uśmiechem, ale jego ciemne, żywe oczy dostrzegały wszystko. Jeśli poświęcał komuś uwagę, to wyłącznie Helenie, pięknej kontrastami białej skóry, ciemnorudych włosów i szmaragdowej bluzki.

Jerzowa kilkakrotnie zaczynała proponować gościowi kawę, ale głos wiązał jej w gardle. Zanim zdołała się wysłować, otwarto drzwi i do pokoju wmaszerował Mateusz z wielką tacą pełną naczyń pożyczonych z serwisu wyprawnego Heleny. Zastawę do kawy złożył na stoliku, wyszedł i po chwili wrócił z ładunkiem suchych konfitur, czekoladek i drobnych ciastek. Jerzy przyniósł pigwówkę, ale pan Eugeniusz nią wzgardził, łaskawie zgadzając się na filiżankę kawy, którą ujął dłonią w cieniutkiej skórkowej rękawiczce.

Nagle do salonu wpadła wściekła kocica, a tuż za nią w progu ukazał się zdezorientowany Mateusz, gotujący się do interwencji.

– Żądam, aby ją surowo ukarano – zawołała, mierzając palcem w Helenę.

W tym momencie dostrzegła gościa i zmarszczyła brwi. Rozluźnione ogniwa jej umysłu potrzebowały chwili, by go zidentyfikować.

– Kogo ja widzę? – podniósł się pan Eugeniusz. – Pani tutaj?

Trójka Jezierskich i Jan popatrzeni po sobie zmieszani.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej usłyszeli to samo, tyle że z innych ust.

Pan Ostrowski podszedł do Eweliny. Serdecznie się przywitali, a potem przystanęli razem we wnęce okiennej i zagłębili się w szeptanej pogawędce. Jerzy i Jan dołączyli do Andrzeja, który opierał się o kominek i zachwyconymi oczyma spoglądał na przemian na narzeczoną i ojca.

– Szczerze mówiąc, Andrzeju – zaczął szeptem Jezierski, pocierając dłonie – nie spodziewaliśmy się dzisiaj takiego zaszczytu. Dotychczas twój ojciec nas unikał, a jeszcze teraz...

– Proszę się nie martwić, panie Jerzy. – Olbrzym położył mu rękę na ramieniu. – Opowiedziałem ojcu o pana kłopotach finansowych i jestem przekonany, że panu pomoże. Mamy niejaki zapasy i choć wolałbym trzymać je na czarną godzinę, to chętnie się z nimi rozstanę, byle tylko ożenić się z Heleną. Nie dopuszczę, by pieniądze stanęły na

drodze do naszego małżeństwa.

Zakłopotany Morawski uciekł wzrokiem. Pieniądze to może nie, ale pewien piękny Niemiec? Jerzy zaczął gorąco dziękować poczciwcowi, więc Jan opuścił ich i usiadł obok Jerzowej. Nałożył sobie na talerzyk kilka kruchych rozków z wiśniami, zjadł dwa i zagadnął panią domu.

– Od dawna się znają? – spytał, wskazując na śmiejących się Ewelinę i pana Eugeniusza.

– Odkąd się tu sprowadziła jako żona Wojtka.

– Słyszałem – zaryzykował Jan, sięgając po trzecie ciastko – że jeszcze za życia hrabiego podejrzewano ich o romans.

– To prawda. – Jerzowa wzruszyła ramionami. – Wojtek nawet tuż przed śmiercią wypowiedział panu Eugeniuszowi dom. Niektórzy twierdzą, że teraz, gdy jej żałoba minęła, on się z nią ożeni.

Omawiana dwójka właśnie podeszła i zgodnie zasiadła na kanapie.

– Pan podobno mnóstwo podróżuje, czy tak? – zwrócił się pan Eugeniusz do Jana. – Ja również. Większość jesieni spędziłem w moim pałacyku w Berlinie i teraz słono za to płacę, bo wieś nuży mnie jeszcze bardziej niż zwykle. Przypuszczam, że pan także kona tu z nudów?

– Wprost przeciwnie, bawię się doskonale – zapewnił Jan.

– Berlin na dłuższą metę też jest nudny – ciągnął koneser. –

Centrum świata pozostaje Paryż, zwłaszcza odkąd ponownie zapanowała najjaśniejsza Republika i osłabiono pozycję tego bractwa w sutannach. Mam nadzieję, że światli Francuzi doprowadzą do laicyzacji swego wspaniałego kraju, gdyż, jak panu zapewne wiadomo, „ludzie dopiero wtedy będą wolni, kiedy udusi się ostatniego króla wnętrzościami ostatniego z księży”*

Popatrzył na Morawskiego, by się upewnić, czy jego elokwencja i postępowość zostały docenione. I dalej prawił w tym samym stylu, trącając o Przybyszewskiego, Wystawę Paryską i wiedeńskie wykłady profesora Freuda. Wszędzie wplatał wielkie nazwiska, nie schodząc nigdy poniżej Raczyńskich, Sapiehów i Czartoryskich.

Początkowo Jan był ubawiony snobizmem i pozerstwem tego oświeceniowego męża, potem poczuł niesmak. Nie mógł jednak odejść, bo pan domu wdał się w dyskusję z Andrzejem, a Helena i Jerzowa

zniknęły, wywołane przez Mateusza.

– To zabawne – Morawski postanowił wykorzystać sposobność – ale nie mogę sobie przypomnieć, jak ma na imię Jerzowa.

– A czy takie istoty w ogóle zasługują na imię? – zachichotał prześmiewca. – Pierwszym obowiązkiem kobiety jest cieszyć oko mężczyzny, a ta tutaj jest brzydka jak listopadowy dzień. Co innego jej piękna córka. – Zacmokał. – Szkoda jej dla Andrzeja.

Akurat spod kominka dobiegły słowa młodego rolnika.

– ... przecież pole było przygotowane pod żyto – przekonywał. – I teraz szparagarnia?

– Mam praktycznie w ręku kontrakt na olbrzymie ilości szparagów, więc na wiosnę zaczynamy sadzenie właśnie na tym polu – tłumaczył Jeziński. – Świat idzie do przodu, mój drogi, trzeba umieć szybko reagować, przestawiać się.

– Rolnictwo jest wolnoobrotową działalnością.

– Kiedyś takie było. Słyszałem niedawno o teorii, z którą w stu procentach się zgadzam – perorował Jerzy. – Otóż aby osiągnąć duży zysk, trzeba w istniejący system gospodarczy wprowadzić coś nowego, wynalazek lub usprawnienie, co obniży koszty lub podniesie wydajność produkcji. Tak powstały wszystkie wielkie fortuny.

Pan Eugeniusz machnął w stronę rolników chusteczką.

– Cóż to za prymitywny temat. Proszę spojrzeć, jak oni wyglądają – prychnął. – Jakby ich oderwano od pługów.

Jerzy nawet w swym wyjściowym surducie, z wianuszkami niesfornych włosów dookoła głowy i czerstwymi policzkami musiał na tym wykwinieństwie sprawiać wrażenie staromodnego wieśniaka, podobnie jak rozrośnięty Andrzej, w rozpiętej pod szyją koszuli bez kołnierzyka i z kogutem na czubku głowy.

– Czasami się zastanawiam – westchnął pan Eugeniusz, wskazując syna – czy podobieństwo między „osiłek” i „osiołek” jest przypadkowe.

Z boku dobiegło nucenie i Jan spojrzał w tamtym kierunku. Ewelina trzymała na kolanach zwiniętą poduszkę, gładziła ją i śpiewała jakąś rzewną melodię bez słów.

– Czy on się nadaje na hrabiego? – rozważał dalej starszy Ostrowski, patrząc na swego potomka. – Niech pan nie odpowiada.

Przyznam się panu, jak arystokrata arystokracie, że właśnie pracuję nad statutem ordynacji i gdy tylko zostanę ordynatem, rozpocznę starania o tytuł hrabiowski związany z posiadaniem dóbr jasienińskich. Ale jak patrzę na Andrzeja, to coraz bardziej podoba mi się pomysł założenia ordynacji opartej na zasadzie minoratu.

– Nie wiedziałem, że ma pan młodsze dzieci.

– Ależ nie mam! – zaśmiał się sześćdziesięciolatek i błysnął okiem.

– W każdym razie, jeszcze nie. Ale wszystko może się wydarzyć, bo ja bardzo lubię kobiety, zwłaszcza gdy są ładne i uległe.

W progu stanęła Helena, prowadząc za rękę chudą, zielonkawą na twarzy Laurę, która przy kwitnącej kuzynce bardziej niż zwykle przypominała topielicę. Jan podniósł się, by odejść. Dochodziła piąta, a on miał o szóstej wyjechać do Objezierza.

– A to kto? – spytał go pan Eugeniusz ze wstrętem.

– Panna Laura Jezierska.

– Dziedziczka Czerska? – Starszy pan chyżo poderwał się na nogi i giętkim krokiem podszedł do panien.

Helena dopełniła prezentacji i od tej pory pan Ostrowski poświęcił całą swą uwagę chuderlawej pannie. Czarował ją i komplementował, ale ona pozostawała skrepowana i spięta, natomiast Ewelina naląła pigwówki do filiżanki, wypła i zaczęła rzucać pasierbicy złe spojrzenia. Jan, zamiast odejść, starał się zainteresować czymś podstarzałego lowelasa, ale ten nieustannie zwracał się do Laury, aż wreszcie dokonał mistrzowskiego posunięcia.

– Czy panna Laura wie, że znałem i podziwiałem jej mamę? – spytał, trącając jedyną strunę zdolną poruszyć dziewczynę.

Natychmiast uniosła na niego oczy.

– Tak, tak – potwierdził. – Spędziliśmy razem wiele uroczych chwil, gawędząc bez końca o książkach i obrazach. – Laura się uśmiechnęła i już nie odrywała od niego wzroku. – Była dla mnie najpiękniejszą z kobiet.

– Tu jest jej zdjęcie – zawołała Laura, wskazując półkę nad kominkiem.

– Z największą przyjemnością obejrzę, jeśli zechce mi panna towarzyszyć.

Wstał i podał ramię dziewczynie, która bez wahania je przyjęła. Obok Jana usiadła Helena.

– Rozumiesz już, dlaczego nie chcę się znaleźć w sytuacji całkowitej od niego zależności? – szepnęła. – Nigdy nie dałby mi zapomnieć, że przyszłam do jego domu w samej koszuli.

– Zatem to Andrzej pracuje, a on wydaje? – streścił problem Morawski.

– Teraz pracuje na niego syn, a przedtem pracowała żona – uzupełniła obraz Helena. – A on nigdy w życiu niczego nie zarobił i nigdy niczego sobie nie odmówił. Dziadek opowiadał, że pan Eugeniusz zawsze wiódł wygodne życie i spełniał swe kaprysy, aż wreszcie, gdy doszedł do trzydziestki, prawie stracił majątek. Wtedy ożenił się bogato i z posagu żony spłacił długi. Gdy po pewnym czasie znowu pojawiło się dno, zakochana żona wprzęgła się do pracy na roli. Prowadziła gospodarstwo, zarabiała na utrzymanie i fanaberie męża. A on, jakby nigdy nic, dalej żył wystawnie, zatrudniał armię służby, większość czasu spędzał na wozach. Pani Ostrowska zaś niezmiennie otaczała go uwielbieniem, uważała za istotę wyższą i w tym duchu wychowała syna. Teraz Andrzej podtrzymuje ten kult, oszczędza i haruje dla ojca, choć ten ojciec uważa go za prostaka i wstydzi się go.

Jan obserwował piękną twarz bon vivanta, jego cienki nos, zmysłowe usta, wiotką sylwetkę i ufryzowane *à la* peruka włosy.

– Doprawdy, panno Lauro, wygląda pani jak kopia swej przeuroczej matki! – zawołał, spoglądając to na fotografię, to na dziewczynę.

Biedna brzydula chłoneła te pochlebstwa niczym gąbka. Podała następne zdjęcie.

– A cóż to? To przecież hotel San Domenico w Taorminie! Poznaje po tym krużganku!

– To mama wybrała dla nas ten hotel – wyjaśniła Laura.

– Ależ ja właśnie tam się wybieram najbliższej zimy! – Pan Eugeniusz ujął dłoń dziewczyny i czule pogładził. – Na pewno się tam spotkamy. Już nie mogę się tego doczekać.

– Obyś się nie przeliczył – mruknęła Ewelina. Bezwładną głowę miała opartą o kanapę, ale odwróconą w stronę pary, z której nie

spuszczała wzroku.

Jan poczuł, że ktoś złapał go za bark, i zobaczył nad sobą rozeźlonego Jerzego.

– Co ten człowiek sobie myśli! – sapnął. – Bałamuci panienkę, która mogłaby być jego wnuczką.

– Musi panna Laura koniecznie odwiedzić mnie w Jasieninie, dobrze? – wdzięczył się dalej tamten.

Pokraśniała dziewczyna pokiwała głową.

– Laura nigdzie nie będzie jeździć – zdenerwował się Jeziński. Do salonu niepostrzeżenie wróciła Jerzowa, podeszła do męża i ostrzegawczo złapała go za ramię. – I proszę tak się do niej nie odzywać pod moim dachem.

– Coś mi się widzi, że ten dach już niedługo będzie pański – odrzekł z niezmaconym spokojem gość. – Wspominano mi, że kręci się tu Komisja Kolonizacyjna i że sąsiad najprawdopodobniej będzie musiał opuścić Jeziory.

Storpedowany Jerzy stracił impet. Jan podniósł się i stanął u jego boku.

– To nie jest przesądzone – wybąkał Jeziński. – Wprawdzie nie udało mi się spłacić długów w terminie, ale jeszcze czynię starania...

– Rozumiem. – Pan Eugeniusz pokiwał głową z żalem. – I spadek dziadka też się nie znalazł? Może nawet nigdy nie istniał... – Jeziński zapatrzyli się w podłogę. – Niezmiernie państwu współczuję. Utrata rodzinnego gniazda o takiej tradycji to wielka tragedia. Oczywiście w tej sytuacji nie może być mowy o ślubie, biorąc pod uwagę, że ani narzeczona, ani narzeczony niczego nie posiadają.

– Ojcie! – krzyknął Andrzej.

– Ale przecież – odezwała się biała jak płótno Jerzowa – Andrzej może liczyć na schedę po panu...

– Na razie nie wybieram się na tamten świat – poinformował ją uprzejmie pan Ostrowski. – Zresztą kto wie, czy jeszcze nie ułożę sobie życia. – Posłał Laurze uśmiech, a Jerzy zachnął się na ten widok. – Ponadto nie mogę pozwolić, by mój syn wiązał się z rodziną, która zhańbiła się utratą majątku.

– Ależ, ojcie – błagał Andrzej – liczyłem, że ojciec wesprze

państwa Jezierskich. Przecież posiadamy wolną gotówkę...

– Gotówkę tak, ale nie wolną – skorygował – a poza tym to ja posiadam, a nie my. Ty nie posiadasz nic. – Ukłonił się Jezierskim. – Proszę przyjąć zapewnienia o mej przyjaźni, dobrej woli *et cetera*. Ale ślub jest wykluczony.

Wszyscy wpatrywali się w niego, zdumieni stanowczością tego miękkiego – zdawałoby się – próżniaka i światowca.

– Szczególnie w domu, w którym doszło do morderstwa – włączyła się z kanapy Ewelina.

– Do morderstwa? – zainteresował się pan Ostrowski.

– Tak, zamordowano tu człowieka, którego pan znał – zaatakował go Jan. – Nazywał się Josef Schulz. Wysoki, czarno-białe owłosienie, zajmował się rozmaitymi interesami, w tym także pożyczkami. Co najmniej raz był w pańskim domu. Przypomina go pan sobie?

– W żadnym razie – zaśmiał się. – Wyrzucam z pamięci takie indywidua najszybciej, jak się da. – Powiódł dookoła spojrzeniem. – Na nas pora. Pożegnaj się, Andrzeju, i w drogę.

– Ojczy, kocham Helenę i chcę się z nią ożenić.

Morawski spojrział na stojącą z boku dziewczynę. Była blada, kurczowo zaciskała pięści i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w obu Ostrowskich. Jan nie miał pojęcia, ku któremu stanowisku się skłaniała.

– Znasz moje zdanie w tej kwestii – odparł starszy z gości. – Nie zgadzam się na ten związek i jeśli ożenisz się z panną Heleną, nie licz na moje wsparcie.

– Chcę się z nią ożenić – powtórzył Andrzej błagalnym tonem.

Pan Eugeniusz prychnął.

– I dla dziewczyny wyrzekłbyś się tej ziemi, którą ci powierzyła matka? – Zachichotał. – Nie bądź śmieszny. Wracamy do domu. Trzeba rozesłać depecze, że ślub jest odwołany. – Podeszedł do kanapy i sięgnął po cylinder. Skinął towarzystwu głową, a Laurze rzucił na pożegnanie: – Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy.

I wyszedł. Pozostałe w salonie osoby z napięciem obserwowały Andrzeja, a on stał przez chwilę z brodą zwieszoną na piersi. Naraz podniósł głowę, spojrział wprost na Helenę i uklęknął.

– Czy przyjmiesz mnie, choć niczego nie posiadam? – spytał.
Z kieszeni wy dobył pierścionek i jej podał.

Jerzowa klasnęła z radości, ale sama dziewczyna nie wyglądała na przekonaną. Z ociąganiem przyjęła klejnot, a Jan widział jej zaciśnięte szczęki, zbielełe palce i to, że kilkakrotnie otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć. Andrzej ucałował jej dłoń, potem zerwał się na nogi i pobiegł za ojcem, rzucając na odjezdnym, że wróci jak najwcześniej następnego dnia.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w drzwi, za którymi zniknęli.

Pierwsza ruszyła się Ewelina. Podniosła się ciężko z kanapy, lodowatym wzrokiem popatrzyła na pasierbicę i oznajmiła:

– Chodź na górę. Mam z tobą do porozmawiania, pannico.

Wyszła, a za nią wysunęła się z salonu Laura, rzucając Jerzemu przestraszone spojrzenie.

– Więc jednak wszystko dobrze się skończyło – zachwyciła się rozpromieniona Jerzowa.

– Nie byłbym taki pewien. – Jezierski pokręcił głową. – Moim zdaniem Andrzej jutro się nie pojawi.

Ruszył do drzwi, a żona pobiegła za nim.

– Co ty opowiadasz? Przecież obiecał!

– Wróci do domu i ojciec przekona go, że w jego interesie... – dobiegał z oddali głos Jerzego.

Helena poszła za nimi, ale zatrzymała się w progu między holem a wiatrołapem i przez otwarte drzwi frontowe wpatrywała się w ciemność. Jan podszedł do niej.

– Co ja mam zrobić? – spytała zrozpaczona. – Każda decyzja wydaje się zła.

– Jeśli mógłbym ci w czymś pomóc... – zaczął i ujął ją za rękę.

– Tak bym chciała być niezależna – jęknęła. Przygryzła wargę i słabo się uśmiechnęła. – Ale dziękuję ci. – Pocałowała go i odeszła w stronę korytarza prowadzącego do dobudówki.

Morawski patrzył za nią, dopóki nie zniknęła. Gdyby tylko znalazł ten skarb dziadka, może Helena mogłaby sobą swobodniej rozporządzać.

Naraz za plecami usłyszał szelest, a potem kroki. Odwrócił się i dostrzegł jakiś ruch. Wyszedł na zewnątrz i zobaczył wskakującego na

konia Andrzeja. Jeździec odjechał, a Jan żarliwie sobie powtarzał, że Kmicic nie mógł widzieć tego pocałunku.

Zafrasowany wrócił do domu i w holu wpadł na Mateusza.

– Czy jest tu jeszcze pan Andrzej? – spytał kamerdyner. – Pani Jerzowa chciała z nim rozmawiać, a widziałem go przed wejściem.

Janowi przemknęło przez głowę, że czarna prognoza Jerzego jednak się spełni, aczkolwiek z zupełnie innego powodu, niż Jeziński przypuszczał.

* Słowa Denisa Diderota.

ROZDZIAŁ 18

Jan odegnął złe przeczucia i ruszył do swego pokoju po latarkę.

Mijając drzwi do kredensu, zobaczył porzuconą na podłodze pokrywą kałkana. Lekceważenie osłony, równie starej jak sama tarcza, odczuł jako profanację, wszedł więc tam, przyklęknął i spiął razem dwie metalowe misy. Próbował wsunąć osłonę do szafy, ale nie chciała się zmieścić. Coś z tyłu półki blokowało miejsce. Gdy zanurzył rękę w ciemnej jamie, poczuł pod palcami miękką skórę, złapał ją i wyciągnął. W dłoni trzymał brązowy skórzany trzewik, szeroki w palcach, pozbawiony czubka, kształtem przypominający kaczą płetwę. Obrócił but podeszwą do góry i spojrzął na obcas: od strony śródstopia wycięty był w półksiężyc. Rozciągnął dłoń i przyłożył do spodu. Dwadzieścia pięć centymetrów. Pochylił się ponownie i wydobył drugi but. Choć zamierzał porównać je z odciskami pod oknem dobudówki, był prawie pewien, że znalazł buty mordercy, a w każdym razie buty drugiej – obok Schulza – osoby, która kręciła się po błotniku. Tylko dlaczego buty były czyste i suche?

Wsunął oba trzewiki za poły marynarki i wyszedł na korytarz. Wtedy na schodach prowadzących z piwnicy rozległy się pospieszne stąpania i Jan się cofnął. W kredensie pojawił się Mateusz.

– Wezwij wszystkich do holu – polecił kamerdynerowi Morawski.
– I służbę, i domowników.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– Co się stało? – biegł za nim Mateusz.

Morawski zatrzymał się i pomachał mu jednym butem.

– Znalazłem je!

Aż się uśmiechnął do tego schodzonego trzewika. Ogarniające go ostatnio wrażenie niemocy i skrępowania niewidzialnymi więzami minęło, a on poczuł ulgę – znalezienie mordercy wydawało się o wiele prostsze niż wydobycie Heleny ze ślepego zaułka, w który zabrnęła, i wskazanie jej, które zło jest mniejsze.

W wiatrołapie zdjął z haka lampę naftową, którą zapalano tam co wieczór, i bez kurtki wyszedł na zewnątrz. Na świecie panowała już ciemność, a temperatura szybko spadała. Skręcił w prawo i obiegł dom,

śmiejąc się w duchu, że zwyciężył w wyścigu z niemieckim detektywem i pod jego nieobecność znalazł tak ważny dowód.

Pracowity wiatr osuszył błoto, które lekko się skurczyło i popękało. Jan wskoczył na drewnianą tratwę, odstawił latarnię i odepchnął na bok skrzynię zabezpieczającą ślady. Zza pazuchy wyciągnął jeden but i przyłożył do odcisku. Pasował idealnie.

– A więc znalazł je pan – rozległ się głos za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył pana Joachima w nienagannym kaszmirowym płaszczu, wyglansowanych butach i homburgu.

– A więc wrócił pan.

– Wysłałem kilka telegramów z Sadów i czekałem na odpowiedzi – wyjaśnił Niemiec. Wskazał laską buty: – Pasują?

– Według mnie idealnie. Chciałby pan sam się przekonać?

– Ufam panu całkowicie. – Morawski, słysząc to, wydał usta. – Do kogo należą?

– Tego musimy się dowiedzieć.

Jan nałożył skrzynię z powrotem na ślady i zeskoczył na suchy grunt. Detektyw wziął but i starannie go obejrzał, komentując znalezisko śpiewnym „Hm, hm, hm”.

Wracali do domu, gdy nagle dostrzegli na skraju polany zapaloną i wysoko umieszczoną latarnię. Pod nią kręcił się Jerzy, który zdawał się wykonywać jakiś mistyczny taniec: przekładał ręce z jednej strony na drugą, przesuwał się trochę w prawo, trochę w lewo, cały czas jednak stał tyłem do dworu i nie dało się stwierdzić, co stanowi przedmiot jego zabiegów. Obserwujący go mężczyźni cicho ruszyli w tamtym kierunku, a gdy znaleźli się dziesięć metrów od Jezierskiego, ten nagle się odsunął, odsłaniając dwa przycięte na wysokość metra krzewy. Obok nich leżała słomiana plecionka i sznur. Jerzy zdziwił się na widok swych gości, podrapał się po głowie i wyjaśnił:

– Zdejmuję chochoły z róż.

– Czy jesień nie jest porą zakładania osłon zimowych? – zainteresował się uprzejmie Engel.

– Ogrodnik założył je zbyt wcześnie – oświadczył pan domu, patrząc w ziemię. – Rośliny powinny się hartować.

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie Jan odchrząknął i poprosił

Jerzego, by wrócił do domu. Mężczyzna obiecał, że zaraz przyjdzie.

Gdy detektywi dotarli do dworu, Mateusz zdążył już przeobrazić hol w pokój zebrań. Na krzesłach przyniesionych z jadalni siedziały Jerzowa i Helena, natomiast kuchenną ławkę zajmowały służące.

Kucharki, wedle raportu kamerdynera, odmówiły przyjścia.

– Drogie panie – zaczął Jan bez wstępów – mamy do was pytanie: czyje to buty?

Podchodził kolejno do czterech kobiet i pokazywał im trzewiki. Żadna się nie odezwała.

– Sprawa jest poważna – spróbował ponownie. – Prawdopodobnie osoba, która je nosiła, popełniła morderstwo.

Nadal milczały, ale Morawski dostrzegł nerwowy gest każdej z nich: jedna poprawiła się na ławce, druga splotła dłonie, następna odchrząknęła, a Helena uciekła spojrzeniem w bok. Mogły to jednak być zwykłe reakcje na słowo „morderstwo”.

Na drewnianych schodach rozległy się kroki i do towarzystwa dołączyły promieniejąca Ewelina i Laura, której twarz nosiła ślady łez.

– Czyje to buty? – spytał ponownie Jan.

– Widziałam w nich Helenę i Jerzową – z radością oświadczyła po niemiecku Ewelina.

– Dlaczego żadna z pań się nie odezwała? – zaatakował je od razu Engel.

– Bo Jan pytał, czyje to buty – odparowała pchnięcie Helena. – A tego nie możemy stwierdzić, bo nosimy ten sam rozmiar i istnieją dwie identyczne pary.

Niemiec przez chwilę wpatrywał się w nią z nieodgadnioną miną.

– Proszę mi je pokazać – poprosiła nagle Jerzowa i po krótkim oglądzie stwierdziła: – Jestem prawie pewna, że to moje.

– Równie dobrze mogą być moje – włączyła się natychmiast córka. Morawski z trudem pohamował krzyk. Znowu coś kręciły.

– Kiedy ostatnio widziałyście te buty? – ruszył na nie. – Którąkolwiek parę.

– Chyba kilka dni temu – stwierdziła ostrożnie Jerzowa, a Helena wzruszyła ramionami.

Jan odciągnął Engla na bok i mruknął:

– Skoro istnieją dwie identyczne pary butów, musimy brać pod uwagę, że to te drugie nosił morderca. – Niemiec skinął głową i słuchał dalej. – Zwłaszcza że te tutaj są czyste i suche. Oczywiście mogły zostać wyczyszczone. – Zwrócił się do kobiet: – Kto czyści buty?

Zanim skończył mówić, już znał odpowiedź.

– Baltazar – odparł *unisono* z Jerzową.

– Poszukam go – zaofiarował się Mateusz, który dotąd stał pod ścianą. – O tej godzinie powinien być w kuchni. W razie czego pójdę na podwórze.

– Sprawdź, czy nie ma go na piętrze – oznajmiła Helena i pobiegła na górę.

Jerzowa ruszyła na obchód parteru, a służące dostały polecenie sprawdzenia stryszku oficyny, gdzie chłopak sypiał. Jan wyszedł przed ganek i natknął się na wracającego Jerzego. Opowiedział mu o znalezionych butach i zidentyfikowaniu ich przez Ewelinę.

– Przecież nie możesz sądzić, że to jedna z nich go zastrzeliła! – zdenerwował się Jeziński, szarpiąc Jana za rękaw marynarki.

– Mogę wszystko sądzić, bo zamiast powiedzieć mi prawdę, ciągle kłamiecie – odwarknął Morawski. – Chciałem wam pomóc, ale traktujecie mnie jak wroga.

Jeziński wpatrywał się w niego purpurowy i oniemiały.

– Teraz szukamy Baltazara – powiedział Jan już spokojniej. – Musimy ustalić, czy czyścił dzisiaj te buty, czy też morderca nosił tę drugą parę, której jeszcze nie znaleźliśmy.

Wszedł do holu, a za nim przyczłapał pan domu. Niemiec siedział spokojnie na krześle i wpatrywał się w ogień płonący na kominku, Ewelina nuciła walczyka, a Jerzowa pruła przez hol niczym niszczyciel.

– Nigdzie go nie ma – wydyszała w biegu.

Z piętra wróciła Helena z taką samą wiadomością.

– Co robił po południu? – spytał Engel.

– Czyścił domki lęgowe – odparła dziewczyna.

Jan spojrział na nią i zmrużył oczy. Domki lęgowe?

– Tymi budkami interesował się stary, prawda? – wtrąciła po niemiecku Ewelina. – Założę się, że ten mały spryciarz znalazł skarb Jezińskich i czmychnął. – Spojrzała wyzywająco na Helenę. – A jeśli

nie uciekł ze skarbem, to dał nogę na widok detektywa z policji. Bo to ten cały Baltazar jest winien podpalenia.

– Milcz! – pogroziła jej pięścią młoda panna, po czym ruszyła w stronę jadalni.

Jan wybiegł przez frontowe drzwi, cały czas myśląc o tym dziwnym, spanikowanym chłopcu, którego zielonkawe oczy musiały zobaczyć coś, czego zobaczyć nie powinny. Minął parobka stróżującego przy pierwszym wejściu do oficyny, a przy drzwiach do drugiej części zderzył się ze służącą. Pokręciła przecząco głową.

W połowie drogi na podwórze spotkał wracającego Mateusza.

– Od południa nie było go ani w kuchni, ani na folwarku – wydyszał kamerdyner.

Gdy weszli do holu, pan Joachim siedział naprzeciw zapłakanej Heleny, wpatrywał się w nią z troską, a ona opowiadała mu o diabelskiej zmurze dręczącej Baltazara. Morawski podszedł do Jerzego.

– Wyznacz kilku ludzi z majątku, by rozpoczęli poszukiwania.

– Chłopca koniecznie trzeba znaleźć – przyłączył się policjant, wstając. – On może coś wiedzieć.

– O butach? – spytała Helena.

– O skarbie? – zasugerował Jerzy.

– Najprawdopodobniej o pożarze – odpowiedział im Jan.

ROZDZIAŁ 19

Zzewnątrz dobiegły męskie głosy i Jan z Jerzym wyszli na ganek. Między wejściem kuchennym a oficyną czekało trzech fernali, których zaalarmowały pytania Mateusza o Baltazara. Jan polecił każdemu z nich sprowadzić jeszcze dwóch lub trzech mężczyzn, a potem razem z Jezierskim ustalił plan poszukiwań: tego wieczoru pracownicy sprawdzą zabudowania gospodarcze, a jeżeli chłopiec się nie znajdzie, rano trzy grupy wyruszą w teren.

Ledwie skończyli, od strony kuchni rozległ się krzyk Jerzowej:

– Wracaj natychmiast!

Na piwnicznych schodach ukazała się Helena. Na ramiona miała narzuconą siermiężną chustę matki, a w ręce trzymała ślepą latarkę. Nie spojrzawszy na nikogo, pobiegła za dom.

– Wracaj! – nie ustępowała Jerzowa. – Zaraz przyjadą twoje przyjaciółki.

To ostatnie słowo zatoneło w tętnie kopyt. Jerzy pobiegł za córką, a Jan odruchowo spojrział w kierunku jeźdźca, który dopadł do zebranych i gromko zawołał:

– Czy jest tu pan Jan Morawski?!

Gdy poszukiwany się zgłosił, przybysz zeskoczył z siodła i oznajmił, że jest stangretem z Objezierza przysłanym przez pana Stanisława Turno jako przewodnik. Morawski polecił go opiece pani domu, a sam pobiegł na tył dworu. Wszędzie panowała ciemność, tylko wokół okien unosiły się baloniki mdłego światła. Jan nie potrafił nawet ocenić, gdzie kończy się murawa, a zaczyna park. Zanurzył się w mrok i po dziesięciu metrach wpadł na Jerzego.

– Po prostu zniknęła w tej ciemnicy – wyznał Jezierski ze ściśniętym gardłem.

– Zna teren, więc da sobie radę. – Jan poklepał go po plecach. Starał się zbagatelizować niebezpieczeństwo, ale sam czuł niepokój. – Nieraz wychodziła na samotne spacerki.

Potykając się, wrócili przed kuchenne wejście. Jezierski zdjął z haka na szubienicy latarnię i oznajmił, że mimo wszystko poszuka córki. Jan w pierwszym odruchu chciał pójść razem z nim, ale wyobraził

sobie, jak Helena zareagowałaby na ich nadopiekuńczość.

– Myślę, że ruszyła w jakieś konkretne miejsce szukać Baltazara – stwierdził. – Zastanów się, dokąd mogła pójść.

– Po południowej stronie cypla – odparł po chwili Jerzy – jest stary domek na drzewie. Mogła go pokazać chłopcu.

– Sprawdź tam. A jeśli ona nie wróci w ciągu godziny, zorganizujemy drugą grupę poszukiwawczą.

Rozstali się. Jerzy ruszył do parku, Jan skierował się do dworu. Wszedł do wiatrołapu i przez częściowo przeszklone drzwi zajrzał do holu, ale dostrzegł tylko ogień płonący na kominku. Bezszelestnie wsunął się do środka. Na ławce siedziały dwie służące i wpatrywały się w niemieckiego detektywa, który coś do nich mówił. Jego pełne uwagi zachowanie, ciemne oczy i bródka Mefistofelesa zdawały się hipnotyzować obie dziewczyny. Engel zamilkł i najpierw jedna coś powiedziała, po niej druga, potem znowu on się odezwał. Słowa niestety ginęły, zagłuszone trzaskiem palących się bierwion. Jan postanowił zakończyć te konfidencje, zanim zaczarowane wieśniaczki wyjawią Niemcowi jakąś tajemnicę rodzinną.

Odchrząknął. Detektyw spojrzał na intruza, a służące wybudziły się z transu i rozglądały dookoła.

– Dziękuję pannom bardzo – uklonił się Engel. Nagle spłoszyły się i uciekły, a wtedy pan Joachim zwrócił się do Morawskiego: – Lada chwila przyjadą policjanci i zabiorą Schulza z oficyny. Skorzystajmy z okazji i przyjrzyjmy się mu po raz ostatni.

Morawski już otwierał usta, by powiedzieć Niemcowi o zniknięciu Heleny, ale się pohamował. Zależało mu na obejrzeniu ciała.

Wyszli przed dom i skręcili w lewo. Podjazd całkowicie opustoszał, tropiciele rozbiegli się we wszystkich kierunkach i tylko zimny wiatr zachodni dalej się pieklił.

– Zdobyłem trochę informacji o małżeństwie pani Eweliny – zaczął Niemiec. Mężczyźni przystanęli. – Nie wspomniał pan, że gdy przyjeżdżała do domu, jej mąż zawsze cierpiał na dolegliwości żołądkowe. Nie powiedział pan też, że zmarł na ostry atak nieżyty żołądka właśnie w czasie wizyty żony, co w opinii okolicznych mieszkańców czyni ją odpowiedzialną za tę śmierć.

– W opinii wszystkich oprócz lekarza i policji.

– Nikt z rodziny nie zgłosił się na policję – odbił piłeczkę Engel i dodał: – Choć przypuszczam, że to z obawy przed podejrzeniami o zawiść. Tak więc pani Ewelina została dysponentką potężnej fortuny, bo podobno panowie z rady opiekuńczej tańczą tak, jak ona im zagra. I to ona blokuje pożyczkę dla pana Jerzego.

– Ma pan dokładne informacje.

– Dziwne, że pan Jezierski nie stara się o przejęcie opieki nad bratanicą. Z pewnością znalazłby argumenty do walki z bratową.

Niemiec przyglądał się badawczo Janowi, ale ponieważ ten nie zareagował, mówił dalej:

– Wiem też, że przez minione dwa lata wdowa bywała we wszystkich modnych miejscach Europy, a teraz nagle zabrała swą chorowitą pasierbicę z południowych Włoch i przywiozła w rodzinne strony ojca dziewczyny. Najpewniej chodzi o ten skarb, którego wszyscy tak szukają. Ale ja mam inne pytanie: kto przejmie majątek, jeśli panna Laura umrze?

– Myślałem już o tym, ale przyznam się szczerze, że nie wiem. A to prawdziwa fortuna, bo matka dziewczyny była jedynaczką i wniosła mężowi ogromny posag.

Pan Joachim wydał usta i obaj ruszyli do oficyny.

– Czy udało się panu ustalić, jak skończyło się pierwsze małżeństwo Eweliny? – spytał Jan.

– Na razie sprawdzam, czy w ogóle była przedtem mężatką. – Spojrzał na Morawskiego. – Oczywiście obaj się zastanawiamy, czy tym pierwszym mężem nie był właśnie Schulz.

Na widok detektywa parobek z cepem wyprężył się niczym gwardzista przed pałacem królewskim.

– Nikogo nie wpuściliście? – spytał urzędowym tonem Engel, a Jan to przetłumaczył z podobną intonacją.

– Nikogo, wasza ekscelencjo – odparł Szymek szkolną niemczyzną.

Otworzyli drzwi, z korytarza wzięli lampę naftową i weszli do odrapanej izby, w której było zimno jak w psiarni. Morawski odsunął płachtę zakrywającą twarz Schulza, ale policjant nawet nie spojrzał

w tym kierunku. Podeszedł do stołu i pochylił się nad rzeczami zdrajcy. Delikatnie brał do ręki kolejne przedmioty: wziął portfel i przeliczył pieniądze, uniósł zegarek i pokołysał go na łańcuszku, przewertował notes i sprawdził, czy wszystkie wycinki są na miejscu. Tak jak przed południem, jego ruchy były powolne, jakby dwakroć się zastanawiał, zanim użyje mięśni.

Morawski namacał w kieszeni kluczyk Schulza, a detektyw sięgnął po pistolet i pogładził monogram „EJ”. „Hm, hm, hm” – zanucił. Jan, nie spuszczać z niego wzroku, wycofał się w kierunku nóg trupa.

Wiatr wciskał się przez nieszczelne okna i wprawiał włosy zamordowanego w falowanie, gdzieś pod podłogą zaskrobała mysz, zasyczała lampa. A Morawski lewą dłonią odsunął klapiący obcas, prawą zaś wepchnął kluczyk do skrytki.

– Gdy policjanci przyjadą, zapakują te wszystkie rzeczy i zabiorą je razem z ciałem – wymruczał pod nosem Niemiec. – Choć może zatrzymam na razie ten notes z wycinkami.

Jan tymczasem bardziej odsunął płachtę zasłaniającą Schulza. Dopiero teraz zwrócił uwagę na jego dłonie o przygiętych palcach i szponiastych paznokciach. Na myśl, że te łapska dotykały pacjentów, zwłaszcza delikatnych ciał dzieci lub kobiet, Morawski zazgrzytał zębami. W połączeniu z czarno-białym owłosieniem te koszmarnie ręce przypomniały mu opowieść Heleny o niemieckim diable Baltazara. Może chłopiec zobaczył tu Schulza i uciekł?

Pan Joachim podeszedł i Jan podzielił się z nim tym spostrzeżeniem.

– Ma pan rację – skinął Niemiec, spojrzawszy na ciało – tylko że ten malec go przecież nie widział. Pomieszczenie było zamknięte.

Morawski na powrót zasłonił trupa.

– Wspominałem panu o jego lekarskiej przeszłości? – zagadnął Engel, obchodząc katafalk dookoła. Polak skinął głową, a detektyw ciągnął: – Praktykował w dwóch szpitalach w Saksonii, ale kilkanaście lat temu został skreślony z listy lekarzy, gdyż wyszło na jaw, iż jego głównym zajęciem było przeprowadzanie aborcji.

– To doskonały start do kariery szantażysty – zauważył Jan.

Engel mruknął potakująco. Dotarł akurat do stóp nieboszczyka i lekko przechylił głowę.

– A to co? – wskazał but.

Nie wykonał żadnego ruchu, Jan więc podszedł, pochylił się i zbadał podeszwę. Potem wyciągnął z kieszeni scyzoryk i z obcasa wyjął kluczyk.

– Wygląda na klucz do skrytki lub walizki – oznajmił cicho Niemiec. – Albo podeszwa się rozwarstwiła pod wpływem wilgoci, albo ktoś to podrzucił.

– Sam pan powiedział, że nikt nie miał tu dostępu.

Detektyw obdarzył go zagadkowym spojrzeniem.

– Może sprawdzi pan drugi but?

– Wątpię, by coś tu ukrył. Ten obcas przymocowany jest gwoździami – mruknął Jan, wsuwając ostrze noża między obcas i podeszwę. Próbował obrócić nóż, ale napotkał opór. Wzmocnił nacisk i jednocześnie położył rękę na kostce Schulza. Obcas nie drgnął, natomiast Morawski wyczuł pod lewą dłonią jakąś sztywną powierzchnię.

– Moglibyśmy próbować go przeciąć – teoretyzował pan Joachim – bo zdjąć się chyba nie da. Zwrócę uwagę policjantom, by podczas *post mortem* zainteresowano się tym butem.

Jan ledwie go słuchał. Odsunął materiał spodni i pomacał skarpetkę. Pod dzianiną wyczuł sztywny arkusik. Uniósł wyżej nogawkę, odsłaniając białą łydkę porośniętą gęstymi czarnymi włosami i obwiedzioną gumową podwiązką. Odpiął klamerki przytrzymujące skarpetę i zsunął ją w dół. Wokół kostki zamordowanego owinięty był biały kartonik. Jan wyciągnął go i odwrócił. Patrzył na fotografię kobiety, pięknej i modnie ubranej w wieczorową, wygorsowaną suknię. Jej włosy, ozdobione diademem, nie były ani jasne, ani ciemne. U dołu widniał napis: „Hof-Photograph Bad Nauheim. August 1900”. Podał zdjęcie detektywowi.

– Pani Ewelina Jezierska! – wydukał Niemiec. Na chwilę zamilkł, po czym westchnął: – I pomyśleć, że to zdjęcie tkwiło tu przez cały czas.

– Albo ktoś je podrzucił – zadeklamował Jan niczym echo.

Próbował przypomnieć sobie, czy dotykał kostki Schulza, gdy kilka godzin wcześniej wyciągał kluczyk, ale doszedł do wniosku, że raczej nie. Stał wtedy po przeciwnej stronie i majstrował przy drugim

bucie. A przedtem, gdy w szkarłatnym pokoju układali ciało na skrzydle drzwi, Morawski dźwigał korpus, natomiast nogi prznosił Mateusz. Czy jednak kamerdyner nie wyczułby tekturki ułożonej w przedniej części kostki?

Przez chwilę obaj wpatrywali się w trupa i coraz bardziej marszczyli czoła. Morawski nie wiedział, o czym myśli jego towarzysz, ale w nim narastało przekonanie, że to zdjęcie zostało podrzucone. Prawdopodobnie miałyby więcej wątpliwości, gdyby tego ranka raport towarzystwa ubezpieczeniowego w cudowny sposób nie przeniósł się z jego sypialni wprost do kieszeni Schulza. Tak, ktoś tu szachrował i nie był to wyłącznie on sam.

– Chodźmy – zdecydował Niemiec. – Na szczęście bez trudu ustalimy, kto mógł podrzucić zdjęcie, a być może także klucz.

Wyszli na korytarz i Engel przywołał stojącego na zewnątrz parobka.

– Czy na pewno nikt nie wchodził do tego pomieszczenia?

– Niech skonam, że nikt – zaklął się wieśniak i uderzył pięścią w pierś.

– A mnie poinformowano, że wchodziła panna Helena – oskarżył go policjant.

– Panna Helena wchodziła, ale do czytelnicy – sprostował parobek, wskazując drzwi po lewej stronie korytarza, naprzeciwko wejścia do tymczasowej kostnicy.

– A skąd wy wiecie, czy weszła do czytelnicy, skoro staliście na zewnątrz?

– No a co niby taka zacna panna miałaby robić w trupiarni? – obruszył się Szymek.

Jan o mało się nie roześmiał na widok miny detektywa, ale przeczornie odwrócił głowę. Nagle spoważniał. Jego wzrok padł na sklecony byle jak regalik stojący obok drzwi czytelnicy. Na półce leżała książka zawinięta w papier. Podeszedł bliżej. *Ballady i romanse*. Był pewien, że gdy rano przynieśli do oficyny Schulza, na półce nic nie leżało. Pokazał znalezisko Englowi i dodał, że widział tę książkę u Baltazara.

– Więc jednak był tu – mruknął Niemiec.

– I mógł zobaczyć Schulza, swojego niemieckiego diabła – dodał Jan i zwrócił się do Szymka po polsku: – Czego tu chciał Baltazar?

– Tylko odniósł książkę – zapewnił go parobek. – Ale jak go wpuszczalem, przykazałem mu, żeby nie wchodził do żadnej izby.

Morawski przetłumaczył to Englowi, ten jednak nie słuchał. Jan podążył za jego spojrzeniem i w odległym kącie korytarza dostrzegł ułożone na podłodze chochoły, które Jerzy zdjął z róż.

– Skąd to się tu wzięło? – spytał policjant.

– A to znowu pan dziedzic przed chwilą przyniósł – wyjaśnił niezawodny strażnik.

– Dlaczego go tu wpuściliście?

Szymek ze zdumienia rozdziawił gębę.

– Ale to przecie wszystko jego.

– Mielście nikogo nie wpuszcząć!

– Nikogo obcego.

– *Zum Teufel!** – nie wytrzymał Engel.

* *Zum Teufel!* (niem.) – Do diabła!

ROZDZIAŁ 20

Przed oficynę podjechała kryta wagonetka i z kozła zeskoczyło dwóch ubranych na ciemno mężczyzn. Engel podszedł do nich, a Jan skorzystał z okazji i zbiegł po bocznych schodach do piwnicy. Choć dochodziło wpół do siódmej i powinien już od trzydziestu minut być w drodze do Objezierza, nie chciał wyjechać przed powrotem Heleny.

W kuchni kucharki znowu darły koty, tym razem o kota:

– Spasłaś tego nygusa. Myszów mu się nie chce łowić.

– Hodowałam koty, jak tobie pozwalali skrobać pyry. Kocur musi być nażarty, bo jak nie, to pilnuje garów, a nie myszów.

Przedmiot sporu siedział na krześle i demonstracyjnie ziewał. Na widok przechodzącego Jana zeskoczył z siedziska i pobiegł za nim na parter, a tam, w sypialni, ułożył się w nogach łóżka i obserwował, jak Morawski pospiesznie wrzucał do sakwojazu bieliznę, portfel i latarkę. Na szczęście nie musiał kłopotać się frakiem, gdyż jego wieczorowe ubranie już poprzedniego dnia wysłano do Objezierza. Nagle wpadł Mateusz.

– Nie ma tu pana Joachima? – wydyszał. – Muszę mu powiedzieć, że panna Helena zniknęła.

Obrócił się na pięcie i już wychodził, gdy dobiegł do niego Jan i złapał go za ramię.

– Mateuszu, ostrzegam cię – syknął i popchnął drzwi. – Przestań tak sekundować temu uczuciu. To sprawa Heleny i tylko jej.

– Nie muszę niczemu sekundować, bo ona go kocha. Sam pan czytał ten pamiętnik, a jej zachowanie to potwierdza. – Mateusz zaczął wyliczać: – Dokuczają mu, a kto się czubi, ten się lubi. Ciągłe mu się przypatruje. No i te jej deklaracje patriotyczne. Przecież ona chce go sprowokować. I powiem panu coś jeszcze: on się gniewa i już niedługo przejdzie na naszą stronę. Jak hrabia Wentzel.

– Chcesz, żeby Helena wyszła za Niemca? – zarzucił mu Jan.

– Chcę, żeby wyszła za tego, kogo kocha.

– Mateuszu, zacznij pisać romanse.

– Może zacznę. – Kamerdyner z godnością uniósł brodę.

Morawski nabrał głośno powietrza.

– Zapomnij o Englu i o tym uczuciu. Helena wzięła pierścionek Andrzeja i sprawa jest przesądzona.

– Widziałem przez uchylone drzwi, jak runął przed nią na kolana – przyznał kamerdyner – ale ona miała minę nietęgą. – Jan próbował zaprzeczyć, ale w głębi duszy zgadzał się z Mateuszem. Pamiętał też rozpaczliwe pytanie dziewczyny: „Co ja mam zrobić?”. Kamerdyner dostrzegł to wahanie i rzucił się przeciągać linę w swoją stronę: – A pierścionek wzięła, bo nie miała argumentów, by go odrzucić. Zresztą ona jest honorowa, więc może spróbuje zdeptać serce, ale zobaczy pan, że dojdzie do ucieczki sprzed ołtarza. – Kamerdyner zamachał rękoma w powietrzu. – Poza tym to przyjęcie pierścionka i pozorna zgoda na ślub były wyłącznie wyzwaniem rzuconym panu Joachimowi.

– Engel nie wie, że Helena jednak zgodziła się poślubić Andrzeja.

– Ależ wie – łagodnie skorygował Mateusz. – Osobiście mu to powiedziałem.

– Przecież nie znasz niemieckiego.

– Czasami znam. – Opadł na podłokietnik fotela i rozmarzył się: – Ale mamy szczęście! Nie dosyć, że szukamy prawdziwego skarbu, to jeszcze trafiła nam się afera miłosna w stylu antycznym: mamy Piękną Helenę i Menelaosa, a tu pojawia się Parys i uprowadza Helenę. – Jan pokręcił głową z rozpaczyny nad sentymentalizmem przyjaciela. – I nie można mieć do nich pretensji, że się kochają – przekonywał kamerdyner – bo wielka miłość nie wybiera.

– I wielka miłość nie wystarcza – odciął się Jan. – A co z rozbieżnością wiary, kultury?

– On może zmienić wyznanie – miał gotową odpowiedź Mateusz. – Tak jak pana przyjaciele Lossowowie. Obaj byli kalwinami, ale przeszli na katolicyzm i ożenili się z katoliczkami.

– Ale obaj są Polakami, choć ich ród pochodzi z Niemiec.

– Więc Engel też się spolszczy. Jak Unrugowie. Jak Szlichtyngowie. Albo proszę spojrzeć na pana Karola von Graeve. Ożenił się z Polką, osiadł w Borku i wychował dzieci na Polaków. A jeśli chodzi o kulturę, to nie znam bardziej kulturalnego człowieka niż pan Joachim.

– I dlatego należy się go wystrzegać – spoważniał Jan – bo właśnie

ci kulturalni Niemcy są najgroźniejsi. Pamiętaj, że Polacy nie mają własnych instytucji, a państwo pruskie robi wszystko, żeby stłumić polskie życie kulturalne, zniszczyć nasz język. Dlatego unikanie Prusaków, cały ten bojkot towarzyski to forma samoobrony. Gdyby nie istniał, Polacy ulegliby czarowi tych właśnie kulturalnych Niemców i cała polskość rozplynęłaby się we mgle.

Umilkł, sam zdumiony tą przemową, a kamerdyner spoglądał na niego ze zmarszczonym czołem. Nagle z holu dobiegły wołania, łomoty, śmiechy. Mateusz wstał i wyszedł, Morawski zaś wyciągnął z neseseru swojego browninga. Potem jego dłoń bezwiednie powędrowała w stronę atrapy słownika. Wyłuskał z pudełka pamiętnik Heleny i otworzył go w przypadkowym miejscu, gdzieś około połowy grudnia minionego roku. Jego spojrzenie padło na pierwsze od góry zdanie: „Towarzystwo Concordia nadal korzysta z usług naszego biura i dzięki temu J. często do nas zagląda. Człowiek na takim stanowisku, główny detektyw wielkiego towarzystwa, mógłby wyręczać się byle gońcem czy dependentem, on jednak przychodzi osobiście”.

Morawski aż usiadł. Towarzystwo Ubezpieczeniowe Concordia? Joachim Engel detektywem ubezpieczeniowym?! Jan z hukiem zatrzaskał tom i wpatrywał się w stół. Pokręcił głową. Co za pech, że poprzednio ominął ten jeden fragment, który tyle zmieniał! Doskonale pamiętał, że raport o pożarze w Jeziorach, którego kopię ukradł Schulzowi, sporządzony był właśnie przez Towarzystwo Concordia. Pamiętał też zdumienie Heleny, gdy tuż po przyjeździe Joachim przedstawił się jako policjant.

Jan dokonywał przetasowania wszystkich wniosków. Skoro Engel był detektywem w Concordii, to zapewne przyjechał do Jezior w związku z pożarem. Niewykluczone, że podążał śladem Schulza, bo przecież tak wiele o tym łajdaku wiedział. Czyżby ubezpieczyciele podejrzewali Schulza o udział w podpaleniu? Może chciał przywieść Jezierskich do bankructwa i tym łatwiej przejąć posiadłość?

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że Engel nie prowadził śledztwa w sprawie samobójstwa sędziego, nie był też jego krewnym. A deklaracja, że ściga rudą, służyła jako zasłona dymna.

Nagle Jan przypomniał sobie, że w skrzynce seniora znajdowała się

propozycja zawarcia polisy. Może dziadek wykupił ubezpieczenie i Joachim przyjechał w tej sprawie? Morawski otworzył szkatułkę, wyciągnął jedną z kartek i zawiedziony przeczytał: Magdeburskie Towarzystwo Zabezpieczenia na Życie.

Do pokoju wrócił rozradowany Mateusz z talerzem trójkątnych pasztecików.

– Pan Jerzy odnalazł pannę Helenę! Nic jej nie jest! I przyjechały jej trzy przyjaciółki! Akurat w chwili, gdy policjanci ładowali ciało na wagonetkę. Na szczęście panny są tak zaabsorbowane tonami swych bagaży, że nic nie zauważyły.

Złapał oddech, a Jan spytał z przekąsem:

– A jesteś pewien, że to byli policjanci? Bo jeśli chodzi o pana Engla, to jest on detektywem Concordii.

– Słucham?

Jan podetknął mu pod nos odpowiedni fragment pamiętnika i sięgnął po gorący pasztecik. Kamerdyner wsunął rozczapierzone dłonie we włosy i wzburzył swą nienaganną fryzurę.

– Kogo ty przywiozłeś? – zaatakował go Morawski i odgryzł pół pasztecika.

– Głowę bym dał, że to policjant. Pojechałem na posterunek i zgłosiłem się do dyżurnego za ladą – relacjonował spłoszony Mateusz.

– Pan Engel rozmawiał z jakimś mundurowym. Skończył, podszedł do mnie i wszystko mu opowiedziałem. Wtedy zjawił się inny mundurowy i podał panu Joachimowi jakąś teczkę. Mówię panu, że jeśli to nie policjant, to i tak jakaś szycha – dokończył przygnębiony, lecz naraz cały się rozpromienił: – Mówiłem panu, że on ją kocha! Przyjechał specjalnie, by pomóc ukochanej. Tak wszystko załatwi, że dostaną wypłatę odszkodowania.

– Oszalałeś – zawyrokował Jan. – Słyszałeś o pruskiej biurokracji? Żaden Niemiec nie zgodzi się na taki szwindel.

– Przecież już się zgodził odwlec śledztwo! – triumfował kamerdyner. – Wszyscy powinni być mi wdzięczni, że przywiozłem właśnie jego. Gdyby był policjantem, sprowadziłby tu tłumy mundurowych. I co z naszym ślubem?

Morawski wpatrywał się z przerażeniem w swego wiernego druha

zarażonego matrymonialnym szaleństwem. Odwrócił się, schował pamiętnik do pudełka, podszedł do biblioteczek i rozsunął dwa tomy: czerwony katalog filatelistyczny amerykańskiego wydawnictwa Mekeel i książkę w marmurkowej oprawie. Spojrzał na jej front. *Lodowy sfinks* Juliusza Verne'a. Nie czytał tej powieści, ale sam tytuł przywiódł mu na myśl hasło z rebusu: „Wędrowcy po białym piekle”. Zaczął nerwowo kartkować książkę, a jednocześnie wyjaśniał Mateuszowi:

– Moje rozwiązanie zagadki było niekompletne. Już w południe odkryłem trzecią postać z celtyckiego romansu, a teraz znalazłem kolejne białe piekło. To samo może dotyczyć pozostałych haseł.

Opanował się i zamknął książkę. Nie miał teraz czasu na ustalanie nazwisk bohaterów. Odstawił powieść razem z fałszywym słownikiem na półkę i wrócił do stolika przy drzwiach. Teraz to Mateusz patrzył na niego jak na maniaka.

– Muszę to rozwikłać – tłumaczył się Morawski, zamykając skrzynkę. – Jestem pewien, że w tym rebusie i na nagryzmołonej mapie kryje się wiadomość dla mnie. Możliwe, że te inne przedmioty mają coś powiedzieć domownikom, ale rebus i mapa zostały tu umieszczone dla mnie. Zagadka powstała niedawno, a w mapie jest coś dziwnego. Tylko nie wiem co, choć wszystko wielokrotnie przejrzałem i wydaje mi się, że żadnego elementu nie dopisano.

Naraz Leon podniósł głowę i wlepił złote spojrzenie w drzwi. Jan nadstawił ucha i wychwycił szelest na korytarzu. Delikatnie położył dłoń na klamce, nacisnął ją i szarpnął skrzydło. Naprzeciwko niego stała z wytrzeszczonymi oczyma Ewelina i tuliła się do drzwi sypialni Jerzów. Lewą dłoń trzymała za sobą.

– Szukałam Jerzowej – wychrypiała i chwiejnym krokiem odeszła.

Morawski patrzył za nią i marszczył czoło. Wrócił do pokoju zafrasowany.

– Nie ma się czym martwić – zapewnił go Mateusz. – Przecież mówił pan, że ona ma mózg jak sito.

– Zwykle tak mi się wydaje, ale przypomnij sobie jej przytomne uwagi na temat powodu zniknięcia Baltazara. – Spojrzał na skarbczyk dziadka. – Na wszelki wypadek schowajmy lepiej tę skrzynkę. Do schowka przed kominkiem. Skoro mieszkając w tym pokoju, nic tam nie

ukryła, to znaczy, że o tym schowanku nie wie.

Umieścili szkatułę seniora Jezierskiego w skrytce i Jan ponownie spojrzął na zegarek – dochodziła siódma. Z szuflady wyjął podróży zestaw toaletowy i wrzucił do torby. Sprawdził, czy zabrał wykaz zagrożonych ziemian, wziął redingot* i torbę, otworzył drzwi i ponownie je zamknął.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Nie dotarłem do tego chruśniaku i nie sprawdziłem, co przyciągnęło tam Helenę. Zdobądź mi z jej pokoju dziennik dziadka. Jest w nim kartka z przepisem na malinówkę. – Kamerdyner skinął głową. – I pilnuj pokojówek. Engel robi z nimi, co chce.

– Bo jest dla nich grzeczny.

– „Grzeczność jest jawnie fałszywą monetą, oszczędzanie więc na niej świadczy o braku rozsądku”. Wiesz, czyje to słowa? Schopenhauera, którego z taką biegłością cytuje Engel. Możliwe, że jest on życzliwym człowiekiem, ale nie można wykluczyć, że ta jego uprzejmość to po prostu przyjęta z wyrachowaniem metoda działania. W każdym razie trzymaj go z dala od tych dziewcząt.

– Nie będzie miał z nimi kontaktu. Też musi się wynieść.

Razem przeszli do holu i na widok rozgardiaszu, jaki wkradł się do Jezior, Jan poczuł zadowolenie, że wyjeżdża.

W holu stało kilkanaście pudeł, a wokół nich i po schodach biegały trzy rozchichotane panny. W salonie znowu przesuwano meble i zwijano dywany, a w jadalni czterech parobków rozciągało potężny stół, który stawiał zaciekły opór. Między tym wszystkim uwijała się Jerzowa, pokrzykiwała i siała zamęt.

Gdy Morawski stanął w progu, pani domu akurat przeleciała przez hol niczym dzin uwolniony z butelki, wpadła do gabinetu i zażądała, żeby Jerzu wyniósł stamtąd wszystkie swoje papiery, bo potrzebny jest pokój do gry w karty.

Jan skinął Mateuszowi ręką na pożegnanie i przemknął się do wyjścia. Gdy był w wiatrołapie i naciskał klamkę zewnętrznych drzwi, weszła tam za nim Helena.

– Janie – wyszeptała – czy myślisz... czy myślisz, że ktoś zrobi krzywdę Baltazarowi? Przez te buty?

W pierwszej chwili chciał jej wytknąć, że kłamała w tej sprawie, ale gdy zobaczył jej zniekaną twarz, zrezygnował.

– Posłuchaj. – Rzucił sakwojaż na podłogę i ujął dziewczynę za rękę. – Co chłopiec mógł nam o tych trzewikach powiedzieć? Że je czyścił lub nie. Jeśli czyścił, może pamiętałby, gdzie je znalazł, a jeśli ich nie czyścił, zyskalibyśmy pewność, że to ta druga, wciąż zaginiona para ma znaczenie. Czy któraś z tych informacji byłaby aż tak istotna, żeby robić Baltazarowi krzywdę?

– Nie – pokręciła głową po chwili. – Nie.

– W znalezieniu tych butów najważniejszy jest fakt, że morderca miał dostęp do domu. Przedtem mogliśmy też brać pod uwagę ewentualność, że Schulza zastrzelił ktoś obcy. A jeśli chodzi o chłopca, uważam, że uciekł, bo czegoś się wystraszył. Przypuszczalnie Schulza. – Zagryzła wargę. – Nie martw się o Baltazara. Znajdzie się.

– Muszę się o niego martwić – szepnęła dziewczyna. – To mnie pierwszej zaufał i to ja jestem za niego odpowiedzialna.

Jan mocniej uściśnął jej dłonie. Naraz przypomniał mu się inny chłopiec.

– Gdy byłem dzisiaj we wsi, odwiedziłem z Andrzejem tego malca ze złamaną nogą. Dzieciak rysuje na marginesach starych gazet. Zostawiłem mu swój notes, ale może mogłabyś posłać mu jakiś szkicownik?

– Zaraz tam pójde – obiecała.

– Nie wiem, jak cię przyjmą – ostrzegł Jan. – Jego matka wydaje się trochę niezrównoważona, ale może to przez tę żalobę po ojcu.

– Jaką żalobę? – zdziwiła się dziewczyna. – Przecież jej ojciec żyje. To Roch!

– Ten stróż, który dziś w nocy zniknął w czasie morderstwa? – upewnił się Morawski.

Zaskoczona Helena przytaknęła i natychmiast stanęła w obronie straszliwego starca:

– Mówisz tak, jakbyś go o coś podejrzewał. Nie masz racji. On jest nam bardzo oddany. Poza tym wiedz, że to on wyciągnął Baltazara spod tych płonących wrót i uratował mu życie.

– A gdzie był wcześniej, gdy miał strzec majątku przed intruzami

i podpalaczami? – Dziewczyna nie odpowiedziała, a Jan postanowił wykorzystać jej konfuzję: – Jak ma na imię twoja matka?

– Ją też chcesz o coś oskarżyć? – odpowiedziała atakiem.

Sięgnął po torbę, rzucił Helenie: „Bądź zdrowa!”, i wyszedł.

Za drzwiami wpadł na niemieckiego detektywa.

– Daleko pan wyjeżdża? – zainteresował się uprzejmie pan Joachim.

– Do Objezierza. To jakieś dwadzieścia kilometrów stąd.

– Będę wdzięczny, jeśli nie wspomni pan nikomu o naszym drobnym problemie.

Morawski skinął głową. Stangret Turnów podjechał, prowadząc drugiego konia.

– A dokąd pan się wybiera? – spytał Jan detektywa.

– Zanocuję w okolicy – padła odpowiedź. – Podobno w Baranowie jest karczma i być może uda mi się zrobić użytek z kluczyka Schulza.

– Nie wiem, czy mają wolne pokoje – rzucił Jan, wspominając wpis Engla w rejestrze.

Zszedł ze stopnia i usłyszał za plecami:

– Poradzę sobie. W razie czego wprowadzę się do tajemniczego przyjaciela pana Andrzeja, który dzisiaj zakwaterował się w karczmie.

Morawski na chwilę przystanął i ciężko westchnął.

* Redingot – męski płaszcz, początkowo noszony głównie do jazdy konnej.

ROZDZIAŁ 21

Początkowo dwaj jeźdźcy walczyli z atakami ostrego wiatru. Dopiero gdy za Pamiątkowem skręcili na północny wschód, ów zachodni wichur stał się ich sprzymierzeńcem, ale wtedy dołączył do niego ukośnie zacinający deszcz. Jan miał więc powód, by ciepło pomyśleć o panu Burberrym i wynalezionej przez niego nieprzemakalnej gabardynie, z której uszyty był redingot.

Po prawie godzinnej jeździe przekroczyli bramę parkową i niezbyt długą aleją dojechali do pałacu. Wzniesiono go pod koniec XVIII wieku, a od ponad siedemdziesięciu lat pozostawał w rękach rodziny Turnów. Przez ten czas kulturalni i światli gospodarze przyjęli pod swym dachem wielu wybitnych ludzi. W grudniu 1831 roku przez dziesięć dni gościł w Objezierzu Adam Mickiewicz, potem zaś bywali tu Bibianna Moraczewska, Natalia Kicka, Narcyza Żmichowska, Wincenty Pol, Władysław Syrokomla i Józef Ignacy Kraszewski.

Jan zatrzymał się na podejździe i z odległości kilkudziesięciu metrów przyglądał się budynkowi, który w dzieciństwie wydawał się mu cudem nad cudami. Trochę obawiał się tego powrotu po latach, gdyż z doświadczenia wiedział, że trudno jest odnaleźć swoje młodzińcze zachwyty, a miejsca i ludzie kiedyś podziwiani zwykle sprawiają nam później zawód.

Siedziba Turnów, z portykami o czterech kolumnach, stanowiła modelowy przykład francuskiego klasycyzmu. Niestety podczas przebudowy dość nieszczęśliwie dodano niskie piętro, przez co zaburzono idealne proporcje i pałac stał się trochę za bardzo wyniesiony w górę. Patrząc teraz na niego z oddali, Jan czuł, że koniecznie należałoby dobudować coś po bokach. Był to jednak jedyny cień na tym skądinąd doskonałym obrazie i uszczęśliwiony Morawski pogonił konia, by zrównać się z czekającym na niego stangretem. Czar zachował swą moc i Objezierze podobało się Janowi tak jak kiedyś.

U stóp schodów zsiadł z koni i Morawski odczepił od siodła torbę. Drzwi się otwarły i ktoś zbiegł po stopniach. Jan odwrócił się i zobaczył swego przyjaciela Stanisława Turno, właściciela Objezierza. Był starszy o cztery lata od Jana, trochę od niego niższy i jaśniejszy, a ostatnio,

jakby dla podkreślenia swego statusu dziedzica, męża i ojca, zapuścił także wąsy.

– No, no – zacmokał Morawski po pierwszych powitaniach. – Wyglądasz imponująco!

Gospodarz zaśmiał się odrobinę zażenowany i zaprosił przybysza do środka. Jan skinął głową stangretowi i ruszył za panem domu.

Ponieważ opóźnienie przekraczało godzinę, kamerdyner zaprowadził gościa wprost do jego sypialni. Morawski odświeżył się, przebrał w swój frak i kilkanaście minut po przybyciu zbiegł na parter, powtarzając sobie niczym mantrę, że nie wolno mu wspomnieć o jezierskim morderstwie. Stanisław czekał na niego w holu, a towarzyszyła mu żona, Barbara z Mańkowskich, prawnuczka generała Jana Henryka Dąbrowskiego, której Jan nie miał dotąd okazji poznać. Po powitaniu wszyscy przeszli do jadalni.

Szybko wniesiono łososia w sosie holenderskim i podczas gdy zgłodniaли mężczyźni zajęli się jedzeniem, pani Barbara na prośbę Jana opowiadała o trójce dzieci, a potem, przy potrawce z indyka, bawiła panów anegdotkami o Sienkiewiczu, którego spotykała podczas kuracji w Kaltenleutgeben. Morawski w odpowiedzi na jej pytania o zbliżający się ślub w Jeziorach przełamał swą niechęć do kolportowania plotek i wyjawiał Turnom, że powstał rozdzźwięk między panami Ostrowskimi, a pan Eugeniusz zagroził synowi wydziedziczeniem, jeśli ten nie wyrzeknie się Heleny.

– Stary truteń – prychnęła pani Barbara. Jej towarzysze wybuchnęli śmiechem, a ona mówiła dalej: – Mam nadzieję, że młody pan Andrzej nie ugnie się pod presją ojca. Dla państwa Jezierskich zerwanie tych zaręczyn byłoby prawdziwą katastrofą. – Zafrasowana przygryzła wargę. – Jakby nie wystarczyło tego straszego pożaru.

– Mają kłopoty finansowe, prawda? – spytał Stanisław, z wprawą tranzerując comber sarni. Jan niemrawo skinął głową. To był temat na później. – Pan Jerzy niepotrzebnie próbuje łapać tysiąc srok za ogon.

– Tysiąc wydaje się nieprzesadzoną liczbą – mruknął Morawski. – Wiem, że w gospodarstwie nie wolno koncentrować się na jednej gałęzi, ale te gałęzie powinny być policzalne. Zresztą nie jestem specjalistą, więc nie mam prawa szafować receptami.

– Recepta jest tylko jedna: rygorystyczna oszczędność. Ważna jest dbałość o sprzęt i jego modernizacja, dokupywanie ziemi i rozważne budowanie. Ale zawsze trzeba pilnować budżetu.

– Nawet jeśli przy tej okazji sąsiedzi przyczepią ci etykietkę skąpca – ze znaczącym uśmiechem wtrąciła pani Basia.

– Taką cieszysz się opinią? – spytał Jan.

– W oczach wielu jestem gorszą odmianą Dickensowskiego sknery, inni natomiast oskarżają mnie o „zradę tradycyjnych wartości szlacheckich” – ostatni fragment Turno wygłosił nadętym tonem. – Gdybyś nie wiedział, te „wartości szlacheckie” to gospodarować po dawnemu, czyli feudalnie, a w razie kłopotów finansowych sprzedać kawał lasu.

Jan zmarszczył czoło z niedowierzaniem. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby krytykować tego doskonałego rolnika, wybitnego specjalistę w dziedzinie cukrownictwa i gorzelnictwa. Sukces i rozwój były zatem dla niektórych antypolskie, w przeciwieństwie do malkontenctwa, zacofania i ciemnoty.

– Już teraz podnoszą się głosy, że przewracam pracownikom w głowach, ale bomba dopiero wybuchnie – mrugnął Stanisław – gdy opublikuję moją broszurę o konieczności poprawy warunków życia robotników. Wypędzą mnie stąd.

Zbliżała się godzina dziesiąta i pani domu pożegnała się, zwłaszcza że następnego dnia cała rodzina wyjeżdżała do Berlina.

Panowie przeszli najpierw do sali rotundowej, imponującego pomieszczenia wysokiego na dwie kondygnacje, ale ostatecznie ulokowali się w gabinecie. Usiedli w rozłożystych skórzanych fotelach przedzielonych okrągłym stolikiem. Przytłumione światło dawała wysoka lampa z czerwonym abażurem, a także płonący na kominku ogień. Stary majordomus przyniósł im kawę, koniak i cygara. Nadszedł czas na rozmowę.

– Powiedz mi – zaczął Jan – czy słyszałeś o Banku Poznańskim.

– Młody polski bank o dobrej opinii – wyrecytował gospodarz. – Przeprowadził kilka udanych parcelacji, ratując tym polskie majątki.

– A mówi ci coś nazwisko Józef Szulc?

– To chyba zarządzający lub pełnomocnik Poznańskiego, prawda?

Zdaje mi się też, że ten bank pożyczka pieniądze na bardzo przyzwoity procent i nie robi problemów w przypadku spóźnienia. I chyba obsługuje tylko ziemian. Dla wielu naszych rodaków ta ekskluzywność to najlepsza rekomendacja. W każdym razie ten chwyt reklamowy działa, bo znam kilku, którzy podjęli współpracę z Poznańskim i polecają go kolejnym.

Jan skinął głową.

– Posłuchaj, jaką akcję przygotował ten „polski” bank, który przypuszczalnie jest własnością tego jednego człowieka. Pożyczył ogromne sumy dwunastu ziemianom pod zastaw ich posiadłości. W umowach zawarta jest klauzula, że w razie nieuregulowania pożyczki majątki dłużników automatycznie przejdą na własność banku.

Turno wyprostował się i z napięciem wpatrywał w Jana.

– Termin spłaty jedenastu z nich upływa za kilkanaście dni – ciągnął Morawski – i tylko jeden wywiązał się ze zobowiązania. Dwunastym majątkiem są Jeziory, a Jezierski zobligowany był do rozliczenia się z bankiem nie później niż do dwudziestego siódmego listopada. Oczywiście nie zrobił tego.

– Czyli teoretycznie nie jest już właścicielem majątku?

– Właśnie. Ale to jeszcze nic. Najgorsze jest to, że ów Józef Szulc to Josef Schulz, zdrajca. Zapewnił tych ludzi, że nie wyciągnie konsekwencji, jeżeli nie spłacą pożyczek w terminie, a równocześnie prowadził potajemne negocjacje z Komisją Kolonizacyjną. Gdy w połowie grudnia te posiadłości przejdą na własność Banku, zostaną natychmiast sprzedane Komisji. Z ogromnym zyskiem.

– Jaka powierzchnia?

– Ponad dziesięć tysięcy hektarów. Najcenniejszych, bo położonych w bezpośredniej bliskości Poznania.

Turno trzęsącą się dłonią uniósł cygaro do ust.

– Jeziory zostały już sprzedane Niemcom? – spytał cicho.

– Komisja zrezygnowała z zakupu Jezior, bo nie nadają się do parcelacji, natomiast obiecano Schulzowi, że znajdą klienta na cały majątek. Niemca, rzecz jasna.

Pan domu przestał walczyć z cygarem i odłożył je na brzeg popielnicy. Nalał sobie koniaku z karafki i duszkiem wypił.

– Czy jesteś pewien... wybacz, nie chcę podawać w wątpliwość twoich słów... To, co mówisz, jest przerażające. To jakaś katastrofa.

– Widziałem te umowy, Stanisławie. Trzeba tych ludzi ostrzec. I to jak najszybciej. Może chociaż niektórzy z nich zdołają się uratować.

– Masz nazwiska?

Jan podał przyjacielowi dwie kartki swoich notatek.

– Z samego rana pojedę do Bolechowa – oznajmił Turno – do Tadeusza Szułdryńskiego.

– Nie byłoby lepiej napisać do tych ludzi? Niech szukają u rodzin, może mają inne majątki, które mogą sprzedać...

– To nic nie da. Jednemu, najwyżej dwóm uda się spłacić dług. A co z resztą? Tu potrzeba zorganizowanego działania, które zdoła przeciwstawić się kreciej robocie tego łajdaka.

– Cały czas się zastanawiam, jak mogło do czegoś takiego dojść. Dlaczego nie istnieją mechanizmy, które zabezpieczałyby polską ziemię przed przechodzeniem w ręce Niemców?

– Właśnie je tworzymy – oświadczył Stanisław z błyskiem w oku. Z szafki wziął gazetę i podał ją Morawskiemu. – Piątego listopada, ponad trzy tygodnie temu, założyliśmy w Poznaniu Związek Ziemian. Jego celem będzie udzielanie pomocy tym właścicielom ziemskim, którym grozi utrata majątku.

Jan spojrział na podany mu „Dziennik Poznański” z siódmego listopada i przeczytał tytuł: *Statut Związku Ziemian, Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Rolników*.

– Przecież ratowanie majątków to zadanie Banku Ziemskiego – przypomniał.

– Niezupełnie. Bank wykupuje i parceluje upadające majątki, zagrożone przejęciem przez Komisję Kolonizacyjną. Ale to za mało, bo środki banku są ograniczone, a budżet Komisji kolosalny. Do teraz Komisja dostała od państwa dwieście milionów marek! Wyobrażasz to sobie? Pojedynczo z pruską akcją nie wygramy, musimy więc zjednoczyć wysiłki i nawzajem sobie pomagać.

– Ale jak? Siłą Komisji są pieniądze i poparcie państwa. Jak zamierzasz wygrać z takimi argumentami? Zapłacisz za upadający majątek więcej niż oni?

– Nie. Po prostu nie dopuszczę do sytuacji, że majątek upadnie – oznajmił Turno zachwycony prostotą tego rozwiązania. – Posłuchaj. Polacy bankrutują z powodu złego gospodarowania. Za tym może się kryć zarówno brak inwestycji, jak i ich nadmiar. Przeszarżałe metody i sprzęt, a także zbyt nowoczesne techniki wprowadzane bez zastanowienia. No i jeszcze wypadki losowe, nagła śmierć czy przewlekła choroba. Zadaniem Związku Ziemian będzie wspieranie tych właścicieli, którzy znaleźli się w tarapatkach. Zamierzamy...

– Poczekaj! Jak skłonisz ludzi, żeby zwracali się do was o pomoc? Wielu uzna to za poniżające.

Turno pokręcił przecząco głową.

– Wielkopolanie się zmienili i zaczyna do nich docierać, że nic nie jest bardziej poniżające niż utrata ziemi na rzecz Niemców. Musimy ich teraz przekonać, że obowiązkiem każdego ziemianina w trudnej sytuacji jest zgłosić swe kłopoty Związkowi. Zarząd Związku, złożony z samych świetnych gospodarzy, po zbadaniu stanu majątku oceni, jaką drogę obrać: czy doprowadzić do sprzedaży w polskie ręce, pośredniczyć w układach z wierzycielami, czy przejąć tymczasową administrację nad zadłużonym majątkiem i zająć się jego sanowaniem.

– I myślisz – nie dowierzał Jan – że Niemcy pozwolą, byście pod ich nosem storpedowali coś, nad czym oni od lat pracowali i na co wydali dwieście milionów marek?

– Niemcy o niczym nie będą wiedzieć. Związek założyła grupa ziemian i jako oficjalny cel podaliśmy wzajemne pomaganie sobie i udzielanie rad. To chyba nie jest zakazane? Stąd ta niewiele znacząca nazwa: Związek Ziemian. To brzmi równie niepoważnie jak Związek Myśliwski albo Kółko Tańca. Nikt pod tym szyldem nie domyśli się naszej prawdziwej idei. A idea jest taka, by już żadna morga polskiej ziemi nie przeszła w niemieckie ręce.

– Bardzo to pomysłowe, ale ja pozostanę przy swoim zdaniu. Wątpię, czy choć jeden wyciągnie do was rękę o pomoc. A jeśli nawet, to na pewno żaden nie zgodzi się, żeby ktoś inny mówił mu, jak ma gospodarować na własnym podwórku. To się nie uda.

– Już się udało. Podczas zebrania założycielskiego poproszono nas o pomoc. Pierwsza interwencja była banalna. Wystarczyło, że Sczaniecki

pojechał do wierzycieli jako przedstawiciel Związku i od razu wszyscy zgodzili się rozłożyć spłatę długów na raty. W drugim przypadku właściciel sam poprosił, by przydzielono mu doradcę, który zreformuje gospodarstwo. Biedak przejął zapuszczony majątek po ojcu, a zupełnie się na tym nie zna. Wyznaczyliśmy jego sąsiada, członka Związku, a inni sąsiedzi obiecali, że na wiosnę pożyczą mu wszystko co niezbędne, by mógł siać, bo nawet tego nie miał. – Turno wpatrywał się w Morawskiego rozświetlonym wzrokiem. – Mówię ci, Janie, stworzymy państwo w państwie. To będzie taka wewnętrzna rada opiekuńcza.

Jan siedział i rozważał, czy entuzjazm Stanisława jest uzasadniony.

– Nie wierzę, by Polacy byli w stanie współpracować w czasach pokoju.

– Coś chyba pominąłeś, przyjacielu. My tu mamy wojnę. Nie na pistolety i bagnety, lecz na pieniądze i paragrafy. Jak sam powiedziałeś, Niemcy dysponują markami i ustawami, a ich celem jest wynarodowienie Polaków. A przy tym są jak młyny Boże, mielą powoli, ale dokładnie. Plany wyrwania nas z korzeniami rozłożone są na wiele lat, a koszmarna obręcz ciśnie nas coraz bardziej. – Jan siedział zsunięty na brzeg fotela, z wyciągniętymi nogami. – Nie dowierzasz mi?

Morawski nerwowo się wyprostował.

– Oczywiście, że ci wierzę – zapewnił. – Być może mój dystans do tego projektu bierze się stąd, że nie do końca czuję ucisk tej obręczy.

– Kup ziemię, pomieszkaaj tu, a po roku będziesz wszystko wiedział.

Morawski ukrył twarz za koniakówką i zapatrzył się w dogasający ogień. Otóż to: „Kup ziemię”. To była ta zatruta strzała, która jątrzyła jego sumienie. Od lat z uporem odsuwał te myśli, ale teraz, wobec miecza wiszącego nad Jeziorami, wobec atakującego go z każdego kąta *credo*: „Utrzymanie ziemi jest równoznaczne z zachowaniem polskości”, zaczął się zastanawiać, czy on też nie jest zdrajcą.

– Właśnie o tym myślę – wyznał nieoczekiwanie dla samego siebie.

Nagle poczuł się lżej, jakby samo to niezobowiązujące stwierdzenie go rehabilitowało. Uśmiechnął się i rozluźnił napięte

mięśnie.

– Wspaniale! – zawołał Turno. – Masz coś na oku?

– Myślałem, czyby nie odkupić Jezior od tego łotra Schulza – padła kolejna zaskakująca deklaracja.

Morawski czuł się skonfundowany, natomiast Stanisław przyjął to całkiem naturalnie.

– To byłby dobry pomysł, żeby zachować to stare gniazdo w polskich rękach, ale wątpię, czy ten szubrawiec będzie skłonny ci je sprzedać. – Jan odchrząknął, a Turno szeroko się uśmiechnął, wychylił z fotela i klepnął przyjaciela po ramieniu. – Gdziekolwiek jednak osiądziesz, rad bym cię tu mieć w okolicy. Bardzo nam potrzeba takich talentów.

– Nawet nie próbuj mnie namawiać na prowadzenie działalności społecznej – zastrzegł szybko Jan. Sprawy zaczynały zbyt szybko przyspieszać. Jeszcze dziesięć minut wcześniej był niebieskim ptakiem, a zanim obudzi się rano, Turnowie znajdą mu majątek do kupienia, kandydatkę na żonę i okręg wyborczy. – Nienawidzę publicznych wystąpień: odczytów, wieców wyborczych i debat parlamentarnych.

– Pisz więc. Nie na darmo mówi się o Morawskich, że żaden ziemiański ród nie ma tak błękitnej krwi jak wy.

Jan się zaśmiał, słysząc ten kalambur. Rzeczywiście, taką sławą cieszyła się jego rodzina, z tym że nie chodziło o arystokratyczne pochodzenie, lecz o rzekomo płynący w ich żyłach atrament. W ten sposób tłumaczono fenomen rodu, z którego wywodziło się tylu ludzi pióra: pisarzy, poetów, uczonych.

– Niemcy kurczowo trzymają się litery prawa – mówił dalej Turno. – Uchwalają ustawy, a potem wykorzystują je, by nas gnębić. Jedynym dla nas ratunkiem jest wynajdywanie w prawie luk, które pozwolą obejść te ustawy lub odwołać się od pojedynczych decyzji administracyjnych. Ta ich praworządność jest naszą zmorą, a zarazem naszą jedyną bronią. Walczą prawem, więc przeciwstawiać się im można tylko znajomością prawa.

Na chwilę zamilkł i bardzo poważnie spoglądał na przyjaciela.

– Potrzeba nam właśnie takich ludzi jak ty – oświadczył. – Masz lekkie pióro i chłodny umysł, liznąłeś prawa i ekonomii. Tu na nic nie

przydadzą się romantycy, piękne gesty i samobójcze szarże. Tu trzeba zimno rachować, ciężko pracować i stale obmyślać, jak przeciwstawić się coraz silniejszemu naciskowi.

Oszołomiony Jan milczał.

– Złożyłeś już ofertę Schulzowi? – spytał Stanisław.

– Na razie nie wiadomo, czy ten zapis o przejęciu majątku przez bank ma moc prawną. Jerzy jutro skonsultuje to z notariuszem. Przedtem nie ma sensu niczego ustalać – wymigał się Morawski. – Jeśli jednak Jezierski pozostanie właścicielem lub tylko zarządcą działającym w imieniu nowego właściciela, będzie potrzebował kogoś, kto przykróci mu cugli. Myślałem, że może nadałby się do tego jego przyszły zięć, ale jest na to za słaby.

– Młody Ostrowski zbyt diametralnie różni się od Jezierskiego – pokręcił głową Turno. – Ten dla odmiany zupełnie nie inwestuje i tylko by oszczędzał. Nigdy się nie zgodzą.

– No i pozostaje druga kwestia: czym zająć się w Jeziorach. Które z dziesiątków porozpoczynanych przedsięwzięć dokończyć, co konsekwentnie realizować, by wyprowadzić majątek na prostą.

– Mają szklarnie? – spytał Turno, a Jan przytaknął. – Więc niech się skupią na uprawie warzyw, które z łatwością sprzedadzą w Poznaniu. A potem radziłbym rozwinąć hodowlę drobiu. To niedoceniana dziedzina, ale może przynosić znaczne dochody w majątkach położonych blisko miast. Więcej mógłbym powiedzieć po obejrzeniu gospodarstwa.

– Zorganizuję to.

Wstał, bo minęła już północ, a obu ich czekał trudny dzień. Ruszyli schodami do góry i Jan wyznał z krzywym uśmiechem:

– Mam o czym myśleć.

– Ja również – odparł Turno, machając spisem zagrożonych ziemian.

Odprowadził swego gościa pod drzwi jego pokoju.

– Powiem ci na dobranoc coś, co wyczytałem ostatnio u pewnego Amerykanina – rzekł, ściskając Janowi dłoń. – „Kupuj ziemię – już jej nie produkują”*

* Słowa Marka Twaina.

ROZDZIAŁ 22

Rano Jan zjadł ze swymi gospodarzami śniadanie, a potem pożegnali się. Plany Turnów zmieniły się o tyle, że po drodze do Berlina zamierzali wstąpić do Bolechowa, by razem z Tadeuszem Szułdryńskim, jednym z ojców założycieli Związku Ziemiańców, obmyślić ratunek dla ofiar Banku Poznańskiego. Na odjeździe pani Barbara, zdecydowana zademonstrować swe poparcie dla małżeństwa Andrzeja, zaproponowała, by młodzi spędzili tydzień poślubny w Objezierzu. Jan serdecznie podziękował, obiecał w ciągu dnia przesłać wiadomość, czy ślub w ogóle dojdzie do skutku, i tuż po ósmej ruszył w drogę powrotną.

Cieszyła go ta samotna przejażdżka między szaroburymi polami, po błotnistych traktach, pod drzewami obwieszonymi gałganami ściętych przymrozkiem liści. Wiatr odpoczywał po ostatnich harcach, Morawski miał więc doskonałe warunki do snucia rozważań.

Od wczorajszego wieczoru myślami krążył wokół swej ewentualnej przyszłości jako rolnika. Przez lata stanowczo odrzucał taką drogę, dopiero w ciągu minionych miesięcy, odkąd zaimponowali mu Tadeusz Tarnowski i pan Adam Poniński, zaczął dopuszczać myśl, że może kiedyś, w odległej przyszłości, on też osiadzie w jakimś majątku i zmieni się w ziemianina. Nadal jednak przerażała go degradująca monotonia takiego życia, błędne koło siewu i żniw, ustalony i ściśle przestrzegany rytm dni, tygodni i miesięcy, nuda tych samych zajęć i tych samych twarzy. Ten scenariusz jednak, który ostatniej nocy przedstawił Turno, z niespotykaną siłą przemówił do wyobraźni Jana. Na pewno nie chciał być feudałem i sarmatą, ale kapitalistą i Wielkopolaninem? Czemu nie. Prowadzenie gospodarstwa i kierowanie procesami produkcji dostarczyłyby mu dość wyzwań, a do tego dochodziła walka o przetrwanie w trudnych warunkach politycznych. Jan się uśmiechnął. To by go chyba satysfakcjonowało.

Mijał kolejne wsie i dwory, a im bardziej zbliżał się do Jezior, tym częściej wracał myślami do tamtego wielkopolskiego lata. Przez poprzedzający je rok dziadek Morawski bombardował swego syna listami, naciskając, by pozwolił Janowi poznać rodzinne strony. Dzięki temu uporowi chłopiec trafił do dworu pod Kościanem, w świat pełen

przyjemności i obowiązków, o których przedtem nie miał pojęcia. Poznał rytm życia wielkiego majątku, jego folwarki, leśnictwa i przetwórnictwa, ludzi mówiących po polsku, polskie nabożeństwa i polskie święta. Dziadek wprowadzał go w arkana wszystkich spraw, omawiał z nim płodozmiany, pozwalał podejmować pierwsze decyzje, jednym słowem, zaszczerpiał we wnuku bakcylię, odwieczny zarazek miłości ziemi, który teraz, gdy zaistniały sprzyjające okoliczności – temperatura uczuć osiągnęła idealny poziom, bariera ochronna kosmopolityzmu straciła moc, a pacjent stał się bezbronny – zaczął się budzić.

Morawski otrząsnął się z tych melancholijnych dumań i na zimno analizował sytuację. Oszacował, że potrzebowałby dwóch lat etapu przejściowego, aby zlikwidować swą dotychczasową działalność i odbyć praktyki u kogoś z wybitnych ziemian. Tymczasem jednak palącą kwestią było wydarcie Jezior z zaciskających się na nich niemieckich szponów i Jan był zdecydowany wykorzystać w tym celu swe kapitały. Postanowił, że w zależności od werdyktu prawników pożyczki Jezierskiemu pieniądze na spłatę długu lub sam kupi Jezioro od spadkobiercy Schulza, pozostawiając Jerzego jako zarządcę.

Dotarł gościńcem szamotulskim do budynku szkoły i przy figurze Chrystusa skręcił na wschód, w kierunku Jezior. Po południowej stronie alei teren opadał i kończył się bagienkiem porośniętym topolami o koronach skierowanych na wschód – zwykłe zjawisko w tej części kraju, gdzie przeważały wiatry zachodnie. W najwyższym punkcie drogi stał samotny platan i jeździec tam przystanął. Przed nim ciągnęły się sady owocowe, a pokryte lekkim szronem drzewa w bladym późnolistopadowym świetle wyglądały niczym kwitnące wiśnie. Morawski patrzył na to i uśmiechał się do swoich myśli.

Oto w jego życiu miało się pojawić coś określonego i długofalowego, jakże innego od tych pojedynczych zleceń, które dotąd fascynowały go i bawiły; coś złożonego i ważnego, zadanie, które mogłoby zająć miejsce dotychczasowej amatorszczyzny i nadać cel jego istnieniu.

Z tych błogich rozmyślań na ziemię, wprost w błoto, sprowadziła go nieprzyjemna konstatacja: zamierzał wejść w spółkę z ludźmi podejrzanymi o morderstwo. Zupełnie o tym zapomniał. Sam przed sobą

przyznawał, że odkąd dowiedział się, jaką gnidą był Schulz, stracił rozmach w szukaniu jego zabójcy.

Odsunął na bok wszystkie plany ratowania Jezior i postanowił skoncentrować się na zdobyciu dowodów niewinności Jezierskich. Spiął konia i w ciągu minuty dotarł do budynków nowego podwórza. Zwolnił, a potem się zatrzymał, gdy dwór ukazał się przed nim spowity zawieszonymi oparami. Przypomniało mu się wyznanie Andrzeja. Spojrzał na lewo, skąd miał tamtej nocy nadejść Jerzy. Między podwórzem, przystanią a stawkiem, w którym Kmicic upolował biednego kaczoraka, pozostawiono niewielką polanę. Jan podjechał tam i w zaroślach między sadzawką a jeziorem wypatrzył drewnianą szopkę. Tuliła się do grupy smętnych świerków i jasnych brzoź, a przed wpadnięciem do wody chroniły ją zwisające wierzby płaczące.

Zsunął się z siodła, przywiązał konia do drzewa i ruszył w stronę budynku, zdecydowany ustalić, co Jerzy robił w noc morderstwa. Przysunął twarz do okienka, ale szyby były tak usmarowane, jakby w środku gotowano łój. Podszedł do drzwi i szarpnął je. Zobaczył stojącego tyłem do wejścia Jezierskiego, który na to gwałtowne wtargnięcie podskoczył i wrzasnął. Odwrócił się do wchodzącego. W prawej dłoni dzierżył młotek, a lewy kciuk z boleściwą miną trzymał w ustach. Morawski nie zwrócił jednak na niego uwagi, bo wpatrywał się w skomplikowaną konstrukcję czterech ustawionych szeregowo beczek.

– Co robisz? – spytał.

– A nie powiesz nikomu? – zmarszczył się dziecinnie Jezierski.

Oniemiały Jan uniósł dwa palce do góry. – Buduję filtr do stawu. Czterokomorowy.

– A po co?

– Jak to po co? Przecież czytałeś notatki dziadka, że czystość wody ma kluczowe znaczenie w hodowli pereł słodkowodnych. Moim zdaniem jego projekt filtra jest tym skarbem, którego szukamy – oznajmił rozpromieniony wynalazca. – Oczyszczę wodę w stawie i założę hodowlę pereł. Dziadek obmyślił dwukomorowe urządzenie, ale ja je ulepszyłem. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Gdzie jest majzel? – rozejrzał się i podniósł z ziemi metalowy przecinak. – Ten pierwszy

zbiornik to filtr wstępny. – Podważył pokrywę i Jan zobaczył zwykłą wirówkę. – Działa na zasadzie centryfugi i oddziela największe paprochy. W drugiej komorze umieściłem podłużne szczotki do czyszczenia flaszek, w trzeciej zwiniętą matę słomianą, a w ostatniej odłamki pemzy* spakowane w siatki.

Pokazywał gościowi kolejne wkłady filtracyjne, dumny jak kotka ze swych małych, tłumaczył powody zastosowania takich, a nie innych materiałów, rozważał różne typy pomp. Morawski jednym spojrzeniem ogarnął kosztowne wyposażenie warsztatu i nawet nie chciał myśleć, ile ten niepoprawny wizjoner za to wszystko zapłacił.

– Więc tu byłeś tej nocy, gdy zamordowano Schulza? – przerwał prezentację.

– Oczywiście, spędzam tu każdą wolną chwilę. Z filtrów jestem już zadowolony, muszę tylko dobrać...

– Usłyszałeś strzał i pobiegłeś do domu – nie dał mu skończyć Morawski.

Wyszedł na zewnątrz. Wydeptana między krzewinkami i wokół sadzawki ścieżka prowadziła od szopki na podjazd.

– Tak. Wszedłem do wiatrołapu, stamtąd do gabinetu i do holu.

– A gdy otwierałeś drzwi wejściowe, zobaczyłeś, jak Jerzowa wchodzi przez okno do sypialni – uzupełnił Jan, wspominając opowieść Ostrowskiego o otwartym oknie i pustej sypialni.

– Skąd...? – zdradził się Jezierski, po czym szybko zasłonił dłonią usta.

Jan przez chwilę czekał na okrzyk w stylu: „Ona tego nie zrobiła!”, ale Jezierski stał w progu z opuszczoną głową, potargany, w ubłoconych butach, mocno ściśnięty w pasie cieniutkim paskiem. Wyglądał na skrajnie nieszczęśliwego.

Zamknął szopę na kłódkę, cofnęli się po konia i ruszyli w stronę dworu.

– Znalazł się Baltazar? – spytał Morawski.

– Nie. A co gorsza, zniknął też Roch. – Zaskoczony Jan aż przystanął. – Wieczorem natknąłem się na Oskara przywiązanego przy bramie prowadzącej na podwórze gospodarcze, ale Rocha nikt nie widział.

Szli dalej, a Morawski zastanawiał się, czy te dwa zniknięcia wiążą się ze sobą.

Przed wejściem odczepił torbę od siodła, a Jerzy złapał konia za uzdę i skierował się z nim do stajni. Na odchodnym mruknął, że lada chwila wybiera się do notariusza.

Jan szarpnął drzwi wejściowe. W tym samym momencie otwarły się drzwi prowadzące do holu i stanęła w nich Helena okryta czarnym szalem. Zdawała się jeszcze bledsza niż poprzedniego dnia, a pod oczami ciemniały jej głębokie cienie. Wyglądała jak chrześcijańska męczennica, a nie jak pełna nadziei narzeczona, gotująca się do ślubu z ukochanym. Patrzyła przez przybysza jak przez szkło, przezornie więc ustąpił jej drogi.

Naraz z holu dobiegł niski głos Jerzowej.

– Pamiętaj, Heleno, że spowiedź to wynalazek Kościoła, nie Boga – napomniała. – I nie powinnaś mówić księdzu wszystkiego. To byłoby niebezpieczne.

Dziewczyna szczerzej owinęła się szalem i wyszła.

* Pemza – dawna nazwa pumeksu.

ROZDZIAŁ 23

Jan stanął w progu holu i zdębiał. Połowa wielkiego pomieszczenia zastawiona była świecznikami, wieloramiennymi kandelabrami, lampami, żardinierami, etażerkami, gerydonami i stojakami z wazonami do kwiatów. Pod ścianami stały obrazy i lustra, a na środku piętrzyło się ze dwadzieścia białych krzesełek, przy czym na najwyższym leżała marmurowa głowa. Brakowało tylko tabliczki z informacją o zagrożeniu lawinowym.

Morawski otworzył szerzej drzwi, ale uderzył nimi w donicę i przewrócił drzewko pomarańczowe. Brzęk metalowego pojemnika padającego na kamienną podłogę mógłby poderwać umarłego z grobu.

– Uważaj trochę! – syknęła Jerzowa.

Jan podniósł roślinę, przyhamował rozkołysane kulki i ruszył w stronę salonu. W progu stali pani domu i Mateusz pochłonięci przedstawieniem baletowym. Po pokoju tańczył froter, stopy miał owinięte suknem, a za partnerkę służyła mu szczotka. W wyniku jego wyrafinowanych ewolucji podłoga świeciła się jak szkło i wyglądała na zdradziecko śliską.

– Zajmij się tu wszystkim, Mateuszu – szepnęła Jerzowa, tak by nie przeszkadzać maestrowi. – Muszę na pół godziny wyjść.

Narzuciła na siebie chustę i zniknęła. Jan tylko na to czekał.

– Przyniosłeś mi dziennik dziadka od Heleny? – spytał kamerdynera.

– Tak – odparł Mateusz. – A właściwie...

Morawski już tego nie słuchał. Odwrócił się i ruszył do szkarłatnego pokoju, zdejmując po drodze płaszcz. Rzucił go na krzesło, podszedł do stołu i poczuł, jak uchodzi z niego powietrze. Na blacie leżało sześć kajetów w identycznych oprawach! Otworzył je kolejno i upewnił się, że każdy zapisany był pismem dziadka Jezierskiego.

– I wszystkie były u Heleny? – nie dowierzał. Mateusz, który wszedł za Janem do pokoju, pokiwał głową. – A przepis na malinówkę?

– Sprawdziłem w nocy te zeszyty. W żadnym nie było luźnej kartki. Próbowałem znaleźć jakąś wzmiankę o tych malinach, ale tekst jest okropnie nieczytelny. Pan dziadek pisał takie artystyczne „y” i „j”.

Ogonek nie skręca na dole od razu w lewo, a potem w prawo, ale robi taką ósemkę w prawo, w lewo i w prawo. Przez to każda strona wygląda jak pokryta arabeskami.

Morawski był zawiedziony, ale szybko się pocieszył. Skoro ta droga zaprowadziła go donikąd, pozostało mu pójść do chruśniaku i tam poszukać świeżych śladów.

– Co tu się działo? – spytał, zdejmując marynarkę.

– Mamy przygotowane dekoracje drzwi i okien, wypisane menu i wizytówki, upieczone wszystkie pasztety – relacjonował monotematyczny kamerdyner. – Na dole biorą się do tortu orzechowego, a...

– Nie o to pytam – zirytował się Morawski. – Widziałem Helenę. Wygląda jak z krzyża zdjęta.

– Cały czas szuka chłopca – odparł Mateusz i z torby Jana wyciągnął niemiłosiernie pognieciony frak. – Gdy jej przyjaciółki poszły spać, przetrząsnęła strych, a dzisiaj wstała przed piątą i wymknęła się do parku. Poszedłem za nią i widziałem, jak przepatrywała okolice drzew, na których wiszą domki lęgowe. Ale Baltazara nie znalazła.

– A do tego zaginął Roch. Mamy zatem dwa zniknięcia.

– Trzy – sprostował kamerdyner, a Morawski gwałtownie przecisnął głowę przez wykrój grubego swetra i wpił w przyjaciela wzrok. – Leon nie przyszedł na śniadanie.

Jan ciężko westchnął i ruszył w stronę drzwi.

– Ewelina? – rzucił.

– Wzięła coś i zapadła w sen. Dzięki temu panienka Laura spędziła cały wieczór z pannami i razem pytały świętego Andrzeja o swych przyszłych mężów. Lały wosk przez klucze, rzucały skórkami od jabłek i pisały karteczki...

– A Joachim? – przerwał mu Jan. – Wrócił? – Mateusz pokręcił przecząco głową. – Andrzej?

– Też nie. Ale wczoraj po pana odjeździe przyszedł do mnie Szymek. Wie pan, ten mędrzec spod oficyny. – Jan zatrzymał się z ręką na klamce. – Pamięta pan, jak pan Andrzej wczoraj odjechał, ale się cofnął? – Morawski chrząknął i potarł nos. – Spieszył się, bo chciał dogonić ojca, więc zostawił dla pana wiadomość u Szymka. To słowo:

„Morwówka”. Podobno będzie pan wiedział, o co chodzi.

– Morwówka? Co to jest morwówka?

– Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to nalewka z morwy.

Białomorwówka.

Jan wyszedł z pokoju i pobiegł do piwnicy. Mateusz ruszył za nim. Już na schodach doszły ich kobiece śpiew i upojne aromaty. W kuchni prace postępowały pełną parą: pod rządami dwóch kłótnic osiem dziewcząt skubało, kroїło, siekało, rozcierało, męłło, ubijało. Dwie wieśniaczki siedziały na ławie i obierały orzechy. To one śpiewały.

– Czemu tylko one śpiewają? – dziwił się Morawski.

– Żeby kucharki miały pewność, że nie wyjadają orzechów do tortu – wyjaśnił kamerdyner.

Skręcił w prawo i Jan poszedł za nim. Weszli do sąsiadującej ze spiżarnią piwniczki, gdzie przechowywano wina – węgierskie w beczkach, francuskie i niemieckie w butelkach – oraz wyrabiane przez Jerzego nalewki, w tym także ową legendarną pigwówkę, której wielkie baniaki obsiadły jedną ścianę salki. Mateusz sprawdzał etykiety na słojach z nalewami, Jan czytał napisy na flaszkiach: kalmusówka*, piołunówka, cynamonówka, goździkówka, kminkówka, anyżówka, wiśniówka, pomarańczówka, malinówka, morelówka, dereniówka, brzoskwiniówka. Znaleźli tam znalewkowany cały sad, ogród i spiżarnię, zgodnie ze słynnym powiedzeniem, że nalewkę można zrobić ze wszystkiego z wyjątkiem szkła, gwoździa i rzodkiewki. W Jeziorach na tę listę wykluczeń wciągnięto także morwę.

W trakcie tych poszukiwań Jan starał się pojąć, co wspólnego mogła mieć z nalewką Jerzowa, którą z zajęć kuchennych interesowało tylko zaprawianie ogórków. Zaczął podejrzewać, że genialny Szymek coś pokręcił. Podobnego zdania był Mateusz, gdy Morawski wyjaśnił mu, że Andrzej miał ustalić, czy ktoś w noc morderstwa widział panią Jezierską poza dworem. Wreszcie zniechęcony Jan wrócił do kuchni.

– A on tu czego? – zaatakowała go kucharka.

– Szukam Jerzowej – wymyślił na poczekaniu.

– Ano polazła do domku morowego.

– Tyś chyba ocipiała! – włączyła się druga. – Poszła do tego gżuba z pokiereszowaną girą.

Morawski zmrużył oczy.

– Do domku morowego – powtórzył. Odwrócił się do Mateusza i poinformował go: – Poszła do morówki. Nie do morwówki.

Ruszył w stronę bocznych drzwi, które nagle się otwały i do kuchni weszło dwóch panów w białych kitlach. Każdy z nich niósł wielki karton z napisem: *Cukiernia E. Hyżewicz*.

– Tort *provence* i tort *duchesse* – wyrecytował z pięknym akcentem pierwszy z dostawców.

Jan wyszedł na zewnątrz i osaczony przez mlecze opary ruszył w stronę wsi. Gdy mijał bramę starego podwórza, spotkał Jezierskiego, który zamiast jechać do notariusza, stał i miło gawędził z jednym z pracowników, nadal trzymając konia, na którym Jan wrócił z Objezierza.

Morawski podszedł do Jerzego, uśmiechnął się i wyjął wodze z jego rąk. Wskoczył na siodło i odjechał galopem. Dotarł do ochronki Jerzowej i skręcił w lewo, w stronę alei kasztanowej. Minął lecznicę i drogę prowadzącą w prawo. Pamiętał, że dawny szpitalik mieścił się w zarośniętym ogrodzie nad strumieniem. Zeskoczył z konia i w szczelnym parkanie znalazł wąską furtkę. Zignorował tabliczkę z napisem: „Kwarantanna. Nie wchodzić!”, popchnął bramkę i pobiegł ścieżką do niewielkiego domku. Pokonał trzy stopnie, wszedł do sieni i bez pukania nacisnął klamkę jedynych drzwi.

Pomieszczenie skrzyło się bielą i czystością. Na taborecie siedziała Jerzowa w śnieżnym fartuchu i czepku, a na żelaznym łóżku, pod obleczoną w poszwę kołdrą, wpołleżała młoda dziewczyna i do nagiej piersi tuliła małe zawiniątko. Jan potrzebował chwili, by ogarnąć sens tej sceny. W otrząśnięciu się pomogła mu Jerzowa, która zerwała się i ruszyła na niego niczym furia.

– Gdzie tu włączysz! – wysyczała. – Nie słyszałeś o mikrobach?

Wypchnęła go do sieni i zatrzasnęła drzwi. Stał tam, mrugając powiekami. Z sali akuszerskiej popłynął miły, uspokajający głos, potem włączyło się kwilenie i dziewczęcy śmiech. Jan pomyślał, że Jerzowa, oschła na co dzień, przy łóżku chorego łagodnieje. Stanowiła zatem odwrotność światowych dam: tkliwych i rzewnych na użytek publiki, nieczułych na niedolę potrzebujących.

Morawski czuł się niezręcznie i postanowił poczekać na zewnątrz. Ledwie uchylił drzwi, dobiegło go wściekłe warczenie, które rozpoznał natychmiast: groźny Oskar straszliwego Rocha. Szybko się cofnął i z przygnębieniem rozważał swe położenie. Był uwięziony w sionce niczym kochanek w szafie, a odwrót w którąkolwiek stronę blokowały mu dwie niebezpieczne istoty. Rozsądnie postanowił przeczekać.

Po kilku minutach Jerzowa stanęła w drzwiach sali.

– Jeszcze tu jesteś? – warknęła niczym brytan. Uśmiechnął się przeproszająco. – Nie mogę wyjść, jeśli się nie odsuniesz.

Jan nacisnął klamkę zewnętrznych drzwi, rozplaszczyl się przy ścianie i uprzejmie pokazał kobiecie, by poszła pierwsza. Minęła go, przywitała się z psem, a Morawski ruszył za nią, starając się trzymać jak najbliższej pogromczynie dzikich bestii i nie prowokować Oskara wzrokiem.

– Szpiegujesz mnie? – zaatakowała Jerzowa, gdy wyszli za furtkę.

Znalazłszy się poza zasięgiem psich zębów, Jan odzyskał rezon.

– Kłamiecie, więc muszę się uciekać do takich metod – oświadczył sucho. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Morawski wskazał napis na bramce. – To parawan, jak rozumiem.

– Częściowo. W razie potrzeby jest tu izolotka, ale często wykorzystuję ten domek do innych celów. Zwłaszcza że tutejsi ludzie omijają to miejsce, bo boją się zarazy.

Jan odwiązał konia i ruszyli pieszo w drogę powrotną. Znajdowali się w pewnym oddaleniu od jeziora i mgła zaczęła tu zanikać.

– Kim jest ta dziewczyna?

– To Karolka. Była u nas pokojówką, ale odeszła, bo dostała lepszą posadę w Poznaniu. Spotkała tam jakiegoś łobuza i się zakochała.

– A on pewnie nie – mruknął Jan.

– Odkochał się, gdy wpadła w kłopoty. Zerwał z nią, a gdy nie mogła dłużej ukrywać swego stanu, pracodawcy ją wyrzucili. Wróciła na wieś, ale matka, straszna świętoszka, wyklęła ją. Karolka próbowała się topić, ale uratował ją jej dziadek i przyprowadził do mnie.

Akurat mijali ochronkę. W trzech oknach na parterze rozdzwoniły się szyby, gdy dwudziestka dzieci zaczęła szaleńczo w nie pukać, ujrzawszy swą opiekunkę. Jerzowa zostawiła Jana, podeszła do płotu

i posyłała dzieciom całusy.

– Urodziła w noc śmierci Schulza? – spytał Morawski, gdy jego towarzyszka wróciła.

– Nie, dwa dni wcześniej. Ale tej nocy dostała gorączki, więc Roch przybiegł i wywołał mnie przez okno. Nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się o dziecku Karolki.

– Co Roch ma z tym wspólnego? Jerzy wspominał, że za dnia Oskar pilnuje domku zakaźnego, więc pewnie stróż też tam się kręci?

– Mieszka na poddaszu, ale niewiele czasu tam spędza. W nocy stróżuje przy dworze, a w dzień pomaga i w domku, i w lecznicy, bo potrafi zająć się chorymi nie gorzej od pielęgniarki. Zwykle jest spokojny, ale tym razem wpadł w panikę i zostawił dwór bez ochrony, bo Karolka jest jego wnuczką.

Nagle wszystko zaczęło się Janowi układać.

– Helena mi powiedziała, że córką Rocha jest ta dziwna kobieta, matka chłopca ze złamaną nogą. – Jerzowa przytaknęła. – Ale ona twierdzi, że nosi żałobę po ojcu.

– Ona jest stuknięta – oświadczyła i szybko się poprawiła: – Jest przesadnie religijna. Przeklęła swą ciężarną córkę, a gdy się dowiedziała, że dziadek pomógł dziewczynie, uznała go za martwego i przywdziała żałobę. Ale tylko po nim. Po córce nie, bo córki się wyrzekła. A Jezioro nazywa odtąd gniazdem grzechu i zepsucia.

– Co będzie dalej z Karolką?

– To, co z innymi. Napiszę jej doskonałe referencje i pomogę znaleźć pracę. A dziecko zostawi w ochronce albo zabierze ze sobą.

Morawski zamilkł i ukradkiem przypatrywał się idącej obok niego kobiecie, takiej po lekarsku szorstkiej, takiej sentymentalnej, takiej wyrozumiałej.

Przed nimi pojawił się dwór. Wracali tą samą drogą, którą Jerzowa pokonała w ciemności tamtej nocy.

– Gdzie byłaś, gdy padł strzał? – odezwał się znienacka Jan.

Zmierzyła go wrogim spojrzeniem, ale wskazała utwardzoną drogę biegnącą za oficyną.

– Okrążyłaś oficynę i weszłaś za te krzewy, które zasłaniają otwarte okno sypialni? – dopytywał, choć rozumiał, że tylko dzięki

takiemu manewrowi Jerzowa i Andrzej nie wpadli na siebie.

– Tak. Chwilę trwało, zanim się wgramoliłam. A potem musiałam odsapnąć i się ogarnąć.

– Kogo widziałaś przed domem?

– Nikogo – rzuciła i popędziła do dworu.

Jan szedł szybko za nią i analizował zeznania Jezierskich. Jerzy osłaniał Jerzową, więc to ją widział. Helena zapewniała swym świadectwem alibi Jerzemu, więc to jego musiała zobaczyć, a Jerzowa twierdziła, że była z Heleną, więc to na nią pewnie się natknęła. Morawskiemu pozostało wziąć na spytki Helenę i dowiedzieć się, dlaczego wyszła przed północą z domu.

Powierzył konia napotkanemu stangretowi i wszedł do dworu chwilę po Jerzowej. W częściowo opróżnionym z gratów holu stał Jerzy, gotowy do wyjazdu do notariusza. Zabłocone gumiaki zmienił na wytarte trzewiki, skórzaną kurtę na surdut, a dobroduszny uśmiech na minę grabarza. Wyglądał tak żałośnie, że Jan zapragnął choć częściowo zdjąć mu ciężar z ramion i zaproponować pożyczkę. Wprawdzie nie rozmawiał jeszcze z Heleną, ale był pewien, że to czysta formalność. Nie wierzył, żeby dziewczyna mogła popełnić morderstwo.

U szczytu schodów rozdzwoniły się jakieś śmieszki, znak, że przyjaciółki Heleny wstały, więc Morawski szybko poprosił Jerzów o chwilę rozmowy w gabinecie.

W zwięzłych słowach złożył Jezierskim swą ofertę. Zapewnił, że niezależnie od tego, co stwierdzi notariusz, postara się wykupić ich dług od spadkobiercy Schulza. Pozostawi Jerzemu zarząd majątkiem, pod warunkiem że ten przyjmie współgospodarza i pozwoli narzucić sobie pewne ograniczenia, przede wszystkim zakaz ciągłych zmian kierunku działalności.

Pan domu siedział naprzeciwko Jana i wpatrywał się w niego niczym dziecko w Gwiazdora.

– Wiedziałam, że wydarzy się coś, co nas uratuje – szepnęła Jerzowa.

– Moglibyście gospodarować wspólnie z Andrzejem – dodał Morawski.

Lampa w oczach Jerzego zgasła.

– On się nie pojawi.

Gdy Jan usłyszał to definitywne stwierdzenie, załało go poczucie winy. Jeśli Andrzej widział pocałunek swej ukochanej, z pewnością nie wróci. Zakłopotany odwrócił wzrok.

– Przestań krakać! – zdenerwowała się Jerzowa. – Jeśli tak się stanie, Helena zostanie zhańbiona na wieki jako ta, którą przed ołtarzem porzucił narzeczony. I nigdy nikt jej nie zechce.

– Nie powinniśmy byli pozwalać jej wczoraj przyjąć z powrotem pierścionka – oznajmił twardo Jerzy. Jak zawsze w kwestii honoru był nieubłagany. – Biedak nie powinien żenić się z nędzarką. To tak jakby łączyć głód z pragnieniem.

Pani domu załamała ręce i zaczęła gonić spojrzeniem po całym pokoju, jakby śledziła lot muchy: mąż, lampa, Jan, okno, fotel, drzwi, znowu Jan. I na nim zatrzymała wzrok.

– Jan może ożenić się z Heleną! – Klasnęła w dłonie. – Że też wcześniej na to nie wpadłam! Co za wspaniały pomysł! Będziesz miał zabezpieczenie pożyczki.

– Ale ja nie potrzebuję zabezpieczenia – zapewnił szybko Morawski, czerwieniąc się.

Uratowało go stukanie do drzwi.

* Kalmusówka – nalewka z kłaczy tataraku.

ROZDZIAŁ 24

– Czy jest tu pan Jan? – Mateusz zajrzał do gabinetu.

– Wejdz, Mateuszu – ucieszyła się Jerzowa. – Właśnie przekonujemy Jana, by ożenił się z Heleną. Co ty na to?

– Byłbym zachwycony, proszę pani. – Kamerdyner przyjął tę wieść, jakby chodziło o wyjazd na piknik. Więcej uwagi poświęcił ulokowaniu na stole przyniesionej tacy.

– Widzisz, Janie? Mateusz się zgadza.

W progu ukazała się Laura. Dłoń przyciskała do ciała tuż pod mostkiem.

– Ciociu, boli mnie... – zaczęła, ale na widok mężczyzn się spłoszyła.

– Znowu żołądek? – spytała Jerzowa, która za nic miała etykietę z jej zakazanymi słowami. – Chodźmy. Dam ci kropli. Nie wiem, co się z tym dzieckiem dzieje... – szła i sarkała, a jej głos ginął wśród śmiechów dochodzących z jadalni.

Jerzy wydobył z kieszeni zegarek, zerwał się i pobiegł do wyjścia. Nagle się zreflektował i wrócił.

– Dziękuję ci – powiedział, ściskając Janowi dłoń. – Mam nadzieję, że nie będziemy musieli korzystać z twojej wspaniałomyślności, bo tak coś czuję, że ten dopisek nic nie znaczy.

Wyszedł, a Morawski patrzył przez okno, jak gramoli się do rozklekotanej kariolki.

– Pomysł ze ślubem jest świetny – oznajmił Mateusz.

– Przedtem twierdziłeś, że Helena powinna wyjść za tego, kogo kocha. Czyli za Joachima.

– Wierzę w pański nieodparty urok. Jestem pewien, że jeśli pan się postara... – Jan rzucił mu ciężkie spojrzenie i kamerdyner zmienił melodię: – Jeśli nie skorzysta pan z tej okazji, nigdy pan się nie zdecyduje. Raz kozie śmierć... Gdzie dwóch się bije... Najlepsze są skoki na głęboką wodę...

– Zwłaszcza gdy się nie umie pływać – uciał jego pracodawca.

Podszedł do tacy, podniósł odwróconą do góry dnem filiżankę i odkrył ptysia z bitą śmietaną. Nalał sobie kawy, zdjął górną część

ciastka, nad filiżanką strzepnął posypkę cukrową i odgryzł kawałek.

– Czy mogę spytać, skąd wziął się ten fantastyczny pomysł ze zmianą pana młodego? – chciał wiedzieć Mateusz.

– Jerzowa zaproponowała mi rękę swej córki jako zabezpieczenie pożyczki, której zamierzam im udzielić, by spłacili dług u Schulza.

– To znaczy, że już nie szukamy skarbu?

– Już od dwóch dni, jeśli tego nie zauważyłeś – mruknął Morawski i upił kawy. – Zresztą za późno na to. Najpierw musimy uratować Jeziory, a szukać skarbu będziemy potem. – Sięgnął po spód ptysia i zaczął zlizywać śmietanę.

Mateusz ruszył w stronę drzwi, lecz w progu się zatrzymał.

– Byłbym zapomniał! Zjawił się pan Joachim. Złapałem go na ploteczkach z pokojówkami. Wpatrywały się w niego jak zaczarowane i z trudem odesłałem je do składania serwetek.

Jan kątem oka spojrzął w okno i dostrzegł zbliżający się pojazd. Nie potrafił określić jego typu, cały bowiem oblepiony był bagażami: na dachu leżały cztery kufry, dwa dodatkowe podskakiwały na tylnej półce, a do boku przypięto walizkę. Stangret zsiadł z kozła, odczepił pakunek i otworzył drzwiczki. Ze środka wylały się falbanki, riuszki i kwiatki, a za nimi wypadły trzy niskie, tęgawe ósóbki. Każda urocza jak ten ptyś, z którego został jedynie kleks śmietany na palcu Jana.

Na ganek wyskoczyła Jerzowa i zaczęła obejmować się z najstarszą z kobiet.

– Przyjechała siostra Jerzowej – poinformował Jan Mateusza. – Pani Ptysia i dwie Ptysiówny. – Z karocy wysunął się zasuszony, cienki jegomość. – I ten szwagier, który ciągle krytykuje Jerzego.

Kamerdyner wyjrzał przez okno.

– Co za mumia! – Ruszył do drzwi. – Idę pomóc pani Jerzowej.

Jan dopił kawę i nalał sobie drugą filiżankę aromatycznego napoju. Ukryty w fałdach muślinu obserwował nowo przybyłych i dworne, „gościowe” zachowanie pani domu. Nagle pod niskim sklepieniem podnoszącej się mgły wypatrzył kolejny pojazd. Sądził, że to goście weselni, ale wystarczył rzut oka na trzech mężczyzn w czarnych płaszczach i melonikach, by rozpoznać pruskich urzędników. Powóz zatrzymał się przed oficyną, a towarzystwo przed gankiem przerwało

powitania i zwróciło się w tamtą stronę. Jerzowa złapała się za gardło, a jej szwagier, jedyny mężczyzna w zgromadzeniu, ruszył w kierunku Niemców.

Jan huknął filiżanką w tacę i pobiegł do drzwi. Wypadł na zewnątrz i mrużąc przeprosiny, przecisnął się przez znieruchomiały tłumek. Zdołał dopędzić pana Mumię, zanim ten doszedł do oficjeli, złapał go za ramię, przedstawił się jako kuzyn Jerzego i oświadczył, że został upoważniony do przyjęcia tych „gości”.

Tamten sztywno się uklonił i z uniesioną brodą wrócił do dam. Morawski zbliżył się do stojącego z boku Prusaka, który nie brudził sobie rączek pracą, lecz tylko komenderował.

– Dzień dobry. Czy mógłbym poznać cel przyjazdu panów?

– Jesteśmy z Komisji Osadniczej – odpowiedział kierownik. – Przyjechaliśmy otaksować majątek, bo wkrótce zostanie sprzedany. Pan się nazywa – zajrzał do fascykułu – *Herr Jeziński*?

– Nie, ale go zastępuję. Chyba zaszła pomyłka – zasugerował grzecznie Jan – więc może wróć panowie w poniedziałek, gdy właściciel już będzie.

– Nie ma żadnej pomyłki – oświadczył tamten bez najlżejszej intonacji. – Byliśmy tu tydzień temu na oględzinach. Powiadomiono nas wtedy, że w dniu dwudziestym siódmym bieżącego miesiąca pan Jeziński przestanie być właścicielem majątku. Komisja Osadnicza, w której imieniu występuję, znalazła chętnego na Jezioro i przybyliśmy, by wziąć takse.

Jan nabrał głęboko powietrza. Albo ten człowiek się mylił, albo czas na ratowanie domu Jezińskich minął. Próbował przekonać Niemca do wstrzymania procedury, ale brakowało mu argumentów, a poza tym czuł, że w swym wiejsko-ziemiańskim stroju – bryczesach, swetrze i wysokich butach – nie był w stanie wzbudzić wystarczającego respektu w tym zatwardziałym biurokracie, który w kółko powtarzał swą formułkę. Drugi, także w meloniku i płaszczu, dyrygował trzecim, zwykłym skoczybruzdą, który wyładował skrzynię z niwelatorem, wasserwągą i innymi przyrządami, odczepił od powozu wielki statyw i zarzucił go sobie na plecy. Wtedy jego bezpośredni przełożony oznajmił swemu przełożonemu, że są *fertig*.

Jan odwrócił się w stronę ganku i zobaczył, że cała zgromadzona publika, do której dołączyły Helena i jej trzy przyjaciółki, z napięciem wpatruje się w te pertraktacje.

Naraz od strony bocznego wyjścia nadszedł pan Joachim, nienagannym bankierskim strojem doskonale pasujący do swych ziomków. Zatrzymał się kilka metrów od powozu i rzucił krótkie:

– *Was ist passiert?**

Na twarzy nieustępliwego urzędasza ukazało się zmieszanie – wyraźnie miał kłopot z zataryfikowaniem tej nowej postaci. Zostawił nieważnego Polaka i podszedł do imponującego dżentelmena. Jan nie słyszał ich rozmowy, ale wystarczyło, by Engel coś powiedział, a Ważniak zdjął melonik! Coś zaczął tłumaczyć, ale pan Joachim odesłał go jednym ruchem ręki. Urzędnik uklonił się, wrócił do powozu i kazał podwładnym spakować wyładowane przyrządy.

Morawski dla dobra sprawy zdołał przełknąć urażoną miłość własną, a potem stanął obok nieoczekiwanego sprzymierzeńca Jezior i razem przyglądali się, jak karawaniarski powóz odjeżdża.

Od grupki na ganku odłączyła się Helena i podeszła do dwóch mężczyzn. Na jej widok Niemiec zdjął kapelusz. Zakłopotana dziewczyna skinęła mu głową i wyszeptała podziękowanie. Gdzieś zniknęła jej wczorajsza buńczuczność.

– Słyszałem, że pani młody przyjaciel się nie odnalazł – zagadnął pan Joachim z troską. Helena obrzuciła go zwilgotniałym spojrzeniem, a on mówił dalej: – Proszę nie tracić nadziei. Rozesłałem jego rysopis do wszystkich posterunków w powiecie, będą mieli oczy otwarte. A jeśli do jutra się nie znajdzie, sprowadzę policjantów, żeby rozpoczęli poszukiwania. Dzisiaj to niemożliwe, bo zakłóciliby pani ślub. Rozumiem bowiem, że ślub się odbędzie?

Z ociąganiem przytaknęła i odeszła. Mężczyźni ruszyli za nią w stronę komitetu powitalnego. Jan przedstawił się, uklonił damom i wymienił uścisk dłoni z panem Mumią, a potem po francusku zaprezentował pana Joachima Engla, swego przyjaciela ze studiów.

– Niemiec? – zachnął się szwagier Jerzowej, a na twarzach pań pojawiło się przerażenie, jakby spotkały diabła.

– Nie, Szwajcar – zapewnił beczelnie Jan i oblicza się wygładziły.

Towarzystwo weszło do domu, dokąd służący zdążyli już wnieść bagaże, a tam wszystkie panie rzuciły się do kufrów i zaczęły wyciągać z nich lustra, lampy, rzeźby i wazony. Morawski przesunął się wzdłuż ściany w stronę korytarza i czmychnął do swego pokoju.

Z wysiłkiem zdjął wysokie buty i włożył trzewiki na grubej podeszwie, bardziej odpowiednie na spacer po parku. Umył ręce i zajrzał do swego notesu, w którym rozwiązywał rebus dziadka. Wtedy poczuł niepokój. Coś się nie zgadzało. Był prawie pewien, że ktoś naruszył jego prywatność. Ktoś inny niż Mateusz, którego zwyczaje Jan znał jak swoje własne.

Wierzył w Holmesowskie stwierdzenie, że prawie każdy pozostawia ślad swej bytności w jakimś miejscu, ale uważał też, iż tylko właściciel lub stały użytkownik tego pomieszczenia jest w stanie ten ślad dostrzec. I nie chodzi tu o spostrzegawczość, lecz o to, że każdy ma swe prywatne nawyki i drobne obsesje, o których nikt nie wie, i naruszenie ich wywołuje alarm w umyśle poszkodowanego.

On na przykład zwykle odkładał książki tytułem do góry, a jego notes leżał etykietą w dół.

Zajrzał do neseseru, ale dokumenty i pieniądze znalazł nietknięte. Pohamował bezsensowne pragnienie sprawdzenia każdego kąta i sięgnął po kurtkę, by wyjść do chruśniaku. Nagle rozległo się pukanie. Pokręcił głową. Co za duchy strzegły tego miejsca, że za nic nie mógł tam dojść?

Otworzył drzwi i zobaczył pana Joachima.

– Czy mogę zabrać panu kilka minut?

Morawski bez słowa odsunął się i wpuścił go do środka. Wciąż czuł wobec niego wdzięczność za interwencję, a jednocześnie związaną z odniesionym przez Niemca sukcesem nieufność. Engel podszedł wprost do stołu i na krześle obok położył brązowy kuferek Schulza.

– Klucz, który znaleźliśmy w bucie, idealnie do niego pasuje – oznajmił bez wstępów. – Przejrzałem zawartość, ale w kilku kwestiach potrzebuję pańskiej pomocy. – Wyciągnął wizytówki Schulza i rzucał je kolejno na stół, jakby grał w karty. – Wiedziałem, że działał w Berlinie, ale nigdy wcześniej nie natrafiłem na ślad jego aktywności w Mulhouse. Czekam teraz na informacje o tym Pośrednictwie Handlowym. Wydaje mi się, że pani Ewelina Jezierska pochodzi właśnie z Alzacji?

Jan przytaknął. Niemiec chciał coś dodać, ale drzwi się otwały i wszedł Mateusz z paterą pełną tartinek. Jeśli zdziwiła go obecność detektywa, niczym tego nie okazał. Postawił naczynie na stole i wyszedł. Morawski podsunął kanapeczki swemu gościowi, ten wziął jedną z pasztetem, zjadł, a na stół położył ostatnią wizytówkę.

– Bank Poznański. To go chyba ostatnio najbardziej zajmowało. – Usiadł, wydobyl z kufierka wielką teczkę i podał plik kartek Janowi. – Te umowy sporządzone są po polsku, więc byłbym wdzięczny, gdyby mi je pan streścił.

Morawski zmusił się, by przeglądać dokumenty najpierw z zainteresowaniem, a potem ze zgrozą. Po krótkim przedstawieniu zaczął referować paragrafy jednej z umów, Engel zaś przerzucał zestawienia pojedynczych transakcji.

– Niestety nie ma umowy z panem Jezierskim – stwierdził pan Joachim – choć jego posiadłość znajduje się w głównym wykazie.

Nie doczekał się komentarza, podał więc Janowi te szczegółowe kalkulacje sporządzone na starych przekazach na rzecz *Frau Josef Schulz* w Mulhouse.

– To też jest ciekawe. – Niemiec postukał ołówkiem w jeden z blankietów. – Szkoda, że nie wymieniono imienia kobiety, ale wiemy przynajmniej, że Schulz miał żonę.

– Albo matkę – zwrócił mu uwagę Jan.

– Słusznie. Wysłałem telegram w tej sprawie do Mulhouse i od rana czekam na odpowiedź – wymruczał pan Joachim. Włożył do ust kolejną tartinkę i zaczął grzebać w kieszeni surduta. – Z przykrością stwierdzam, że nie wszyscy niemieccy urzędnicy wywiązują się należycie ze swych obowiązków. – Rzucił na stół snopek papierowych pasków i układał je sztywnymi palcami. – Opóźniają się z odpowiedziami, a gdy już odpiszą, są niekonkretni. Ja proszę o wartości, a oni mi piszą: wysoki albo niski. Co to znaczy? Gdzie ta depesza? Mam! Odkryłem, że często w swych podróżach pani Ewelina używa nazwiska Jeske. – Znowu zaczął plątać paski papieru. – Wysłałem to do Mulhouse i kazałem im przede wszystkim sprawdzić, czy pani Ewelina Jeske figuruje w aktach urzędu stanu cywilnego około dziewięćdziesiątego czwartego roku. Może nawet razem z Schulzem.

Przy tych ostatnich słowach spojrzął badawczo na Morawskiego, ale ten pokręcił przecząco głową.

– Wątpię. Moim zdaniem to właśnie ten zapis, do którego pan nawiązuje, to „EJ 1894? 1895?”, stanowi dowód, że oni nie byli małżeństwem. Przecież Schulz nie opisywałby swej żony inicjałami imienia i nazwiska panińskiego. Jestem pewien, że jeśli żona Schulza w ogóle istnieje, to jest to inna osoba. – Jan wstał i zaczął spacerować po pokoju. – Wspominał pan, że Schulz zajmował się aborcjami i zgodziliśmy się, że to doskonały start dla szantażysty.

– Rzeczywiście, w Dreźnie dwukrotnie zarzucono mu szantaż, ale jak przyszło do formalnych działań, poszkodowane kobiety wycofywały oskarżenia.

– Zatem moim zdaniem to nie Schulz był mężem Eweliny, lecz ten profesor, którego nazwiska Schulz nie mógł sobie przypomnieć. Kolberg, Kronnberg lub Kolmann. Schulz przyjechał do Jezior w sprawie długu, zobaczył Ewelinę i usłyszał, że Jerzy nazwał ją bratową. Dostrzegł idealną okazję do szantażu i zapowiedział, że wróci.

– Obaj wiemy, że ona nie mogła go zabić.

– Może niepotrzebnie skupiliśmy się na Jezierskich i Ewelinie – rozważał Jan. – Schulz tamtego popołudnia dokądś jechał. Może spotkał się z kimś, kogo zaszantażował lub odebrał opłatę za milczenie. Ten ktoś w desperacji przyjechał tu za nim i go zastrzelił. W pokoju Eweliny, która wpuściła Schulza ze strachu, pragnąc negocjować lub nawet zapłacić.

Pan Joachim zapisał coś w swym notesie.

– A ten pistolet z jej inicjałami? – przypomniał nagle. – A zdjęcie z Bad Nauheim?

– Nie tylko ona ma takie inicjały. A zdjęcie może stanowić potwierdzenie, że to ona jest tą *femme fatale*, która przywiodła sędziego do samobójstwa, ale nie musi mieć nic wspólnego z morderstwem.

– Na razie wysłałem tę fotografię pocztą ekspresową do Bad Nauheim do identyfikacji – poinformował policjant i zaczął składać dokumenty do teczki.

Morawski oparł się o piec i obserwował niezgrabne ruchy pana Joachima. Myślał o tym, jak różne cele im przyświecają: on szukał

dowodów niewinności Jezierskich, Engel tropił mordercę Schulza. Nagle Morawski zreflektował się: jak to Engel tropił mordercę? Przecież Engel jest detektywem ubezpieczeniowym! Po co więc to całe symulowanie śledztwa, te depesze i przesłuchania?

Skonfundowany wpatrywał się w Niemca, który wstał i oznajmił:

– Teraz porozmawiam ze stróżem.

– Chwilowo to niemożliwe, bo w nocy zniknął.

Detektyw zaśpiewał „Hm, hm, hm” i stwierdził:

– Jaka to zagadkowa postać, ten stróż. Wczoraj próbowałem go przesłuchać, ale zawsze okazywało się, że gdzieś poszedł. A ja liczyłem, że może potrafi opisać podpalacza, skoro to on wyciągnął chłopca spod płonących wrót. Bo opis podany przez to dziwne dziecko jest tak mętny, jakby go sobie wymyślił.

– Rozmawiał pan z Baltazarem?

– Powtórzono mi, co zeznał, a jego samego widziałem tylko z daleka. Potem przepadł. No i jeszcze te domki... – urwał i spojrzał na zegarek. – Muszę jechać, mam umówione spotkanie u notariusza. Może wpadnę też do Concordii.

Uklonił się, zabrał kuferek i ruszył w stronę drzwi. Jan spoglądał za nim i dręczyło go pytanie, kim jest ten człowiek, który dwoma zdaniem odprowadził wszechwładnych pruskich biurokratów. Kim jest ten niby-detektyw, pałący kosztowny tytoń, pachnący dobrą wodą kolońską, okazujący nienaganne, swobodne maniery, władający doskonałą francuszczyzną. I po co jedzie do notariusza?

* *Was ist passiert?* (niem.) – Co się stało?

ROZDZIAŁ 25

Gdy tylko za Niemcem zamknęły się drzwi, Jan podszedł do kominka i otworzył schowek dziadka. Chciał się upewnić, czy przeszukiwacz – jeśli rzeczywiście grasował po szkarłatnym pokoju – nie zabrał czegoś cennego. Skrzyneczka leżała tak, jak ją zostawił. Morawski przyklęknął, złapał za uchwyt i uniósł ją do góry.

– Zapomniałem jeszcze o jednym – odezwał się od drzwi pan Joachim, a zaskoczony Jan upuścił szkatułkę na podłogę. – Panna Helena sporo pisze, prawda?

Morawski odruchowo spojrział w stronę biblioteczki, ale nie był pewien, czy dostrzegł tam słownik francuski.

Policjant tymczasem sięgnął do kieszeni surduta i wydobyl czerwony zeszyt, któremu dziewczyna przez ostatni rok zawierzała swą miłość do niego.

– Może zechce pan jej to oddać – powiedział. – Pisała w takim rozgorączkowaniu, że nawet mnie nie spostrzegła, a potem ktoś ją zawołał i zostawiła to na stole. Wziąłem więc, żeby nikt niepowołany tego nie znalazł.

Położył kajet na stoliku przy drzwiach, ukłonił się i wyszedł. Rozwścieczony Jan zerwał się na nogi i zawołał:

– Proszę wrócić! Jak pan śmiał?

Dobiegł do drzwi i wyskoczył na korytarz, ale Engel zniknął. Tylko w głębi holu kręcili się jacyś mężczyźni i przenosili krzesła.

Morawski spojrział na zeszyt Heleny i zaklął. Więc przecucie go nie omyliło: detektyw wszedł do jego pokoju i ukradł zapiski dziewczyny. Jan już chciał go gonić, ale zaczął się zastanawiać. Po co Niemiec miałby oddawać pamiętnik, zamiast po prostu gdzieś go porzucić? Przecież to oznaczało przyznanie się do kradzieży. A poza tym schowany w słowniku zeszyt został zapisany do ostatniej strony, jak więc Helena miałaby w nim dalej pisać?

Wrócił do środka i podszedł do szafki z książkami, wyciągnął słownik i otworzył go. Wewnątrz tkwił identyczny czerwony kajet. A zatem Engel znalazł gdzieś kolejny tom.

Jan usiadł na podłokietniku fotela, uniósł okładkę zeszytu

przyniesionego przez Niemca i przeczytał pierwsze zdanie: „Podjęłam decyzję – postąpię tak, jak mi nakazuje honor”. Dalej dziewczyna pisała, co ją skłoniło do takiego wyboru: złożona przysięga, patriotyzm, troska o rodzinę. I to wszystko. Jan westchnął i już miał zamknąć zeszyt, ale odruchowo przewrócił stronę i znalazł – ku swemu zdumieniu – krótki opis ślubu, z uwypukleniem tradycyjnych polskich punktów programu: powitania chlebem i solą, oczepin, dzielenia się kołaczem. Wpatrywał się w tekst trochę skołowany, ale jego konfuzja osiągnęła apogeum, gdy przekartkował kilka pustych stron i trafił na nowe zapisy. Pierwsze zdanie brzmiało: „Podjęłam decyzję – postąpię tak, jak mi nakazuje miłość”, a po nim następował opis potajemnego wyjazdu do Drezna i cichej ceremonii w tamtejszym katolickim kościele Hofkirche.

Jan zamknął zeszyt i sięgnął po kajet znaleziony poprzedniego dnia. Chwycił za przednią oprawę i mocno potarł kciukiem to, co uważał za wyklejkę. Kartka odczepiła się od prawdziwej wyklejki i na pierwszej stronie Jan ujrzał napis: „Zdrada”. A poniżej: „Autor: Helena Jezierska”. Więc to nie był pamiętnik, lecz powieść!

Morawski próbował przeanalizować sytuację w świetle tego odkrycia. Helena nie kochała Joachima. Joachim nie był wysłannikiem Concordii. Mógł więc być policjantem i ścigać Schulza. Albo rudą. I interesował się Jeziorami nie przez wzgląd na Helenę.

Jan gorączkowo się zastanawiał, jak mogło dojść do tej fantastycznej pomyłki. Przecież wtedy, pod krzakiem róży, wyznał Helenie, że odkrył jej tajemnicę. Usiłował przypomnieć sobie słowa, które wtedy padły. On, uznając znaleziony zeszyt za pamiętnik, myślał o jej osobistym dylemacie, ona zaś sądziła, że on wie o książce i dylemacie bohaterki. Przez chwilę Morawski wpatrywał się w brulion, potem zaczął się uśmiechać, a wreszcie wybuchnął potężnym śmiechem. Z siebie. I z sentymentalnych nadziei Mateusza. A także z ulgi. Przynajmniej jeden problem zniknął. Helena nie musiała deptać swego serca ani naginać zasad.

Śmiał się i śmiał, aż wreszcie wstał i sięgnął po kurtkę. Jeszcze nie stracił nadziei, że uda mu się dotrzeć do chruśniaku.

W holu stał tuzin dębowych krzesel wyściełanych skórą, a kilkanaście sztuk służące wniosły już do jadalni.

– Pani pożyczyła z karczmy – oznajmiła ta z czerwonymi dłońmi na pytające spojrzenie Jana.

Drzwi do salonu były uchylone i Morawski tam zajrzał. Cały pokój świecił się jak choinka. Z sufitu zwieszały się kandelabry ozdobione kryształowymi sopłami, na ścianach umieszczono kinkiety z odblaskowymi lustrami, a pod sufitem przebiegały sznury błyszczących pryzmatów. Dodatkowo na wszystkich meblach stały lampy naftowe i olejne.

Na kanapach siedziały przyjaciółki Heleny, produkując bukiety i wianuszki, a trzy Ptysie, wszystkie rude jak Jerzowa, układały kwiaty doniczkowe w pokrytych zielonym papierem skrzynkach. Między nimi kręciła się zachwycona, roześmiana Laura i spryskiwała czymś obicia i portiery. W pomieszczeniu wytwornie pachniało świeżym gipsem, octem truskawkowym i pleśnią.

Sześć kobiet podniosło na Jana oczy, obdarzył je więc czarującym uśmiechem i szerzej otworzył drzwi. Pod oknem stali Mateusz i pani domu, wyraźnie zaaferowani, i cichutko szeptali.

– Czy coś się stało? – Morawski podszedł do dwójki konspiratorów.

– Mamy straszny kłopot – wyznał kamerdyner i zaczął wyliczać nie jedną, ale całą litanię katastrof: – Panienska Helena dawno temu wyszła szukać Baltazara. Fryzjer czekał na nią prawie godzinę, ale zdenerwował się i odjechał. Dochodzi pierwsza, zaraz zaczną się zjeżdżać goście, a my nie mamy panny młodej, panna młoda nie ma fryzury, dom nie ma gospodarza... – W tym momencie pani Ptysia zawołała: „Elka!”, i Jerzowa do niej podeszła. A Mateusz skorzystał z okazji, by szeptem dobić Morawskiego: – ... za to narzeczonych mamy aż trzech.

Jan już chciał go poprawić, że narzeczonych jest dwóch, a właściwie jeden, a może nie być żadnego, ale wróciła Elka-Jerzowa.

– A jakby tego było mało – dokończyła – mój nieznośny szwagier domaga się pokazania mu kałkana.

– Poddaję się. – Jan uniósł dłonie. – Czego ode mnie oczekujecie?

– Widziałem przez okno, jak panna Helena szła w stronę jeziora – odezwał się Mateusz.

– Mógłbyś ją przyprowadzić? – dorzuciła szybko Jerzowa, wpatrując się w Morawskiego błędnym wzrokiem. Wyglądała na kogoś na granicy szaleństwa.

– Idę. – Jan odwrócił się i ruszył do drzwi. To zlecenie bardzo odpowiadało jego malinowym planom.

Nagle za plecami usłyszał jęk pani domu:

– Roch!

Przypadł do okna. Po podjeździe włókł się stróż, prowadzony przez dwóch służących państwa Ptysiów. Jerzowa, Jan i Mateusz wybiegli przed dwór i popędzili w ich kierunku. Roch wyglądał straszliwiej nawet niż zwykle: jego twarz zszarzała, a oczy zapadły się jeszcze mocniej w głąb czaszki. Słaniał się na nogach i gdyby nie wsparcie lokajów, przewróciłby się od razu. Służący wyjaśnili, że poszli do przydzielonego im pokoju na poddaszu oficyny i tam zastali śpiącego stróża. Z trudem go dobudzili, ale jego stan uznali za tak niepokojący, że postanowili przyprowadzić go do dworu.

– Piliście coś? – spytał Jan, klepiąc mężczyznę w kłujący, szczeciniasty policzek.

Roch przewrócił oczami i wysunął z ust sztywny język. Próbował nim zwilżyć spierzchnięte wargi, ale zmęczył się tym wysiłkiem i bezwładnie zawisł w ramionach krzepkich służących.

– Na stole stała butelka – oznajmił jeden z nich.

– On tam wstępuje co wieczór na szklaneczkę orzechówki – wyjaśniła Jerzowa.

Jan ruszył w stronę oficyny, ale nie uszedł pięciu kroków, gdy kobieta wczepiła się w jego łokieć.

– Helena! – wyszlochała. – Ona jest ważniejsza od jakiegś tam butelki.

W alei ukazał się powóz. Kolejni goście! Mateusz nakazał służącym odprowadzić Rocha do kuchni, ponaglił Jerzową, by wróciła do dworu, a sam zajął miejsce na ganku. Pani domu, biegnąc w amoku do bocznego wejścia, odholowała ze sobą Jana i popchnęła go w stronę parku.

– Helena! – jęknęła.

ROZDZIAŁ 26

Jan skręcił w lewo, w stronę jeziora, przemknął za dworem i ruszył alejką w głąb parku. Postanowił poświęcić dziesięć minut na poszukiwania Heleny, a potem przeczesać malinowe chaszczowisko.

Pogoda zachęcała do spaceru, bo mgła znikła, zza chmur zaczęło nieśmiało wychylać oko słońce, a wiejący poprzedniego dnia i w nocy wiatr osuszył trochę ziemię. Obiektywnie nie była to zachwycająca aura, ale ludziom zmuszonym przez wiele dni poruszać się w półmroku i bezustannie wszystko suszyć lub czyścić z błota mogło się wydawać, że oto nadchodzi wiosna.

W parku, tak jak na każdym kroku w Jeziorach, rzucały się w oczy ślady zaniedbania: ścieżki częściowo zarosły, w kilku miejscach połamane konary tarasowały przejście, nieoczyszczony strumień zamierał, a sądząc po bujności butwiejących chwastów, rabat od miesięcy nikt nie pielił. Mimo wszystko Jeziora pozostały pięknym skrawkiem ziemi, a w parku, oblewanym z dwóch stron wodami jeziora, szczególnie się to czuło.

Morawski już chciał zawrócić, lecz nagle w skupisku brzościw dostrzegł jakiś ruch. Skoncentrował wzrok na tamtym miejscu i między brunatnymi witkami zauważył przeblask świeżego mchu. Ruszył tam szybkim krokiem i po chwili zobaczył przed sobą Helenę w zielonym płaszczu. Szła w tym samym kierunku co on, zaglądała w mijane krzaki i coś do siebie mówiła. Jan nie zdołał podsłuchać jej słów, gdyż zdradził go chrzęst liści. Dziewczyna odwróciła się ku niemu.

Na widok jej zmęczonej twarzy i udręczonych oczu serce Morawskiego ścisnęło się żalością, ale zdołał stłumić współczucie.

– Szukasz Baltazara czy skarbu? – zapytał kąśliwie. – Tak jak tamtej nocy w chruśniaku?

– Więc wiesz? – Przez kilka sekund wpatrywała się w mężczyznę.
– Nie ma skarbu – poinformowała go z jakąś dziką satysfakcją. – Ktoś już się nim zaopiekował.

– To znaczy? – zmarszczył brwi. Nic nie odpowiedziała. – Pokaż mi, co znalazłaś.

Najpierw stała niezdecydowana, ale potem wyminęła go i bez

słowa ruszyła w powrotną drogę. Jan podbiegł do niej i szli razem.

– Czy możesz mi wyjaśnić – spytał – skąd wziął się pomysł, żeby tam szukać?

– Tamtego wieczoru z dziennika dziadka wypadła luźna kartka z powycinanymi otworami. Była pusta, tylko u góry dziadek napisał: *Przepis na bezcenną malinówkę*. Wzięłam z jego skrzynki prawdziwy przepis i nałożyłam na niego tę wycinankę. Powstało hasło: „Kopiec w chruśniaku”. Gdy Laura zasnęła, a dom ucichł, wymknęłam się i pobiegłam tam.

Doszli do ogrodu warzywnego, położonego na północny wschód od dworu. Uprawiano tam tylko warzywa na użytek domowy, natomiast szklarnie postawiono bliżej podwórza gospodarczego. Minęli kutą furteczkę, przemknęli się między grządkami, na których straszyły poogórkowe badyle, i przez przerwę w żywopłocie weszli do chruśniaku. Krzewy malin tak się rozswawoliły, że zarosły cały teren, pogwałciły wytyczone między szpalerami granice i gdyby nie barykada jeszcze agresywniejszych mirabelek, zagroziłyby warzywnikowi. Ktoś włożył mnóstwo pracy w posadzenie tych krzewów, a potem zlekceważył konieczność ich przycinania i formowania, przyroda zaś po raz kolejny dowiodła, że uznaje tylko jedną koncepcję gospodarczą: rosnać, ile sił.

Dziewczyna stanęła tuż przy granicy z warzywnikiem i wskazała stertę konarów, ziemi i liści. Jan przykucnął tam, odrzucił na bok gałęzie, odgarnął płachtę i odsłonił otwór w ziemi, wypełniony deskami, workami z kompostem i wiechciami trzciny, zdolnej przetrwać każdy kataklizm. Helena przyklękła i uniosła worek leżący w środkowej części.

– Wyciągnij tę paczkę spod spodu – poleciała.

Morawski lewą dłonią oparł się o brzeg dołu, a prawą zanurzył pod workiem. Złapał coś i wy dobył na zewnątrz. Było to brezentowe zawiniątko oblepione błotem i bardzo lekkie. Położył je na ziemi i rozwinął materiał. Wyłoniła się skrzyneczka, identyczna jak ta, która służyła seniorowi Jezierskiemu za skarbczyk, tyle że z zardzewiałymi okuciami. Jan odpiął klamrę, uniosł wieko i zobaczył dno.

– Ktoś mnie uprzedził – szepnęła dziewczyna zdławionym głosem.

Morawski opróżniał dół i myślał na głos:

– Może Baltazar rzeczywiście znalazł ten skarb?

– Przestań powtarzać bzdury za tą histeryczką – zgromiła go Helena. – Po pierwsze, nie byłby do tego zdolny. A po drugie, nie zapominaj, że on zniknął kilkanaście godzin po tym, jak znalazłam pustą skrzynkę. Myślisz, że chodziłby spokojnie między nami, będąc w posiadaniu skarbu?

– Może znalazł coś w tych domkach, które czyścił?

– Nie! Skarb był tutaj. Spójrz, brezent jest ubłocony, a przecież leżał między workiem a trzcina, więc powinien być czysty. Ktoś tu dotarł przede mną, może nawet tej samej nocy, odkopał skrzynkę, opróżnił ją i ponownie ukrył.

– Może Andrzej? Był tu w nocy...

– Oszalałeś? To jedyny człowiek na świecie niezdolny do krętactwa. I najbardziej łatwowierny. Wiesz, że stał tamtej nocy przed domem i widział, jak wracałam? – Morawski skinął głową, wskoczył do dołu i wyrzucił na zewnątrz ostatni worek. – A wiesz, jak go przekonałam, że nie zamordowałam tego łajdaka? Zabrałam go do oficyny i dotknęłam ciała Schulza. Andrzej wierzy, że gdyby morderca dotknął ciała swej ofiary, zaczęłoby krwawić.

Morawski się roześmiał. A więc to był ten niezawodny test Ostrowskiego.

Z budki w warzywniku przyniósł widły i gęsto ponakłuwał nimi dno dołu. Ostrza wchodziły w ziemię gładko niczym w masło, a on z pasją dźgał glebę, wyrzucając sobie, że tamtego popołudnia, tuż przed przyjazdem Schulza, z powodu deszczu zrezygnował z przeszukania chruśniaku. Jeżeli teoria kuzynki była prawidłowa, on też pozwolił skarbowi się wymknąć.

Wreszcie wyszedł z dołu i przy pomocy dziewczyny zwrócił jamie jej skarby.

– A teraz powiedz mi, którędy wróciłaś i co widziałaś – poprosił Jan, gdy szli przez warzywnik.

Helena zatrzymała się i wskazała dwór widoczny za furtką i wąskim pasem drzew.

– Szłam tędy. Byłam już poza ogrodem, między drzewami, gdy padł strzał. Pobiegłam do drzwi. Weszłam i usłyszałam, że schodzisz z góry. Czmychnęłam więc do jadalni i skryłam się pod stołem. –

Przystanęła i spojrzała na niego. – Myślałam, że będę bezpieczna, ale nagle wszedłeś do pokoju, jakbyś mnie śledził. Coś się stało, bo zakłąłeś, a potem na szczęście twoje kroki się oddaliły. Wydostałam się spod stołu i usłyszałam hałasy w korytarzu. Wrzuciłam chustę do szafy, wyszłam do holu i zobaczyłam, że razem z ojcem dobijacie się do sypialni w dobudówce.

– Zapomniałaś dodać – zwrócił jej uwagę Morawski – że gdy wyszłaś z jadalni, zobaczyłaś przez szybę w drzwiach, jak ojciec wchodzi do wiatrołapu, a stamtąd do gabinetu i do holu.

– Nie wiem, o czym mówisz – warknęła i z zaciętą miną ruszyła do budynku.

Jan złapał ją za ramię i zatrzymał.

– Musiałaś go widzieć, bo wszedł do domu wkrótce po tobie. – Stali przy narożniku dworu, gdy na drodze dojazdowej ukazał się kryty powóz. Jan poprowadził dziewczynę w przeciwną stronę i ruszyli aleją dookoła polany. – Nie martw się, Jerzy nie popełnił morderstwa.

– Nie? – zawołała i szarpnęła go za rękę. – Jesteś pewien? – Podskoczyła w miejscu, a jej spięta twarz się rozpogodziła. – To znaczy, że mogę wyjść za Andrzeja.

– To dlatego się wahałaś? – zrozumiał wreszcie Jan.

– Gdy się okazało, że nie mam posagu, zgodziłam się zerwać, bo nie zniosłabym pogardy pana Eugeniusza. I tego, że on tak wykorzystuje Andrzeja. A gdy wczoraj Andrzej wybrał mnie, a nie ojca, prawie rzuciłam mu się na szyję, ale potem pomyślałam, że nie mogę pozwolić mu ożenić się z kimś, kogo ojciec może zostać aresztowany za morderstwo.

Jan mruknął coś potakująco, ale wpatrywał się w jeden punkt przed sobą. Właśnie dotarli do miejsca, gdzie poprzedniego wieczoru Jerzy zdjął chochoły z róż. Morawski podszedł do najwyższego krzewu i dotknął łądygi, na której szczycie kulił się spory pąk. Od spodu przesłaniały go jasnozielone listki, które rozchyłały się ku górze i prezentowały malinową zawartość.

– Zobacz, Heleno. Mamy koniec listopada, a jej zebrało się na kwitnienie.

Dziewczyna zaśmiała się.

– To Belle Hélène. Dziadek kupił ją specjalnie dla mnie. –
Pogłaskała kwiat. – Cóż za wspaniała wróżba! Ta róża zazwyczaj
kwitnie tylko raz, w czerwcu.

Z nagłą energią zawróciła w stronę dworu, a Jan pospieszył za nią.

– Gdyby jeszcze znalazł się Baltazar – mówiła podekscytowana –
byłabym zupełnie szczęśliwa. Nawet nie potrzebuję tego skarbu.
Wszystko inne się poukładało: tata jest niewinny, a Andrzej nareszcie
zdecydował się oderwać od ojca i dzięki temu nie będziemy musieli
mieszkać w tym wymuskanym Jasieninie. Zamieszkamy w Jeziorach,
a ja dokończę książkę, sprzedam ją i spłacę długi.

Morawski siedł u jej boku, ręce trzymał założone na plecach i robił
dobrą minę do złej gry. Dziewczyna nareszcie zaczęła okazywać
weselny nastrój i nie chciał jej przypominać, że swą koncepcję
zamieszkania w Jeziorach zbudowała na nader niepewnych
fundamentach.

Nagle Helena się zatrzymała.

– A jeśli stanie się tak, jak mówi tatuś, i Andrzej nie przyjedzie? –
Podniosła na Jana wielkie szare oczy i wyłkała: – To byłoby okropne.
Porzucona jeszcze przed ślubem.

ROZDZIAŁ 27

Wracali do dworu, każde zanurzone we własnych myślach. Jan raz odważył się spojrzeć na swą towarzyszkę, ale na widok jej przygryzionej wargi i czerwonych plam wokół oczu szybko odwrócił wzrok. Nie mógł zaoferować jej żadnego pocieszenia.

Z dwojga złego miłszym tematem rozważań wydało mu się morderstwo, a miał nad czym deliberować, bo w śledztwie dotarł do rozdroża. Dotychczas zmierzał do uniewinnienia Jezierskich i cel osiągnął, ale morderstwo pozostało morderstwem i należało kogoś umieścić w tej pustce, która się wytworzyła. Kto więc, poza trójką mieszkańców Jezior, miał motyw lub okazję, by zabić Schulza? Najbardziej prawdopodobny wydawał się ten osobnik, z którym sprzedawczyk miał się spotkać tamtego wieczoru, a za tą koncepcją mogła przemawiać zbieżność inicjałów na pistolecie i tajemniczego zapisu w notesie Schulza.

„EJ” mogło oznaczać Ewelinę Jezierską bądź Ewelinę Jeske, Elkę Jerzową Jezierską, Joachima Engla, a także Eugeniusza Jeremiego. Jan już na początku wykluczył z tego grona Ewelinę, dowiódł niewinności Jerzowej, pozostali zatem dwaj panowie.

Zajmowanie się wszechwładnym Englem i zdobywanie o nim wiadomości wydawało się bezsensowne i ryzykowne, Jan postanowił więc wziąć na pierwszy ogień pana Eugeniusza. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga, zatem do ślubu pozostawały trzy godziny. Wystarczająco dużo czasu, by pojechać do pałacu Ostrowskich i sprawdzić, czy Schulz pojawił się tam w wieczór swej śmierci, a także ustalić, co porabiał owej nocy pan Eugeniusz.

Jan z Heleną weszli do wiatrołapu i z holu dobiegł ich gwar głosów. Morawski otworzył drzwi. Wewnątrz stało kilkanaście odświętnie ubranych osób, panie udawały, że cmokają się nawzajem, a panowie pochylali się nad dłońmi dam lub potrząsali prawicami innych dżentelmenów. Pomiędzy nimi migła bura suknia Jerzowej i jej stalowo-rude włosy. Dwoiła się i troiła, by wszystkich godnie powitać, a przy kominku stał wyprostowany Mateusz, trzymał tackę na wizytówki i czujnym wzrokiem nadzorował ceremonię. Naraz kamerdyner zobaczył

Helenę i lekko się wzdrygnął. Za jego wzrokiem podążyła pani domu i zmartwiała. Wtedy także Jan spojrział na dziewczynę, która stała bez kapelusza i rękawiczek, z potarganą głową, ubłoconą suknią, brudnymi dłońmi i wypiekami na twarzy. Szybko ją sobą zasłonił, a zebrani jak na komendę spojrzeli w jego stronę. Szczęśliwie Mateusz wykazał się refleksem – otworzył podwoje jadalni i uprzejmie zaprosił do raczenia się zimnymi przekąskami. A goście, jak to goście, zlekceważyli inne atrakcje i ruszyli do stołu, nieświadomi, że tuż za Janem stała bohaterka dnia w stanie daleko posuniętego niechlujstwa.

Gdy za towarzystwem zamknęły się drzwi do pokoju stołowego, na podjeździe zastukotały kopyta i zaskrzypiały przeraźliwie koła. Jan i Helena odwrócili się i zobaczyli starą kariolkę. Pojazd zatrzymał się, a z kozła zsunął się Jerzy. Morawski przypadł do niego i go podtrzymał, a dziewczyna wsparła ojca z drugiej strony. Z domu nadbiegł Mateusz, zajął miejsce Heleny i razem z Janem wprowadzili ślaniającego się mężczyznę do gabinetu. Posadzili go w fotelu, kamerdyner rozluźnił mu krawat i rozpiął kołnierzyk, a Morawski nalał do kieliszka koniaku i podsunął do sinawych ust Jerzego. Jezierski dygotał, więc kilka razy stuknął zębami w szkło, zanim zdołał przełknąć płyn. Po chwili makabryczny fiolet jego warg zaczął ustępować. Przybiegła sprowadzona przez Mateusza Jerzowa, przyklękła u stóp męża i nerwowo poklepywała go po dłoni.

– Poślij po lekarza! – polecił Jan Helenie.

– Przyniosę nalewkę nasercową – poderwała się Jerzowa.

– Nic mi nie jest – wychrypiał Jezierski i otarł czoło rękawem. –

Zupełnie nic. Już mi lepiej.

Morawski przykucnął obok niego i spytał:

– Co ci powiedzieli?

Jerzy kilka razy odchrząknął, spojrział na żonę, na córkę, na Jana i oznajmił cicho:

– Paragraf jest ważny i Jeziory stały się własnością Schulza. A co gorsza, zdążył je sprzedać. Tego wieczoru przed śmiercią.

W ciszy, która zaległa, słyszeli tylko dobiegające z jadalni śmiechy, szcękanie sztućcami i pojedyncze, zabłąkane dźwięki pianina. Jan czuł się jak na stypie – z jednej strony rozpacz i dramat, z drugiej

obzarstwo i żądza zabawy.

– Transakcję przeprowadził właśnie ten notariusz, u którego dzisiaj byłem i który sporządził umowę pożyczki między mną a Schulzem – ciągnął Jerzy. – Nie chciał jednak wyjawić, kto nabył Jeziory. Podobno przyrzekł dyskrecję. – Nabrał głęboko tchu. – Ale to musi być ktoś mający potężne wpływy i najpewniej Niemiec, bo Komisja nie przebijała oferty.

Morawski zacisnął szczęki i na moment zamknął oczy.

– Jeszcze nie wszystko stracone – pocieszył Jerzego. – Spróbujemy odkupić posiadłość.

– To nic nie da. – Jezierski pokręcił głową. – Temu człowiekowi zależało właśnie na Jeziorach. – Wydał z siebie zdławiony szloch i niewidzącym wzrokiem ogarnął ściany swego pokoju. Potem spojrzał na żonę i córkę. – Stało się, moje drogie. Zawiodłem was i okazałem się niegodny swego nazwiska. – Zakrył twarz dłońmi. – Nie wiem, jak będę dalej żyć, bez domu rodzinnego i ziemi, z piętnem zdrajcy i nieudacznika.

Oparł dłonie na podłokietnikach, ciężko dźwignął się na nogi i zachwiał. Przez uchylone drzwi dotarł do gabinetu odgłos czyichś kroków i w holu pojawiła się Laura. Na widok stryja zatrzymała się i z wahaniem zbliżyła. Twarz miała wilgotną, a oczy zaczerwienione. Przygryzła wargę, dzielnie próbując się opanować, ale wygięła usta w podkówkę i załkała.

Ciotka posadziła ją w fotelu Jerzego i przymusiła do wyznania prawdy.

– Pisałam list do panów opiekunów – szlochała – aby pożyczili stryjkowi moje pieniądze, ale macocha mnie przyłapała i podarła kartkę. A potem zagroziła, że za nieposłuszeństwo pošle mnie do klasztoru.

Jeszcze bardziej skuliła ramiona i obgryzionymi paznokciami skubała końcówkę warkocza.

– Trzeba opisać tym opiekunom postępowanie Eweliny – zdecydował Jan – i przekonać ich, by powierzyli Laurę tobie.

– Masz rację – westchnął Jerzy. – Napiszę do nich jutro.

Dziewczyna wpatrywała się w nich rozszerzonymi z przestachu oczyma.

– Nie! Proszę, nie róbcie tego. Ona będzie okropnie na mnie krzyczała. A potem zawsze boli mnie żołądek. Tak jak tatusia. – Znowu się rozchlipała. – Teraz też mnie boli. Chciałabym wreszcie umrzeć.

– Jadła obiad na piętrze z Eweliną – oświadczyła nagle Jerzowa, wpatrując się w Jana.

Stali we czwórkę dookoła płaczącej Laury. Morawski gotów był się założyć, że Jezierscy myśleli o tym samym co on: o nawracających dolegliwościach dziewczyny, o śmierci jej ojca, a przede wszystkim o trzech tysiącach hektarów i pałacu w Czersku stanowiących majątek młodej dziedziczki.

Ich intensywne myśli musiały sprowadzić na dół Ewelinę. Na schodach rozległy się jej lekkie kroki i po chwili wpadła do gabinetu. Jan od razu zauważył jej ekscytację, a wyglądała również ekscytująco, ubrana w wydekoltowaną szafirową suknię, z rudymi włosami upiętymi w wielki węzeł.

– Więc to tak! – Oparła dłonie na biodrach i złośliwym wzrokiem pokłuła Jezierskich. – Niby nie macie pieniędzy, a wesele wyprawiacie jak dla córki królewskiej. Myślicie, że jestem taka głupia i się nie zorientuję? Znaleźliście spadek dziadka i urządzacie za to tę fetę. Ale nic z tego – syknęła. – Stary miał dwie wnuczki i jako opiekunka Laury żądam w jej imieniu połowy spadku.

Z fotela dobiegł cichy głos jej pasierbicy:

– Stryjku, ja nie chcę skarbu Helenki! – Z rozpaczą szarpała dłoń Jerzego. – Nie chcę!

– Na razie to ja o tym decyduję – uciszyła ją Ewelina. – Połowa spadku dla Laury. A jeśli nie, to oskarżę was o kradzież. To dopiero będzie sensacja w Poznaniu.

– Szykuje się inna sensacja – cicho odpowiedział Jerzy. – W poniedziałek wystąpię o ekshumację ciała mojego brata i ustalenie przyczyn jego śmierci.

Ewelina zbladła i rzuciła spojrzenie na swą podopieczną. Morawski postąpił krok do przodu i stanął na linii tego strzału.

– A do czasu badania i opinii biegłych – stwierdził – Laura pozostanie pod opieką swego jedyne go krewnego.

Kobieta przez chwilę wpatrywała się w niego jakimś dziwnym

wzrokiem i raz za razem zwilżała wargi. Nagle odwróciła się i wybiegła.

W progu zderzyła się z panem Mumią, zasuszonym mężem pani Ptysi.

– Czy mógłbyś, drogi szwagrze, wyciągnąć kałkan? – spytał Jezierskiego, podchodząc do wiszącej na ścianie mapy i zdejmując ją z gwoździa. – Chcielibyśmy z profesorem porównać zarysy Złotego Rogu wygrawerowane na kałkanie z tą mapą Konstantynopola.

Zgromadzeni w gabinecie przyglądali mu się niczym przybyszowi z innego świata.

– Kolejni goście jadą – zakomunikował Mateusz, wyglądając przez okno.

Jerzy opadł na fotel przy biurku.

– Ja tego wszystkiego nie przeżyję.

ROZDZIAŁ 28

Po chwilowym paraliżu zebrani poderwali się, jakby poraził ich prąd.

– Kałkan odwieźliśmy do renowatora, aby go oczyścić – oświadczył Jan i wskazał panu Mumii drogę powrotną do jadalni.

– Ruszaj do siebie, Heleno! – błagała Jerzowa. – Jesteś koszmarnie spóźniona.

Dziewczyna rzuciła ojcu niespokojne spojrzenie, ale wybiegła z gabinetu, a zaraz za nią wyszedł Mateusz, wygładzając swój nienaganny żakiet. Jerzy wstał i oznajmił, że musi się przejść. Począł, aż nowo przybyli zniknęli w holu, i bocznymi drzwiami przemknął się do wiatrołapu i dalej na ganek. Kiedy Jerzowa próbowała go zatrzymać, argumentując, że trzeba zająć się gośćmi, do gabinetu zajrzał Mateusz i wywołał ją do holu. Kobieta jęknęła, lecz posłuchała.

Jan podążył za nią i zjawił się w samą porę, by ujrzeć powrót kolejnego z zaginionych. Niedomknięte drzwi do wiatrołapu drgnęły i w progu ukazał się Leon. Powitania Jerzowej z gośćmi ucichły i oczy wszystkich spoczęły na kocurze, który wszedł do holu, wlokąc jakiś bezkształtny tłumok, niewiele mniejszy od niego samego. Rzucił go na podłogę u stóp pani domu i zadowolony usiadł obok. Morawski zbliżył się i pochylił. Przed Leonem leżał zakrwawiony zajac. Jan uniósł go za słuchy. Zwierzak był pokiereszowany i całkowicie zimny. Jedna z kobiet panicznie pisnęła, a druga jęknęła: „Słabo mi”. Zapowiadało się grupowe omdlenie.

– Kucharki zarzuciły mu, że się leni – wyjaśnił Morawski, prostując się – i biedak chyba wziął to sobie do serca.

Uśmiechnął się do osłupiałego zgromadzenia i razem z dumnym kotem wyszedł przed dwór. Skręcił w stronę dobudówki i powiesił zdobycz Leona na szubienicy, a następnie przespacerował się do oficyny i z pokoiku na poddaszu zabrał stojącą na stole butelkę z brunatnym płynem. Rozejrzał się po pomieszczeniu, gdzie na co dzień sypiali stangret i Baltazar, a potem wrócił do domu.

Gdy wszedł do kuchni, trwały tam ostatnie przygotowania do bitwy. Mateusz-Napoleon wydawał rozkazy podległym mu formacjom

i chwalił obu swych marszałków, a w cieple jego komplementów kucharki zrezygnowały z brania się za kudły. Armia nie oszczędzała się: przynoszono wstępnie przyrządzone dania z lodowni, nakłuwano ptactwo na różna, układano ryby w długich rynienkach, rozcierano rozgotowane mięsa w moździerz, dosmaczano sosy, a młodziutka dziewczuszka wycinała z papieru ozdobne mankiety na nogi drobiu.

Jan przez chwilę podziwiał tę skomplikowaną operację, wyjadając wystygłe szare kluski, których pełną miskę znalazł na parapecie. Takie właśnie, zimne i spoiste, lubił najbardziej.

Gdy Mateusz ukończył przegląd wojsk, Morawski podszedł do niego i oznajmił, że wybiera się po Andrzeja do Jasienina.

– Teraz? – Kamerdyner wytrzeszczył oczy. – Przecież za półtorej godziny ślub!

– Za dwie i pół. O piątej.

– O czwartej.

Jan bez słowa poszedł na parter. Dopiero gdy dotarł do swego pokoju, zorientował się, że zabrał ze sobą miskę z kluskami.

Wyjął z kieszeni butelkę orzechówki, zdjął kurtkę i sweter. Usiadł i zastanawiał się, jaki wykonać krok. Na wyjazd do Jasienina brakowało czasu, podobnie jak na pogawędkę z karczmarzem o poczynaniach Engla w noc morderstwa. Co mógłby tymczasem zrobić, nie oddalając się od dworu? Szukać drugiej pary butów? Tropić Baltazara?

Sięgnął po szare kluski, zjadł kilka i zrobiło się mu ckliwie. Kojarzyły mu się z Jeziorami, bo po raz pierwszy jadł je tamtego lata, które upłynęło pod znakiem zabaw z chłopakami z sąsiedztwa, opieki nad źrebietami, rekonstrukcji bitwy wiedeńskiej, gorącego ciasta drożdżowego, wypraw na ryby, wycieczek konnych, pływania w jeziorze i całkowitej pogardy dla światowych form. Spóźnił się na obiad, nie nosił kapelusza i przy stole odzywał się niepytany.

A przy tym w jego umyśle utrwalił się obraz Jezior jako symbolu polskości i teraz czuł ból na myśl, że grozi im zniemczenie. Podstawy swej wiedzy o historii Polski nabył tutaj, w tym dworze-muzeum, wypełnionym starą bronią, sztandarami, fragmentami uprzęży i litografiami o tematyce historycznej. Niejedną deszczową godzinę spędził w pokoju dziadka Jezierskiego, słuchając jego opowieści

o dawnych czasach, podziwiając panoplium – z herbem Rogala, szyszakiem i szablami – i rysując swą mapę.

Naraz ogarnęła go ochota, by jeszcze raz ją obejrzyć. Obliznął zatuszczone palce, wytarł je o koszulę pod pachą – bardzo brzydki zwyczaj, również datujący się od wakacji w Jeziorach – i wydobył ze skrytki skarbczyk. Przerzucił szpargały, ale nie znalazł tego, czego szukał. Zaniepokojony wysypał wszystko na stół, brał po kolei każdą kartkę i odkładał na bok. Mapa zniknęła. Jan opadł na krzesło. Zaczynał wierzyć, że w starym dworze grasują krasnoludki.

A więc to wrażenie, że ktoś grzebał w jego rzeczach, było słuszne. Przypomniał sobie, kiedy po raz ostatni widział mapę: to było tuż przed wyjazdem do Objezierza, gdy zwierzył się Mateuszowi, że coś go w tej mapie niepokoi. Chwilę później przyłapał na podsłuchiwanie Ewelinę. Najwyraźniej spryciara wiedziała jednak o skrytce i potem przyszła ją wypatroszyć. Jan westchnął. Szkoda, że nie schował mapy tam, gdzie trzymał ją jako dziecko – w tajnym schowku na mansardzie.

Wstrzymał oddech. Schowek między ścianami pierwszego piętra a dolną połacią mansardowego dachu! Dwadzieścia lat wcześniej odkrył go osobiście i uważał za swe tajne królestwo. Gdyby był Baltazarem, tam właśnie by się schował.

Z szuflady wyciągnął kieszonkową latarkę, najnowsze osiągnięcie techniki przywiezione z ostatniej podróży do Nowego Jorku. Ze stołu wziął nóż do listów, włożył marynarkę, wypadł z sypialni i ruszył na górę. W głowie rozdzwonił się mu sygnał alarmowy, przypominający, że w dniu ślubu piętro należy do kobiet, przede wszystkim do panny młodej i jej druhen, ale zlekceważył to ostrzeżenie.

W górnym holu było pusto i ciemno, za to gwaro, gdyż ze wszystkich pokoi dobiegały kobiece głosy i śmiechy. Znajac układ barokowych konstrukcji, Jan przypuszczał, że komory poddachowe były cztery: dwie frontowe, dostępne z holu, i dwie z tyłu, dostępne z sypialni Heleny. On sam ukrywał się w tym frontowym, lewym tunelu i tam postanowił zajrzeć w pierwszej kolejności.

Boki wystawki zbudowano z drewna – ku uciesze wiatru, który nic sobie nie robił z takiej bariery. Jan przyklęknął i poczuł lodowate podmuchy we włosach. Sięgnął pod parapet, namacał bramkę,

całkowicie zlicowaną ze ścianką, i próbował ją otworzyć, ale nie miał za co chwycić. Wsunął nóż w szczelinę i popchnął w bok. Furtka odskoczyła i trzasnęła go w kolano. Nachylił się i w nozdrza uderzył go kwaśny fetor moczu.

Włączył latarkę, oparł się na łokciach i wstawił głowę w czeluść. W głębi, półtora metra od wejścia, dostrzegł żałosny ludzki kłębek, bez wątplenia żywy, bo cicho kwilący.

– Baltazarze! – szepnął Jan.

W odpowiedzi usłyszał tylko jęk. Wyciągnął rękę i spróbował przesunąć się do przodu, ale ku swemu zdumieniu zaklinował się. Czuł się jak Guliwer w Krainie Liliputów i gotów był się upierać, że ktoś zmniejszył skrytkę. Przecież kiedyś mieścił się w niej swobodnie!

Jeszcze dwukrotnie zawołał chłopca, ale nie odniosło to żadnego skutku. Wycofał się więc, wstał i podszedł do drzwi pokoju Heleny. Przyłożył ucho i nasłuchiwał głosu Jerzowej. Przed nią jedną czuł obawę. Nie usłyszawszy jej basu, zastukał.

– Heleno!

W pokoju nastała cisza. Naraz drzwi się otwały i przed Janem stanęła główna aktorka zbliżającego się przedstawienia, w peniuarze i dość ciekawej koafiurze: na czubku głowy miała splecioną koronę, włosy z tyłu po jednej stronie nawinięto na papiloty, a po drugiej wisały luźno. W tle Morawski dostrzegł Laurę i jedną Ptysiównę, obie z otwartymi dzióbkami niby pisklęta w gniazdku.

– Znalazłem Baltazara – oznajmił półgłosem i wskazał za siebie. – Jest tu, pod dachem.

Dziewczyna bez wahania ruszyła w tym kierunku, przykazując zacukanym kuzynkom, by zostały w pokoju. Wzięła od Jana latarkę, przyklękła obok bramki, skuliła się i zanurzyła w jamie. Przez dobrą minutę szeptała coś do Baltazara i w efekcie tych zabiegów wycofała się, a tuż po niej wyczołgał się zeszywniały, cuchnący, zakurzony chłopak.

Nagle otwały się drzwi najbliższej sypialni i kilka metrów od nich ukazała się jedna z panien w pantalonach i gorsecie. Trójka pod oknem zamarła. Helena zasłoniła usta i zatrzęsała się ze śmiechu, ale panna była tak zaaferowana, że przebiegła przez hol do przeciwległego pokoju, nie zwracając na nich uwagi.

– Chodźmy tu – szepnęła Helena, wskazując pomieszczenie, w którym przedtem urzędowały szwaczki.

Weszli tam, a Jan po drodze zabrał ze stołu lampę. Dziewczyna posadziła Baltazara na krześle, a Morawski rozjaśnił płomień i wtedy mógł ocenić absurdalność całej sytuacji. Dookoła nich piętrzyła się wyprawa Heleny: tuziny obrusów, poszew, poszewek i prześcieradeł, setki serwet i serwetek, ręczników, ścierek i nawet pieluch, wszystkie haftowane monogramem i herbem panięńskim, wszystkie znakowane numerem tuzina łamanym przez numer kolejnej sztuki. Na drążku wisiały suknie, kostiumy i bluzki, a w wielkich skrzyniach leżała bielizna osobista, która miała starczyć na całe lata.

A pośród tych wszystkich świeżutkich i wymuskanych dóbr siedział chłopak, z częściowo odrośniętymi po pożarze włosami, skulony i mrużący oczy, oraz panna młoda, z połuznioną koroną rudych splotów, smugą kurzu na policzku i pajęczyną na kolecyku.

Jan zrobił krok w stronę Baltazara, ale chłopak zaczął się trząść i cicho skamleć. Morawski cofnął się więc, stanął przy drzwiach i polecił:

– Spytaj, dlaczego się schował.

– Dlaczego uciekłeś, Baltazarze?

– Diabeł wrócił po Baltazara! – wyłkał. – Niemiec! Bez rogów i ogona! Zabierze Baltazara!

Dziewczyna zaczęła głaskać go po dłoni i odwróciła się do Jana.

– Spytaj, czy wchodził do oficyny – podpowiedział. – Spytaj, czy widział Schulza.

Helena zadała te pytania, ale nie uzyskała spójnej odpowiedzi. Chłopiec wpadał w coraz większą histerię i powtarzał, że diabeł przyszedł po Baltazara.

– Zapytaj, czy czyścił buty.

– Baltazarze, pamiętasz te moje szerokie buty spacerowe? Te, które mam ja i pani Jerzowa? – Chłopiec trochę się uspokoił i przytaknął. – Czyściłeś je wczoraj?

Po chwili zastanowienia Baltazar zaprzeczył. Panna młoda spojrzała na Jana w oczekiwaniu jeszcze jakichś pytań, ale on tylko pokręcił głową.

– Niczego więcej się nie dowiemy. Najważniejsze, że nic mu się nie stało. Wracaj do siebie, Heleno, a ja zabiorę go na dół.

Dziewczyna próbowała podnieść swego podopiecznego, ale on przywarł do oparcia krzesła i załkał:

– On tu jest! Diabeł!

Morawski podumał chwilę, wyciągnął z kieszeni latarkę, podszedł do Baltazara i podał mu ją.

– Ta rurka pluje ostrym światłem, którego boją się wszystkie diabły. – Chłopiec wpatrywał się w nie znany sobie przedmiot, a Jan tłumaczył: – Jeśli jeszcze raz zobaczysz tego diabła, skieruj w niego tę szklaną banieczkę i przyciśnij ten metalowy krążek do tej skuwki. Bańka błysnie i diabeł ucieknie. – Zademontrował działanie lampki, kilkakrotnie strzelając światłem w Helenę. – Spróbuj.

Baltazar wziął latarkę, mocno nacisnął krążek i zgodnie z obietnicą żarówka rozbłysła. Chłopiec szeroko otworzył usta, a jego agrestowe oczy również rozbłysły.

– A teraz chodźmy – polecił Jan. – Ukryjesz się w moim pokoju.

Helena uciekła do siebie i od drzwi dała Morawskiemu znak, że droga jest wolna. Jan wyprowadził z pokoju Baltazara przyciskającego magiczną broń do piersi.

Gdy zaczęli schodzić w dół, w drzwiach swej sypialni ukazała się Ewelina i chwiejnym krokiem ruszyła w ich stronę. Jan pogonił chłopca. W połowie schodów minęła ich sunąca do góry Jerzowa ubrana w oszałamiającą szmaragdową suknię. Po chwili z piętra dobiegł jej krzyk:

– Coś ty zrobiła z włosami???

Jan złapał Baltazara za łokieć i pociągnął w stronę dobudówki.

Do ślubu pozostało niewiele ponad godzinę.

ROZDZIAŁ 29

Przemknęli przez hol i w korytarzu wpadli na Mateusza zmierzającego z tacą pełną kieliszków do salonu. Kamerdyner zρέcznie wyminął Jana, lecz na widok Baltazara przyhamował tak gwałtownie, że szkło zadzwoniło, a kieliszki przesunęły się po tacy, jakby to był pokład statku w czasie sztormu.

– Dobry Boże! Gdzie go pan znalazł? – zdumiał się. Zmarszczył nos i wzdrygnął się ze wstrętu.

– Przynieś dla niego coś do jedzenia i do przebrania – polecił Jan i ruszył do szkarłatnego pokoju.

– Nie mogę – odkrzyknął Mateusz i pognął do salonu.

Morawski popatrzył za nim z irytacją. Jego wierny przyjaciel pozwolił się wsadzić na tę karuzelę i teraz liczył się tylko jej opętańczy pęd, a każdą próbę zakłócenia jazdy traktował jak zamach na swe życie. Na tym chyba polega szaleństwo – na utracie poczucia proporcji.

W sypialni Jan polecił Baltazarowi zdjąć spodnie i bieliznę i dał mu koc do okrycia. Przerzucił zawartość półek w szafie, ale wątpił, by którakolwiek z jego rzeczy pasowała na chudego trzynastolatka. Znalazł za to ćwierćfuntowy blok czekolady Sucharda i uznał, że jako pierwsze wzmocnienie to wystarczy.

Spojrzał na Baltazara i stwierdził, że dzieciak nawet nie drgnął. Stał pod ścianą i trzymał latarkę niczym komunikant świecę.

Naraz drzwi się otwały i wszedł Mateusz z półmiskiem, na którym spoczywało pół kurczęcia z różną i kilka bułek.

– Pewnie myślał pan, że nie przyjdę – burknął. Postawił talerz na stole i zaatakował Baltazara: – Zdejmuj te łachy, zanim cały pokój nimi prześmierdnie!

Chłopak potrafił zlekceważyć Jana, nie umiał jednak oprzeć się rozkazującemu tonowi tego, którego słuchała nawet pani Jerzowa. W sekundę zrzucił brudną odzież i owinął się pledem, a wtedy kamerdyner kazał mu usiąść i wszystko zjeść.

Gdy zgłodniały Baltazar rozdierał dłońmi pieczone kurczę i pakował je sobie do ust, mężczyźni debatowali, co zrobić z cuchnącym ubraniem.

– Wynieś je do pralni i po sprawie – zdecydował Morawski.
– Nie można. Kuchnia rozlała się na pralnię. Na całą piwnicę zresztą.

Potem okazało się, że nie można wynieść tych rzeczy do oficyny, ponieważ ucztowali tam stangreci weselników, ani na poddasze, gdzie sypiał Baltazar, gdyż zakwaterowano tam służbę pani Ptysi.

– Wywieśmy je za oknem – zaproponował Mateusz.
– Wywieśmy je za oknem? – powtórzył Jan i poczuł się, jakby w głowie rozbłysła mu żarówka.

Zapatrzył się w kamerdynera z większą uwagą niż ta, na jaką zasługiwała jego sugestia. Dotarło do niego, że tak właśnie mogły zostać usunięte z pokoju buty mordercy, a na ich zniknięciu wspierało się przecież całe alibi Eweliny.

Morawski podszedł do okna, otworzył je, wskoczył na parapet i zszedł po drabinie. Kiedy stanął na ziemi, przyjrzał się ścianie porośniętej ciemnozielonym bluszczem i zwieńczonej tarasem z kamienną balustradą.

Z okna obserwował go Mateusz, a znad drzew słońce, które zahaczyło się nad horyzontem, ciekawe, co będzie dalej. Na kominie przysiadł kruk, a w oknie jadalni mignęła kobieca postać.

Jan wszedł na trzeci szczebel. Wszystko już rozumiał. Ewelina zastrzeliła Schulza z drabiny, zdjęła buty, zawiesiła je na czymś, zapewne na przygotowanej wcześniej linie, i wciągnęła aż do rynny, gdzie zniknęły w zwieszających się pędach. Koniec liny przywiązała do pnąca i wróciła do pokoju w pantofelkach. I musiała zorganizować to wcześniej. Wiedziała, że już po wszystkim zostanie przeniesiona do sypialni, którą zajmowała poprzednio, bo tylko ten pokój, mający wyjście na taras, był wolny. Zaniesiono ją tam i nawet zamknięto na klucz, a jej pozostało zabrać buty wraz z liną i je ukryć.

Morawski wrócił do pokoju i szeptem zrelacjonował Mateuszowi, co odkrył, ale zanim ustalili dalsze działania, w drzwiach ukazała się spanikowana służąca i krzyknęła, że wypełniona gotowymi daniami winda utknęła między piwnicą a parterem. Kamerdyner porzucił swego pracodawcę i pobiegł na ratunek, a Jan postanowił udać się na rekonesans. Przykazał Baltazarowi, by nie ruszał się z pokoju, a potem

zajrzał do salonu i pomiędzy rozbawionymi gośćmi zobaczył Ewelinę siedzącą bezwładnie niczym porzucona porcelanowa lalka. Zakradł się więc na piętro i po raz drugi tego dnia stanął pod drzwiami pokoju Heleny. Usłyszał wewnątrz głos Laury i uspokojony poszedł do sypialni, którą dzieliła z macochą.

Nie tracił czasu na przetrząsanie wszystkich rzeczy. Na łóżku stał kuferek Eweliny i Jan otworzył go w poszukiwaniu dwóch przedmiotów. Znalazł je oba. Mapa Jezior wsunięta była pod wyściółkę pokrywy neseseru, natomiast ciemnobrązowa buteleczka z naklejkami „Arsenik” i „Gift*” oraz symbolem czaszki i piszczele stała pomiędzy innymi specyfikami, również mniej lub bardziej śmiercionośnymi.

Rozejrzał się dookoła i jego wzrok zatrzymał się na ścianie, za którą znajdowała się dolna połać dachu mansardowego. Musiał tam biec korytarz podobny do tego, w którym ukrył się Baltazar. Jan wiedział, że tunele w części frontowej były przelotowe, dostępne z holu i rozmieszczonych po bokach pokoi, założył więc, że identycznie było tutaj. Gdzieś przy prawym krańcu ściany powinno być wejście do poddachowej skrytki. Podeszedł do otomany, odsunął ją i zobaczył pionową szczelinę oddaloną o pół metra od narożnika. Wetknął w tę szparę nóż do listów i pociągnął bramkę do siebie. Tuż za progiem leżały lina i związane sznurowadłami zabłocone buty o szerokim, ściętym przodzie. Jan wyciągnął to wszystko ze schowka, a wtedy z jednego z trzewików wypadł futerał na pistolet.

Zamknął skrytkę, przysunął otomanę do ściany i rozejrzał się za czymś, w co mógłby zapakować dowody winy Eweliny. Zdjął żakardową poszewkę z poduszki i do tego worka wepchnął buty, linę i futerał, a także truciznę i mapę. Tak obciążony opuścił pokój morderczyni.

Ruszył w stronę schodów, zastanawiając się, co Ewelina zażyła po zamordowaniu Schulza, że wprawilo ją to w tak spektakularny stan.

Gdy doszedł do balustrady, w drzwiach pokoju Heleny ukazała się zdyszana Jerzowa.

– Co ty tu robisz? – syknęła. – Nie wolno ci tu wchodzić!
Przyniesiesz Helenie pecha!

– Już idę, idę – mruknął.

Zbiegł z kilku stopni, gdy zawołała histerycznie:

– Wracaj!

Zaskoczony Jan cofnął się na piętro i został wciągnięty do jezierskiego sanktuarium. Na środku swej sypialni stała Helena, już czysta i pięknie uczesana, za to w dezabilu: w koszuli z batystu, kilku halkach i luźnym gorsecie, który bezskutecznie próbowała zasznurować słabiutka Laura. Jerzowa odesłała bratanicę męża, by zmieniła sukienkę, a Janowi wyjaśniła:

– Zawsze to ja ją sznurowałam, ale gdy tylko chwycę tasiemki, łapie mnie skurcz w prawej dłoni. Spróbuj ty.

Morawski stanął za dziewczyną, najpierw dociągnął tasiemki w połowie pleców, tak że między oczkami powstały krótkie pętle, potem lekko pociągnął luźne końce, aby pętle znikły, wreszcie owinął sobie taśmy wokół dłoni, uniósł kolano, kazał kuzynce nabrać powietrza i kilkakrotnie szarpnął z taką mocą, że Helena jęknęła, a dumna matka pisnęła z zachwyty.

– Gdybym wiedziała, że tak umiesz, kazałabym uszyć jej węższą suknię.

– Chyba oszalałaś! – wydyszała z trudem dziewczyna.

Jan cofnął się i ocenił swe dzieło. Usztywniony i mocno zasznurowany gorset przeginał korpus do przodu i czynił tiurniurę zbędną. Morawski nie był wielbicielem tej mody, formującej ciało kobiety w kształt litery S, i aby powstrzymać zapędy Jerzowej, przypomniał jej:

– Czytałem, że to szalenie niezdrowe. I dla kręgosłupa, i dla żołądka.

– I dla płuc – odezwała się Helena. – Ledwie mogę oddychać. – Sięgnęła na blat toaletki. – Teraz suknia i broszka.

Na próbę przyłożyła do szyi wysadzaną perłami złotą broszkę w kształcie medalionu.

– Nie możesz tego założyć! – zaperzyła się matka. – Perły na ślubie? Chcesz całe życie płakać?

– Przecież to była ukochana broszka mojej chrzestnej – przypomniała dziewczyna. – Zawsze ją nosiła i chcę wziąć w niej ślub.

– Mam coś – Jerzowa błysnęła oczami spod gęstych brwi – co

przyniesie ci szczęście.

Wybiegła z pokoju, a Jan skorzystał z okazji i opowiedział Helenie, jak z Mateuszem zajęli się Baltazarem. Pani domu wróciła po minucie, położyła na stoliku kilka drobiazgów i objśniła:

– Zamiast tych nieszczęsnych pereł założysz mój łańcuszek ze złotą podkową. Trzymałam go od dwudziestu lat w skrzyni specjalnie na tę okazję. Usiądź. – Wskazała córce krzeselko. Wzięła ze stolika dwa pakieciki i ukryła je w kasztanowej koronie Heleny. – To dukat z Matką Boską i kawałek cukru. Na słodkie pożycie.

Morawski wziął swą cenną poduszkę i ruszył do drzwi. Odwrócił się w progu, mrugnął do Heleny i pobiegł na dół. W holu wpadł na Mateusza, który w jaskółce, sztuczkowych spodniach i białych rękawiczkach wyglądał na marszałka dworu. Witał przybywających gości, zapraszał na poczęstunek do jadalni lub na ploteczki do salonu, udzielał wyjaśnień, otaczał opieką, a równocześnie krótkimi gestami dyrygował dwoma miejscowymi pokojówkami i dwoma lokajami Ptysiów.

– Dlaczego nie jest pan jeszcze ubrany? – zdenerwował się na widok swego pracodawcy. I natychmiast się rozpromienił: – Pan Joachim się spóźnia, więc proszę się przygotować.

Jan uświadomił sobie, że Mateusz nie był *au courant*.

– Zapiski Heleny to powieść, a nie pamiętnik – szepnął. – Ona nie ma nic wspólnego z Joachimem i kocha Andrzeja.

Kamerdyner zachwiał się i oparł o futrynę. Jego konsternacja nie trwała jednak długo.

– Ale pan Andrzej też się spóźnia – oświadczył. – Więc skończy się na tym, że to jednak pan będzie panem młodym.

Morawski pospieszył do pokoju. Do ślubu pozostało dwadzieścia minut.

* *Das Gift* (niem.) – trucizna.

ROZDZIAŁ 30

Jan uklonił się kilku mijanym osobom, uśmiechem odpowiedział tym, którzy do niego zagadnęli, i wszedł do sypialni. W progu oberwał strzał ostrym światłem prosto w oczy.

– Zgaś to! – krzyknął. – To ja.

Baltazar natychmiast wyłączył latarkę. Siedział skulony na łóżku Mateusza, na kolanach trzymał książkę, a obok niego leżał blok czekolady, z którym biedny dzieciak nie wiedział, co zrobić. Morawski pociął sztabkę nożem na kawałki, zjadł jeden na zachętę, a resztę podał chłopcu.

– Co czytasz? – spytał.

Baltazar nie odpowiedział, lecz pokazał okładkę. *Lodowy sfinks* Juliusza Verne’a. Jan pomyślał o rebusie, ale szybko przypomniał sobie, że to już nie ma znaczenia – skarb został przecież skradziony.

Z przyniesionej poduszki wyciągnął mapę Jezior, a resztę zostawił w opakowaniu, które przywiązał do wieszaka i schował pod redingotem. Rozłożył mapę i upewnił się, że jest nienaruszona. Nagle jego wzrok padł na jedno ze słów opisu. Widział je przedtem wielokrotnie, ale po raz pierwszy od chwili, gdy Mateusz wspomniał o ogonku, w jaki dziadek wyposażał litery „j” i „y”. Taki właśnie zawijaniec widoczny był w słowie: „Stajnia”. Wynikało z tego, że senior Jezierski przerysował mapę swego młodego przyjaciela, bez wątpienia coś na niej dodając. Wiernie odtworzył dziecinne pismo Jana, ale w jednym przypadku siła nawyku okazała się zbyt potężna i ręka sama wymalowała węża Eskulapa.

Morawski ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w płachtę, lecz nagle w holu zabrzmiał gong. Ceremonia ślubna miała się rozpocząć za kwadrans.

Zwinął mapę w rulon i schował ją w swoim bucie do jazdy konnej, a potem zaczął się przebierać. Frak, który tego ranka wyglądał, jakby ktoś w nim spał, został pięknie odprasowany przez Mateusza. Morawski włożył spodnie z lampasami, białą koszulę ze sztywnym gorsem i morderczo wykrochmalonym kołnierzykiem, a potem sięgnął po kamizelkę. Poczuł, jak zalewa go krew. Kamerdyner przygotował mu

białą kamizelkę, która podczas ślubów zarezerwowana była dla pana młodego. Jan, mrucząc pod nosem czułe słowa pod adresem Mateusza i planując przyszłą zemstę, wydobyl z torby kamizelkę, w której wystąpił poprzedniego wieczoru w Objezierzu. Była co prawda pomięta, ale przynajmniej czarna. Przed lustrem zawiązał białą muszkę, spiął mankiety i wsunął stopy w lakierki. Potem włożył frak z jedwabnymi wyłogami i sięgnął po białe rękawiczki z kozłłej skóry.

Wszystkie te czynności wykonywał mechanicznie, a jednocześnie próbował zdecydować, jak powinien postąpić, jeżeli naprawdę Andrzej się nie pojawi, a Helena stanie w obliczu hańby porzucenia.

Pożegnał się z Baltazarem i ruszył do holu. Kamerdyner nadal stał w drzwiach wejściowych i kogoś wyglądał, z salonu dochodził gwar rozmów i śmiechów, a z jadalni wypadła zdenerwowana Jerzowa.

– Nie widziałeś go? – spytała Jana.

„Go”, czyli Jerzego. Morawski pokręcił przecząco głową i kobieta pobiegła do Mateusza.

Jan poczuł ścisk serca. Przed oczyma stanęła mu rozpacz Jezierskiego, przypomniały mu się wszystkie ciosy, które w minionych dniach spadły na jego głowę. Zajrzał do rozświetlonego salonu, ale wśród weselników czekających na ceremonię błogosławieństwa nie dostrzegł potarganej czupryny z łysym wierzchołkiem. Odwrócił się i zobaczył, że przez uchylone drzwi do gabinetu wsunął się Leon. Pchany złymi przeczuciami, których sam nie chciał precyzować, Morawski ruszył za kotem. W pokoju było ciemno, gdyż wszystkie lampy wyniesiono do salonu. Posuwał się powoli, cal po calu, lecz mimo tej ostrożności i tak wpadł na stół. Odkoczył w lewo i przydepnął Leona, który zaprotestował oburzonym miauknięciem. Jan przeprosił go i wykonał kolejny krok, ale znowu nadepnął na coś miękkiego. Już otwierał usta, gdy usłyszał drugie miauknięcie, ale z przeciwnej strony, spod okna.

Jego puls gwałtownie przyspieszył. Przykucnął i namacał na podłodze dłoń, miękką i bezwładną. Cofnął się do holu i zabrał stamtąd jedyną lampkę. Hałas dobiegający z salonu wyraźnie gęstniał, jakiś podochocony wesolek uderzał w gong, ktoś domagał się szampana, a kilka pań chichotało.

Morawski wrócił do gabinetu i oświetlił rękę wystającą spod kanapy. Postawił lampę na stole, a potem dźwignął mebel i przesunął w bok. Na odkrytej powierzchni leżało nieruchome ciało, częściowo przykryte bezcennym szkarłatnym dywanem. Przyklęknął, odsłonił twarz i na szyi poszukał pulsu. Niczego nie wyczuł. Sięgnął do nieruchomej dłoni, ale i tu nie znalazł śladu życia. Uniósł powiekę ofiary. Nagle poczuł na karku zimny i ostry dotyk metalu.

– Ustaw kanapę tam, gdzie była, i ruszaj do salonu – poleciła Jerzowa. Jan powoli odwrócił głowę w jej kierunku i zobaczył wymierzoną w siebie lufę. – Czekamy na ciebie z błogosławieństwem.

ROZDZIAŁ 31

Jan, popychany przez Jerzową, zatrzymał się w progu wypełnionego gośćmi salonu. Kobieta stanęła u jego boku i ścisnęła mu przedramię z siłą imadła.

– Bądź grzeczny! – syknęła.

– Oczekuję wyjaśnień. – Morawski uśmiechnął się do niej.

– Gdy wydam córkę za mąż.

Pociągnęła go i weszli między weselników, kłaniając się na prawo i lewo, jakby to oni byli parą narzeczonych. Jerzowa schowała do lamusa swe kanciaste maniery i przyjmowała hołdy z gracją cesarzowej Eugonii. Doszli do miejsca, gdzie kolumny dzieliły salon na dwie części. Dla podkreślenia tego podziału powieszono tam kotarę w kolorze igliwia, a przed nią ułożono na podłodze dwie poduszki, na których mieli przyklęknąć młodzi, by odebrać błogosławieństwo. Na fotelu obok poduszki po lewej stronie siedziała dama w fioletowej sukni i turbanie skrywającym Bóg wie jakie niedostatki. Pani domu zasiadła przy poduszce po prawej, a Morawski stanął obok, niczym jej eskorta. Miał nadzieję, że nie przyjdzie mu wystąpić w innej roli.

Salon prezentował się nadzwyczajnie. Tapety, obrazy, portiery, światła, a także girlandy zieleni oplatające drzwi i okna stanowiły cudowne tło dla odświętnie ubranych gości. Wszyscy mężczyźni stawili się w przepisowym stroju *cravate blanche**, w którym każdy, nawet opó czy karzełek, wygląda nobliwie. Kobiety miały większe pole do popisu i dzięki ich sukniom we wszystkich kolorach tęczy salon przypominał kwietny ogród. Mężatki wystąpiły w strojach wydekoltowanych i jaskrawych, suknie panien były bardziej zabudowane i pastelowe, wszystkie natomiast panie nosiły długie białe rękawiczki.

Jan wiedział, że do obiadu weselnego miało zasiąść czterdzieści osób, z czego w Jeziorach mieszkało ośmioro gości, a pozostali przyjechali z sąsiedztwa lub z Poznania.

Ślizgając się spojrzeniem po zebranych, ze zdumieniem dostrzegł siedzącego na odległej kanapce pana Eugeniusza w pąsowym fraczku. Czyżby zmienił zdanie i postanowił zaakceptować małżeństwo syna? Ale dlaczego w takim razie nie zajął honorowego miejsca przy

poduszce?

Obok Jerzowej stała zarumieniona Laura w wianku na głowie i różowej sukience. Wyglądała naprawdę ładnie w tym kolorze, tak pasującym do jej włosów. Miała być główną druhną i lekko podskakiwała z ekscytacji. Do niej i jednej z przyjaciółek Heleny podeszli dwaj drużbowie i podali pannom małe bukieciki.

Naraz przy drzwiach coś zaszumiało, po towarzystwie przebiegła fala, rozmowy i śmiechy umilkły, a tłum się rozstał. Na końcu tego korytarza ukazali się narzeczeni i ruszyli w stronę przygotowanego dla nich miejsca.

Oboje ubrani byli w polskie stroje. Kmicic miał na sobie czerwony kontusz, pod spodem biały żupan, na wierzchu białą delię podbitą bobrami, na głowie czapkę z piórami przypiętymi spinką, a za pasem paradną karabelę. Helena prezentowała się znacznie skromniej, jak na pannę młodą przystało. Na prostą, zakrywającą ją aż po szyję suknię założyła biały kontusik obszyty futerkiem. Koronę rudych włosów oplatał zwykły mirtowy wianek z przymocowanym z tyłu krótkim welonem. W dłoniach obciążonych białymi rękawiczkami trzymała niewielki zielono-biały bukiecik.

Jan nigdy przedtem nie uczestniczył w ślubie kontuszowym na terenie Wielkopolski. Do jego zorganizowania potrzebna była zgoda landrata, rzadko i niechętnie udzielana. Wyjątkiem były takie majątki jak Jeziory, gdzie w pobliżu domu stała kaplica rodzinna i nikt w prowokacyjnie polskim, a więc rażącym pruskie oko stroju nie opuszczał terenu przydworskiego parku.

Narzeczeni szli powoli między gośćmi, uśmiechając się do każdego, a dookoła rozlegały się pojedyncze szlochy i szepty: „Jaka piękna para!”.

Dopiero gdy dotarli do poduszek, Jan zauważył, że Andrzej trzyma lewą rękę za sobą. Nagle wyciągnął ją zza pleców i podał Jerzemu – skąd on tu się wziął? – okrągłą tarczę. Jej otok, utkany z rozciągniętej na prętach szkarłatnej nici, miał wyhaftowane srebrne liście, a na połączonym umbo wyryto zarysy Złotego Rogu. Sławetny kałkan Jezierskich.

Jerzy wpatrywał się w swój skarb jak zaczarowany. Podniósł twarz

na Andrzeja i w jego oczach błysnęły łzy. Zbliżył się do wzruszonego chłopaka i położył mu dłonie na ramionach.

– Odzyskałeś mój kałkan – szepnął. – Odzyskałeś nasz Złoty Róg.

Wziął od Andrzeja tarczę, na moment ją przytulił, a potem rozejrzał się dookoła. Jego wzrok padł na Jana i jemu podał swój skarb. Wreszcie uściskał pana młodego, któremu sięgał ledwie do ramienia.

– Matka zostawiła mi akurat trzy tysiące – wyznał Kmicic. – Więc odkupiłem tarczę i teraz nie mam już nic.

Narzeczeni uklękli na poduszkach, a przed nimi stanęli oboje Jezierscy i dama w zawoju, która okazała się chrzestną Andrzeja. Razem złożyli młodemu życzenia wzajemnej miłości, szacunku i Bożej opieki.

Jan, patrząc na tę scenę, cieszył się, że Jezierscy odzyskali swą tajemną ochronę, a Andrzej wchodził w małżeństwo z tarczą, nie na tarczy. Czuł też chyba ulgę, że to nie on klęczy na tej poduszce, ale choć dwie trapiące go sprawy – utrata kałkana i groźba hańby kuzynki – znalazły pomyślne rozwiązanie, jemu przybył poważny problem: zamordowano mu główną podejrzaną o morderstwo.

Nastąpiło kilkuminutowe zamieszanie związane z zakładaniem okryć, a potem weselnicy uformowali *cortège*** i parami wyruszyli przez park do kaplicy, przy czym Jan prowadził Jerzową, choć należałoby raczej powiedzieć, że był prowadzony. Gdy spróbował się uwolnić, warknęła:

– Chcesz zepsuć ślub kuzynki?

Zrezygnował z oporu, podał kałkan kamerdynerowi i razem z innymi ruszył alejką, wzdłuż której ustawiono beczki z płonąca smołą.

Kaplica stała w odległości kilkudziesięciu metrów od dworu, nie na osi, lecz po prawej stronie. Niewielki murowany budynek pochodził z XVII wieku, a główny ołtarz, w formie tryptyku, był o sto lat starszy. Z okazji ślubu wewnątrz przystrojono pachnącymi gardeniami w doniczkach, środkowe przejście pokryto dywanami, a ławki przybrano pędami bluszczu.

Z przodu stały dwa klęczniki, lewy dla pana młodego, prawy dla panny młodej, i goście zasiadali w ławkach po odpowiedniej stronie. W tyle kaplicy stali odświętnie ubrani mieszkańcy wsi.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, weszła panna młoda prowadzona

przez Jerzego, a za nimi Andrzej pod rękę ze swą krewną. Doszli do ołtarza, wiekowy, chudy ksiądz powitał młodą parę i rozpoczęła się uroczystość.

Jan czekał na osłabienie czujności Jerzowej, a tymczasem rozważał, kto mógł zabić Ewelinę. Rozejrzał się dookoła. Motywy mieli wszyscy uprzednio podejrzani o zamordowanie Schulza: łagodny, roztargniony Jerzy, teraz skrępowany wykwintnym strojem i co chwilę unoszący ramiona; bezwzględna, a zarazem romantyczna Jerzowa, ze wzruszenia pociągająca nosem; i piękna Helena, która z anielską miną klęczała przed ołtarzem. Oprócz nich w grę wchodził też pan Eugeniusz, który nie wiadomo po co przyjechał na nie akceptowany przez siebie ślub, a także Engel, który, co prawda, nie ujawnił swej obecności, ale z pewnością czaił się w okolicy.

Ceremonia biegła swym rytmem, ksiądz mówił coś z dobrotliwym uśmiechem, organista grał na przenośnych organach, wierni jak marionetki wstawali i siadali. Drużba ułożył na poduszce obrączki, a wtedy jedna z rudych Ptysiówien, splótszy dłonie i uniósłszy podwójną bródkę, odśpiewała *Veni Creator*.

Jan poczuł, że żelazny uścisk Jerzowej zelżał, a z jej ust wydobył się szloch. Prawą rękę przytknęła do warg, a lewą złapała dłoń Jerzego. Na to tylko czekał jej więzień. Najpierw wystawił z ławki prawą nogę, odsunął się od swej strażniczki, podniósł się i zaczął cofać. Przepchnął się między jezioranami, dotarł do drzwi i szlakiem gigantycznych pochodni pobiegł do dworu.

Wpadł przez frontowe drzwi, nad którymi wywieszono szeroką wstęgę z napisem: „Szczęść Boże Młodej Parze”, i za głosem Mateusza poszedł do salonu. Służący kończyli tam kolejne przemeblowanie – usunęli większość mebli, zwinęli wszystkie dywany, teraz zaś ustawiali pod ścianami białe krzeselka. W narożniku rozkładali swe instrumenty muzycy, a kamerdyner regulował lampy. Morawski zbliżył się do niego i cicho polecił:

- Chodź do gabinetu.
- Nie mogę, przecież widzi pan, że jestem zajęty. Muszę jeszcze przyrzadzić kruszon i sprawdzić, czy w jadalni...
- Mamy trupa – szepnął Jan. – Pod kanapą.

– Na litość boską! – Kamerdyner pobladł. – To mi popsuje całe wesele!

Jan zacisnął zęby, ujął przyjaciela pod ramię i zaprowadził do gabinetu zaadaptowanego na pokój gier. Na stoliku leżało zielone sukno, a na nim nowe talie kart, papier i ołówki. Na opróżnionym blacie biurka stały popielnice, a także pudełka z cygarami i papierosami.

Morawski zamknął drzwi na klucz, kazał Mateuszowi zasłonić okna, a potem przestawili kanapę na bok i odsunęli dywan.

– Wygląda, jakby spała – szepnął kamerdyner, przyglądając się Ewelinie.

Morawski przyznał mu rację. Kobieta leżała na boku, ręce miała wyciągnięte przed siebie, a głowę lekko przygiętą do przodu. Kilka rudych pasm wymknęło się z koka i niczym bliznami poznażyło białą twarz. Na jasnej sukni nie było śladu krwi. Jan przewrócił zmarłą na plecy. Odemknął jej powieki, obmacał głowę i szyję, podniósł górną połowę ciała, obejrzał plecy oraz kark.

Położył Ewelinę z powrotem na podłodze i zsunął jej długie rękawiczki. W zgięciu łokci zobaczył bardzo wiele śladów ukłuc i zasinienia w różnym stadium gojenia. Zdecydowana większość znajdowała się na lewej ręce i tam też Jan wypatrzył świeży krwiak i jaskrawą ranę. Równocześnie opowiadał Mateuszowi, na klęczkach badającemu dywan, jak sterroryzowała go Jerzowa, gdy odkrył ciało.

Potem uniósł kolana Eweliny i odgarnął na bok spódnicę. Pod nogami leżała pompadurka*** wykonana z jedwabiu w kolorze sukni i pokryta koralikami.

– Muszę jak najszybciej porozmawiać z Jerzową – mruknął Morawski.

Okazja pojawiła się rychlej, niż się spodziewał. Przed gankiem wybuchł gwar, ktoś szarpnął drzwiami wejściowymi, zastukały obcasy na kamiennej podłodze i pani domu zawołała z holu:

– Mateuszu! Jesteśmy!

Kamerdyner wstał, a Jan rozplątał tasiemkę pompadurki i wyciągnął plik kartek. Rozprostował je i przebiegł po nich wzrokiem. Była to poszukiwana przez niego kalkulacja przejęcia Jezior, a także umowa ich sprzedaży przez Schulza. Ewelina musiała ukraść je temu

łajdakowi zaraz po tym, jak go zastrzeliła.

Coś brzęknęło w woreczku. Morawski ponownie sięgnął do niego i wydobyl pusty flakonik z etykietą „Heroin”, cieniutką szklano-metalową strzykawkę oraz pustą piersiówkę. Na jej spodzie widniał napis: „Josef Schulz”. Jan zdębiał. Skąd u Eweliny wzięła się piersiówka, która poprzedniego dnia leżała na stole w oficynie i która miała zostać wraz z ciałem zabrana przez policjantów?

* *Cravate blanche* (fr.) – uroczysty wieczorowy strój męski, frak (dosł. biały krawat).

** *Cortège* (fr.) – orszak.

*** Pompadurka – jedwabny woreczek ściągany sznureczkiem, poprzedniczka damskiej torebki.

ROZDZIAŁ 32

Jan w pierwszym odruchu zamierzał zignorować ceremonię powitania nowożeńców, ale uznał, że byłby to afront, i wyszedł z Mateuszem do holu, zamykając drzwi do gabinetu na klucz. Nawet nie chciał myśleć o pandemonium, jakie by się rozpętało, gdyby goście odkryli w domu weselnym trupa.

Zebrani utworzyli półokrąg, a na środku, dokładnie pod wieńcem dożynkowym, stanęli Jerzowie, trzymając pospołu owalną deskę z chlebem i solą. Młodzi odebrali w wiatrolapie powinszowania od służących i weszli, uśmiechnięci i rozpromienieni. Jerzy, podając im chleb, wypowiedział starodawną formułę:

– Aby wam nigdy chleba nie brakowało.

Andrzej i Helena odłamali po kawałku chleba, zanurzyli je w soli i zjedli, a potem zaczęli przyjmować życzenia od rodziców, krewnych i przyjaciół.

Morawski uznał, że dopełnił formalności i może się wycofać. Złapał za ramię biegnącego dokądś Mateusza i polecił mu wrócić do gabinetu. Kamerdyner chciał chyba protestować, ale widząc minę swego mocodawcy, zrezygnował.

– Sprawdź tylko, czy obiad jest gotowy, i zaraz przyjdę.

Czekając na przyjaciela, Jan przyklęknął przy pięknej Ewelinie i deliberował, co mogło jej się przytrafić. Brak ran, znalezione przy ciele przedmioty i zwyczaje zmarłej wskazywały na celowe otrucie bądź przedawkowanie, przy czym w tym ostatnim wariantcie w grę wchodził zarówno wypadek, jak i samobójstwo. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że jeśli sama zadała sobie śmierć, ktoś umieścił jej ciało pod kanapą i coś do powiedzenia na ten temat miała zapewne Jerzowa.

Rozległo się ciche pukanie i Jan wpuścił kamerdynera.

– Albo sama przeniosła się na tamten świat – przeszedł od razu *ad rem* – albo ktoś jej w tym pomógł. I ty możesz to rozwikłać. Byłeś cały czas w pobliżu. Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Nie wiem – przyznał Mateusz. – Ciągle biegałem między gankiem, jadalnią, salonem i kuchnią. Najpierw siedziała w salonie, potem przeszła do gabinetu.

– Ja widziałem ją ostatni raz w salonie – stwierdził Morawski. – Mogło być dwadzieścia po trzeciej.

– Za dwadzieścia czwarta jeszcze żyła – oznajmił kamerdyner. – Widziałem ją tuż po tym, jak spotkaliśmy się w holu, gdy wracał pan z góry.

Jan przyklęknął i spomiędzy fałdów spódnicy wyciągnął błękitny woreczek Eweliny. Odkorkował piersiówkę, powąchał jej wnętrze, a potem wylał na palec jedną z ostatnich kropel płynu. Pachniała jak zwykły koniak.

– Ktoś tu wchodził? – spytał. Mateusz wzruszył ramionami. – A kto kręcił się przy drzwiach?

– Głównie goście.

– A domowi?

– Kilka razy przez hol przebiegła pani Jerzowa – zeznał kamerdyner. – Schodziły przyjaciółki panny Heleny, panienka Laura dokądś biegła, raz nawet spotkałem samą pannę młodą. – Zaskoczony Jan spojrzał na niego. – Tak. Gdy ją zagadnąłem, czy potrzebuje pomocy, zawahała się i spytała, gdzie jest Baltazar.

– Więc wszystkie kobiety – mruknął Morawski – ale nie Jerzy, nie Eugeniusz i nie Andrzej.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to pan Jerzy też tu był – sprostował Mateusz. – Wrócił za kwadrans czwarta i poszedł się ubrać. Mijał uchylone drzwi. A pan Eugeniusz przyjechał tuż po trzeciej i nawet rozmawiał z panią Ewelina w salonie.

– Więc tylko nie Andrzej.

Za drzwiami usłyszeli głos Jerzowej, która pytała służącą o Mateusza. Kamerdyner natychmiast się poderwał i Jan nie miał serca go zatrzymać.

– Idź – machnął ręką – tylko uważaj, żebyś nie zdradził, co tu się stało. Goście nie mogą się o niczym dowiedzieć. – Mateusz gorliwie potaknął. – Poczekaj! Co podajecie najpierw?

– Zimne przystawki. Potem zupa zółwiowa, następnie ryba, potrawa z pulardy...

– Przyjdę na zupę. Usadź mnie tak, żebym miał miejsce na skraju stołu i przy drzwiach. I usuń nakrycie Eweliny.

Po wyjściu Mateusza Jan schował piersiówkę do woreczka. Engel z pewnością odda resztki płynu do zbadania w policyjnym laboratorium, choć i tak kluczowe będzie przeprowadzenie *post mortem* i ustalenie, jaka substancja spowodowała śmierć Eweliny.

Gdy tylko w holu zaległa cisza, Jan wysunął się z gabinetu i pobiegł na piętro. Zamknął się w pokoju Eweliny i metodycznie go przeszukał. Uznał, że skoro kobieta przed zamordowaniem Schulza przemyślała na górę arsenik, przypuszczalnie wyniosła też inne obciążające ją przedmioty. Pracował przez kwadrans, ale niczego nie znalazł i już chciał się poddać, gdy jego wzrok padł na szafę. Stała nie na nogach, lecz na pełnym postumencie. Odsunął mebel od ściany i na podłodze ujrzał czarną płaską teczkę. Otworzył ją i wyjął ze środka książeczkę czekową, tuzin przelewów na rzecz Eweliny Jeske dokonanych przez nie znane mu osoby, trzy różne zdjęcia z Bad Nauheim i fotografię starszego mężczyzny z dedykacją na odwrocie: „Mojej ukochanej E. – Jean Colbert”. Zapatrzył się na nobliwą, elegancką postać. A więc tak wyglądał pierwszy mąż Eweliny. Na dnie teczki znalazł kilkanaście listów. Zamierzał tylko sprawdzić nadawców, ale trafił na podpis pewnego znanego paryskiego rozpustnika i przebiegł wzrokiem cały tekst. Wynikało z niego, że Ewelina planowała wydać Laurę za tego szubrawca i pobrać od tej transakcji tantiemy w wysokości pięćdziesięciu procent majątku swej podopiecznej.

Jan zatrzymał zdjęcie pana Colberta, a dokumenty i pozostałe fotografie włożył do teczki, którą wrzucił do skrytki Baltazara. Potem wrócił na parter i znalazł Mateusza w kredensie.

– Miał pan przyjść na zupę, a zaraz będzie toast i podajemy rybę.

W jadalni trwało zbieranie kokilek po zupie, więc Morawski zmieszał się ze służącymi i jakby nigdy nic zajął jedyne wolne miejsce, najbliższej przejścia do kredensu.

Gigantyczny stół ciągnął się przez całą jadalnię i przez otwarte podwójne drzwi przechodził dalej do małego salonu, formując tam przysłowiowy szary koniec, zajmowany przez młodzież – czterech przyjaciół Andrzeja oraz przyjaciółki i kuzynki Heleny. Cała zastawa, zarówno porcelanowy serwis, jak i sztucce, kryształły oraz obrusy, pochodziła z wyprawy panny młodej, a stół udekorowano białymi

kwiatami i mirtem.

Nikt nie zwrócił uwagi na spóźnionego gościa, gdyż biesiadnicy pochłonięci byli rozmową.

– Podobno jutro rano zaczyna się pakowanie, bo muszą zrobić miejsce dla Niemców – mówił półgłosem mężczyzna po lewej stronie. – To wesele to łabędzi śpiew.

– Tylko letkiewicz mógł stracić w taki sposób majątek...

Morawski westchnął. Złe nowiny naprawdę mają skrzydła. Nagle z drugiej strony dobiegł głos pana Eugeniusza, siedzącego o cztery miejsca od Jana:

– Gdyby to mnie spotkała taka hańba – oświadczył tonem pełnym moralnej supremacji – nie śmiałybym pokazać się ludziom na oczy.

Zirytowany Morawski upił trochę wina. Stało się jasne, komu Jezierscy zawdzięczali rozkolportowanie tej nieweselnej wiadomości.

Ostatnie naczynie po zupie zostało wyniesione i wszyscy zamilkli, wpatrując się w pana Eugeniusza. A on siedział, jakby nie rozumiał, że do niego należy wygłoszenie toastu na cześć panny młodej i powitanie jej w nowej rodzinie.

– Czekamy na toast, panie Ostrowski – nie wytrzymał mężczyzna ze złotym zębem.

– Wybaczą państwo, ale nie mógłbym tego z czystym sumieniem wypowiedzieć – sumitował się pan Eugeniusz. – Nie akceptuję tego związku i jestem tu tylko w charakterze towarzysza mojej szwagierki. – Dwornie skłonił się zaturbanionej chrzestnej Andrzeja.

Nastała okropna cisza. Jan siedział przy krótszym boku stołu, zobaczył więc tylko, że Helena opuściła głowę, a Andrzej lekko uniósł się z krzesła. A perfidny Eugeniusz, zachwycony kłopotliwą sytuacją, którą osobiście stworzył, wodził dookoła szeroko otwartymi oczyma osoby, która nie zna kłamstwa. Morawski powoli wstał, zamierzając uratować sytuację wzniesieniem toastu na cześć – tfu, tfu – rodziny pana młodego, lecz naraz z krzesła zerwał się siedzący obok pani domu ksiądz.

– Ach jej! Państwo czekają na mnie? Trzeba było trącić mnie łokciem, pani Emilko – zwrócił się do Jerzowej. – Nigdy nie wiem, kiedy mam wznosić toast.

Jan z uczuciem ulgi opadł na krzesło i wysłuchał niezbornej przemowy celebransa, który w minutowym toaście zdołał zawrzeć pochwałę Heleny, Andrzeja i miłości, wspomniał o Kanie Galilejskiej, świętym Pawle i własnych rodzicach, a potem pochwalił ideę rozpoczynania nowego życia wraz z początkiem roku liturgicznego. Kryzys został zażegnany i służba wniosła ryby.

Morawski zjadł kawałek sandacza w sosie rakowym, oddał też sprawiedliwość jesiotrowi, wymienił dwa zdania ze swą sąsiadką z prawej strony, trzy zdania z tą z lewej, ale obie panie uporczywie skręcały na temat bankructwa Jezierskich. Jan stanowczo zaprzeczył tym pogłoskom i jako doradca finansowy Jerzego zapewnił, że interesy jego klienta są w kwitującym stanie. Szczodrze przy tym operował fachowym łacińskim słownictwem, toteż damy natychmiast odwróciły się ku swoim sąsiadom z drugiej strony i istniała szansa, że nowa wiadomość obiegnie stół, jeszcze zanim służba poda kolejne danie.

Ukontentowany Morawski postanowił zająć się „Emilką” – swoją drogą uważał, że kolczasta „Elżbieta” pasowałaby do Jerzowej znacznie lepiej. Wymknął się do kredensu i polecił kamerdynerowi:

– Idź do Jerzowej i powiedz, że przyprawiono do opatrunku zranione dziecko. I zrób to dramatycznie.

– Nie mogę! – obruszył się Mateusz. – Zaraz będzie potrawka z pulardy w sosie truflowym. A poza tym miejsce przy proboszczu nie może być puste.

– Więc ty tam usiądź. – Jan poklepał go po plecach i wyszedł.

Zaczął się w holu, tuż przy drzwiach do gabinetu, i czekał.

Mateusz spełnił swe zadanie tak znakomicie, że po piętnastu sekundach Jerzowa wystrzeliła z jadalni jak z katapuły.

– Kto miał wypadek? – wydyszała, biegnąc do drzwi frontowych.

– Ewelina – mruknął Jan, łapiąc kobietę za ramię i wciągając do gabinetu. Ustawił ją przy nieruchomym ciele i polecił: – Wydałaś już córkę za mąż, więc teraz mów. Co tu się stało?

Jerzowa potarła skroń i zmarszczyła z niesmakiem nos.

– Ależ z ciebie uparciuch. No więc weszłam tu, szukając go. Tuż przed błogosławieństwem. I zobaczyłam ją wpółleżącą na kanapie. Myślałam, że coś zażyła albo wypła. Potrząsnęłam nią, ale osunęła się

w bok. Sprawdziłam jej puls i źrenice. Nie żyła.

– O której to było?

– Tuż przed czwartą.

– Jak długo nie żyła?

– Moim zdaniem kilka minut. – Jan wpatrywał się w nią tak intensywnie, że na twarz wypłynął jej jaskrawy rumieniec. – Przesunęłam kanapę w stronę ściany, ściągnęłam Ewelinę na podłogę i z powrotem ustawiłam kanapę na miejscu. A przedtem narzuciłam na Ewelinę dywan. Ktoś mógłby zauważyć tę jej jasną suknię.

– A woreczek? Ten błękitny?

– Trzymała go na kolanach. Gdy już ją ukryłam pod kanapą, wepchnęłam tam też pompadurkę. – Nagle zacisnęła pięści i podniosła głos: – Przecież nie mogłam dopuścić, by ta wstrętna baba przeszkodziła w ślubie Heleny.

Morawski pochylił się i z woreczka wyciągnął flakonik po heroinie. Podał go Jerzowej, a ona zbladła.

– To może być jedno z trzech opakowań, które sprowadziłam – przyznała. – Dziś rano zauważyłam, że jedno zniknęło.

– Po co ci heroina?

– W sąsiedniej wsi mieszka kobieta, która choruje na gruźlicę kości i wyje po nocach z bólu. Usłyszałam o tym leku, gdy byłam latem na szkoleniu we Frankfurcie, i pomyślałam, że mógłby jej pomóc.

Jan nie zdejmował z niej spojrzenia. Raczej wierzył, że tylko ukryła ciało, ale nie był pewien, czy rzeczywiście nie wiedziała, kto zabił znieawidzoną Ewelinę. Jeśli zrobił to ktoś z jej bliskich, na przykład Jerzy, na pewno starałaby się go osłaniać.

Gdy tak mierzyli się wzrokiem, drzwi się otworzyły i wszedł Jezierski. Coś zamierzał powiedzieć, ale słowa zamarły mu na ustach. Zapatrzył się w leżącą kobietę, przełknął ślinę i opadł na krzesło.

– Rozumiem, że nic o tym nie wiesz? – zagadnął Jan.

Jerzy tylko pokręcił głową. Jego okrągłe policzki poszkarłatniały i Morawski poważnie się wystraszył, że pana domu trafi apopleksja. Przez chwilę rozważał, czy nie sprowadzić nowożeńców, ale uznał to za zbędne. Helena z pewnością nic nie wiedziała, a Andrzej przyjechał tuż przed błogosławieństwem.

– Chodźmy do jadalni – zaproponował Jan. – Nie możecie zostawiać gości.

Wrócili do stołu akurat w chwili, gdy wnoszono comber sarni, sałatę i przetwory: śliwki i gruszki w occie, a także borówki. Jan usiadł, jadł i nasłuchiwał. Z zadowoleniem stwierdził, że pod wpływem wyśmienitych potraw i doskonałych win, a chyba także jego kłamstw, goście przestali podszeptywać, porzucili temat Jezierskich, a zamiast tego zaczęli żartować, opowiadać anegdoty i rezerwować tańce zbliżającego się balu. Wrzawa zgęstniała, wszyscy zgodnie operowali sztuczkami, coraz częściej wybuchały śmiechy. Wyglądało na to, że jeśli tylko uda się zachować w tajemnicy wiadomość o przybyciu gościa z kosą, ślub Heleny będzie należał do udanych.

Po pieczystym Jerzy musiał zebrać rozproszone zmysły i wygłosić toast na cześć rodziny swego zięcia. Wskutek doznanego szoku zdołał powiedzieć tylko: „Witam cię w naszej rodzinie, mój synu”, ale Andrzejowi to wystarczyło. Czule się uściskali i w najlepszej zgodzie usiedli.

Potem na stół wjechały szparagi i karczochy, a po nich deser: *poires belle Hélène** – inicjatywa Mateusza na cześć panny młodej. Humory z minorowych ostatecznie przedzierzgnęły się w majorowe, czemu wyraz dał drużba, wznosząc gromko toast: „Kochajmy się!”. Strzeliły korki od szampana, a goście odśpiewali młodym „Sto lat!”.

Jan skorzystał z zamieszania i wymknął się do gabinetu. Nie zamierzał czekać, aż biesiadnicy przebrną przez sery i owoce, a przypuszczalnie także przez niejedną toast.

Zagłębił się w fotelu i w myślach.

Jeśli Ewelina popełniła samobójstwo, co ją do tego pchnęło? Strach przed karą za zabicie Schulza czy strach przed karą za uśmiercenie męża?

A jeśli ją zamordowano? Kto mógł się tego dopuścić? Zastrzyk mogła jej zrobić chyba tylko Jerzowa, każdy natomiast mógł podrzucić jej truciznę w płynie lub kapsułkach.

Po co ktoś chciałby jej śmierci? Motywów morderstwa nie brakowało: może Jezierscy postanowili pomścić śmierć brata Jerzego? Może odkryli, że Ewelina zamierza sprzedać swą pasierbicę? Może

dowiedzieli się czegoś o niej od prawników ze Strasburga? Albo chcieli zabezpieczyć się przed jej żądaniem podziału spadku? Przecież nie mieli pojęcia, że skarb Heleny ukradziono. A jeśli nie zabili jej Jezierscy, to może zrobił to Engel, spokrewniony z sędzią, który popełnił samobójstwo?

Kto miał dostęp do trucizny lub narkotyku? Każde z trójki Jezierskich mogło podsunąć Ewelinie heroinę, mógł to zrobić również Engel, który myszkował w apteczce, natomiast Eugeniusz miał okazję poczęstować ją czymś, gdy poprzedniego dnia przyjechał do Jezior lub gdy dzisiaj gawędzili w salonie.

Na koniec Jan zostawił sobie najwygodniejszą ewentualność, czyli wypadek. Ewelina mogła po prostu przedawkować któryś z zażywanych środków. Może ukradła heroinę z sypialni Jerzowej i nieświadoma jej działania zaaplikowała sobie końską dawkę lub połączyła nowy preparat z czymś ze swej apteczki? Albo z płynem z piersiówki Schulza?

Tu pojawiła się kolejna ewentualność: może ten koniak był zatruty? W takim razie Schulz zemściłby się z zaświatów za swą śmierć.

Zakłopotany Jan poruszył się w fotelu. Ta piersiówka nie dawała mu spokoju. Zastanowiwszy się nad tym, doszedł do wniosku, że nie było jej na stole, gdy po raz ostatni oglądali z policjantem zwłoki. Żaden z nich nie zwrócił jednak na to uwagi, gdyż najpierw pochłonął ich kluczyk ukryty w bucie Schulza, a potem zdjęcie Eweliny z Bad Nauheim.

Rozległ się szczeł otwieranych wielkich drzwi do jadalni i hol napełnił się gwarem udanego przyjęcia. Ktoś zabębnił palcami w drzwi gabinetu i Jerzowa wyszeptała:

– To my, Janie.

Morawski wpuścił oboje Jezierskich i od razu tego pożałował.

– Musimy ją stąd zabrać – zaatakowała go pani domu. – Zaraz rozpoczną się tańce, więc część panów będzie chciała grać w karty lub palić.

– To wykluczone – uciął Jan. – Musimy poczekać na Engla.

– Przenieście ją do naszej sypialni – poleciała, ignorując jego *veto*.

– Musimy poczekać na Engla – wycedził Morawski. – Nie nadwyrażajmy jego cierpliwości.

Drzwi, które Jerzowa zapomniała zamknąć na klucz, otwały się i wpadła panna młoda. Słowa, które już miała wypowiedzieć, zamarły jej na ustach. Przytknęła dłoń do piersi i ciężko oddychając, wpatrywała się w bezwładne ciało. Tuż za nią pojawił się Andrzej.

– O rany! – Roztargał czuprynę.

Zirytowany Jan ruszył do drzwi, ale zanim je zatrzasnął, wepchnął się jeszcze Mateusz. W trzech zdaniach Morawski opowiedział młodożencom, co zaszło.

– Trzeba ją stąd zabrać – upierała się Jerzowa. – Co mam powiedzieć gościom? „Nie możecie wejść do gabinetu, bo mamy tam trupa?” – Ujęła Jana za rękę i poklepała go po dłoni. – No, zanieście ją do naszej sypialni, a Niemcowi powiemy, że padła tam.

– Zróbmy tak – poparł ją mąż, a pozostali się zgodzili.

Cała piątka wpatrywała się w Jana, który naprawdę bardzo chciał im pomóc.

– Nie – zdecydował.

– Chcesz zepsuć święto Heleny? – zarzuciła mu Jerzowa.

Zanim odpowiedział, ktoś znowu nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły, natomiast zebrani usłyszeli głos pana Eugeniusza:

– Jeśli chodzi o mnie, uważam to za zdradę. Wiem na pewno, że mieli możliwość zachować majątek. Przy kartach wszystko panom opowiem.

Andrzej wyszczerzył z wściekłości zęby, ale Helena przycisnęła mu dłoń do warg.

Gdyby nie te słowa Eugeniusza, Jan wytrwałby w swej praworządności, ale naraz ogarnęła go determinacja, by już nic nie zakłóciło atmosfery tego dnia.

– Nie możemy przenieść jej przez hol – oznajmił. – Jerzy, otwórz boczne drzwi do wiatrołapu i sprawdź, czy nie ma nikogo tam i przed domem. Helena i Jerzowa wrócą do gości, a Andrzej pójdzie do sypialni i otworzy okno. Razem z Mateuszem zaniemiemy ciało ścieżką i Andrzej odbierze je od nas.

Wszyscy z entuzjazmem przytaknęli. Jerzy upewnił się, że droga jest wolna, i wrócił, by eskortować kondukt.

Jan i Mateusz zawinęli martwą kobietę w dywan, podnieśli ją

i ruszyli do wiatrołapu. W progu Morawski zatrzymał się i poradził swym współnikom:

– Módlcie się, żeby Joachim tego nie odkrył.

Odwrócił się do drzwi i stanął naprzeciwko policjanta.

– Pan mówił o mnie? – uśmiechnął się Engel i przeniósł spojrzenie na szkarłatny tłumok. Odsunął dywan i ukazała się bezkrwista twarz Eweliny.

* *Poires belle Hélène* (fr.) – gruszki pięknej Heleny, deser z gruszek, lodów waniliowych i sosu czekoladowego.

ROZDZIAŁ 33

Sekstet złoczyńców znalazł się w tak absurdalnej sytuacji, że Morawski prawie się roześmiał. Czuł się jak bohater farsy i czekał na oklaski rozbawionej publiczności. Jednoosobowa widownia nie wykazywała jednak ochoty do śmiechu. Wprawdzie pan Engel przyglądał się im uprzejmie, ale w jego zachowaniu pojawiła się sztywność.

Impas przełamała panna młoda. Podeszła do Niemca, ujęła go pod ramię, wprowadziła do gabinetu i wszystko mu opowiedziała. To znaczy wszystko, co sama wiedziała, czyli niewiele: tuż przed ślubem znaleziono w gabinecie nieżywą Ewelinę, ale z badaniem czekali na niego, teraz jednak goście zaczęli się domagać udostępnienia im pokoju do gry w karty i ona, Helena, poprosiła – zmusiła wręcz – Jana i Mateusza, by przenieśli ciało do pokoju jej rodziców. Czy pan Joachim się gniewa?

Pan Joachim musiałby mieć serce z kamienia, żeby oprzeć się emocjonalnej przemowie pięknej panny młodej, toteż zapewnił Helenę, że nie żywi do niej pretensji, a korzystając z okazji, pozwala sobie życzyć jej wiele szczęścia. Helena, zwyczajem wszystkich kobiet, nie poprzestała na osiągniętym sukcesie i postanowiła wynegocjować jeszcze więcej. Bez wysiłku wydobyła z bezbronnego Niemca obietnicę, że śledztwo rozpocznie on dopiero następnego ranka, a do tego czasu pozostanie w Jeziorach jako jej gość.

Na prośbę Engla Jan z Mateuszem odłożyli ciało w to samo miejsce, z którego je zabrali, a wtedy wszystkim nagle zaczęło się spieszyć: młodożeńcy i Jerzy przypomnieli sobie, że to oni mają rozpocząć bal, Jerzowa zapragnęła sprawdzić, czy goście mają to, czego im potrzeba, a Mateusz musiał dopilnować zlikwidowania stołu w tylnym salonie, sprzątnięcia jadalni, przygotowania zimnego bufetu, podania chłodziaków i w ogóle. Wyszło na to, że tylko Jan nie ma obowiązków i może poświęcić czas niemieckiemu detektywowi.

Gdy spryciarze zrejterowali, Engel zdjął płaszcz i ukazał się w wieczorowym stroju. Jan zaproponował mu kieliszek pigwówki i policjant nie odmówił.

– Dlaczego ojciec panny młodej musiał tam pójść, skoro to młoda para rozpoczyna wesele? – spytał, z lubością smakując trunek.

– W Polsce młoda para nie rozpoczyna balu – sprostował Jan. – Panna młoda tańczy poloneza najpierw z ojcem, a potem kolejno ze wszystkimi zaproszonymi mężczyznami. Gdy polonez dobiega końca, ojciec przekazuje dziewczynę panu młodemu i świeżo poślubieni tańczą walca.

Pan Joachim mruknął: „*Sehr interessant*”, odstawił kieliszek i pochylił się nad martwą kobietą. Jak zawsze, nie palił się do dotyknięcia ciała ani w ogóle do wykonania jakiegokolwiek ruchu, Morawski więc przyklęknął, pokazał ślady ukłuc na rękach ofiary, a potem opowiedział o znalezionych przy pokoju Eweliny butach i linie.

– A więc mamy pewność, że to ona zastrzeliła Schulza – stwierdził Engel i z kieszeni rzuconego na krzesło płaszcza wyciągnął garść papierowych tasiemek. – Coraz więcej o niej wiemy. Tak jak podejrzewaliśmy, jej panieńskie nazwisko to Jeske.

Morawski pokiwał głową. Przekazy pieniężne, które znalazł wśród rzeczy morderczyni, zaadresowane były właśnie na Ewelinę Jeske.

– Jej ojcem był zniemczony Polak, a matką Niemka – ciągnął detektyw. – Pobrali się w Westfalii i tam ona się urodziła. Po aneksji Alzacji cała rodzina przeniosła się do Mulhouse i już w nowym miejscu na świat przyszło dwoje kolejnych dzieci. Tam też pani Ewelina prawdopodobnie poznała Schulza. – Przerzucił kilka pasków i dodał: – Niestety, nic jeszcze nie wiem o jego ewentualnej małżonce czy spadkobiercach.

– A udało się znaleźć ślad pierwszego męża Eweliny?

– Na pewno była mężatką, miała też dziecko, chłopca, którego tuż po urodzeniu oddała mamce na wieś. Zmarł kilka miesięcy po tym, jak pani Ewelina przymusowo opuściła Alzację sześć lat temu. Wciąż czekam na potwierdzenie, czy rozwiodła się z tym pierwszym mężem, czy on zmarł. Czy może pozwoliła sobie na męża równoległego. W każdym razie ślub z panem Jezierskim brała jako wdowa. Podała nazwisko Ritter.

– Więc nie Colbert? – nie wytrzymał Jan.

– Skąd pan wie o Colbercie? – zainteresował się Engel.

Jan z wewnętrznej kieszeni fraka wyjął zdjęcie mężczyzny znalezione w teczce Eweliny.

– Sądziłem – dodał – że to był ten mąż, którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć Schulz. Ten z notatki „EJ 1894”.

– Nie, to nie był jej mąż, lecz kochanek. Sześć lat temu wdał się z nią w romans i zdefraudował ogromną sumę w banku, którym zarządzał. Kontrola to wykryła, przeprowadzono śledztwo i ustalono, że kradł, by zaspokoić żądania młodszej od siebie o trzydzieści lat kochanki, pani Eweliny. W Strasburgu wybuchł wtedy straszny skandal, tym większy, że ten Colbert był żonaty z pewną szanowaną damą z towarzystwa.

– Możliwe więc, że Ewelina nie zaprzestała tych praktyk i to jej poszukiwał pan w związku ze śmiercią sędziego.

– Tak – pokiwał głową Engel – pierwsza litera jej imienia się zgadza, aczkolwiek czekam jeszcze na identyfikację tego zdjęcia z Bad Nauheim, które tak cudownie zmaterializowało się w skarpecie Schulza.

Ktoś załomotał do drzwi i Jan zapewnił niecierpliwca, że właśnie finalizuje ważną transakcję i zwolni pokój za kwadrans.

Pan Engel zapisywał coś w swym notesie, a gdy skończył, spytał:

– Dobrze. Czy orientuje się pan, kiedy pani Jezierska, pani Jerzowa Jezierska, znalazła ciało?

– Tuż przed czwartą. A Mateusz za dwadzieścia czwarta widział Ewelinę żywą. Ale powinien pan zobaczyć coś jeszcze. – Jan wstał i z biurka wziął błękitną pompadurkę. – To zmarła trzymała na kolanach.

Ze środka wyjął flakonik po heroinie, strzykawkę i piersiówkę. Engel natychmiast zainteresował się tym ostatnim przedmiotem.

– Zaraz, czy to nie jest...? – Spojrzał na nazwisko wygrawerowane na dnie. Zmarszczył brwi. – Przecież widziałem to na stole w oficynie.

– Ja też – potwierdził Jan – ale wczoraj rano, gdy zanieśliśmy tam Schulza. Natomiast nie jestem pewien, czy ta piersiówka była w oficynie, gdy poszliśmy tam wieczorem.

Engel pogmerał po kieszeniach – spodni, fraka i płaszcza – i wyciągnął kartkę.

– Mam tu spis rzeczy zabranych razem z ciałem – mruknął. – Nie, nie ma tu piersiówki. To niebywałe. Ktoś ukradł nam to sprzed nosa.

Morawski uśmiechnął się, słysząc tę rozbrajającą, niepruską uwagę. Detektyw schował przedmioty z powrotem do woreczka i oznajmił, że zabierze je do analizy.

– W jednym z nich – stwierdził – przypuszczalnie znajdują się pozostałości substancji, która zabiła panią Jezierską. A teraz zastanówmy się, czy jej śmierć była samobójstwem, morderstwem, czy wypadkiem.

Morawski napomknął, że Ewelina mogła widzieć jego akrobacje na drabinie i domyślić się, iż odkrył, jak usunęła ze sceny zbrodni buty.

– Znam też inny możliwy powód samobójstwa – dodał. – Jej pasierbica stale uskarża się na dolegliwości żołądkowe i dzisiaj po południu Jerzy zapowiedział, że wystąpi o ekshumację zwłok swego brata. Ta groźba mogła przerazić Ewelinę, bo najwyraźniej to ona doprowadziła do śmierci męża. Przeszukując dzisiaj jej pokój, znalazłem butelkę z arszenikiem.

– To rzeczywiście podejrzane – przyznał Niemiec. – Ale po co miałyby truć swą podopieczną? W razie śmierci panny Laury majątek przeszedłby nie na panią Ewelinę, lecz na pannę... o przepraszam, na panią Helenę. Bardzo mnie to ciekawiło i w tym celu pojechałem do notariusza. – Jan siedział jak skamieniały naprzeciwko detektywa. A ten kontynuował: – Ale skoro znalazł pan arszenik i u panienki występują objawy zatrucia, pomogę panu Jezierskiemu i sam złożę wniosek o ekshumację. Wówczas nikt nie oskarży go o wrogość wobec bratowej.

Morawski podziękował mu odruchowym uśmiechem.

Ktoś znowu zaczął szarpać za klamkę, więc Engel wyraził zgodę na przeniesienie zwłok i udostępnienie pokoju zakonowi zielonego stolika.

Jan sprowadził Mateusza, ponownie zawinęli ciało w dywan, wynieśli je z domu i podali przez okno Jerzemu i Andrzejowi, którzy wezwani czekali w sypialni Jezierskich. Gdy kamerdyner wdrapywał się tą samą drogą do pokoju, Morawski odsunął się kilka kroków i po raz kolejny uświadomił sobie specyficzne ukształtowanie terenu: do frontowego pokoju w dobudówce można było wejść z poziomu ziemi, do tylnego zaś wchodziło się po drabinie. Podobnie taras widziany z tyłu wydawał się odległy, natomiast z przodu sprawiał wrażenie dostępnego na wyciągnięcie ręki. Nagle jacyś goście stanęli w drzwiach

wejściowych, Jan uciął więc swe rozważania, wspiął się na parapet i wskoczył do wnętrza.

Morawski poinformował Andrzeja i Jerzego, że Joachim został przedstawiony jako jego szwajcarski przyjaciel, i prosił o przypomnienie tej wersji paniom. Potem cała trójka wróciła do salonu. Jan trochę się frasował, co poczną z niemieckim policjantem na polskim weselu, ale martwił się niepotrzebnie. Gdy wszedł na salę balową, goście stali pod ścianami i pełnymi podziwu – lub zazdrości, zależnie od przypadku – spojrzeniami wodzili za Heleną i Englem, którzy po mistrzowsku tańczyli walca. Zwłaszcza młode panny błyszczącymi oczyma śledziły każdy obrót i każde *pas* nie znanego im dżentelmena.

Jan się rozejrzał. Dookoła przesuwwały się czarno-białe postacie mężczyzn i barwne sylwetki kobiet. Wszyscy świetnie się bawili. Tu i ówdzie przemykała Jerzowa: szturchała przyjaciół Andrzeja, jeśli choć na moment przestawali wirować, pilnowała służących, którzy roznosili tace z napojami, upominała muzyków, jeśli grali zbyt szybko lub zbyt wolno. Nie oszczędziła nawet Jana.

– Rusz się, mój drogi! – Szarpnęła go za rękaw. – Zobacz! Moja siostrzenica podpira piec. – Morawski doskonale wiedział, co zaraz usłyszy: – Obowiązkiem każdego młodego człowieka przed trzydziestką jest tańczenie.

– Szczęśliwie od lutego jestem po trzydziestce.

Uśmiechnął się do niej i ruszył w kierunku przeciwnym niż siejąca rutkę panna. Nie przepadał za tańcem, a wprost nie znosił balów, obwarowanych regułami, zakazami i przymusami: „Z tą musisz zatańczyć, a z tą możesz nie więcej niż raz. Tu siadaj, tu w żadnym razie nie. Nie zdejmuj rękawiczek”. Ten bal co prawda jako zabawa prywatna nie rządził się tak surowymi zasadami: mężczyzna nie musiał prosić przyzwoitki o zgodę na taniec, a partnerzy mogli rozmawiać z ożywieniem, zamiast udawać znudzonych.

Melodia zamarła i wszystkie damy ruszyły hurmem na Helenę, domagając się, by im przedstawiła tego wspaniałego dansera. Po chwili „Szwajcar” odpłynął, unosząc w ramionach dziewczę z wpiętą we włosy egretą dżetową, a Jan podszedł do stołu z napojami, przy którym Mateusz dawał burę służącemu Ptysiów. Na blacie stała wielka szklana

waza, pełna jasnego płynu z pływającymi cząstkami pomarańczy i ananasów.

– Może kruszonu? – zaproponował kamerdyner.

– Raczej mazagranu. – Jan wskazał ciemnobrązowy napój. –

Potrzebuję wzmocnienia.

Mateusz podał mu szklaneczkę i zachwyconym wzrokiem dogonił tańczących nowożeńców.

– Dopiąłem swego – westchnął.

– Jak to dopiąłeś? – zakrztusił się Morawski. – Chciałeś, żeby wyszła za Joachima.

– Chciałem, żeby wyszła za tego, kogo kocha. To pan mi namieszał, wmawiając, że ona kocha Joachima.

Jan prychnął śmiechem i poszedł do jadalni. Pod oknami ustawiono tam dwa bufety z przekąskami. Wokół jednego kręciły się panie, ciągnące, niczym pszczoły, do słodczy: babeczek polewanych czekoladą, rumowych ciastek i francuskich rurek z żółtym kremem. Panowie koncentrowali się przy drugim stanowisku, gdzie nakładali sobie kawioru, karpia w galarecie, pieczonego prosięcia i wędzonej szynki z dzika, a wszystko to popijali trunkami o stosownej mocy.

W pewnej chwili trzy damy odeszły od stoiska cukierniczego, odsłaniając pana Eugeniusza, który z miodowym uśmiechem nakładał Laurze na talerzyk jakieś rarytasy i coś jej tłumaczył, niczym profesor swej ukochanej uczennicy. Ona posłusznie zjadała, a on wpatrywał się w nią i czekał na werdykt. Na jej buzi, już nie bladej, lecz zarumienionej i uśmiechniętej, ukazywał się zachwyty, na jego twarzy triumf, oboje wybuchali śmiechem i następowała repetycja całej ceremonii.

Morawski podszedł do nich, sięgnął po rurkę z kremem, nadgryzł ją i powiedział niegrzecznie:

– Nie spodziewaliśmy się pana tutaj, prawda, Lauro?

Dziewczyna spuściła wzrok na talerz, ale nic nie odrzekła.

– Gdyby chodziło tylko o ten pożałowania godny krok mego syna – westchnął pan Ostrowski – z pewnością nie pojawiłbym się tutaj. Musiałem jednak towarzyszyć mej szwagierce, która przyjechała, zanim wysłałem do niej depezę. Ale nade wszystko przybyłem tu przez wzgląd na tę młodą damę. – Czarująco się uklonił i wykonał powiewny

ruch ręką, niczym aktor w komedii Molierowskiej. Demonstracyjnie się rozejrzał: – A przy okazji, nigdzie nie widzę pani Eweliny.

Laura cicho jęknęła, a Jan odpowiedział bez wahania:

– Źle się poczuła i odpoczywa.

– Tym lepiej. Nie będziemy za nią tęsknić, prawda? – pan Eugeniusz zwrócił się do Laury, czule ujmując jej dłoń.

– Ach, właśnie, Lauro – przypomniał sobie Jan. – Twój stryj cię szukał. Jest w salonie.

Zrobiło mu się przykro, kiedy zobaczył ją na powrót smutną i spiętą. Odstawiła talerzyk i uciekła.

– Czyż ona nie jest urocza?! – zawołał za nią pan Eugeniusz.

Morawski pospieszył za dziewczyną, upewnił się, że znalazła Jerzego, i wrócił do jadalni. Zastał pana Ostrowskiego pogrążonego w rozmowie z wielkim mężczyzną o przymrużonym oku. Pan Eugeniusz siedział, brodę trzymał wysoko uniesioną i nie patrzył na swego interlokutora, który przycupnął tuż obok i w przygięciu pełnym serwilizmu słuchał, co wielmoża ma do powiedzenia.

Jan poczuł nagle przemożną chęć, by również tego posłuchać. Wrócił do salonu, przemknął się między tańczącymi i skrył w tylnej części, wzbudzając sensację wśród zgromadzonych tam plotkar. Przystawił fotel do drzwi prowadzących do jadalni, opadł nań bez sił, do czoła przytknął szklankę z mazagranem i przymknął oczy. Od gawędzących mężczyzn dzieliło go piętnaście centymetrów.

– Więc tak jak mówiłem – odezwał się aroganckim tonem pan Eugeniusz – zakładam ordynację na zasadach minoratu. Wszystko odziedziczy najmłodsze dziecko.

– Ale przecież pan Andrzej... – bąknął pan Przymrużone Oko.

– Jego jawne nieposłuszeństwo upoważnia mnie do wydziedziczenia go i ułożenia sobie życia.

– Wydaje mi się jednak... już rozmawialiśmy o tym... szanowny pan zgodził się, że na razie ma za mało ziemi, by myśleć o ordynacji.

– Ziemi mam dość, a gdy nastąpi połączenie mojej majątności z Czerskiem, będę miał jej aż nadto.

– Z Czerskiem? – zdziwił się nietaktownie mężczyzna. – Ma pan na myśli swe małżeństwo z tą chudziutką panią Laurą? Ależ

Jezierscy nigdy się nie zgodzą... To znaczy nie chodzi mi o to...

– To nie pańska sprawa. Z pana punktu widzenia jako reagenta liczy się to, że jedyną przeszkodę na drodze do ordynacji usunąłem, a wkrótce Czersk będzie mój. Jezierscy nie mają tu nic do gadania. W poniedziałek spotkam się z jednym z opiekunów młodej damy, a tak się składa, że to mój przyjaciel. I od niego uzyskam zgodę. A panna już teraz je mi z ręki.
– Na chwilę umilkł. – Na poniedziałek proszę przygotować statut ordynacji. A teraz może pan odejść.

Przymrużone Oko coś zaszemrał i nastąpiła cisza.

Gdy Jan po minucie wrócił na salę balową, pan Eugeniusz zdążył już złapać swą ofiarę i jak na pająka przystało, oplatał ją przędzą. Morawski wczuł się w rolę natrętnej ciotki i natychmiast dołączył do młodo-starej pary, zdecydowany unieszkodliwić wszelkie zakusy stęchłego epuzera.

– Wspaniale tańczą – zagadnął Laurę.

– Można umrzeć z nudów – mruknął pan Eugeniusz. – Powinniśmy ich trochę rozruszać. Zobaczy panna, że zatańczą, jak im zagram.

Akurat polka dobiegła końca i danserzy się rozproszyli. Pan Ostrowski podszedł do orkiestry, coś tam poszeptał i jeden z muzyków podał mu kornet. Towarzystwo, widząc, że ktoś z ich grona zamierza zagrać, nagrodziło śmiałką owacją i prawie wszyscy stanęli na parkiecie. Rozbrzmiały pierwsze takty powolnego walczyka i choć pan Eugeniusz nie grał, tancerze zaczęli wirować. Naraz pan Ostrowski mrugnął do wpatrzonych w niego Laury, podniósł instrument i do melodii dołączyły zupełnie nowe, trąbkowe dźwięki. Radykalnie zmieniło to charakter neutralnej dotąd muzyki, która nabrała typowo bawarsko-tyrolskiego brzmienia. Jan prawie słyszał brzęk niezliczonych kufli piwa, prawie czuł aromat bawara i prawie widział walczące pary, mężczyźni w krótkich spodniach na szelkach i w kapeluszach z piórkiem, kobiety w suto marszczonych kolorowych spódnicach. Czuł wściekłość na prowokatora, ale nie mógł nic zrobić, nie wywołując skandalu. Pozostało mu tylko liczyć, że tancerze oprotestują tę zniewagę.

Początkowo wydawało się, że nikomu nie przeszkadza ta piwna otoczka i mdlący rytm um-pa-pa, ale po chwili kilka osób zwolniło i zaczęło się oglądać na solistę. Pierwsza z parkietu zeszła Helena,

ciągnąc za sobą Andrzeja, potem ich śladem podążył drużba z Ptysiówną, a po nich kolejno pozostali balowicze. Niektórzy demonstracyjnie wychodzili, inni stawali pod ścianą i patrzyli na pana Ostrowskiego.

Orkiestra zagrała jeszcze parę taktów i umilkła, pan Eugeniusz także przestał grać, prychnął i na jego twarzy ukazał się złośliwy grymas.

Jan nie potrafiłby określić, co dokładnie nasunęło mu to skojarzenie. Czy to była kitka, wiśniowy fraczek, czy kuse porteczki pana Ostrowskiego? A może czerwone światło padające z kinkietu lub to pogardliwo-prześmiewcze skrzywienie? W każdym razie z jakiegoś zakurzonego strychu swej pamięci Morawski wydobył wers: „Istny Niemiec, sztuczka kusa”.

Przez chwilę stał znieruchomiały, wreszcie otrząsnął się i poszedł odbyć naradę z Mateuszem. Razem opróżnili gabinet, kusząc graczy frykasami przygotowanymi w jadalni, a potem Jan zaprosił na pogawędkę nowożeńców, oboje Jezierskich i pana Eugeniusza. Jedynym obcym wtrętem w tym ściśle rodzinnym gronie był elegancki Szwajcar.

– Przypuszczam – zaczął pan Ostrowski z uśmiechem – że to spotkanie ma na celu skłonienie mnie do zmiany decyzji i uznania tego mariażu? A przede wszystkim sfinansowania go?

Zdawał się pozować do portretu – usadowił się bokiem na brzeжку fotela, jedną dłoń przewiesił przez podłokietnik i powiewał chusteczką.

– Niekoniecznie – odparł Jan i dał znać Helenie, by tłumaczyła polskie zdania Englowi.

W tym momencie rozległo się pukanie od strony wiatrołapu i do pokoju wszedł Mateusz, prowadząc Baltazara ubranego w sweter Jana i za duże spodnie. Chłopiec spłoszonym spojrzeniem powiódł po zebranych i naraz zadygotał.

– To on! Diabeł! – wyciągnął przed siebie latarkę i raz po raz strzelał światłem w Eugeniusza.

– A cóż to za komiczna figura? – prychnął elegant i uśmiechnął się do Baltazara.

Jan nigdy przedtem tak głęboko nie odczuł racji Szekspirowskiego stwierdzenia, że „można nosić na ustach uśmiech i być łotrem”.

– Ten chłopiec widział – poinformował Ostrowskiego – jak płacił pan człowiekowi za podpalenie spichlerza w Jeziorach.

– Co? – zakrzyknęli zebrani, zagłuszając na chwilę Baltazara, który łkał i bełkotał na przemian.

Pan Eugeniusz roześmiał się najszczerzym śmiechem świata.

– Moi drodzy, powinienem się na was obrazić, ale to doprawdy już zbyt pocieszne. – Wstał. – Żegnam.

Nie zdołał wyjść, ponieważ drzwi zagraadzał mu Jan.

– To ten diabeł! – szlochał chłopiec i tak się miotał, że Mateusz miał kłopoty, by go utrzymać. – Baltazar widział, jak dał człowiekowi z ogniem pieniądze. Pieniądze w czerwonej skórze.

– W tym? – spytał pan Joachim, niczym magik wyciągając z kieszeni nadpalone resztki portfela, wśród których przebłyskiwała szkarłatna skóra.

Pan Eugeniusz stracił trochę swą pełną wyższości pozę i spróbował wyminąć Morawskiego.

– Ależ ja znam ten portfel – odezwał się Andrzej po niemiecku, podchodząc do detektywa. – Należy do mojego ojca. Wielokrotnie go widziałem.

– Ten portfel znaleziono przy ciele podpalacza – wyjaśnił Engel. – Dostał go najprawdopodobniej od zleceniodawcy.

– Ale po co ojciec miałby płacić za podpalenie spichlerza w Jeziorach? – spytał pan młody, rozglądając się dookoła.

– Żeby doprowadzić Jerzego do rozpaczliwej sytuacji – wyjaśnił mu Jan. – Bez tego pożaru Jerzy zacząłby spłacać dług u Schulza. Bez tego pożaru pan Eugeniusz nie przejąłby łatwo Jezior.

– Dobry Boże! – zaśmiał się lekceważąco starszy Ostrowski. – A po co mi ta rudera?

– Po połączeniu pana ziem i posiadłości Jezierskich utworzy pan ordynację i spełni swe marzenie.

– To chyba nieaktualne, bo podobno ten cały Schulz nie żyje.

– Ale tuż przed jego śmiercią podpisaliście umowę sprzedaży Jezior i stał się pan ich właścicielem. – Morawski zamachał mu przed nosem plikiem dokumentów, który znalazł w woreczku Eweliny.

Wyrzucał sobie, że natychmiast po odkryciu umowy nie odgadł,

kto zlecił podłożenie ognia w spichrzu. Wtedy jednak myślał tylko o tym, że fakt znalezienia dokumentów u Eweliny stanowi potwierdzenie, iż to ona zastrzeliła Schulza. A przecież zlecenie podpalenia tak pasowało do tego łajdaka Ostrowskiego. Na szczęście, co się odwlekło, to nie uciekło.

Jezierscy i Andrzej otoczyli z trzech stron pana Eugeniusza, a on, taki butny przed chwilą, zmałał i chętnie czmychnąłby przez dziurkę od klucza, jak „Niemiec, sztuczka kusa” czmychnął przed panią Twardowską.

– Karą za podpalenie jest kryminal – warknął Jerzy.

Andrzej napierał na Eugeniusza najbardziej.

– No, chyba nie uderzysz własnego ojca? – skamlał diabeł.

– Nie mam ojca.

– Ale ja przecież kupiłem to dla ciebie – wymyślił Ostrowski. – To miał być prezent ślubny. Nie mówiłem ci?

Zanim ktokolwiek z zainteresowanych zdążył zająć stanowisko, wtrącił się Jan.

– Ależ to doskonały pomysł – pochwalił. – Helena i Andrzej są wzruszeni pana szczodrością. A żeby oszczędzić panu wyjazdu do rejenta, umowę spisujemy natychmiast.

Ostrowski jeszcze próbował wywinąć się od tej propozycji, ale sprowadzono rejenta Przymrużone Oko, panowie Jan Morawski i Joachim Engel zostali świadkami i zanim zegar wybił jedenastą, Jeziory przeszły na własność Andrzeja Ostrowskiego.

ROZDZIAŁ 34

Panu Ostrowskiemu udało się wreszcie czmychnąć, a świadkowie jego demaskacji wrócili na salę balową, gdzie rozochoceni tancerze zaczęli już rozglądać się za nowożeńcami. Przez prawie godzinę kontynuowano polki i walce, a potem wszyscy stanęli do kotyliona i na kilkanaście minut zapamiętali się w tworzeniu skomplikowanych figur. Dokładnie o północy służący podali w jadalni gorący bulion, polędwicę *à la* Wellington i nadziewane perlice, toteż goście przerwali płąsy i obsiedli stół, całkowicie lekceważąc zasady pierwszeństwa.

Jan zajął odosobnione miejsce u szczytu stołu, ale aż cztery damy uczuły potrzebę uwolnienia go od jego własnego towarzystwa. Dosiadły się po dwie z każdej strony i zaczęły mówić do niego jednocześnie, każda na inny temat.

Pierwsza druhna tłumaczyła, że wszystkie potrawy są dla niej za mało przyprawione i dla potwierdzenia tego z rozmachem sypała pieprz na polędwicę. Siedząca tuż obok panna z egretą indagowała Jana, czy jego szwajcarski przyjaciel naprawdę nie mówi po polsku. Ciotka Andrzeja przekonywała, że odkryła genialną metodę powiększania butów o dwa rozmiary, natomiast żona rejenta chwaliła się wielką kolekcją znaczków, którą zgromadził jej mąż. W rezultacie tego sypania pieprzem Egreta nabrała powietrza i potężnie kichnęła. A potem jeszcze raz. I jeszcze jeden. Damy pospieszyły z całym katalogiem wykluczających się remediów, ale Jan ich nie słuchał, wpatrzony w Andrzeja, który demonstrował kilku panom jakiś myśliwski incydent, posługując się zdjętym ze ściany garłaczem.

Nagle w mózgu Jana ruszyła lawina skojarzeń: nocna wyprawa Heleny do chruśniaku; wczorajsza wizyta Eugeniusza i słowa, które podczas niej padły; odciski butów; taras nad dobudówką; wszystkie głupawe miny. Morawski czuł, że dotarł wreszcie do rdzenia intrygi.

Większość gości wróciła na salę balową, a on siedział przy stole, kroił perlicę, mechanicznie jadł i wszystko układał sobie w głowie. A gdy już znalazł wytłumaczenie każdego zagadkowego dotąd zjawiska, postanowił przeprowadzić ostateczną próbę.

Jego wzrok zatrzymał się na leżącej na stole konfederatce

z piórami. Zostawił ją tam Andrzej, ale ponieważ zapowiadano mazura, Morawski był pewien, że pan młody po nią przyjdzie. Jan złapał czapkę, oderwał pióra, zgiął spinkę i wszystko rzucił na podłogę. Po chwili nadszedł Kmicic i ze zboląłą miną podniósł zrujnowaną konfederatkę. Morawski natychmiast zaofiarował się, że ją naprawi.

Pobiegł na piętro, wszedł do pokoju Eweliny i stamtąd wydostał się na taras. Obejrzał balustradę, a potem także podłogę, szukając zakrzepłego błota. Wracając na dół, zajrzał do pokoju Heleny i złapał jej odrzuconą broszkę z perłami – czymś przecież musiał przypiąć te pióra do czapki.

Wszedł na salę balową i zobaczył smutną Laureę. Przysiadł się do niej, żartobliwie zachęcał do tańca i jednocześnie naprawiał czapkę. Wstrętne pióra z uporem odpadały i dopiero Laura zdołała przypiąć je broszką do konfederatki. Morawski cały czas zerkał na Andrzeja, a gdy czapka była gotowa, podał mu ją. Ostrowski skinął dłonią orkiestrze i gruchnął mazur, poprowadzony brawurowo przez nowożeńców.

Jan przez chwilę obserwował młodą parę, a następnie odszukał w kuchni Mateusza i wydał mu kilka poleceń. Potem wyciągnął z salonu Niemca i odbył z nim cichą konferencję na ganku. Po kwadransie w szkarłatnym pokoju zebrały się osoby, które w noc śmierci Schulza przebywały w Jeziorach, a do grupy tej dołączył z racji swej rangi pan Engel. Zgromadzeni wyglądali na skonfundowanych, ale Jan niczego nie chciał wyjaśnić, dopóki nie dołączył do nich Andrzej.

Kamerdyner, który trzymał się na uboczu, co rusz marszczył nos. Wreszcie podszedł do Morawskiego i zaproponował:

– Chyba otworzę okno. – A szeptem dodał: – Strasznie czuć tu spodnie Baltazara.

Gdy Mateusz wrócił na swe miejsce, Jan zaczął:

– Zaprosiłem tu państwa, gdyż odkryłem nareszcie, kto zabił Schulza. Przez dwa dni błądziłem w mroku, ale teraz wszystko już rozumiem. – Oparł się o komodę i przebiegł spojrzeniem po zebranych. – Przedstawiam państwu młodszą siostrę Eweliny Jeske, o imieniu również na „E”, właścicielkę pistoletu z grawerunkiem „EJ”. Oto morderczyni Schulza i morderczyni swej rodzonej siostry.

Wszyscy patrzyli w kierunku wskazanym dłonią Jana – na

przycupniętą na fotelu Laurę. A pan Joachim zajrzał do swych notatek i oznajmił:

– Z zebranych przeze mnie informacji wynika, że to Edyta Jeske. Lat dwadzieścia jeden.

Przez chwilę panowała kompletna cisza.

– Mylisz się, Janie – pierwszy odezwał się Jerzy. – To Laura. Moja bratanica. Wszędzie poznałbym tę bliznę po oparzeniu. I włosy mojej bratowej.

Chciał podejść do trzęsącej się dziewczyny, ale Jan zatrzymał go ruchem ręki.

– Laura nie żyje i to najprawdopodobniej od dwóch lat – powiedział. – Zabito ją jeszcze przed śmiercią jej ojca lub tuż potem.

– Ale przecież – prychnęła Jerzowa – w portfelu Wojtka znaleźliśmy jej zdjęcie. To naprawdę Laura. I nie mogła zabić Schulza, bo gdy padł strzał, ona była w sypialni Heleny.

– Tylko że Helena nie może tego potwierdzić, bo jej tam nie było – zauważył Jan. – Została podstępnie wywabiona do ogrodu.

Jezierscy przenieśli wzrok na córkę, ale ta nie zaprzeczyła.

W milczeniu wpatrywała się w Laurę.

– Ale ja po strzale zajrzałem do sypialni panny Heleny – przypomniał Mateusz – i panienska Laura tam była.

Jan podszedł do „Laury”, chwycił za popielaty warkocz opasujący głowę i jednym szarpnięciem uniósł rękę. W dłoni trzymał kudłatą czapkę.

– Ona była czy to?

Wszyscy jak zaczarowani wpatrywali się na przemian w rude, przygniecione włosy dziewczyny i popielatą perukę, która niczym uniesiony za skórę kotek dyndała w powietrzu.

Naraz Ruda-Nie-Blondynka zerwała się z fotela, dopadła do okna, zręcznie wskoczyła na parapet i zniknęła w ciemności.

– Dlaczego ją puściłeś? – krzyknął Jerzy i podbiegł do okna.

Stał tam już pan Joachim, który wyjął z kieszeni gwizdek i trzykrotnie zagwizdał.

– Wolałbyś – spytał Jan – żeby policja zaaresztowała ją na sali balowej, między gośćmi? Celowo ją wypłoszyliśmy.

Czekali przy oknie i po chwili w kręgu światła ukazało się czterech mężczyzn w cywilu prowadzących drobną panienkę w ślicznej różowej sukience.

Engel machnął ręką w bok i cała grupa zniknęła wśród drzew.

– Pan Joachim przywiózł policjantów, aby aresztować Ewelinę – wyjaśnił Morawski.

Po chwilowym osłupieniu wszyscy zaczęli mówić jednocześnie: Jerzy upierał się, że prawdziwa Laura żyje, Jerzowa sarknęła na oszustkę, Helena na głos analizowała przebieg zdarzeń, a Andrzej błagał, by ktoś mu to wszystko wytłumaczył. Wreszcie także pozostali dołączyli się do jego próśb.

– Ta historia, którą wam opowiem, opiera się na informacjach zdobytych przez pana Joachima i na moich ustaleniach.

Wszystko zaczęło się sześć lat temu, gdy piętnastoletnia Edyta wdała się w romans ze znacznie starszym od siebie człowiekiem. Wybuchł skandal i Ewelina wraz z siostrą musiały opuścić rodzinne strony, pozostawiając tam małego synka Eweliny. Od tej pory hulały po Europie, aż wreszcie w Karlsbadzie spotkały Wojciecha Jezierskiego. – Jan zwrócił się do pana domu: – To ty, Jerzy, wspominałeś, że Ewelina była tam na kuracji właśnie z siostrą. Starsza z nich wyszła za zakochanego w niej mężczyznę, ale w Polsce wytrzymała tylko rok, potem wróciła do młodszej siostry i dawnych praktyk. Oficjalnie opiekowała się w tym czasie pasierbicą.

Wreszcie dwa lata temu siostry pozbyły się i męża Eweliny, i jego chorowitej córki, choć jestem pewien, że zamordowała ich ta słabiutka istotka, którą właśnie odprowadzono. Celem był swobodny dostęp do majątku Jezierskiego, a żeby to osiągnąć, morderczyni planowała wcielić się w postać dziedziczki. Nie było to trudne, gdyż ostatni raz Laurę widziano w kraju, gdy miała osiem czy dziesięć lat. Po zamordowaniu Laury Edyta założyła na swe rude włosy popielatą perukę, kazała zrobić sobie zdjęcie w sycylijskim hotelu i to zdjęcie zostało podrzucone do portfela Wojciecha Jezierskiego już po jego śmierci. Potem, aby podobieństwo do prawdziwej Laury było całkowite, Edyta oparzyła sobie rękę. Te dwa szczegóły miały uwiarygodnić ją w oczach rodziny i całego świata. Ale to były działania zabezpieczające przyszłość.

Na razie, ze względu na radę opiekuńczą, nazwisko Laury umieszczono na liście pacjentów we włoskim sanatorium, a siostry prowadziły dawny tryb życia jako pani Ewelina Jezierska i jej przyjaciółka lub pokojówka.

W tym miejscu włączył się pan Joachim:

– Od dłuższego czasu poszukiwaliśmy rudej kobiety i jej współpracownicy bądź współpracowników. Specjalizowaliśmy się w szantażach, a ofiarami padali zamożni mężczyźni z towarzystwa, zawsze o nieposzlakowanej opinii. Ruda, podpisująca swe listy jako E., uwodziła ich, a potem szantażowała kompromitującymi dowodami. Kilka miesięcy temu te dwie panie poznały w Bad Nauheim pewnego sędziego. Młodsza nawiązała z nim romans, a wtedy włączyła się jej partnerka, pokazując sędziemu zdjęcia jego i młodej kochanki. Zażądała od mężczyzny bardzo wysokiej rekompensaty. Za wysokiej. Nie miał takich środków, nie zdążył też ich zebrać. Kobieta powiedziała mu, że wysłała zdjęcia do gazety, więc zdesperowany sędzia popełnił samobójstwo. Wtedy wkroczyliśmy.

Ponownie głos zabrał Jan.

– Grunt zaczął się im palić pod nogami i aby przeczekać, umknęły do Wielkopolski. Laura śpiewająco zdała egzamin przed wami, natychmiast ją zaakceptowaliście, zwłaszcza że sprytnie odgrywała rolę dręczonej przez macochę sierotki.

– Przecież Ewelina dręczyła Laurę – wtrąciła się Jerzowa.

– Ależ skąd! – prychnął Morawski. – Te awantury reżyserowała Edyta, bo przybliżały ją do was. Ewelina miała odgrywać złą macochę i wściekać się na wszystko, co robiła jej pasierbica. Dlatego nie zgadzała się, by Laura spała na piętrze, by czytała dzienniki dziadka, by bawiła się z kotem. A o reszcie prześladowań, o truci, bólach żołądka, groźbie klasztoru i kłótniach, dowiadaliśmy się tylko z ust rzekomej Laury.

Jan czuł złość, bo sam dawał się nabrać na te gierki. Kilka razy głośno odetchnął.

– W każdym razie siostry przybyły do Jezior. Udało im się czmychnąć przed policją, ale nieoczekiwanie trafiły tu na ducha z przeszłości, czyli Schulza. Znał je i wiedział, że rzekoma dziedziczka to panna Jeske, a nie panna Jezierska. Myśleliśmy, że jego słowa: „Kogo

ja widzę? Pani tutaj?”, zwrócone były do Eweliny, a tymczasem on rozpoznał Edytę.

– Ale Schulz nie widział Laury – zauważyła Helena. – Nie było jej tam.

– Ależ była. Musiała być, skoro Jerzy polecił Ewelinie zabrać stamtąd Laurę.

Oczy wszystkich spoczęły na Jezierskim.

– Była – pokiwał głową. – Była tam. Stała w przejściu do dobudówki.

– Odjeżdżając – kontynuował Jan – Schulz zapowiedział, że wróci. Tym samym podpisał na siebie wyrok śmierci. Edyta przystąpiła do zastawienia pułapki. Plan był prosty: morderstwa miała dokonać ona, musiała więc zapewnić sobie alibi, a na polu bitwy zostawić Ewelinę, ale tak wszystko zainscenizować, by detektywi od razu zorientowali się, że ktoś próbuje Ewelinę wmanipulować, bo nie mogła popełnić przestępstwa.

Poszła spać do Heleny, ale przedtem podrzuciła jej przynętę, która miała wyciągnąć ją z domu. – Zwrócił się do panny młodej: – Jak to było, Heleno? Wycinanka przypadkiem wypadła ci wprost pod nogi czy Laura ci ją dała?

– Wypadła z czytanego przez nią dziennika wprost pod moje nogi – szepnęła dziewczyna.

Jan skinął głową i wyjaśnił pozostałym sekret ażurowej kartki i przepisu na malinówkę.

– Wieczorem Edyta wymknęła się z domu i w kopcu w chruśniaku zagrzebała starą skrzynkę. Chodziło o to, by rzucić podejrzenia na przebywającą poza domem Helenę, a samej Laurze zapewnić godzinę spokoju i alibi. A może chciała też przekonać nas, że skarb ukradziono, żebyśmy zaprzestali poszukiwań i zostawili to jej? Zadbała o wszystko: zgromadziła rekwizyty, a z pokoju w dobudówce wyniosła dokumenty Eweliny i arszenik. Do butelki z orzechówką stróża dodała środka usypiającego, aby mężczyzna nie przyłapał jej na morderstwie. On jednak tego dnia nie przyszedł do oficyny i zapadł w kamienny sen dopiero następnego wieczoru. – Zwrócił się ponownie do Heleny: – O której wyszłaś z domu?

– O wpół do dwunastej. Laura zasnęła dopiero po jedenastej.

– A zatem o wpół do dwunastej Edyta wstała, ułożyła pod kołdrą coś, co wyglądało na śpiącą postać, na poduszce zostawiła perukę. Przeszła do pustego pokoju przy tarasie, tego, w którym później zamieszkała Ewelina, i po linie spuściła się na dół. Przystawiła krótką drabinę do otwartego okna i zaczęła się na Schulza.

O północy szantażysta się pojawił, wszedł do pokoju po drabinie, a wtedy Edyta zaszła go od tyłu i zastrzeliła. Potem wskoczyła do środka i z kieszeni płaszcza ofiary zabrała kartki, które okazały się umową sprzedaży Jezior. Nie miała czasu na dalsze przeszukiwania, bo pojawiłem się ja. Uciekła po drabinie, rzuciła pistolet pod zamkniętym oknem, po linie i mocnych pędach bluszczu wspięła się na taras, tam zdjęła zabłocone buty i w czystych pantoflach weszła do pokoju. Otworzyła wejście do pustej przestrzeni pod dachem i przeczołgała się do sypialni Heleny. Dzięki temu manewrowi nikt jej nie zobaczył, a poza tym w tunelu pozbyła się butów, liny i futerału. Potem pozostało jej tylko założyć perukę i wskoczyć do łóżka, zanim ktokolwiek się nią zainteresował.

Siedzieli tak cicho, że w pokoju słyhać było skrzypienie ołówka, którym Engel robił notatki.

– A Ewelina? – przypomniał Jerzy. – Mówiłeś, że ją też zabiła.

– Po co miałyby ją zabijać, skoro współdziałały? – zwróciła uwagę Helena.

– To prawda – przytaknął Jan. – Przez lata były współniczkami, choć moim zdaniem to młodsza siostra grała pierwsze skrzypce. Nie wiem, kiedy zaczęła się narkomania Eweliny, ale teraz jej nałóg wymykał się już spod kontroli. Może dlatego Edyta uznała, że trzeba się jej pozbyć. A może decyzja o uśmierceniu Eweliny zapadła, gdy Edyta dostrzegła, że nią samą zainteresował się Eugeniusz? Cóż to za gratka dla takiej tygrysy – podstarzały właściciel dwóch majątków. Sądzę, że postanowiła wydać się za niego, uniezależnić od rady opiekuńczej, a zbędną i stwarzającą kłopoty Ewelinę doprowadzić do przedawkowania.

– Ale kiedy zdążyła to zrobić? – szepnęła Helena. – Przecież całe popołudnie była na piętrze, przede wszystkim u mnie.

– Nie całe. Mateusz widział ją na dole niedługo przed śmiercią Eweliny. Poza tym Edyta wcale nie musiała schodzić na parter. Mogła podać coś siostrze w sypialni na piętrze.

– Wszystko stanie się jasne – włączył się Engel – gdy się dowiemy, jaka substancja spowodowała śmierć pani Eweliny.

– Tyle nikczemności – pokręcił głową Jerzy. – Wprost nie mogę w to uwierzyć. Wydawała się taka słaba, taka bezbronna.

Morawski przytaknął.

– Nie zauważaliśmy jej, bo zawsze milczała i tak powoli się ruszała, że nikt nie podejrzewałby jej o atletyczną sprawność. A ona wszędzie miała dostęp, manipulowała nami i śledztwem, na potęgę kradnąc i podrzucając dowody. Schulzowi zabrała umowę sprzedaży Jezior, a potem podrzuciła ją martwej Ewelinie, by z zimną krwią przypieczętować oskarżenie jej o morderstwo. Z oficyny ukradła piersiówkę zamordowanego i zostawiła ją przy ciele siostry. Zdjęcie Eweliny podrzuciła przy Schulzu, a z mojego pokoju ukradła mapę posiadłości.

Jan tak się rozpędził, że w ostatniej chwili ugryzł się w język, by nie wspomnieć, iż Edyta-Laura ukradła mu raport agencji ubezpieczeniowej, który on uprzednio ukradł Schulzowi, i podrzuciła go przy ciele sprzedawczyka.

Detektyw skrobał i skrobał.

– Szarpie mną *jalousie de métier** – wyznał.

– Bez pańskich informacji nic bym nie osiągnął – uśmiechnął się Jan.

– Jest pan zbyt uprzejmy. Czy w rewanżu mógłby mi pan zdradzić, jak pan odkrył, że te dwie panie były siostrami?

– Przez kichanie – padła odpowiedź. Spojrzeli na niego ze zdumieniem. – Dwa dni temu, tuż przed przyjazdem Schulza, Edyta kichnęła, a zaraz po niej kichnęła także Ewelina. Żadna z nich nie była przeziębiona, za to chwilę wcześniej w jadalni zaświeciło słońce. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale dzisiaj, gdy ktoś przy mnie kichnął, przypomniała mi się teoria, że takie kichanie pod wpływem światła zwykle występuje u osób z tej samej rodziny i skojarzyłem to z informacją Jerzego, że Ewelina miała siostrę. Ale czy ta zahukana

blondynka mogła być siostrą Eweliny? Co w takim razie z prawdziwą Laurą? Wtedy zaświtało mi coś jeszcze: gdy był tu wczoraj pan Eugeniusz, rozmawiał z Laurą o Taorminie. Ona powiedziała mu, że w hotelu poklasztornym umieściła ją matka. A to niemożliwe, bo akurat wiem, że hotel San Domenico został otwarty cztery lata temu, w roku podróży cesarza Wilhelma na Sycylię. W żadnym razie nie dziesięć lat temu. A zatem ta osoba, podająca się za Laurę, najpewniej nią nie była.

Skoro jej tożsamość stała się niepewna, uświadomiłem sobie, że nigdy nie braliśmy pod uwagę Laury jako podejrzanej o morderstwo. Ale alibi zapewniła jej kuzynka, która przecież wychodziła z sypialni.

Poszedłem na górę do pokoju Heleny, by sprawdzić, czy to przejście pod dachem między jej sypialnią a pokojem Eweliny jest drożne. Okazało się, że tak.

A potem zacząłem się zastanawiać, czy ona nie jest tą rudą awanturką poszukiwaną przez pana Engla. Wtedy zrozumiałem, że skoro nie jest Laurą, nie musi być też popielatą blondynką. Może być ruda i nosić perukę.

Postanowiłem poddać ją ostatniemu testowi. Przyniosłem broszkę, którą Helena dostała w spadku po swej chrzestnej, matce Laury. Podobno była to ulubiona broszka pani Klary Jezierskiej, która nosiła ją na co dzień. Manipulowałem tym świecidełkiem na oczach Laury, ale ona go nie rozpoznała, nawet gdy wzięła je do ręki. – Spojrzał na nich triumfalnie. – Nie jest prawdziwą księżniczką, bo nie poczuła grochu.

– Cóż za błyskotliwa mistyfikacja – zachwycił się Engel.

– Cóż za zakamieniałe łotrostwo – szepnął Jerzy.

* *Jalousie de métier* (fr.) – zawiść zawodowa.

ROZDZIAŁ 35

Kwadrans później pan Joachim pożegnał się i odjechał, zapowiadając, że wróci rano, czyli za kilka godzin. Mateusz popędził do kuchni, a pozostali uczestnicy burzliwej konfrontacji weszli do salonu. Andrzej i Helena wmieszali się między wirujące pary, Jerzowie zaś przycupnęli na białych krzeselkach, chwycili się za ręce i ogłupiałymi spojrzeniami podążali za nowożeńcami.

Jan obserwował rozbawionych i beztroskich gości, ich podskoki i obroty, pałające od alkoholu i wysiłku twarze, wzburzone koafiury dam i rozwiane bokobrody dżentelmenów. Nagle poczuł pustkę, jakby zabrakło mu celu w życiu.

Musiał natychmiast czymś się zająć – czymkolwiek, choćby paleniem. Ruszył w stronę swego pokoju, ale po drodze trafił na Mateusza, który na drewnianym wózku przykrytym białym obrusem wiozł cztery arcydzieła sztuki cukierniczej. Morawski bez wahania zrezygnował z cygara, zawrócił i dołączył do orszaku służących, którzy z talerzykami i widelczykami eskortowali mistrza ceremonii.

Kamerdyner dał orkiestrze znak, muzyka przygasła i gości zaproszono do holu na kolację cukrową. Główną jej atrakcją stanowiła lukrowana piramida zbudowana z pieczonych marcepanowych kręgów różnej wielkości. Ze względu na jej obłądną słodycz goście kontentowali się niewielkimi kawałkami, a resztę, czyli większość, zabierali dla swych domowników.

Przysmakiem częstowała osobiście panna młoda i nie wolno było jej odmówić. Jan, który nie znosił marcepana, zaniósł swoją porcję do kredensu dla Baltazara, a dla siebie wziął wielki trójkąt tortu orzechowego i usiadł z innymi gośćmi w jadalni. Od wielu dni nie czuł się tak odprężony. Gdyby jeszcze mógł oprzeć nogi na krześle, jego szczęście byłoby kompletne.

– A gdzie węgrzyn panny młodej? – huknął pięścią w blat jegomość o purchawkowatym nosie i czerwonym obliczu, wskazującym, że ten węgrzyn miał stanowić kolejną pozycję na bardzo długiej liście skonsumowanych trunków.

Chodziło mu o beczkę wina, którą tradycyjnie zakopywano w dniu

chrztu dziewczyny, by ją wydobyć i wypić podczas ślubu tejże panny. Jerzy zaczął się mitygować, że ani on, ani jego ojciec nie byli smakoszami wina, za to przygotował dla szanownych gości wybór pięciu nalewek, które sporządzono w roku urodzenia Heleny. Więc jeśli szanowni goście zadowolą się trunkami z baniaka, a nie z beczki, to on im służy.

Jan zastygł z kawałkiem tortu w ustach. „Ale przecież była beczka! – chciał zakrzyknąć. – Beczka ze starką chrzcielną!” Nie odezwał się jednak, bo doznał nagłego olśnienia. Starka! Słowo na sześć liter.

Odstawił talerzyk na stół i pobiegł do szkarłatnego pokoju. Z szuflady wyciągnął kajet dziadka i ołówkiem wpisał w lewej kolumnie odkryte słowo.

Starka. Rozwiązanie pierwszego hasła: Strogow. Drugiego: Tristan. Dalej: Anhelli, potem coś nie grało, a dwa ostatnie słowa znowu pasowały: Kama, Abdank. Wszystko się zgadzało oprócz czwartej litery. Hasło „Soplica” dawało litery T lub J lub S, a nie R. I nagle Jan pojął swój błąd. Soplicą był także ksiądz Robak. A zatem rozwiązaniem była STARKA, ta typowo polska, szalenie mocna wódka, uszlachetniona przez wlanie do beczki po winie burgundzkim – tę nazywano starką burgundzką – lub do beczki po tokaju – ta była znana jako węgierska. W tym przypadku chodziło o starkę burgundzką – Jan doskonale pamiętał, jak pomagał dziadkowi napełnić beczkę.

Zastanowił się. Czy to rozwiązanie miało sens? Ależ tak! Jeśli dziadek rzeczywiście ukrył skarb w beczce ze starką, mógł mieć pewność, że Helena dostanie posag właśnie w dniu ślubu. Poza tym niedługo przed chrzcinami wnuczki zlikwidował depozyt bankowy i sprzedał majątek w rejencji bydgoskiej. Dysponował więc sporymi pieniędzmi.

Pozostał tylko problem odnalezienia beczki. Morawski wyciągnął mapę posiadłości, pewien, że senior Jezierski zaznaczył na niej miejsce leżakowania trunku. Przeanalizował narysowane punkty, ale znał je wszystkie i był prawie pewien, że nie dodano żadnego znaku. Wtedy podszedł do zagadnienia od drugiej strony: gdzie ukryłby beczkę? W ziemi lub w piwnicy. Raczej nie chodziło o piwnicę pod domem... Jan drgnął, gdyż po raz pierwszy pomyślał o loszku w ruinach starej baszty,

pozostałości dawnej nadjeziornej osady. Przesunął wzrok po mapie. Na wcinającym się w jezioro cyplu nie zobaczył żadnego obrazka czy hasła. A na jego mapie loch musiał być zaznaczony, bo przecież nieustannie ekscytował się tym tajemniczym miejscem i prawo pójścia tam z dziadkiem uważał za największy przywilej, kulminacyjne wydarzenie każdej niedzieli.

A więc jedynym ważnym na mapie obiektem był ten nie zaznaczony.

Jan postanowił natychmiast wyprawić się do loszku. Pamiętał, że zamykano go na potężny klucz. Najpierw poszedł do gabinetu Jerzego, ale potrzebnego mu giganta nie znalazł. Potem pobiegł do kuchni i tam, w głębi starej apteczki, wypatrzył wielkie zardzewiałe kluczyśko. Miał nadzieję, że trafił na właściwy egzemplarz.

Chciał zabrać ze sobą na tę wyprawę Mateusza, ale okazało się, że kamerdynera pilnie wezwano do stodoły, by położył kres awanturze między parobkami, hucznie świętującymi wesele dziedziczki.

„Doprawdy – pomyślał Morawski – z tego Mateusza zrobił się prawdziwy mąż opatrnościowy”. W tej sytuacji zdecydował się przerwać zabawę panu młodemu.

W sieni przygotował starą kurtkę Jerzego, latarnię i łopatę, a potem wyczekał na chwilę, gdy Helena ruszyła w tan z ojcem. Bezcelnie wyrwał Andrzeja z ramion pani rejentowej, zwięźle wprowadził go w swe sensacyjne odkrycie i wybiegli razem z domu. Zagłębili się między drzewa i doszli do nieregularnego, porośniętego trawą i chaszczami kopca, zmiażdżonego potężnym wiatrołomem. Miejsce to nijak się miało do lochów pod ruiną baszty, które Jan odwiedzał dwadzieścia lat wcześniej. Przedzierając się między zaroślami, przez kilka minut szukali metalowych drzwi. Wreszcie znaleźli je pod tym powalonym drzewem, na stopę zagłębioną w ziemi, częściowo zakryte darnią i suchymi gałęziami. Z trudem zdołali odsłonić wejście, przekręcić klucz w zamku i odemknąć drzwi, które na szczęście uchylały się do wewnątrz. Jan przybliżył latarnię i zobaczył sześć kamiennych stopni prowadzących w dół. Zszedł tam i w ostatniej chwili zatrzymał się przed otwartym szybem. Nie bardzo rozumiał, co się stało z podłogą w tym miejscu, zresztą nie pojmował, jak jedno drzewo zdołało zmienić

starą piwnicę w tę zarośniętą, zapadniętą ruinę, w której środku ziała piekielna czeluść. Zbliżył się do tej studni i natychmiast cofnął, bo pod wpływem jego ciężaru w przepaść posypał się gruz. Przywarł do muru i jakiś kamyczek spadł mu na głowę, odbił się i poleciał w dół wejścia do piekieł. Jan z zapartym tchem czekał na odgłos zderzenia z dnem, ale się nie doczekał.

– To się zaraz zawali – odezwał się stojący za nim Andrzej. Przejście było tak wąskie, że miejsca starczało dla jednej osoby. – Lepiej stąd chodźmy.

– Wykluczone.

Morawski podniósł wyżej latarnię, starając się dojrzeć, czy coś pozostało z głównej komory, która powinna się znajdować na wprost niego, za szybem. Metr przed sobą zobaczył sklepienie i początek podłogi, ale mogła to być tylko wąska półka, za którą czaiła się kolejna czeluść. Wyszedł na zewnątrz i z kłębowiska gałęzi wydobył mocny konar. Zawiesił na nim latarnię i wrócił do loszku. Stał na skraju jamy i poświecił przed sobą. Upewnił się, że za szybem znajduje się co najmniej dwumetrowa przestrzeń. Musiał tylko tam się dostać i sprawdzić, czy beczka przetrwała zawalenie stropu. Jeśli ktoś jej wcześniej nie zabrał.

– Chodźmy po deski! – polecił i ponownie wypchnął Ostrowskiego na zewnątrz.

Zrzucił kurtkę i we fraku pobiegł do dworu. Kmicic kłusował za nim, protestując i przekonując, ale Jan był głuchy na jego słowa. W głowie miał jedną myśl: wydobyć skarb Heleny.

Przemknął dookoła dobudówki i wpadł do oficyny pełnej ucztujących stangretów, którzy zamiast dołączyć do tańczących wieśniaków, upijali się na smutno. Z zapasów Jerzego wybrał trzy solidne deski i pobiegł z powrotem na cypel. Gdy dotarł do kopca, musiał na chwilę przysiąść na schodkach, bo zabrakło mu tchu.

Wstał i ruszył w dół, a wtedy pojawiła się komplikacja.

– Co tu robicie? – spytała Helena.

Morawski odwrócił się ku szczupłej postaci jaśniejącej bielą na tle ciemnego parku.

– Wydobywam twój skarb, kuzynko.

Zdjął frak, wziął deski i zszedł na dół. Za nim podążał Andrzej, a dalej Helena, choć mąż błagał ją, by została na zewnątrz, a Morawski mu potakiwał, argumentując, że każda dodatkowa osoba zwiększa ryzyko katastrofy. Pani Ostrowska ignorowała ich przestrogi, więc Jan przestał ją przekonywać. Podał Andrzejowi latarnię, ułożył nad czeluścią dwie deski i ostrożnie stąpając, przeszedł na drugą stronę.

Z dawnej komory o średnicy czterech metrów dwie trzecie zniknęły pod zwałami gruzu i ziemi. Powietrze było stęchłe i wilgotne. Jan zdjął lampę z żerdzi podsunętej przez Andrzeja i zbadał pomieszczenie. Pierwszym przedmiotem, który zauważył, była stojąca w rogu dziesięciolitrowa baryłka. Wydobył ją spod kamieni, przyturlał do przejścia, oświetlił i rękawem koszuli otarł z kurzu. Na wierzchu odkrył mosiężną tabliczkę z napisem: „Starka chrzcielna Heleny Jezierskiej. Sierpień 1880 roku”. Uśmiechnął się. A potem zachichotał.

– Mam to! – krzyknął.

Podeksytowany wstał i uderzył głową o niskie sklepienie. Ze stropu posypała się ziemia, spadło też kilka kamieni. Musiał się ewakuować.

Ponownie zawiesił latarnię na kij, a pod obie deski podłożył dwa równe kamienie, dzięki czemu uzyskał pochylnię opadającą w stronę Ostrowskiego.

– Oddaj latarnię Helenie, Andrzej – polecił. – Położę beczkę na tych deskach, postaram się zrobić to równo, i puszcze ją do ciebie. Musisz ją złapać, odwrócić do pionu i cofnąć się z nią. Tylko uważaj, bo masz mało miejsca na te manewry. Nie próbuj stawiać jej obok siebie. Łap, obracaj i do tyłu.

Kmicic skinął głową. Jan ulokował beczkę na deskach, a Andrzej przykucnął i nadstawił rękę.

– Uwaga! Puszczam.

Baryłka grzecznie i powolutku stoczyła się w dół, ale wtedy zaszło coś, czego Jan nie przewidział. W chwili gdy bezcenny pojemnik dotknął wyciągniętych po niego dłoni, z głowy Andrzeja spadła ta jego absurdalna czapka z idiotycznymi piórami i zaczepiła się o występ skalny, dwadzieścia centymetrów poniżej deski po prawej stronie. Ostrowski, zamiast wykonać obrót beczki i krok wstecz, zawahał się,

przesunął baryłkę w lewo, a prawą dłoń wyciągnął po czapkę. Cała konstrukcja się zachwiała, a baryłka niebezpiecznie zawisła nad czeluścią.

– Nie! – jęknął Morawski.

– Broszka Heleny! – sapnął pan młody.

– Trzymaj beczkę! – ostro poleciała Helena.

Ostrowski posłuchał. Cofnął prawą dłoń, złapał nią baryłkę, wyrównał, odwrócił i postąpił krok wstecz. Jan czuł, jak po plecach spływa mu pot, a krew usiłuje rozsadzić żyły na skroniach. Dla rozładowania napięcia walnął zaciśniętymi pięściami w mur i za jego plecami posypały się kamienie.

– Wracaj tu natychmiast! – interweniowała po raz drugi śliczna dama w bieli.

Czekali na niego po przeciwnej stronie, stłoczeni na wąziutkich schodach – polski szlachcic z baryłką w objęciach, a za nim szlachcianeczka z latarnią na żerdzi.

Jan ostrożnie przeszedł po chybotliwej kładce, a potem całą trójką wydostali się na zewnątrz. Wrócili do dworu i po drabinie weszli do pokoju Jana – jego umorusana twarz, poplamiona koszula, zakurzone włosy i zapyłone spodnie nie nadawały się do pokazywania gościom. Morawski ściągnął kapę z łóżka, rzucił ją na stół, nożem podważył wieko beczki i ze środka wydobyl metalową puszkę owiniętą pakułami. Zdjął pokrywę i wysypał na kapę litr rubinów.

– Twój posag, Heleno – szepnął i ciężko oparł się o blat.

Dziewczyna zanurzyła dłonie w szkarłatnych kamyczkach.

– Mamy dom – szepnęła do męża – i mamy skarb.

– Macie też Czernsk – zauważył Morawski. Podniosła na niego zaskoczony wzrok. – Nie wiedziałaś? Laura nie żyje, więc zgodnie z testamentem jej ojca Czernsk należy do ciebie.

Andrzej złapał się za głowę.

– Trzy tysiące hektarów ziemi!

Drzwi się otwały i wpadł Mateusz.

– Wszędzie pana szu...! – Zamilkł na widok wyglądu swego pryncypała, a potem zauważył rozsypane na stole klejnoty. – Znalazł pan skarb? Gdzie?

– Dziadek zrobił tak, jak zapowiedział: zdeponował skarb w banku ziemskim.

POSŁOWIE

Związek Ziemian powstał w 1900 roku, a jego celem statutowym było udzielanie pomocy w administrowaniu majątkami ziemskimi.

Nowa organizacja szybko zyskała zaufanie i poparcie społeczeństwa, a dzięki temu stopniowo przejęła kontrolę nad obrotem polską ziemią.

Metody działania Związku były rozmaite. Przede wszystkim jego działacze pertraktowali z wierzycielami upadających majątków, aby ci zgodzili się rozłożyć dług na raty, następnie zaś Związek pomagał uzyskać kredyt na spłatę zobowiązań. W wielu przypadkach takie posiadłości obejmowano administracją doświadczonego ziemianina z okolicy, a w ostateczności pośredniczono w sprzedaży ziemi w ręce polskie. Zdarzało się też, że gdy jakiś majątek był zadłużony ponad wartość, tworzone spółkę kilkudziesięciu ziemian, każdy wpłacał taką samą sumę, posiadłość modernizowano, a potem sprzedawano jednemu ze współników.

W każdym powiecie Związek mianował jednego lub dwóch przedstawicieli, tak zwanych mężów zaufania, którzy poza uzdrawianiem zadłużonych posiadłości na bieżąco informowali o innych zagrożonych upadłością majątkach i donosili o krążących po okolicy agentach Komisji Kolonizacyjnej. Gdy bowiem Wielkopoleanie przestali sprzedawać ziemię Komisji, nasyłano podstawione osoby, przede wszystkim Polaków z Berlina i innych zaborów, które rzekomo zamierzały osiąść w Poznańskiem. Związek ostrzegał przed tymi zdrajcami, a wreszcie zakazał przeprowadzania transakcji z osobami niepewnymi.

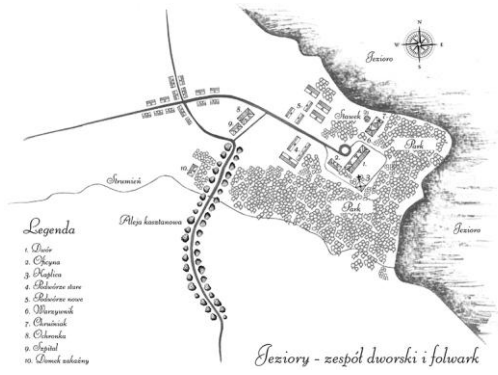
Początkowo Związek otaczał troską tylko ziemian, potem jednak rozciągnął pieczę także nad włościanami. Społeczeństwo coraz lepiej rozumiało ogólnonarodowe znaczenie tych działań, bo gdy ziemia przechodziła w ręce Niemców, cierpiała cała okolica – polscy kupcy i rzemieślnicy tracili klientów, polscy robotnicy rolni pracę.

Akcja ratunkowa odniosła sukces tak wielki, że choć Związek unikał rozgłosu, przyciągnął uwagę Niemców. Do Poznania przybył berliński socjolog i ekonomista profesor Ludwig Bernhard i pod

pozorem zainteresowania sytuacją gospodarczą prowincji przeprowadził śledztwo na temat Związku Ziemian.

Efektom jego badań była książka *Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staat* („Społeczność polska w państwie pruskim”, Leipzig 1907), w której odsłonił mechanizmy działania Związku Ziemian. Twierdził, że „stworzenie tej instytucji było z punktu widzenia polskiego jednym z najszcześniejszych i najskuteczniejszych posunięć, gdyż sparaliżowało zupełnie wykonanie programu pruskiej Komisji Kolonizacyjnej. Podtrzymując Polaków nie tylko moralnie, ale też realną pomocą gospodarczą, wzmocniło ich postawę oporu. (...) Każdy wiedział, iż w razie trudności nie tylko może, ale ma obowiązek zwrócić się o pomoc między innymi do Tadeusza Szułdrzyńskiego” (Jan Szułdrzyński, ze wstępu do *Wspomnień wielkopolskich* Tadeusza Szułdrzyńskiego). Profesor Bernhard przedstawił też w swej książce fenomen Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych oraz całego ruchu spółdzielczego: „Polacy przez personalnie powiązaną sieć banków ludowych, spółek parcelacyjnych i spółdzielnie »Rolników« potrafili zorganizować własne państwo w państwie pruskim”. Uważał też, że ta „społeczność polska wzrasta i konsoliduje się, przejawiając coraz większą siłę, już nie tylko gospodarczą, ale i polityczną” (Krzysztof Morawski, *Wspomnienia z Turwi*).

Rok po tej publikacji, w 1908 roku, parlament niemiecki przegłosował ustawę wywłaszczeniową o przymusowym wykupie ziemi od Polaków.

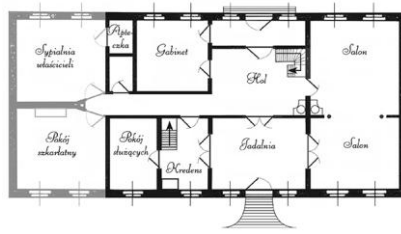


Legenda

1. Dwork
2. Pałac
3. Pałac
4. Pałac stary
5. Pałac nowy
6. Wzgórze
7. Cmentarz
8. Cmentarz
9. Cmentarz
10. Cmentarz
11. Cmentarz

Jeziory - zespół dworski i folwark

Dwór w Jeziorach -
rzut parteru



Legenda

- Stary dwór
- Część dobudowana

*Dwór w Jeziorach -
rzut piwnicy*

